Elizabeth
HOYT
Złodziej cieni
Z cyklu „Tajemnice Maiden Lane”

Elizabeth
HOYT

Złodziej cieni

przełożyła Magdalena Sikorska

bis
Warszawa 2018

Tytuł oryginału: *Thief of the Shadows*

Projekt okładki: Alan Ayers

Copyright © 2012 by Nancy M. Finney
This edition published by arrangement with Grand Central Publishing,
New York, USA. All rights reserved.
Copyright © for the Polish translation Wydawnictwo BIS 2018.

ISBN 978-83-7551-585-5

Wydawnictwo BIS
ul. Lędzka 44a
01-446 Warszawa
tel. 22 877-27-05, 22 877-40-33

e-mail: bisbis@wydawnictwobis.com.pl
www.wydawnictwobis.com.pl

Skład wersji elektronicznej: Kamil Raczyński

konwersja.virtualo.pl

Spis treści

Podziękowania
Rozdział 1
Rozdział 2
Rozdział 3
Rozdział 4
Rozdział 5
Rozdział 6
Rozdział 7
Rozdział 8
Rozdział 9
Rozdział 10
Rozdział 11
Rozdział 12
Rozdział 13
Rozdział 14
Rozdział 15
Rozdział 16
Rozdział 17
Rozdział 18
Rozdział 19
Rozdział 20
Epilog

Mojemu ulubionemu szwagrowi, Charlesowi,
intrygująco utalentowanemu artyście
interdyscyplinarnemu o zainteresowaniach
obejmujących taniec, teatr i sztuki wizualne,
który mimo wszystko nie wzbrania się przed tym, by sporadycznie zbrukać się filmikiem promującym romans.

Podziękowania

Jak zawsze muszę podziękować zespołowi profesjonalistów, którzy pomogli wypolerować koszmarnie toporny szkic w produkt końcowy nieco bardziej nadający się do czytania: mojej łebskiej agentce, Susannah Taylor, mojej cierpliwej redaktor prowadzącej, Amy Pierpont, oraz mojej pedantycznej redaktorce, Carrie Andrews. Asystentka Amy, Lauren Plude, nieodmiennie promienieje skandaliczną wręcz życzliwością, Diane Luger z działu artystycznego GCP ponownie przeszła samą siebie, projektując okładkę, a Nick Small i Brianne Beers z reklamy pracowali bez wytchnienia, żebyście na pewno usłyszeli o tej książce.

Dziękuję Wam wszystkim.

Rozdział 1

O, utwórzcie krąg, drodzy moi, i dajcie świecom zapłonąć
jasno, bo tego wieczoru opowiem wam historię
Arlekina – Ducha St. Giles…
– z Legendy o Arlekinie – Duchu St. Giles

Londyn, Anglia
Maj 1738 roku

Ciało na drodze było absolutnym ukoronowaniem tego dnia.

Isabel Beckinhall – baronowa Beckinhall – westchnęła cicho. Jej kareta zatrzymała się w najgorszej części Londynu – na brudnych ulicach St. Giles. A dlaczego Isabel znalazła się w St. Giles o zmierzchu? Ponieważ, głupia, dobrowolnie zgodziła się reprezentować Syndykat Pań na rzecz Przytułku dla Nieszczęsnych Sierot i Podrzutków podczas końcowej inspekcji nowego budynku.

Nigdy nie zgłaszaj się na ochotnika. Nawet przyjemnie opchana ciastkami i napojona gorącą herbatą. Ciastka były wymysłem iście szatańskim, a konkretnie – wymysłem lady Hero Reading, jednej z dwóch patronek-fundatorek nowego przytułku. Lady Hero dolała Isabel herbaty i popatrzyła na nią prostodusznie szarymi oczami, uroczo pytając, czy Isabel nie miałaby nic przeciwko temu, by spotkać się z panem Winterem Makepeace'em, posępnym zarządcą przytułku, w celu dokonania przeglądu nowego budynku. A Isabel niefrasobliwie się zgodziła, jak obżarte ciastkami, bezrozumne cielę.

W dodatku ten przeklęty człowiek nawet się nie pokazał!

– Muu… – wymamrotała do siebie Isabel, akurat kiedy otworzyły się drzwi karety i do środka wspięła się jej osobista pokojówka, Pinkney.

– Proszę pani? – spytała Pinkney, z zaskoczenia otwierając szeroko niebieskie oczy.

Inna sprawa, że niebieskie oczy Pinkney prawie zawsze były szeroko otwarte. Dziewczyna należała do najbardziej pożądanych osobistych pokojówek w Londynie i stanowiła niedościgniony wzór w kwestiach najnowszej mody mimo skromnych dwudziestu jeden lat i cechującej ją naiwności.

– Nic takiego – powiedziała Isabel, machnięciem ręki zbywając swoją krowią onomatopeję. – Ustaliłaś, czemu przesunięcie trupa zajmuje tyle czasu?

– Och, tak, milady – odparła Pinkney. – To dlatego, że nie jest martwy. – Ściągnęła śliczne brwi. – No, w każdym razie jeszcze nie. Harold biedzi się, odciągając go na bok, i nie uwierzy pani, ale prawdziwy z niego aktor komiczny.

Tym razem to Isabel zamrugała.

– Z Harolda?!

– Och, nie, milady! – Pinkney rozchichotała się, lecz zaraz pochwyciła spokojne spojrzenie Isabel. – Eee… – Odkaszlnęła. – Ten nie całkiem trup. Jest aktorem komicznym, znaczy. Ma na sobie strój arlekina, z maską i w ogóle…

Isabel nie słuchała dłużej. Otworzyła drzwi i wysiadła z karety. Na zewnątrz szary dzień stawał się coraz bardziej ponury, w miarę jak zbliżała się noc. Na zachodzie migotał ogień, Isabel słyszała dobiegające z tego kierunku odgłosy zamieszek. Awanturnicy byli bardzo blisko. Zadrżała i pospieszyła do miejsca, gdzie Harold i drugi lokaj pochylali się

nad leżącą na ziemi postacią. Pinkney prawdopodobnie pokręciła coś w kwestii kostiumu, samego mężczyzny, maski lub…

Ale nie.

Isabel gwałtownie zaczerpnęła tchu. Nigdy nie widziała niesławnego Ducha St. Giles osobiście, nie żywiła jednak najmniejszych wątpliwości, że to on. Leżący na brzuchu mężczyzna nosił czarno-czerwony strój. Kapelusz z miękkim rondem spadł mu z głowy, widziała więc, że brązowe włosy ma związane z tyłu w niewyszukany sposób. W pochwie u boku miał sztylet, przy jego szerokiej dłoni leżała szpada. Czarna półmaska z niedorzecznie długim nosem zakrywała mu górną połowę twarzy, pozostawiając na widoku kwadratowy podbródek i szerokie usta. Rozchylone wargi, górna nieco większa od dolnej, odsłaniały proste białe zęby.

Isabel podniosła wzrok na lokaja.

– Żyje?

– Jeszcze dycha, milady. – Harold potrząsnął głową. – Ale trudno rzec, jak długo.

Z niedaleka dobiegł krzyk i brzęk rozbijanego szkła.

– Umieśćcie go w karecie – poleciła Isabel.

Schyliła się po kapelusz mężczyzny.

– Ale, milady… – Will, drugi lokaj, zmarszczył brwi.

– Migiem. I nie zapomnijcie o jego szpadzie.

Widziała już gromadę ludzi wyłaniających się zza rogu. Lokaje popatrzyli po sobie, po czym zgodnie podnieśli Ducha. Harold stęknął pod ciężarem, ale nie wygłosił choćby słowa skargi.

Tłum zebrał się przy końcu ulicy, ktoś coś krzyknął.

Awanturnicy spostrzegli karetę.

Isabel zebrała spódnice i potruchtała za służącymi. Harold z ciężkim sapnięciem wrzucił Ducha i jego szpadę do karety. Isabel niezbyt elegancko wgramoliła się do środka. Pinkney okrągłymi oczami wpatrywała się w rozciągniętego na podłodze Ducha, ale Isabel chwilowo go zignorowała. Rzuciła nań jego kapelusz, podniosła swoje siedzisko i ze schowka pod spodem wyjęła dwa pistolety.

Pokojówka pisnęła ze strachu.

Isabel odwróciła się i wręczyła pistolety stojącym przy drzwiach lokajom.

– Nie pozwólcie, by ktokolwiek wspiął się na karetę.

Harold zacisnął szczękę.

– Tak, milady.

Wziął pistolety, dał jeden Willowi, po czym wszedł na stopień z tyłu karety.

Isabel zamknęła drzwi i zapukała w dach.

– Co koń wyskoczy, John!

Kareta ruszyła z szarpnięciem, akurat kiedy coś uderzyło o burtę.

– Milady! – krzyknęła Pinkney.

– Cicho – powiedziała Isabel.

Na siedzeniu pokojówki leżał koc do okrywania nóg; Isabel zarzuciła go na Ducha. Usiadła na swoim miejscu, w pośpiechu przytrzymując się okna, kiedy kareta skręcała chwiejnie za róg. Znów coś uderzyło w pojazd. Znienacka w oknie ukazała się wykrzywiona w grymasie twarz, język przeciągnął lubieżnie po szkle.

Pinkney wrzasnęła.

Choć serce tłukło jej się dziko, Isabel ze spokojem popatrzyła mężczyźnie w oczy. Były nabiegłe krwią, pełne rozszalałej furii. Kareta podskoczyła i mężczyzna spadł.

Rozległ się strzał z pistoletu.

– Milady – szepnęła Pinkney, biała na twarzy. – Ten trup…

– Nie całkiem trup – wymamrotała Isabel, mierząc wzrokiem koc.

Miała nadzieję, że ktokolwiek zajrzy do wnętrza karety, zobaczy rzucony niedbale na podłogę koc, nie zaś ukrytego Ducha St. Giles. Poszukała oparcia, kiedy pojazd brał ostry zakręt.

– Nie całkiem trup – powtórzyła kornie Pinkney. – Kto to jest?

– Duch St. Giles.

Oczy Pinkney, barwy jaja drozda, zaokrągliły się.

– Kto?

Isabel popatrzyła na pokojówkę z rozdrażnieniem.

– Duch St. Giles? Najsłynniejszy rozbójnik w Londynie? Chadza w kostiumie arlekina, gwałcąc i mordując lub ratując i broniąc, w zależności od tego, czyim opowieściom daje się wiarę?

Istniała realna groźba, że oczy Pinkney wypadną, jeśli zrobią się jeszcze trochę większe.

– Nie? – Isabel machnęła ręką w stronę okna i wrzasków za nim, po czym słodko dodała: – Mężczyzna, którego śmierci pragnie ta tłuszcza?

Pinkney z przerażeniem spojrzała na koc.

– Ale… dlaczego, milady?

Drugi pistolet wypalił z ogłuszającym hukiem. Pinkney podskoczyła i z dzikością w oczach wyjrzała przez okno.

Dobry Boże, skończyła im się amunicja. Isabel modliła się, żeby nic nie stało się lokajom – oraz żeby zdołali powstrzymać awanturników bez pomocy broni. Była arystokratką, lecz nie dalej jak w zeszłym roku w St. Giles wywleczono z karety, pobito i obrabowano wicehrabiego.

Isabel wzięła głęboki oddech i na oślep pomacała pod kocem w poszukiwaniu rękojeści szpady Ducha. Pinkney spojrzała pytająco, gdy jej pani wyciągnęła ciężki oręż i położyła go sobie na kolanach. W ostateczności uderzy napastnika głowicą.

– Chcą jego śmierci, bo dziś rano odciął z szubienicy Czarującego Mickeya O’Connora.

Na tę akurat wieść Pinkney pojaśniała.

– Och, Czarującego Mickeya, tego pirata! O nim to słyszałam. Ponoć jest przystojny jak sam diabeł, a ubiera się lepiej niż nasz król!

Naturalnie, że jej pokojówka słyszała o dobrze ubranym piracie.

– Właśnie. – Isabel wzdrygnęła się, kiedy coś uderzyło w okno, aż pękła szyba. – Zapewne ścigali go od samego Tyburn, biedaczysko.

– O… – Pinkney przygryzła wargę. – Proszę mi wybaczyć, milady, ale dlaczego go wzięliśmy?

– No cóż, doprawdy szkoda pozwalać, by kogokolwiek rozszarpała tłuszcza – odparła Isabel, przeciągając zgłoski, żeby nie okazać przed dziewczyną strachu, pod wpływem którego łomotało jej serce. – Szczególnie zaś młodego, przystojnego mężczyznę.

Pinkney popatrzyła na Isabel trwożliwie.

– Ale, milady, jeśli polują na niego, a on jest w naszej karecie… aaa…

Isabel zebrała w sobie całą siłę, żeby uśmiechnąć się stanowczo. Zacisnęła dłoń na rękojeści leżącej na jej kolanach szpady.

– Dlatego też nie zamierzamy ich powiadamiać, że mamy Ducha, zgadza się?

Pinkney zamrugała kilkakrotnie, jakby rozpracowywała ów tok rozumowania; później się uśmiechnęła. To dziecko naprawdę było całkiem ładne.

– Och, tak, milady.

Pokojówka oparła się wygodnie, najwyraźniej przeświadczona, że nie grozi im już żadne niebezpieczeństwo, skoro wszystko zostało wyjaśnione.

Isabel szarpnięciem odsunęła zasłonki, żeby wyjrzeć przez spękaną szybę. Sama bynajmniej nie była tak dobrej myśli. W St. Giles dominowały wąskie i kręte uliczki – z tego właśnie powodu kareta jechała przedtem tak wolno. Tłuszcza poruszała się pieszo znacznie szybciej niż oni. Kiedy jednak Isabel spojrzała do tyłu, przekonała się, że dystans między nimi a tłumem się zwiększa. Stangret John znalazł prosty odcinek drogi i popędził konie do kłusa.

Isabel puściła zasłonkę z westchnieniem szczerej ulgi. Dzięki Bogu.

Kareta zatrzymała się raptownie.

Pinkney wrzasnęła.

– Spokojnie. – Isabel spojrzała surowo na pokojówkę.

Ostatnie, czego było jej trzeba, gdyby mieli zostać zaatakowani, to wapory Pinkney.

Isabel wyjrzała przez okno, po czym spiesznie wepchnęła szpadę z powrotem pod koc.

W samą porę. Drzwi karety otworzyły się, ukazując odzianego w szkarłatny mundur oficera dragonów o srogim wyglądzie.

Isabel uśmiechnęła się słodko.

– Kapitan Trevillion. Jak dobrze pana widzieć… kiedy już uciekliśmy przed tłuszczą.

Wyraziste kości policzkowe kapitana pociemniały, lecz mimo to obrzucił wnętrze karety bystrym spojrzeniem. Zdawało się, że nieco dłużej spoglądał na koc.

Isabel nie odrywała wzroku od jego twarzy, nadal uśmiechnięta. Niedbale wsparła stopy na pledzie.

Dragon znów na nią popatrzył.

– Madame, cieszę się, że pani i jej towarzysze jesteście cali i zdrowi. Dzisiaj lepiej nie kręcić się po St. Giles.

– Tak, cóż, wyruszając rano, nic o tym nie wiedzieliśmy. – Isabel uniosła brwi w wyrazie uprzejmego zainteresowania. – Schwytaliście już tego pirata?

Wargi kapitana zacisnęły się w kreskę.

– To tylko kwestia czasu. Dopadniemy jego oraz Ducha St. Giles. Tłum nie da im spocząć. Życzę miłego dnia, milady.

Skinęła głową, wstrzymując oddech do chwili, gdy dragon zatrzasnął drzwi karety i polecił Johnowi jechać dalej.

Pinkney prychnęła z pogardą.

– Żołnierze. Zawsze noszą takie niemodne peruki.

Isabel osunęła się na poduszki i obdarzyła pokojówkę przelotnym uśmiechem.

Pół godziny później kareta zajechała przed jej elegancką miejską rezydencję.

– Wnieście go do środka – poleciła Haroldowi, kiedy otworzył drzwi.

Ze znużeniem skinął głową.

– Tak, milady.

– Aha, Haroldzie? – Isabel wysiadła z karety, nadal ściskając w dłoni szpadę.

– Milady?

– Dobrze się spisaliście. Ty i Will. – Skinęła głową w kierunku Willa.

Na szeroką, pospolitą twarz Harolda wypłynął nieśmiały uśmiech.

– Dziękuję, milady.

Isabel także nieznacznie się uśmiechnęła, zanim weszła do rezydencji. Edmund, jej kochany zmarły mąż, kupił dla niej Fairmont House na krótko przed śmiercią jako prezent na dwudzieste ósme urodziny. Wiedział, że tytuł i posiadłości ziemskie przejdą na jego dalekiego kuzyna, i chciał należycie ją zabezpieczyć, wyposażając we własny majątek, nieobjęty majoratem[1].

Natychmiast po wprowadzeniu się tutaj cztery lata temu Isabel zmieniła wystrój wnętrz. Obecnie ściany holu wejściowego były wyłożone złotym dębem. Stąpało się po drewnianym parkiecie, a tu i ówdzie znajdowały się przedmioty, które ją bawiły: filigranowy stolik na złoconych nogach z blatem z różowego marmuru, wykonany z czarnego marmuru roześmiany chłopiec-faun trzymający zająca oraz małe owalne lustro w oprawie z macicy perłowej. Wszystkie te drobiazgi kochała bardziej ze względu na ich formę niż wartość.

* * *

– Dziękuję, Butterman – powiedziała Isabel, kiedy wetknąwszy szpadę pod pachę, zdejmowała rękawiczki i kapelusz, by podać je kamerdynerowi. – Trzeba natychmiast uszykować sypialnię.

Butterman, podobnie jak wszyscy jej służący, był nienagannie wyszkolony. Nawet nie mrugnął w reakcji na ten nieoczekiwany rozkaz – ani na widok szpady, którą beztrosko dzierżyła.

– Tak, milady. Czy pokój niebieski panią zadowoli?

– Jak najbardziej.

Butterman pstryknął palcami i jedna z pokojówek pospieszyła schodami na górę.

Isabel odwróciła się i patrzyła, jak wchodzą Harold i Will, niosąc Ducha. Miękki kapelusz rannego spoczywał na jego piersi.

Butterman ledwie dostrzegalnie uniósł brew, ujrzawszy nieprzytomnego mężczyznę, ale rzekł tylko:

– Pokój niebieski, Haroldzie, jeśli łaska.

– Tak, proszę pana – wydyszał Harold.

– Jeśli raczy pani wybaczyć, milady – rzekł cicho Butterman – sądzę, że pani Butterman może okazać się pomocna.

– Tak, dziękuję. Proszę jak najszybciej przysłać panią Butterman na górę. – Isabel ruszyła po schodach w ślad za służącymi.

Pokojówki nadal szykowały łóżko w pokoju niebieskim, kiedy nadeszli lokaje ze swoim brzemieniem, niemniej na palenisku płonął już ogień.

Harold zawahał się, przypuszczalnie dlatego, że Duch był cokolwiek brudny i zakrwawiony, ale Isabel wskazała gestem łóżko. Ranny jęknął, kiedy lokaje składali go na nieskazitelnie czystej narzucie.

Isabel oparła szpadę w kącie pokoju i pospieszyła w stronę Ducha. Nie groziło im już niebezpieczeństwo, lecz jej puls nie zwolnił. Uzmysłowiła sobie, że czuje się odrobinę podekscytowana tym niezwykłym rozwojem wypadków. Uratowała Ducha St. Giles. Dzień, który zapowiadał się tak zwyczajnie, wręcz nijako, przekształcił się w ciekawą przygodę.

Duch miał zamknięte oczy. Nadal nosił przekrzywioną maskę. Isabel zdjęła ją ostrożnie i z zaskoczeniem odkryła pod spodem czarną przepaskę z cienkiego jedwabiu, która zakrywała górną część twarzy, od grzbietu mocnego nosa po czoło. W materiale wycięto

otwory na oczy. Isabel przyjrzała się z uwagą trzymanej w dłoni masce arlekina. Wykonano ją z ufarbowanej na czarno skóry. Wygięte w wysokie łuki brwi i zakrzywiony, groteskowy nos nadawały masce lubieżny wyraz, jak u satyra. Odłożyła ją na stolik i znów popatrzyła na Ducha. Leżał na łóżku bezwładny i ciężki. Ponad czarnymi butami z cholewą na pstrokatych, obcisłych spodniach odznaczały się plamy krwi. Przygryzła wargę. Część tej krwi wyglądała na całkiem świeżą.

– Butterman mówił, że jest tu ranny mężczyzna – powiedziała pani Butterman, energicznie wkraczając do pokoju. Podeszła do łóżka i przez dłuższą chwilę wpatrywała się w Ducha, trzymając się pod boki, nim rozstrzygająco skinęła głową. – No, nie da rady. Trza go będzie rozebrać, milady, i ustalić, skąd się bierze ta krew.

– Och, oczywiście – odparła Isabel.

Sięgnęła do guzików przy rozporku Ducha, podczas gdy pani Butterman wzięła się za jego dublet.

Za plecami Isabel ktoś gwałtownie wciągnął powietrze.

– Och, milady!

– O co chodzi, Pinkney? – zapytała Isabel, walcząc z upartym guzikiem. Krew zaschła na materiale, usztywniając go.

– Nie wypada, żeby się tym pani zajmowała – oznajmiła Pinkney z takim zgorszeniem, jakby Isabel zaproponowała, że pospaceruje nago w Katedrze Westminsterskiej. – To mężczyzna.

– Zapewniam cię, że zdarzyło mi się już widzieć nagiego mężczyznę – odparła łagodnie Isabel, zsuwając rannemu spodnie.

Pod spodem jego bielizna była mokra od krwi. Dobry Boże! Czy człowiek może stracić tyle krwi i przeżyć? Zatroskana zmarszczyła brwi, biorąc się za wiązanie przy bieliźnie.

– Ma sińce na barku i żebrach, a do tego kilka zadrapań, ale nic, co by powodowało taki upływ krwi – zameldowała pani Butterman, kiedy rozłożyła dublet na boki i uniosła Duchowi koszulę aż po pachy.

Isabel zerknęła w górę i zamarła. Na piersi rannego rysowały się gładkie mięśnie, brązowe sutki odcinały się od bladej skóry, a pomiędzy nimi rozsypały się czarne kręcone włosy. Brzuch miał twardy i rzeźbiony, te same czarne włosy całkowicie zakrywały pępek. Isabel zamrugała. Widziała już nagiego mężczyznę – mężczyzn, gwoli ścisłości – to prawda, niemniej Edmund w chwili śmierci przekroczył już sześćdziesiątkę i z pewnością nigdy nie wyglądał jak ten tutaj. A tych kilku dyskretnych kochanków, których sobie wzięła, odkąd odszedł, było arystokratami – mężczyznami wiodącymi leniwe życie. Mieli niewiele więcej mięśni niż ona sama. Jej oko pochwyciło linię włosów, biegnącą w dół od pępka Ducha. Znikała w jego bieliźnie.

Gdzie znajdowały się ręce Isabel.

Przełknęła ślinę i rozwiązała sznurki, nieco zaskoczona drżeniem własnych palców, po czym zsunęła Duchowi bieliznę. Ukazały się jego genitalia, członek gruby i długi, nawet w stanie spoczynku, ciężkie jądra.

– No – odezwała się pani Butterman – tutaj to on wygląda całkiem zdrowo.

– Ojej, tak – szepnęła Pinkney.

Isabel nie zauważyła, kiedy pokojówka podeszła na tyle blisko, by widzieć Ducha. Osłoniła mu lędźwie rogiem kapy, nagle zapragnąwszy chronić nieprzytomnego mężczyznę.

– Proszę mi pomóc zdjąć mu buty, żebyśmy mogły odsłonić całe nogi – zwróciła się do pani Butterman. – Jeśli tam nie znajdziemy rany, trzeba będzie go odwrócić.

Kiedy jednak zsunęły mu spodnie jeszcze niżej, ukazało się długie, głębokie cięcie na umięśnionym prawym udzie. Przy odrywaniu przemoczonego materiału z rany pociekła świeża krew, spływając strużką po nodze.

– No i jest – powiedziała pani Butterman. – Możemy posłać po medyka, milady, ale dobrze sobie radzę z igłą i nicią.

Isabel skinęła głową. Popatrzyła znów na ranę, przepełniona ulgą, że nie okazała się ona ani w połowie tak groźna, jak się obawiała.

– Proszę wziąć Pinkney do pomocy i przynieść, co pani potrzeba, pani Butterman. Coś mi się zdaje, że nie ucieszy go wizyta lekarza.

Pani Butterman wyszła spiesznie, a Pinkney podążyła za nią.

Isabel czekała, sama w pokoju, jeśli nie liczyć Ducha St. Giles. Dlaczego go uratowała? Zadziałała nieomal bez zastanowienia – koncept, by pozostawić bezbronnego człowieka na pastwę tłuszczy, wzbudzał w niej instynktowną odrazę. Jednak teraz, gdy znalazł się w jej domu, odkryła, że interesuje ją on sam. Jakiego rodzaju człowiek ryzykuje życie przebrany za arlekina? Był rozbójnikiem czy zabijaką do wynajęcia? A może po prostu szaleńcem? Popatrzyła na niego. Choć nieprzytomny, nadal imponował, gdy leżał tak, wielki, rozciągnięty na filigranowym łóżku. Był mężczyzną w kwiecie wieku, silnym i atletycznym, w tym momencie nieomal całkowicie obnażonym przed jej spojrzeniem.

Z wyjątkiem twarzy.

Wyciągnęła rękę ku czarnej jedwabnej masce, która nadal zakrywała górną część twarzy Ducha. Czy był przystojny? Brzydki? Zaledwie przeciętny?

Jej ręka zaczęła opadać ku masce.

Jego wystrzeliła w górę, chwytając Isabel za nadgarstek.

Otworzył ewidentnie brązowe oczy.

– Nie.

* * *

Ten dzień nie przebiegał zgodnie z planem.

Winter Makepeace wpatrywał się w bystre niebieskie oczy lady Isabel Beckinhall i zastanawiał, jak właściwie wyplącze się z tej sytuacji, nie ujawniając swojej tożsamości.

– Nie – szepnął znowu.

Nadgarstek miała ciepły i delikatny, czuł wszakże pod palcami kobiecą siłę, a jego własne mięśnie były w tej chwili piekielnie słabe.

– Dobrze – powiedziała cicho. – Od jak dawna jest pan przytomny?

Nie próbowała uwolnić nadgarstka z jego uchwytu.

– Ocknąłem się, kiedy zdjęła mi pani spodnie. – Doprawdy interesujący sposób odzyskania przytomności.

– Zatem nie jest pan tak poturbowany, jak sądziliśmy – skomentowała z lekka ochrypłym głosem, przeciągając zgłoski.

Stęknął i odwrócił głowę, żeby rozejrzeć się po pokoju. Pod wpływem fali mdłości i zawrotów głowy niewiele brakowało, a znów by odpłynął.

– Gdzie jestem?

Mówił cicho, chrapliwie, ledwie słyszalnie. Może jeśli będzie szeptał, ona go nie rozpozna.

– W moim domu. – Przekrzywiła głowę. – Nie dotknę maski, jeśli pan sobie tego nie

życzy.

Przyglądał się jej, kalkulując. Był nagi, w obcym domu, ranny. Nic nie przemawiało na jego korzyść.

Uniosła elegancką brew.

– Zechce pan puścić mój nadgarstek?

Otworzył dłoń.

– Proszę o wybaczenie.

Potarła nadgarstek, opuszczając wzrok z fałszywą skromnością.

– Ocaliłam panu życie, a teraz znajduje się pan na mojej łasce – przemknęła spojrzeniem po jego nagim ciele – lecz mimo to nie wydaje mi się, by naprawdę prosił pan o wybaczenie.

Popatrzyła mu w oczy, inteligentnie, z humorem, dogłębnie uwodzicielsko.

Niebezpieczeństwo było wręcz namacalne.

Wargi Wintera drgnęły.

– Może jestem po prostu gburem.

– Gburem, to bez wątpienia. – Szybko przeciągnęła palcem po kawałku materiału, który osłaniał mu miednicę, a jego ciało zareagowało instynktownie. – Ale żeby do tego niewdzięcznym? – Ze smutkiem pokręciła głową.

Uniósł brwi.

– Mam nadzieję, iż nie obwinia mnie pani, że leżę tu rozebrany. Przysięgam, że obudziłem się w tym stanie i nie wiem, kogo mógłbym winić, jeśli nie panią.

Jej oczy rozszerzyły się minimalnie i przygryzła wargę, jakby chciała zdusić dreszcz lub śmiech.

– Zapewniam pana, że moja… ciekawość brała się wyłącznie z pragnienia, by ustalić, gdzie został pan ranny.

– Wobec tego pani ciekawość stanowi dla mnie zaszczyt.

Winter czuł się tak, jakby stoczył się ze wzgórza i wylądował głową w dół. Nigdy nie przekomarzał się w ten sposób z kobietami, a w trakcie ich poprzednich spotkań – kiedy występował zaledwie jako pan Makepeace, zarządca przytułku – lady Beckinhall całkiem jasno dała mu do zrozumienia, że nie darzy go szczególną estymą.

Może chodziło o maskę i intymność tego cichego pokoju.

A może winę ponosiło uderzenie w głowę, które zarobił wcześniej.

– Znalazła pani to, czego szukała?

Jej usta, szerokie i delikatne, ułożyły się w tajemniczy uśmiech.

– O, tak, znalazłam wszystko, czego tylko mogłabym sobie życzyć.

Zaczerpnął tchu, puls gnał mu szaleńczo, czuł się jak odurzony, nie panował nad swoim członkiem, lecz w tejże chwili otworzyły się drzwi do pokoju. Winter natychmiast zamknął oczy. Instynktownie wiedział, że lepiej, by inni nie zdawali sobie sprawy, iż odzyskał przytomność. Nie potrafiłby logicznie wytłumaczyć tego impulsu, ponieważ jednak nie zliczyłby, ile razy w przeszłości instynkt tego rodzaju ocalił mu życie, dawno dał sobie spokój z kwestionowaniem jego podszeptów.

Zerknął ostrożnie spod osłony rzęs.

Pole widzenia miał ograniczone, ale do pokoju weszły co najmniej dwie kobiety.

– Jak z nim? – spytała jedna z przybyłych, służąca, wnosząc z akcentu.

– Nie poruszył się – odparła lady Beckinhall.

Odnotował, że nie wspomniała, iż rozmawiali przed zaledwie paroma sekundami.

– Nie powinnyśmy zdjąć mu maski? – odezwał się inny kobiecy głos, młodszy, pełen

entuzjazmu.

– Myślisz, że to rozsądne? – dociekała lady Beckinhall. – Jeśli poznamy jego tożsamość, gotów uznać, że musi nas zabić.

Winter prawie uniósł brew na tę oburzającą sugestię. Z ust młodszej służącej wyrwał się zduszony okrzyk. Ewidentnie nie zauważyła przesadnej powagi w głosie lady Beckinhall – dama z trudem ukrywała rozbawienie.

Pierwsza służąca westchnęła.

– Szybko zszyję mu nogę, a potem wygodnie go ułożymy.

I wtedy to Winter uzmysłowił sobie, że kilka najbliższych minut jego życia zapowiada się wysoce nieprzyjemnie.

Bolało go całe ciało, dlatego nie spostrzegł do tej pory, że prawe udo pulsuje szczególnie dotkliwie. Najwyraźniej to tej rany szukała lady Beckinhall.

Przymknął oczy i czekał, wolno oddychając i rozluźniając kończyny, jakby przygniatał je do łóżka jakiś ciężar.

„To wskutek szoku trudno jest znieść ból – powiedział przed wielu laty jego mentor. – Oczekuj go, powitaj, a ból stanie się zaledwie kolejnym doznaniem, które stosunkowo łatwo można od siebie odsunąć”.

Pomyślał o przytułku i kwestiach logistycznych związanych z przenosinami dwadzieściorga ośmiorga dzieci do nowego budynku. Palce dotknęły rany i ścisnęły razem jej krawędzie, wywołując ostre szarpnięcie bólu, a świeża, ciepła krew pociekła po nodze Wintera. Mężczyzna rejestrował ten ból, ale odsunął go na bok, pozwolił mu przepłynąć przez siebie i dalej na zewnątrz, podczas gdy sam przyglądał się w myślach każdemu dziecku w przytułku, rozważając, jak dany chłopiec lub dziewczynka zareagują na przeprowadzkę.

Nowe dormitoria były przestronne, oświetlone przez duże, starannie okratowane okna. *Ostre dźgnięcie igły, nakłuwającej jego ciało.* Większość dzieci ucieszy się z nowego lokum. Na przykład Joseph Tinbox, choć już jedenastoletni, z przyjemnością będzie biegał w tę i z powrotem długimi korytarzami. *Przeciąganie i szarpanie, kiedy nić sunęła przez skórę.* Ale u dziecka takiego jak Henry Putman, który, niedawno pozostawiony w przytułku, pamiętał jeszcze porzucenie, przeprowadzka może wywołać niepokój. *Kolejne dźgnięcie igły.* Będzie musiał zwrócić szczególną uwagę na Henry’ego Putmana i inne podobne mu dzieci. *Noga zapłonęła żywym ogniem, kiedy na ranę wylano jakiś płyn.* Jedynie dzięki wielu godzinom treningu Winter nie szarpnął się pod wpływem przeszywającego bólu. Wdech. Wydech. Dał myślom płynąć swobodnie, kiedy dźgnięcia rozpoczęły się na nowo…

Jakiś czas później Winter uświadomił sobie, że ukłucia igły ustały. Wynurzywszy się z głębokiej zadumy, poczuł na czole chłodną dłoń. Bez otwierania oczu wiedział, że dotyka go lady Beckinhall.

– Nie wydaje się, żeby miał gorączkę – powiedziała cicho.

Miała niski jak na kobietę, nieco gardłowy głos. Winter odnosił wrażenie, że jej oddech omywa mu nagie ciało, podrażniając zakończenia nerwowe, ale to była fantazja. Przypuszczalnie oberwał w głowę mocniej, niż pierwotnie sądził.

– Przyniosłam wodę, żeby go umyć – odezwała się starsza służąca.

– Dziękuję, pani Butterman, dostatecznie się już pani dziś natrudziła – powiedziała lady Beckinhall. – Zajmę się tym sama.

– Ależ milady – zaprotestowała młodsza.

– Naprawdę obie ogromnie mi pomogłyście – zapewniła lady Beckinhall. – Proszę.

Zostawcie wodę, a resztę rzeczy zabierzcie.

Rozległy się szelesty, coś metalowego wpadło do blaszanej miski, a potem drzwi otworzyły się i znów zamknęły.

– Nadal jest pan przytomny? – zapytała lady Beckinhall.

Winter otworzył oczy i zobaczył, że przygląda mu się, trzymając mokrą szmatkę.

Jego ciało napięło się na myśl o dotyku jej dłoni.

– To zbyteczne.

Zasznurowała wargi i spojrzała na jego nogę.

– Rana jest nadal zakrwawiona. Moim zdaniem tak będzie najlepiej. Chyba że – w jej oczach błysnęło wyzwanie – boi się pan bólu?

– Nie boję się bólu ani niczego, co mogłoby mnie spotkać z pani ręki, madame – wyszeptał chrapliwie. – Proszę działać.

* * *

Isabel zaczerpnęła tchu, dostrzegłszy w brązowych oczach Ducha błysk prowokacji.

– Nie boi się pan mnie ani tego, co mogę panu zrobić – rzekła cicho, podchodząc do łóżka. Kiedy pani Butterman zszywała mu ranę, leżał tak nieruchomo, że obawiała się, iż znów zemdlał, teraz wszakże jego policzki odzyskały nieco kolorów, co ją uspokoiło. – Nie boi się pan zapalczywości żołnierzy ani żądnego mordu tłumu. Proszę mi wyjawić, panie Duchu, czego się pan boi?

– Boga, jak przypuszczam – odparł szeptem, patrząc jej w oczy. – Czy nie jest tak, że każdy człowiek boi się swego Stwórcy?

– Nie każdy. – Jakże dziwnie było prowadzić filozoficzną dysputę z nagim, zamaskowanym mężczyzną. Ostrożnie przetarła zaschniętą krew na jego udzie. Ciepły mięsień napiął się pod dotykiem jej dłoni. – Niektórych Bóg lub religia nic nie obchodzą.

– To prawda. – Ciemne oczy śledziły każdy jej ruch. – Jednak większość ludzi boi się własnej śmiertelności… śmierci, która w końcu zabierze ich z tego świata… i Boga, który osądzi ich na tamtym świecie.

– A pan? – spytała cicho, wykręcając i znów mocząc szmatkę. – Boi się pan śmierci?

– Nie – odparł ze spokojem.

Uniosła brwi, pochylając się nad raną, żeby ją obejrzeć. Była postrzępiona, niemniej pani Butterman bardzo dobrze ją zszyła. Po zagojeniu zostanie długa, ale nie przesadnie szeroka czy nieestetyczna blizna. Byłoby szkoda oszpecić tak piękną męską kończynę.

– Nie wierzę panu.

Kącik jego ust uniósł się znienacka, jakby zaskoczyło go własne rozbawienie.

– Dlaczego? Czemu miałbym kłamać?

Wzruszyła ramionami.

– Z brawury? Ostatecznie chadza pan w masce i stroju arlekina.

– Właśnie tak – szepnął. – Uzbrojony przemierzam ulice St. Giles. Czy robiłbym coś takiego, gdybym bał się śmierci?

– Niewykluczone. Czasem ci, którzy boją się śmierci, umyślnie z niej pokpiwają.

Przeciągnęła szmatką w górę po jego udzie, niebezpiecznie zbliżając się do prześcieradła osłaniającego genitalia.

Nie poruszył się, wiedziała jednak, że koncentruje na niej całą swą uwagę.

– Tylko głupcy drwią ze śmierci.

– Naprawdę? – Wsunęła szmatkę pod uniesione prześcieradło. Formował się tam

namiot. Wyprostowała się i z pluskiem wrzuciła szmatkę do miski, żeby ją wypłukać. – Ale drwina bywa taką zabawną grą.

Przesunęła się, żeby położyć szmatkę w dolnych partiach jego brzucha.

Złapał ją za nadgarstek.

– Myślę, że pani gra nie polega na drwinie, lecz na kokietowaniu. – Jego szept rwał się trochę.

Isabel zmierzyła wzrokiem rosnącą grań pod tłumokiem z materiału.

– Może ma pan rację. – Popatrzyła mu w oczy, unosząc brwi. – Czy taką grę pan lubi?

– A to ma znaczenie? – spytał z cynicznym uśmiechem.

Zrobiła zdziwioną minę.

– Oczywiście. Po cóż kokietować niechętnego mężczyznę?

– Dla sportu?

Zamrugała, niespodziewanie dotknięta.

– Rani mnie pan.

Napiął ramię i, bez widocznych oznak wysiłku, przyciągnął ją bliżej, aż musiała pochylić się nad nim, stanikiem sukni prawie dotykając jego nagiej piersi. Z tak bliska widziała bursztynową otoczkę wokół jego ciemnych tęczówek – i rozszerzone z bólu źrenice.

– Jeśli panią ranię, przepraszam – wychrypiał. – Proszę jednak nie posądzać mnie o głupotę. Nie jestem szmacianą lalką, którą można się bawić.

Przekrzywiła głowę, pragnąc, żeby zdjął maskę, tak by mogła zobaczyć go naprawdę, mężczyznę, który zaintrygował ją jak żaden inny od bardzo, bardzo dawna. Odpierał jej flirt żenująco prostolinijnymi odpowiedziami. Nie przywykła do takiej szczerości. Wszyscy znani jej dżentelmeni potrafili mówić eleganckimi zagadkami, które koniec końców nie znaczyły absolutnie nic. Czyżby zatem tam, pod maską, krył się prosty człowiek? Nie zwracał się jednak do niej jak ktoś o niższej pozycji.

Nie, wysławiał się w sposób dobrze jej znany. Jakby był jej równy lub wręcz ją przewyższał.

Zaczerpnęła tchu i powiodła wzrokiem po jego sylwetce.

– Nie, z pewnością nie jest pan bezwładną szmacianą lalką. Proszę o wybaczenie.

Otworzył szerzej oczy, jakby zaskoczony, i znienacka ją puścił.

– To ja powinienem prosić o wybaczenie. Ocaliła mi pani życie, proszę nie sądzić, że o tym nie wiem. Dziękuję.

Poczuła, jak po szyi wspina jej się żar. Dobry Boże, ostatni raz rumieniła się jako dziewczynka. Przekomarzała się z hrabiami, flirtowała z książętami. Dlaczego proste słowa tego człowieka miałyby nagle wzbudzić w niej zażenowanie własną osobą?

– Nie ma za co – odparła z o wiele mniejszą gracją niż zwykle. Wrzuciła brudną szmatkę do miski. – Stracił pan dużo krwi. Może pan tutaj odpocząć, a rano pana przemieścimy.

– Bardzo pani dobra.

Pokręciła głową.

– To już ustaliliśmy. Nie jestem dobrą kobietą.

Uśmiechnął się nieznacznie, zamykając oczy.

– Moim zdaniem ustaliliśmy coś wręcz przeciwnego. Jest pani wcieleniem dobroci, lady Beckinhall.

Obserwowała go przez chwilę, czekając, czy doda coś jeszcze, lecz mężczyzna w odpowiedzi zaczął chrapać.

Duch St. Giles zasnął.

* * *

Kiedy Isabel ponownie otworzyła oczy, przez okno sączyło się szaroróżowe światło świtu. Przez chwilę mrugała, zastanawiając się nieprzytomnie, dlaczego bolą ją plecy i czemu nie leży we własnym łóżku. Potem jej spojrzenie pomknęło w stronę łóżka obok.

Pustego.

Wstała sztywno i popatrzyła z góry na narzutę. Została schludnie wygładzona, niemniej na środku widniały plamy krwi. Był tu w nocy. Położyła dłoń na materiale, ale okazał się chłodny. Mężczyzna wyszedł jakiś czas temu.

Isabel podeszła do drzwi i wezwała pokojówkę. Wypyta ją, w głębi duszy wiedziała jednak, że zniknął i poza plamami krwi nie zostawił po sobie śladu.

Wróciła i w oczekiwaniu na służącą popatrzyła markotnie na puste łóżko, lecz w tymże momencie przypomniała sobie coś, co minionej nocy dobijało się do jej zbyt zmęczonego umysłu: lady Beckinhall. Zwrócił się do niej po nazwisku, choć nikt nie wypowiedział go w jego obecności.

Wstrzymała oddech. Duch St. Giles ją znał.

Rozdział 2

Może nie uwierzycie, lecz Duch St. Giles był niegdyś zaledwie śmiertelnym aktorem, grającym arlekina. Występował z wędrowną trupą, która podróżowała z miasta do miasta. Arlekin nosił obszarpany strój w czerwone i czarne romby, a gdy w przedstawieniu walczył ze złoczyńcą, jego drewniany miecz klekotał, wywołując u dzieci okrzyki radości…
– z Legendy o Arlekinie – Duchu St. Giles

Winter Makepeace, dobroduszny nauczyciel i zarządca Przytułku dla Nieszczęsnych Sierot i Podrzutków, przykucnął na spadzistym, krytym gontem dachu, kiedy nad Londynem wstawało słońce. Zwrócony plecami do przepaści poniżej, uchwycił się oburącz okapu, zrobił wykop i przerzucił ciało nad krawędzią. Przez chwilę wisiał trzy kondygnacje nad ziemią, utrzymując cały ciężar ciała jedynie na koniuszkach palców, po czym rozhuśtał się i wpadł przez okno na poddaszu. Wylądował i skrzywił się, nie tylko z powodu bólu w zranionej nodze, lecz także nieznacznego łomotu, z jakim uderzył o podłogę.

Zwykle wracał bezszelestnie.

Skrzywił się znowu, kiedy usiadł na łóżku i obejrzał pstrokate spodnie od kostiumu. Były ubłocone, a na prawej nodze, od biodra niemal po kolano, ciągnęło się rozdarcie. W głowie grały mu werble, kiedy zsuwał brudny materiał z zabandażowanej rany. Zwinął podarte spodnie w tobołek razem z butami, bronią, maską i resztą kostiumu, po czym wepchnął cały ten bajzel pod łóżko. Tylko Opatrzność wie, czy uda mu się naprawić szkodę – umiał szyć, lecz z pewnością nie celował w tej sztuce. Westchnął. Obawiał się, że będzie mu potrzebny nowy kostium – na który nieszczególnie mógł sobie pozwolić.

Odwrócił się i pokuśtykał, nagi, do umywalki, gdzie z dzbana nalał trochę wody do miski. Ochlapał twarz chłodną wodą, po raz pierwszy w życiu żałując, że nie posiada lustra. Czy miał na twarzy sińce? Sugestywne zadrapania? Czuł szorstki poranny zarost, gdy przeciągał dłońmi po szczęce.

Stęknął i przez chwilę opierał się na wyprostowanych ramionach o sfatygowaną umywaleczkę, a woda skapywała mu z twarzy. Był obolały. Nie pamiętał, kiedy ostatnio jadł, w głowie wirowało mu w powolny, przyprawiający o mdłości sposób. Musiał się ubrać, musiał wyglądać normalnie. Musiał poprowadzić lekcje dla krnąbrnych chłopców w szkole, musiał przygotować dzieci z przytułku do przeprowadzki do nowego budynku, musiał ustalić, czy jego najmłodsza siostra, Silence, jest bezpieczna.

Tyle do zrobienia.

Tak wielu ludzi, którzy na nim polegali.

Takie zmęczenie.

Winter zwalił się na wąskie łóżko. Najpierw krótka chwila odpoczynku. Zamykając oczy, miał wrażenie, że czuje dotyk miękkich, a zarazem silnych kobiecych dłoni.

W jego myślach szeptał uwodzicielski, chrapliwy śmiech…

Łup! Łup! Łup!

Winter poderwał się gwałtownie i syknął, gdy wskutek tego nagłego ruchu ból przeszył jego prawe udo. Słoneczne światło wlewało się przez okno, iluminując każde pęknięcie na ścianie, każdą zakurzoną belkę w jego sypialni na poddaszu. Zmrużył oczy. Sądząc po

pozycji słońca, był późny ranek. Zaspał.

Uporczywe pukanie do drzwi zaczęło się znowu, przy czym tym razem towarzyszył mu kobiecy głos.

– Winterze! Jesteś tam, bracie?

– Moment.

Wyszarpnął spod poduszki koszulę nocną i pospiesznie wciągnął ją przez głowę. Nigdzie nie widział swoich spodni, a nie pamiętał, gdzie je wczoraj zostawił.

– Winterze!

Z westchnieniem zarzucił sobie na ramiona pościel, otulając się nią jak szlafrokiem, i wstał, żeby otworzyć drzwi.

Zwężone ze strachu i troski brązowe oczy napotkały jego wzrok.

– Gdzieś ty się podziewał?

Temperance Huntington, baronowa Caire, starsza siostra Wintera, weszła do jego pokoju. Za nią pokazała się trzynastoletnia dziewczynka o czarnych włosach i różanych policzkach. Mary Whitsun była najstarszą podopieczną przytułku i z tego tytułu ciążyło na niej najwięcej obowiązków.

Temperance skinęła głową w stronę dziewczynki.

– Idź powiedzieć reszcie, że go znalazłyśmy.

– Tak, psze pani. – Zanim odeszła, Mary zwróciła się jeszcze do Wintera: – Tak się cieszę, że nic panu nie jest, psze pana.

Temperance rozejrzała się po pokoju, jakby się spodziewała, że w kącie czai się cała obsada burdelu, a później ze zmarszczonymi brwiami podniosła wzrok na Wintera.

– Dobry Boże, Winterze, szukaliśmy cię przez pół nocy i cały dzisiejszy ranek! Kiedy wczoraj nie wróciłeś, a zamieszki objęły całe St. Giles, obawiałam się najgorszego. A potem otrzymaliśmy wiadomość, że nie dotarłeś do nowego przytułku.

Temperance klapnęła ciężko na łóżko. Winter również usiadł, bacząc, żeby pościel zasłaniała mu nogi. Otworzył usta…

Ale siostra najwyraźniej jeszcze nie skończyła.

– A potem Silence przysłała wiadomość, że poślubiła Mickeya O’Connora i gdzieś się razem ukryli. Musieliśmy wysłać do niej dziecko, Mary Darling, pod opieką dwóch doprawdy przerażających ludzi O’Connora. Chociaż – dodała niechętnie – zdawali się przepadać za Mary, i wzajemnie.

Zaczerpnęła tchu, a Winter natychmiast skorzystał z okazji.

– Zatem nasza siostra jest bezpieczna?

Temperance wyrzuciła ręce w górę.

– Przypuszczalnie tak. Wczoraj po całym Londynie kręcili się żołnierze, szukając Mickeya O’Connora… i dzisiaj też ich zresztą pełno. Wyobrażasz sobie? Mówią, że już dosłownie wisiał, kiedy Duch St. Giles go odciął. Naturalnie to zapewne przesada. Sam wiesz, jak rozchodzą się plotki.

Winter zachował opanowany wyraz twarzy. Prawdę mówiąc, nie było w tym nic z przesady – ledwie zdążył, żeby ocalić szyję O’Connora przed stryczkiem. Ale, co oczywiste, nie mógł powiedzieć tego Temperance.

– A ten żałosny pałac pana O’Connora spłonął minionej nocy – ciągnęła nieco ciszej Temperance. – Ponoć rano w dymiących zgliszczach znaleziono ciało i wszyscy zakładają, że to O’Connor, ale liścik Silence nadszedł po pożarze, więc najwidoczniej on nadal żyje, prawda? Och, Winterze! Myślisz, że Silence będzie z nim bezpieczna?

Na to pytanie mógł odpowiedzieć bez wahania.

– Tak. – Winter popatrzył Temperance w oczy, by mogła wyczytać przekonanie malujące się w jego spojrzeniu. Mickey O'Connor może i był szalenie niebezpiecznym piratem rzecznym i człowiekiem o najgorszej sławie jak Londyn długi i szeroki, a sam Winter może i z całego serca nie znosił typa, ale jednego był pewien: – Kocha Silence, a Silence kocha jego. Obserwowałem twarz tego człowieka, kiedy przekazywał nam Silence, wiedząc, że nie zdoła dłużej jej chronić. O'Connorowi ogromnie na niej zależy. Cokolwiek jeszcze się zdarzy, poświęci życie, żeby zapewnić jej bezpieczeństwo.

– Dobry Boże, mam nadzieję.

Temperance na chwilę zamknęła oczy i osunęła się na poduszkę Wintera, tracąc nieugiętą postawę. Miała dopiero dwadzieścia dziewięć lat – zaledwie trzy lata więcej niż on sam – lecz Winter z zaskoczeniem uzmysłowił sobie, że wokół jej oczu odcisnęło się kilka wyrazistych zmarszczek. Zawsze tam były, a on nie zauważył? Czy pojawiły się niedawno, za sprawą ostatnich gorączkowych tygodni?

Kiedy się jej przyglądał, Temperance otworzyła oczy, czujne jak zawsze.

– Nadal nie odpowiedziałeś na moje pytanie. Gdzie się podziewałeś od wczorajszego popołudnia?

– Utknąłem w zamieszkach. – Winter skrzywił się i umościł niekrępująco na wąskim łóżku, ramię w ramię z siostrą. – Obawiam się, że i tak byłem spóźniony na spotkanie z lady Beckinhall. Spieszyłem się na miejsce, kiedy pochłonął mnie tłum. Miałem wrażenie, jakbym wpadł w środek stada pędzonych na rynek krów, tyle że ludzie bardziej hałasowali, bardziej cuchnęli i byli o wiele podlejsi niż jakiekolwiek bydło.

– Och, Winterze – powiedziała, kładąc mu dłoń na ramieniu. – Co się stało?

Wzruszył ramionami.

– Byłem zbyt wolny. Upadłem i trochę mnie stratowali, dostało się mojej nodze. – Wskazał prawą kończynę. – Nie jest złamana – dodał spiesznie w reakcji na okrzyk siostry – ale mnie spowolniła. Skończyło się tym, że przyczaiłem się w gospodzie, by przeczekać najgorsze rozruchy. Do domu dotarłem bardzo późno.

Temperance zmarszczyła brwi.

– Nikt nie widział, jak wchodzisz.

– Jak mówiłem, było późno.

Dziwne, jak gładko przychodziło mu kłamstwo – nawet wobec najbliższych. Będzie musiał przyjrzeć się później bacznie tej skazie, nie świadczyła bowiem dobrze o jego charakterze.

Spojrzał ku oknu.

– A teraz chyba zbliża się południe, muszę więc wstać i zająć się obowiązkami.

– Nonsens! – Temperance znów ściągnęła brwi. – Jesteś ranny, bracie. Dom się nie zawali, jeśli spędzisz jeden dzień w łóżku.

– Może masz rację… – zaczął, lecz umilkł zaskoczony, kiedy siostra nachyliła się, by zajrzeć mu w oczy. – O co chodzi?

– Nie kłócisz się ze mną – wymamrotała. – Musi cię naprawdę boleć.

Otworzył usta, żeby zaprzeczyć, ale na nieszczęście w tejże chwili trąciła jego nogę, przez co zamierzony protest przerodził się w syk bólu.

– Winterze! – Temperance wpatrywała się w pościel, jakby potrafiła przeniknąć wzrokiem materiał. – Jak bardzo źle jest z twoją nogą?

– To tylko stłuczenie. – Przełknął ślinę. – Nie ma się czym przejmować.

Zwęziła oczy, ewidentnie powątpiewając w prawdziwość tego twierdzenia.

– Ale chyba skorzystam z twojej rady i zostanę dziś w łóżku – dodał pospiesznie, żeby

ją ugłaskać.

Prawdę mówiąc, nie był pewien, czy ustałby dłuższą chwilę.

– To dobrze – oznajmiła, ostrożnie podnosząc się z łóżka. – Przyślę na górę pokojówkę z zupą. I powinnam także posłać po doktora.

– Nie ma potrzeby – zaoponował trochę zbyt ostro. Medyk natychmiast by się zorientował, że rana pochodzi od noża. Poza tym służąca lady Beckinhall już ją zszyła. – Nie, naprawdę – dodał ciszej. – Chcę tylko trochę się przespać.

Temperance sapnęła, wyraźnie nieprzekonana.

– Gdybym nie wyjeżdżała dziś po południu, zostałabym i dopilnowała, żeby zajął się tobą medyk.

– Dokąd się wybierasz? – spytał w nadziei na zmianę tematu.

– Przyjęcie w wiejskiej rezydencji, w którym według Caire'a koniecznie musimy wziąć udział. – Zachmurzyła się. – Jak przypuszczam, będą tam wszelkiej maści arystokraci, bez wyjątku patrzący na mnie z góry i zadzierający swoje rodowodowe nochale.

Uśmiechnął się – po prostu musiał, słysząc ten opis – odpowiedział jednak czule:

– Wątpię, żeby ktokolwiek z ciebie drwił. Caire odciąłby im te nochale, rodowodowe czy nie, gdyby się poważyli.

Na te słowa kąciki jej ust powędrował w górę.

– Zrobiłby to, prawda?

A Winter cieszył się, nie pierwszy już raz, że jego starsza siostra znalazła mężczyznę, który wielbił ją bezgranicznie – nawet jeśli był to arystokrata.

Poczuł przelotny ucisk w sercu. Zarówno Temperance, jak i Silence – dwie najbliższe mu osoby na świecie – były teraz mężatkami. Miały mężów i jak należało domniemywać, wkrótce będą miały własne rodziny. Na zawsze pozostaną jego siostrami, lecz odtąd będą już także zawsze od niego oddzielone.

To nie była przyjemna myśl.

Nie dał jednak niczego po sobie poznać.

– Poradzisz sobie – zapewnił siostrę łagodnie. – Cechują cię inteligencja i moralne dostojeństwo. Przymioty, które, jak podejrzewam, nie są udziałem wielu arystokratów.

Westchnęła, otwierając drzwi.

– Może masz rację, ale nie jestem przekonana, czy inteligencja i moralne dostojeństwo cieszą się jakąkolwiek estymą w arystokratycznych kręgach.

– Psze pani? – Zza ościeżnicy wyjrzała Mary Whitsun. – Milord Caire mówi, że czeka na panią w karecie.

– Dziękuję, Mary. – Temperance dotknęła palcem policzka dziewczynki, pochmurniejąc. – Przepraszam, że znowu wyjeżdżam tak szybko. Ostatnio spędzamy ze sobą niewiele czasu, prawda?

Stoicka twarzyczka Mary na moment przygasła. Do czasu ślubu Temperance mieszkała w przytułku i bardzo się związała właśnie z Mary Whitsun.

– Tak, psze pani – przyznała dziewczynka. – Ale wkrótce pani wraca?

Temperance przygryzła wargę.

– Obawiam się, że najwcześniej za miesiąc. Czeka mnie przedłużone przyjęcie w wiejskiej rezydencji.

Mary z rezygnacją pokiwała głową.

– Pewno musi pani robić mnóstwo rzeczy teraz, kiedy jest pani damą, a nie kimś takim jak my.

Temperance skrzywiła się na te słowa, a Wintera przeszył zimny dreszcz. Mary miała

rację: świat arystokracji i zwykły świat, w którym żyli on i dziewczynka, funkcjonowały odrębnie. Z mieszania ich ze sobą nie wynikało nigdy nic dobrego – fakt, o którym powinien pamiętać, kiedy ponownie zobaczy lady Beckinhall.

* * *

Ostatnimi czasy przepych w wyposażeniu wnętrz był w modzie, ale nawet wedle najnowszych standardów miejska rezydencja hrabiego Brightmore'a szafowała nim w stopniu graniczącym z niedorzecznością, uznała kilka dni później Isabel. Wzdłuż ścian głównego salonu rezydencji ciągnęły się kolumny z różowego marmuru, ze złoconymi korynckimi kapitelami. To nie wszystko, złote były również ściany, zdobienia, meble, a nawet córka hrabiego, lady Penelope Chadwick. Isabel osobiście uważała złotą nić – dominującą w haftach na spódnicy i staniku lady Penelope – za cokolwiek absurdalny wybór na popołudniową herbatkę, później jednak pomyślała, że kryje się w tym głębszy sens.

W cóż innego miałaby się ubrać córka Midasa, jeśli nie w złoto?

– Pan Makepeace może i jest inteligentny – mówiła właśnie lady Penelope, na tyle wolno, by nasycić stwierdzenie wątpliwościami co do intelektualnych zdolności zarządcy – ale nie nadaje się do tego, żeby samodzielnie kierować instytucją dla dzieci i niemowląt. Co do tej kwestii chyba wszystkie się zgadzamy.

Isabel wrzuciła do ust kęs kruchej bułeczki i w duchu uniosła brew. Syndykat Pań na rzecz Przytułku dla Nieszczęsnych Sierot i Podrzutków odbywał awaryjne posiedzenie z udziałem tych członkiń, które aktualnie przebywały w mieście: jej samej, lady Phoebe Batten, lady Margaret Reading, lady Penelope oraz jej damy do towarzystwa, panny Artemis Greaves, którą, jak przypuszczała Isabel, wypadało uznać za honorową członkinię syndykatu z tego prostego względu, że uczestniczyła w każdym spotkaniu wraz z lady Penelope. Brakowało Temperance Huntington, czyli nowej lady Caire, jej teściowej, lady Amelii Caire, oraz lady Hero, które wyjechały z miasta.

Sądząc po minach pozostałych członkiń syndykatu, uwaga lady Penelope na temat pana Makepeace'a bynajmniej nie spotkała się z powszechną aprobatą. Ponieważ jednak lady Penelope była słynną pięknością – fiołkowe oczy, kruczoczarne włosy i tak dalej, i tak dalej – a do tego również legendarną dziedziczką, niewielu damom wystarczało odwagi, by narazić się na jej gniew.

Choć może Isabel nie doceniła bohaterstwa zgromadzonych pań.

Lady Margaret odchrząknęła nieznacznie, acz całkiem stanowczo. Dama o ciemnobrązowych kręconych włosach i przyjemnej twarzy była jedną z najmłodszych w ich gronie – ustępowała jej tylko lady Phoebe, która nie weszła jeszcze formalnie do towarzystwa – ale sprawiała wrażenie silnej osobowości.

– Istotnie szkoda, że siostry nie pomagają już panu Makepeace'owi w prowadzeniu przytułku, niemniej zarządza nim od wielu lat. Moim zdaniem sam poradzi sobie dostatecznie dobrze.

– Phi! – Lady Penelope wprawdzie nie prychnęła, ale niewiele brakowało. Jej fiołkowe oczy zaokrągliły się z niedowierzania do tego stopnia, że prawie wyszły na wierzch. Wielce nietwarzowa mina. – Martwi mnie nie tylko brak kobiecego nadzoru w przytułku. Nie sądzi pani chyba poważnie, że pan Makepeace może reprezentować przytułek w trakcie wszystkich tych uroczystości towarzyskich, w których będzie musiał uczestniczyć teraz, kiedy my, damy, objęłyśmy patronat nad przytułkiem?

Lady Margaret się zafrasowała.

– No cóż…

– Za sprawą Syndykatu Pań przytułek zyskał nową pozycję społeczną. Pan Makepeace będzie zapraszany na wszelkiego rodzaju eleganckie zgromadzenia, a jego zachowanie w ich trakcie odbije się na nas jako jego patronkach. Mówimy o herbatkach, balach, może nawet wieczorach muzycznych!

Lady Penelope wykonała dramatyczny gest, przy czym niemal uderzyła w nos siedzącą obok niej pannę Graves. Panna Graves, dość pospolitej urody młoda kobieta, która praktycznie się nie odzywała, drgnęła. Prywatnie Isabel podejrzewała, że panna Graves ucięła sobie drzemkę, trzymając na kolanach głupiutkiego pieska lady Penelope.

– Nie – ciągnęła lady Penelope – ten człowiek jest niemożliwie nieobyty. Trzy dni temu nie pojawił się na umówionym spotkaniu z lady Beckinhall w nowym przytułku i nawet nie przesłał usprawiedliwienia. Wyobrażacie sobie?

Isabel przełknęła ciastko, ubawiona teatralnością tej kobiety.

– Uczciwie mówiąc, w St. Giles trwały wtedy rozruchy – zauważyła.

A ona zajęła się ratowaniem tajemniczego zamaskowanego mężczyzny, którego atletyczna sylwetka śniła jej się po nocach. Prędko pociągnęła łyk herbaty.

– Żeby nie powiadomić damy, toż to szczyt nieuprzejmości, rozruchy czy nie!

Isabel wzruszyła ramionami i wzięła kolejną bułeczkę. Osobiście uważała zamieszki za wystarczające usprawiedliwienie – pan Makepeace, i owszem, przysłał kolejnego dnia przeprosiny – nie zależało jej jednak na sporze z lady Penelope. Choć pan Makepeace świetnie się sprawdzał jako zarządca, musiała się zgodzić, że wprowadzenie go do towarzystwa byłoby katastrofą.

– A na wielkie otwarcie nowego przytułku potrzebujemy znacznie bardziej wyrafinowanego zarządcy – oznajmiła lady Penelope. – Kogoś, kto potrafi rozmawiać z damą, nie obrażając jej. Kogoś, kto bez skrępowania obraca się wśród książąt i hrabiów. Kogoś, kto nie jest synem browarnika.

Przy ostatnim słowie ściągnęła wargi, jakby browarnik zajmował pozycję zaraz poniżej stręczyciela.

Duch St. Giles zapewne swobodnie konwersowałby z książętami i hrabiami – bez względu na to, jaką pozycję społeczną krył pod maską. Isabel odepchnęła od siebie tę myśl i skoncentrowała się na rozmowie.

– Temperance Huntington jest siostrą pana Makepeace’a, a więc również miała ojca browarnika.

– Tak. – Lady Penelope się wzdrygnęła. – Ale ona przynajmniej dobrze wyszła za mąż.

Lady Margaret zasznurowała usta.

– No cóż, nawet jeśli pan Makepeace nie potrafi wybić się ponad swoje korzenie, nie pojmuję, jak możemy odebrać mu przytułek. Założył go jego ojciec… skądinąd wspomniany browarnik.

– Prowadzi teraz duży, dysponujący znacznymi funduszami dom dla sierot. Dom, który w przyszłości bez wątpienia rozrośnie się i zyska większy prestiż. Dom, z którym wiążą się nazwiska nas wszystkich. Za niespełna dwa tygodnie będzie zobowiązany wziąć udział w wielkim balu u księżnej Arlington. Wyobrażacie sobie, co się wydarzy, kiedy księżna zagadnie pana Makepeace’a o dzieci z jego przytułku? – Lady Penelope wymownie uniosła brew. – Najprawdopodobniej tylko coś parsknie, opluwając ją przy okazji.

– No, nie parsknie – zaprotestowała Isabel. *Raczej potraktuje księżną jak powietrze…*

Przykre, ale lady Penelope trafiła w sedno. Ponieważ wszystkie dały pieniądze na przytułek, pan Makepeace, jako jego zarządca, będzie odtąd ważną personą w londyńskiej socjecie. Powinien posiadać umiejętność swobodnego żeglowania po niebezpiecznych czasem wodach wytwornego towarzystwa. Być twarzą przytułku, potencjalnie zabiegać o więcej funduszy, wpływów i prestiżu dla instytucji, w miarę jak ta będzie się rozrastać. Wydawało się, że do wszystkich tych zadań pan Makepeace jest kompletnie nieprzygotowany.

– Mogę go nauczyć – wypaliła lady Phoebe.

Wszystkie głowy zwróciły się ku dziewczynie. Była pulchnym, siedemnasto- lub osiemnastoletnim dzieckiem o jasnobrązowych włosach i miłej twarzy. Powinna szykować się właśnie do swojego pierwszego sezonu – tyle że Isabel podejrzewała, iż dla biedaczki żadnego sezonu nie będzie. Jej skryte za okrągłymi okularami oczy zezowały nieprzytomnie. Lady Phoebe była prawie ślepa.

Mimo to zadarła brodę.

– Mogę pomóc panu Makepeace'owi. Wiem, że potrafię.

– Na pewno byś potrafiła, kochanie – powiedziała Isabel. – Byłoby jednak wielce niestosowne, gdyby nieżonatego dżentelmena, takiego jak pan Makepeace, nauczała młoda panna.

Lady Margaret, która tymczasem otworzyła usta, zamknęła je gwałtownie przy ostatnich słowach Isabel. Ona również nie była zamężna.

– Sam pomysł wydaje się jednak dobry – stwierdziła, pozbierawszy się, lady Margaret. – Pan Makepeace jest inteligentnym człowiekiem. Jeśli ktoś wskaże mu korzyści płynące z towarzyskiego obycia, na pewno postawi sobie za cel nabrać nieco finezji.

Spojrzała na lady Penelope. Dama jedynie uniosła brwi i oparła się w fotelu, z niesmakiem wydymając wargi. Panna Greaves twardo wpatrywała się w trzymanego na kolanach pieska. Jako towarzyszka lady Penelope popełniłaby towarzyskie samobójstwo, wyrażając odmienne zdanie.

Lady Margaret przeniosła wzrok na Isabel. Uśmiechnęła się szelmowsko.

– Potrzebujemy damy niebędącej już panną. Damy, która doskonale rozumie wytworne towarzystwo i jego subtelności. Damy na tyle opanowanej, by oszlifowała pana Makepeace'a w diament, którym niewątpliwie jest.

Ojej.

* * *

Trzy dni później Winter Makepeace schodził ostrożnie po szerokich marmurowych schodach nowej siedziby przytułku. Schody te nijak się miały do rozchwierutanej konstrukcji z surowego drewna w ich starym domu, ale śliski marmur również był niebezpieczny dla osoby, która korzysta z laski, żeby oszczędzać gojącą się nadal nogę.

– Jaa! Zakład, że po tej poręczy by się jechało, że hej – wypalił cokolwiek nieostrożnie Joseph Tinbox. Najwyraźniej uzmysłowił sobie błąd, ledwie słowa opuściły jego usta. Zwrócił się w stronę Wintera z wyrazem szczerej niewinności na piegowatej twarzy. – Jasne, że ja bym tak nigdy nie zrobił.

– Nie, to by było bardzo niemądre. – Winter zanotował w myślach, żeby uwzględnić ostrzeżenie przed jazdą po poręczy przy najbliższej okazji, kiedy będzie przemawiał do dzieci z przytułku.

– Tu pan jest. – Nell Jones, jego prawa ręka, ukazała się u stóp schodów,

podenerwowana. – W bawialni czeka na pana gość, a ja nie wiem, czy zostały nam jakieś muffinki. Mamy trochę słodkich biskwitów z przedwczoraj, ale obawiam się, że mogą być czerstwe, no a Alice nie może znaleźć cukru do herbaty.

– Biskwity nadadzą się w sam raz, Nell – rzekł kojąco Winter. – A ja i tak nie słodzę herbaty.

– Tak, ale lady Beckinhall to może słodzi – zauważyła Nell, zdmuchując z oczu pukiel blond włosów.

Winter znieruchomiał na podeście, świadom, że serce zabiło mu szybciej.

– Lady Beckinhall?

– Przyszła z pokojówką – szepnęła Nell, jakby rzeczona dama mogła ją usłyszeć przez całą długość holu i przez ściany. – I ma u pantofli sprzączki z klejnotami… pokojówka, nie dama! – dodała z nabożnym podziwem.

Winter zdusił westchnienie, gdy tymczasem jego mięśnie napięły się w radosnym wyczekiwaniu. Jego ciało wyrywało się, by znów zobaczyć rzeczoną damę, ale był to niekontrolowany odruch. Nie potrzebował dziś komplikacji w postaci lady Beckinhall i jej nadmiernie dociekliwej natury.

– Przyślij herbatę i co tam zostało z herbatników – powiedział do Nell.

– Ale cukier…

– Zajmę się tym – oznajmił stanowczo, pochwyciwszy rozgorączkowane spojrzenie Nell. – Nie przejmuj się tak. To tylko jedna kobieta.

– Jedna kobieta z elegancką pokojówką – wymamrotała Nell, ruszając na tyły domu, gdzie mieściła się kuchnia.

– Aha, Nell! – zawołał za nią Winter, przypomniawszy sobie sprawę, dla której pierwotnie wybrał się na dół. – Czy nowe dziewczynki już przybyły?

– Nie, psze pana.

– Co takiego? – Rankiem otrzymał wiadomość o dwóch osieroconych siostrach, ledwie pięcioletnich, żebrzących o resztki na Hog Lane. Natychmiast posłał tam jedynego w przytułku służącego płci męskiej, Tommy'ego, żeby je przyprowadził. – Dlaczego nie?

Nell wzruszyła ramionami.

– Tommy mówił, że nie było ich, jak dotarł na miejsce.

Winter zmarszczył brwi, zaniepokojony wieściami. Nie dalej jak w zeszłym tygodniu poszedł po mniej więcej siedmioletnią dziewczynkę, pozostawioną w kościele St. Giles-in-the-Fields. Ale zanim tam przybył, dziecko zdążyło zagadkowo zniknąć. Stręczyciele z St. Giles często wypatrywali dziewczynek, niemniej te konkretne dzieci zniknęły ledwie kilka minut po tym, jak otrzymał wiadomość, że są na ulicy. Potwornie prędko, nawet jak na wyjątkowo chciwego stręczyciela. Dlaczego…?

Ktoś pociągnął go za kaftan i Winter spojrzał w brązowe oczy Josepha Tinboksa, otwarte teraz szeroko w wyrazie błagania.

– Proszę, psze pana, mogę iść z panem zobaczyć damę i jej pokojówkę? Jeszczem nie widział sprzączek z klejnotami.

– Chodź.

Dotarli tymczasem na parter i Winter dyskretnie odstawił laskę do kąta, po czym wsparł dłoń na ramieniu chłopca. Miał nadzieję, że takie rozwiązanie będzie mniej przyciągało uwagę – nie zależało mu na tym, żeby lady Beckinhall uzmysłowiła sobie, że utyka na tę samą nogę, w którą został ranny Duch. Uśmiechnął się do Josepha.

– Będziesz moją podporą.

Joseph odpowiedział szerokim uśmiechem, wskutek czego jego twarz stała się raptem

anielska, a Winter na ten widok poczuł w piersi wielce niestosowne ciepło. Jako zarządzający przytułkiem nie powinien mieć ulubieńców. Powinien postrzegać wszystkie dwadzieścioro ośmioro dzieci jednakowo i bezstronnie, łaskawy przełożony, daleki i odseparowany. Jego ojciec był takim zarządcą, umiejętnie łączącym łaskawość z dystansem. Ale Winter niemal codziennie toczył bój, żeby brać przykład z ojca.

Ścisnął ramię chłopca.

– Tylko się zachowuj, Josephie Tinbox.

– Tak, psze pana.

Joseph przybrał wyraz twarzy, który w jego mniemaniu był zapewne uroczysty, jednak zdaniem Wintera nadawał chłopcu wygląd dwa razy większego nicponia.

Winter wyprostował się i rozmieścił wagę ciała równo na obu nogach, ignorując ból, który przeszył jego prawe udo. Otworzył drzwi do bawialni.

Na widok damy jakby przemknął przezeń chłodny wiatr, przyspieszając reakcje ciała, wprawiając wszystkie zmysły w stan gotowości, tak że stał się w pełni świadom tego, że jest mężczyzną, a ona – kobietą.

Lady Beckinhall odwróciła się, kiedy wszedł. Miała na sobie ciemnokarmazynową suknię, warstwy delikatnej koronki spływały z rękawów u jej łokci. Ta sama koronka ciągnęła się wzdłuż linii głębokiego, zaokrąglonego dekoltu, biorąc w ramy jej kremowe ciało. Jeszcze więcej koronki obrębiało frywolny skrawek wyszywanego paciorkami płótna, którym dama zakryła lśniące mahoniowe włosy.

– Pan Makepeace.

– Milady.

Podszedł do niej ostrożnie, nadal wsparty na ramieniu Josepha.

Wyciągnęła rękę, bez wątpienia po to, żeby nachylił się i ją pocałował, nie zamierzał jednak robić niczego podobnego.

Zamiast tego uścisnął krótko jej dłoń, wyczuwając w jej smukłych palcach niejakie zaskoczenie.

– Czemu zawdzięczamy, że zaszczyciła nas pani wizytą?

– No jakże, panie Makepeace, czyżby już pan zapomniał, że obiecał oprowadzić mnie po nowym przytułku? – Z drwiną otworzyła szeroko oczy. – W ramach rekompensaty za nasze spotkanie w zeszłym tygodniu?

Zdusił westchnienie. Obok lady Beckinhall stała jej pokojówka, przy czym Nell miała rację: dziewczyna była nadmiernie wystrojona w koronki równie kosztowne, jeśli nie droższe niż te zdobiące jej panią. Joseph przekrzywił głowę i wychylał się nieznacznie z uchwytu Wintera, prawdopodobnie starając się dostrzec legendarne sprzączki z klejnotami.

– Jeszcze raz przepraszam, że nie stawiłem się na spotkanie w zeszłym tygodniu – rzekł Winter.

Lady Beckinhall skinęła głową, a łezkowate kolczyki z perłami zakołysały się w jej uszach.

– Podobno ugrzązł pan w tłumie.

Już miał odpowiedzieć, ale Joseph ochoczo go ubiegł.

– Pana Makepeace'a prawie stratowali, a jak. Większość zeszłego tygodnia spędził w łóżku. Wstał dopiero, jakeśmy się przenieśli tutaj do nowego domu.

Ciemne brwi lady Beckinhall powędrowały w górę z zainteresowaniem.

– Ach tak? Nie miałam pojęcia, że odniósł pan tak poważne obrażenia, panie Makepeace.

Popatrzył jej w oczy ze spokojem, choć puls mu przyspieszył. Ta kobieta nie była głupia.

– Joseph przesadza.

– Ale… – zaczął zranionym głosem chłopiec.

Winter poklepał go po ramieniu, po czym przeniósł dłoń na oparcie sofy.

– Pobiegnij, proszę, do kuchni i zobacz, czy Nell uszykowała już herbatę.

Chłopcu zrzedła mina, ale Winter patrzył nań stanowczo. Drobna oznaka słabości i Joseph by się wymigał.

Dramatycznie zwiesiwszy ramiona, chłopiec skierował się ku drzwiom.

Winter popatrzył na lady Beckinhall.

– Obawiam się, że jeszcze się nie urządziliśmy, gdyby jednak wróciła pani w przyszłym tygodniu, z przyjemnością ją oprowadzę.

Dama skinęła głową, w końcu – na szczęście! – sadowiąc się w fotelu z uszakami. Winter opadł na sofę, zachowując bezbarwny wyraz twarzy, mimo że jego prawe udo oprotestowało ten ruch. Pokojówka oddaliła się na siedzisko po drugiej stronie pokoju i zaczęła cokolwiek bezmyślnie wyglądać przez okno.

– Dziękuję, panie Makepeace – odparła lady Beckinhall tym swoim gardłowym głosem. – Cieszę się na naszą wycieczkę, ale nie tylko w tej sprawie przyszłam się dziś z panem zobaczyć.

Uniósł brwi w milczącym pytaniu, starając się nie okazać zniecierpliwienia. Nie miał czasu na zgadywanki. Nie dość, że czekała nań praca, to jeszcze każda minuta spędzona w jej towarzystwie niosła ryzyko, że lady Beckinhall powiąże go z Duchem. Im szybciej dama opuści ten dom, tym lepiej.

Uśmiechnęła się, szybko i olśniewająco.

– Bal u księżnej Arlington odbędzie się w przyszłym tygodniu.

– Tak?

– My zaś… Syndykat Pań… mamy nadzieję, że weźmie pan w nim udział, żeby reprezentować przytułek.

Krótko skinął głową.

– Poinformowałem już lady Hero, że jeśli sobie zażyczy, wezmę w nim udział, chociaż, szczerze mówiąc, nie widzę takiej potrzeby. Ani też – zerknął ku drzwiom, przez które weszły właśnie Nell i dwie dziewczynki z herbatą – nie rozumiem, z czego wynika pani zainteresowanie tą sprawą.

– Och, moje zainteresowanie jest czysto osobiste – odparła lady Beckinhall, przeciągając zgłoski.

Znów spojrzał na nią czujnie. Na jej ustach igrał uśmieszek, zmysłowy, przebiegły i więcej niż odrobinę łobuzerski. Niebieskie oczy lady Beckinhall zamigotały.

– Wybrano mnie na pańskiego tutora w kwestiach towarzyskich.

Rozdział 3

Dwakroć w roku trupa Arlekina przybywała dawać przedstawienia
w St. Giles. I zdarzyło się razu pewnego, że przejeżdżała tamtędy
szlachetna dama, a jej karetę zatrzymał tłum,
który zgromadził się, by zobaczyć aktorów komicznych.
Dama odsunęła zasłonkę w karecie i wyjrzała na zewnątrz.
A kiedy to zrobiła, jej spojrzenie napotkało wzrok Arlekina…
– z Legendy o Arlekinie – Duchu St. Giles

Isabel przyglądała się, jak Winter Makepeace mruga wolno, usłyszawszy tę nowinę. Była to jego jedyna reakcja, niemniej wielce wymowna w przypadku człowieka, przy którym kamienne posągi wydawały się pełne życia.

– Słucham? – spytał powoli i uprzejmie swoim niskim głosem.

Przypuszczała, że można by go określić mianem przystojnego, ale tylko pod warunkiem, że przymknie się oko na surowy sposób bycia. Twarz miał dostatecznie przyjemną, mocny podbródek, prosty nos, stanowcze usta, rzadko jednak oglądała Wintera Makepeace'a uśmiechniętego, a jeszcze nigdy – roześmianego. Ciemnobrązowe włosy nosił zebrane do tyłu w prostym stylu, nie nakręcał ich ani nie pudrował, a ubierał się na czarno lub brązowo, bez ozdób. Roztaczał aurę człowieka o wiele starszego, niż był w istocie, gdyż ani chybi nie przekroczył jeszcze trzydziestki.

Siedział na sofie w pozie na pozór swobodnej, nie umknęło jej wszakże, że nieznacznie utykał, gdy wszedł do pokoju, nie przeoczyła też przelotnego wyrazu irytacji na jego twarzy, kiedy chłopiec napomknął o jego niemocy. Na moment wróciła wspomnieniem do Ducha, tego, jak wyglądał, gdy leżał na łóżku w jej niebieskim pokoju: nagi, umięśniony i niebezpiecznie seksowny.

Winter Makepeace, dla kontrastu, bez wątpienia miał miękkie ciało uczonego. Wyobraziła sobie jego kościstą klatkę piersiową, cienkie i patykowate ramiona. Dlaczego więc poświęcała choć chwilę na rozmyślania o nagim panu Makepeasie?

Isabel nachyliła się ku herbacianym utensyliom. Panna Jones i pozostałe pokojówki opróżniły już tace, ale nie spieszyły się do wyjścia, przenosząc spojrzenie szeroko rozwartych oczu z niej na pana Makepeace'a i z powrotem.

– Nalać?

Zobaczyła, jak napina mu się mięsień na szczęce. Zerknął na pokojówki i wyraz jego twarzy minimalnie złagodniał.

– Dziękuję, Nell. To wszystko.

Wychodząc, Nell posłała mu wymowne spojrzenie, lecz pan Makepeace znowu skupił się na Isabel. Poczekał, aż za pokojówkami zamkną się drzwi.

– Proszę o wyjaśnienie.

– Ojej. – Isabel westchnęła, napełniwszy herbatą pierwszą filiżankę. – Zdaje się, że nie ma cukru. Zadzwonić ponownie na pokojówki?

Uśmiechnęła się do niego uroczo.

Ale pan Makepeace najwidoczniej był odporny na jej uśmiechy.

– Nie mamy cukru. Będzie się pani musiała obejść bez niego. A zatem, co…?

– Jaka szkoda, wprost uwielbiam słodzoną herbatę.

Isabel z rozczarowaniem wydęła wargi i w nagrodę otrzymała widok zaciśniętych ust

pana Makepeace'a. Bardzo brzydko z jej strony, naprawdę, ale z jakiegoś powodu dokuczanie temu człowiekowi setnie ją bawiło. Subtelne docinki i przytyki. Był taki sztywny, tak na wskroś pełen rezerwy. Może po prostu nie nosił w sobie emocji, które musiałby trzymać na wodzy, ale wątpiła w to. Nie, w głębi serca Isabel wiedziała, że pod tą granitową skorupą kryje się wulkan. I gdyby miał kiedykolwiek wybuchnąć, chciała być na miejscu, żeby to zobaczyć.

– Lady Beckinhall – wycedził cicho pan Makepeace. – Żałuję, że nie mamy dla pani cukru do herbaty, byłbym jednak ogromnie wdzięczny, gdyby zechciała mi pani udzielić wyjaśnień. Teraz.

– Och, no dobrze. – Isabel podała mu filiżankę z herbatą i mówiła, napełniając kolejną dla siebie: – Syndykat zdecydował, że… aaa… skorzysta pan na kilku lekcjach etykiety towarzyskiej. Nic wielkiego – z lekceważeniem machnęła ręką, siadając wygodnie z filiżanką w dłoni. – Jedynie kilka…

– Nie.

– …sesji. – Isabel zamrugała i uniosła brwi. Na ustach pana Makepeace'a pojawił się nieznaczny grymas, który w przypadku każdego innego mężczyzny należałoby interpretować jako furię w ostatnim stadium rozwoju. – Słucham?

– Powiedziałem: nie. – Makepeace odstawił nietkniętą herbatę. – Nie mam czasu ani też ochoty, by marnować go na lekcje etykiety towarzyskiej. Bardzo mi przykro, ale…

– Nie odnoszę wrażenia, że jest panu przykro – wytknęła mu Isabel. – W rzeczy samej, dowodzi pan właśnie moich racji, panie Makepeace. Uwielbia pan tłumić emocje, a mimo to nie zadaje pan sobie trudu, żeby ukryć pogardę wobec damy.

Przez chwilę po prostu przyglądał się jej spod na wpół opuszczonych powiek, a ona zastanawiała się, o czym myśli.

– Bardzo przepraszam, jeśli odnosi pani wrażenie, że nią pogardzam, madame. Przysięgam na honor, że tak nie jest, wręcz przeciwnie. Ale nie widzę potrzeby tych pani tak zwanych lekcji etykiety towarzyskiej. Mam mało czasu i bez tego. Na pewno zgodzi się pani, że lepiej go wykorzystam, zarządzając przytułkiem, niż ucząc się, jak schlebiać arystokratom?

– A jeśli pański przytułek… i źródło utrzymania… będą uzależnione od schlebiania arystokratom?

Ściągnął proste brwi.

– W jakim sensie?

Isabel napiła się gorzkiej herbaty i uporządkowała myśli. Był mężczyzną upartym i obawiała się, że jeśli nie naświetli mu dobrze powagi sytuacji, zwyczajnie odrzuci jej pomoc. A wtedy straci stanowisko w przytułku. Bez względu na to, jak doskonale Winter Makepeace ukrywał swoje uczucia, Isabel wiedziała, że przytułek jest dla niego bardzo ważny. Poza tym nie wydawało się w porządku, by miał stracić dorobek swojej rodziny i swojego życia jedynie dlatego, że był człowiekiem opryskliwym, ponurym i kompletnie pozbawionym poczucia humoru.

Toteż Isabel opuściła filiżankę i obdarzyła pana Makepeace'a swoim najlepszym uśmiechem – tym, z powodu którego niejeden młody byczek na sali balowej zaplątał się we własne nogi.

Sądząc po minie pana Makepeace'a, równie dobrze mogłaby zaprezentować mu dorsza nieznanej proweniencji.

Westchnąwszy w duchu, spytała:

– Rozumie pan, jak ważne jest pańskie uczestnictwo w wydarzeniach w eleganckim

towarzystwie teraz, kiedy przytułek ma za patronki damy takie jak lady Hero, obie lady Caire i lady Penelope?

Przytaknął tak nieznacznie, że można by to uznać za nerwowy tik.

Postanowiła przyjąć ów gest za dobrą monetę.

– Musi więc pan także zrozumieć, że jest konieczne, by pańskie towarzyskie występy przebiegały w sposób stosowny. Wszystko, co pan robi, każdy pana ruch, każde słowo odbije się nie tylko na panu, ale także na przytułku… i jego patronkach.

Poruszył się ze zniecierpliwieniem.

– Obawia się pani, że przyniosę paniom wstyd.

– Obawiam się – powiedziała, starannie wybierając herbatnik – że straci pan przytułek.

Przez chwilę milczał i gdyby chodziło o dowolnego innego mężczyznę, powiedziałaby, że osłupiał.

– Co ma pani na myśli? – zapytał bardzo ostrożnie.

– Mam na myśli to, że ryzykuje pan utratę pozycji zarządcy przytułku albo patronek… albo, w najgorszym przypadku, jednego i drugiego. – Wzruszyła ramionami i ugryzła kęs herbatnika, który okazał się koszmarnie zleżały. – Żadna dama z towarzystwa nie życzy sobie być kojarzona z mężczyzną nieokrzesanym. Jeśli nie nauczy się pan ogłady, zostanie pan zastąpiony na stanowisku zarządcy przytułku lub straci patronki.

Napiła się gorzkiej herbaty, żeby spłukać suchość herbatnika, i obserwowała go znad krawędzi filiżanki. Patrzył prosto przed siebie, z nieruchomą twarzą, jakby rozważał coś w głębi ducha.

Później spojrzał prosto na nią i zdusiła westchnienie. Odczuła to tak, jakby intensywnością spojrzenia dotknął jej fizycznie, a rezultat… uderzał do głowy. Och tak, ten mężczyzna ani chybi krył w sobie emocjonalne głębie. Czy spuszczał te emocje z uwięzi w chwilach intymności z kobietą? I skąd u niej takie rozważania w związku z panem Makepeace'em? Nie znała mniej zmysłowego mężczyzny.

Własne myśli tak ją skonfundowały, że z opóźnieniem dotarło do niej, iż się odezwał.

– Nie. – Pan Makepeace wstał, pocierając dłonią prawą nogę, być może nieświadomie. – Obawiam się, że nie mam czasu ani ochoty uczyć się od pani etykiety, milady.

I wyrzekłszy te obcesowe słowa, zostawił ją.

* * *

Dlaczego lady Beckinhall zagrażała jego zwykłej rezerwie?

Winter Makepeace kuśtykał uliczką, kiedy ostatnie promienie umierającego słońca wycofywały się za nierówne dachy St. Giles. Choć spędził tego popołudnia pół godziny w towarzystwie rzeczonej damy, nadal ani trochę nie rozumiał swego dziwnego pociągu do niej. Zachowała się bardzo odważnie, ratując go przed tłuszczą, to prawda. Chętnie grała frywolną kokietkę, ale jej poczynania były szlachetniejsze, niż zaobserwował dotąd u większości ludzi, biedoty czy arystokratów. Przywiozła go do swego domu, opatrzyła mu rany, a potem własnoręcznie pielęgnowała. Ukazała mu się od zupełnie nieoczekiwanej strony i gdyby trafiło na córkę szewca albo rzeźnika, niewykluczone, że bardzo by go kusiło, żeby dowiedzieć się więcej na temat ukrytej części jej osobowości.

Winter potrząsnął głową. Lady Beckinhall nie była córką rzeźnika. Wiedział – doskonale – że nie jest kobietą dla niego. A mimo to, podczas gdy w myślach robił sobie wykład, że musi trzymać się od lady Beckinhall jak najdalej, o mały włos zgodziłby się na jej niedorzeczny plan „nauczania" go. Porzucenie damy przyszło mu trudniej, niż

powinno. A to było po prostu nielogiczne.

Lady Beckinhall znajdowała się nad nim tak wysoko jak Wenus, gwiazda wieczorna. Urodziła się w świecie bogactw i przywilejów, podczas gdy on był synem browarnika. Żadną miarą nie dałoby się go nazwać bogatym, a w przeszłości bywało, że balansował na granicy nędzy. Ona mieszkała w najlepszej części Londynu, połyskującej białym marmurem, z szerokimi, prostymi ulicami – podczas gdy on żył…

Tutaj.

Winter przeskoczył nad cuchnącą kałużą i pochylił się, wchodząc przez furtkę w skruszałym murze. Została wyłamana i huśtała się, otwarta, skrzypiąc na wietrze. Szedł przez znajdujący się za nią mroczny cmentarz, uważając na niskie, podobne do tablic kamienie nagrobne, wkopane w ziemię. Było to żydowskie miejsce pochówku i wiedział, że za dnia zobaczyłby na macewach napisy w mieszaninie hebrajskiego, angielskiego i portugalskiego – większość Żydów w Londynie stanowili bowiem uciekinierzy z tego kraju, którzy uszli przed koszmarnymi prawami wymierzonymi w każdego, kto nie był chrześcijaninem.

Mały czarny kształt czmychnął, kiedy Winter zbliżał się do drugiego krańca cmentarza – kot albo wyrośnięty szczur. Tutaj mur był niski i Winter wspiął się na niego, a następnie zeskoczył w wąskim przejściu, tłumiąc okrzyk wywołany bólem w nodze. Przejście otwierało się na kolejną uliczkę, tuż obok sklepu świecarza. W górze skrzypiał kołyszący się na wietrze drewniany szyld. Miał kształt topornej świecy, ale jeśli płomień i samą świecę pomalowano kiedykolwiek na jakiś kolor, farba dawno się złuszczyła. Przed sklepikiem wisiała samotna latarnia, której płomień migotał niepewnie.

Był to ostatni przejaw cywilizacji, jakim mogła poszczycić się uliczka – dalej nic już nie rozpraszało mrocznych cieni. Jedynie najodważniejsi – lub najbardziej lekkomyślni – mieszkańcy St. Giles odważyliby się zapuścić w tę ciemną alejkę po zmroku.

Winter Makepeace nie był jednak zwykłym mieszkańcem, nieprawdaż?

Podeszwy jego butów stukały o resztki bruku, kiedy otuliły go ponure cienie. Większość osób zabrałaby ze sobą latarnię, ale Winter zawsze wolał poruszać się przy blasku księżyca.

W pobliżu wrzasnął kot, obwieszczając swe miłosne zamiary, na co równie głośno odpowiedział mu rywal. Czy Winter stał się bezmyślny jak te kocury? Wiedziony zapachem chętnej kobiety i własnym zwierzęcym popędem?

Potrząsnął głową, wkraczając w krytą alejkę, w zasadzie tunel. Ściany ociekały tu oślizgłą wilgocią, echo jego kroków odbijało się od niskiego łuku. Gdzieś z przodu coś – lub ktoś – poruszyło się w mroku.

Nie zmieniając tempa marszu, Winter dobył szpady ukrytej pod płaszczem. Jako człowiek z ludu formalnie nie miał prawa nosić ani jej, ani sztyletu, dawno wszakże pogodził się z koniecznym w jego przypadku obchodzeniem przepisów.

Ostatecznie, niekiedy była to kwestia życia lub śmierci.

Czyhający z przodu przeciwnik wykonał nagły ruch, jakby chciał go spłoszyć. Nadal zmierzając przed siebie, Winter niedbale zakołysał szpadą. „Poprzez śmiałość ataku zyskasz przewagę” – zaszeptały mu w głowie dawne słowa mentora.

Rabuś przemyślał sprawę. Dało się słyszeć szybko oddalające się kroki, a potem droga przed Winterem była wolna.

Powinien poczuć ulgę, że niebezpieczeństwo zmalało – że zniknął potencjalny konflikt i związana z nim, być może, konieczność skrzywdzenia bliźniego. Tymczasem walczył z falą irytacji pomieszanej z zawodem. Ogarnęła go prymitywna potrzeba walki, chciał

poczuć pracę własnych mięśni, dreszcz zagrożenia, satysfakcję ze zwycięstwa nad przeciwnikiem.

Zatrzymał się gwałtownie, oddychając cicho w mroku nocy, wsłuchany w kapanie stęchłej wody ze ścian tunelu.

Nie jestem zwierzęciem.

Temu po części służyła maska: uwolnieniu co bardziej prymitywnych popędów. Ostrożnie. Pod ścisłą kontrolą. Ale tej nocy nie nosił maski. Winter wsunął szpadę do pochwy.

Kryta alejka doprowadziła go na maleńki dziedziniec, ze wszystkich stron otoczony wysokimi budynkami z wiszącymi nad głową balkonami, które sprawiały wrażenie, jakby miały lada moment runąć w dół, miażdżąc każdego stojącego pod nimi pechowca. Winter szybko przeciął dziedziniec i zapukał dwukrotnie do niskich drzwi do piwnicy. Po przerwie zapukał raz jeszcze.

Z wnętrza dobiegł zgrzyt odsuwanego rygla, a później drzwi się otworzyły i ukazała się twarz pomarszczona czasem jak strony modlitewnika.

– Pani Medino – przywitał się cicho Winter.

Zamiast powitania drobna kobieta skinęła nań niecierpliwie, żeby wszedł do środka.

Winter schylił się, by nie zawadzić głową o niskie nadproże, i wkroczył do przytulnego pomieszczenia. Na palenisku trzaskał ogień, dzięki czemu łagodnie parowało czyste pranie, powieszone wysoko na drewnianej ramie, do której dostęp umożliwiała szorstka lina z bloczkiem. Bezpośrednio przed paleniskiem stały niski taboret i stolik, ten drugi zastawiony płonącymi świecami łojowymi. Leżały na nim także przyrządy krawieckie: nożyczki, kreda, szpilki, igły i nici.

– Właśnie skończyłam – oznajmiła, zaryglowawszy za nim drzwi.

Pokuśtykała do łóżka, podniosła leżącą tam tunikę i przytrzymała ją w górze.

Przez materiał sunęły czarne i czerwone romby. „Ludzie dostrzegają tylko powierzchnię – mawiał jego mentor. – Daj im paradny kostium, maskę i skrawek peleryny, a będą widzieć nocne zjawy, nigdy zaś człowieka skrytego pod przebraniem”.

Winter podszedł do starszej kobiety i dotknął rękawa tuniki.

– Jak zawsze wykonała pani wspaniałą pracę, pani Medino.

Spojrzała nań wilkiem w reakcji na tę pochwałę.

– No to lepij niech pan o niego dba, no nie? Nie wiem, czy jeszcze kiedy zrobię następny. Oczy mi szwankują. – Nagłym ruchem brody wskazała dymiące łojowe świece. – Nawet przy tych wszytkich świecach pół czasu nie widzę, gdzie dać szew.

– Przykro mi to słyszeć – rzekł szczerze Winter. Teraz dostrzegł czerwone obwódki wokół jej łzawiących oczu. – Ma pani inne sposoby, żeby się utrzymać?

Wzruszyła ramionami.

– Może popróbuję nająć się na kucharkę. Kiedyś niezłe ciasta piekłam.

– O tak – przyznał łagodnie Winter. – Pamiętam, że miałem przyjemność skosztować pani szarlotki.

– Taa, a ja pamiętam, jakem panu szyła pierwszy taki zestaw – odparła miękko, gładząc nowe spodnie, stanowiące komplet z tuniką. – Taki był z pana wonczas roztrzęsiony młodzik. Nigdy bym nie myślała, że pan utrzymie szpadę w ręku, gdyby nie to, że sir Stanley przysięgał, co to nie trafił jeszcze na szybszego ucznia.

W kąciku jej ust błąkał się blady, nostalgiczny uśmiech. Winter zastanawiał się – nie po raz pierwszy – czy drobna szwaczka nie była dla jego mentora, sir Stanleya Gilpina, kimś więcej aniżeli zaledwie służącą.

Jej spojrzenie znienacka nabrało ostrości.

– Trochu pan nabrał ciała od tamtej pory, co? I zrobił się pan twardszy.

Winter uniósł brwi.

– To było dziewięć lat temu – zauważył delikatnie. – Czy siedemnastoletni chłopak kiedykolwiek jest taki sam jak dwudziestoześcioletni mężczyzna?

Prychnęła i zaczęła zwijać jego nowy kostium.

– Tego to nie wiem, ale czasem tak myślę, czy sir Stanley rzeczywiście wiedział, co robi, kiedy dawał panu broń i maskę.

– Nie pochwala pani moich poczynań?

Machnęła ręką ze zniecierpliwieniem.

– Niech pan nie próbuje mnie łapać za słówka. Wiem tyle, że to nienaturalne, jak mężczyzna spędza cały swój czas, włócząc się po ulicach St. Giles i zajmując problemami innych ludzi.

– Wolałaby pani, żebym ignorował ludzi w tarapatach? – spytał z czystej ciekawości.

Odwróciła się gwałtownie i przyszpiliła go spojrzeniem. Chociaż oczy miała zniszczone latami szycia w marnym świetle, jej wzrok zachował przenikliwość.

– Widziałam rozcięcie od noża w tamtych starych portkach, co mi je pan przyniósł… no i zaschniętą krew przy krawędziach. Tam w nogawce pewnikiem kryje pan potworną ranę.

Pokręcił głową, rozbawiony.

– Jestem młody i silny. Szybko zdrowieję.

– Tym razem. – Pchnęła go w pierś zwiniętym w tobołek kostiumem. – Co pan zrobi, jak rana będzie głębsza? Dłuższa? Nie jesteś pan nieśmiertelny, Winterze Makepeace, cokolwiek panu nagadał sir Stanley.

– Dziękuję, pani Medino. – Winter wziął ubranie i wyciągnął z kieszeni niewielką sakiewkę: większą część pieniędzy, które zaoszczędził, odkąd przytułek miał szczęście pozyskać patronki. – Proszę zajść jutro rano do przytułku. Zdaje się, że teraz, w nowej siedzibie, potrzebujemy kucharki. A ja będę pamiętał o pani przestrogach.

Sapnęła, wzięła sakiewkę i odryglowała dla niego drzwi, łypiąc nań chmurnie. Jednak kiedy ją mijał, usłyszał burkliwe:

– A niech pan na siebie uważa, panie Makepeace. St. Giles pana potrzebuje.

– Dobranoc.

Owinął się ciaśniej płaszczem, zanurzając się w chłodną ciemność. Gdyby miał na sobie strój arlekina, udałby się teraz na poszukiwanie problemów innych ludzi, zatraciłby się w nocy i niebezpieczeństwie. Z irytacją wzruszył ramionami. Dłonie go świerzbiły, żeby popracować szpadą albo wymierzyć cios. Spędził w łóżku niemal tydzień, dając nodze się zagoić, a teraz niewiele brakowało, by zaatakował brudne mury wokół małego dziedzińca.

Jutrzejszej nocy, obiecał sobie. Jutro będzie w sam raz, żeby znaleźć kogoś, komu mógłby pomóc. Znaleźć kogoś, z kim mógłby walczyć.

Ta myśl tak go zaskoczyła, że aż przystanął. Zawsze postrzegał siebie jako człowieka pokoju – pomimo swych nocnych włóczęg. Wypuszczał się w noc jako Duch St. Giles, żeby naprawiać zło. Żeby pomagać tym, którzy sami nie potrafili sobie pomóc.

Czy nie tak?

Pokręcił głową nad samym sobą. Oczywiście, że tak. St. Giles było krwawiącą raną ludzkości. Przybywali tu ludzie zbyt biedni, żeby mieszkać gdzie indziej. Prostytutki, złodzieje, niewolnicy ginu. Wszystkie londyńskie męty. A wraz z nimi napływały ich

problemy: gwałty i kradzieże, głód i niedostatek, porzucenie i rozpacz. Już dawno temu nauczył się, że dnia nie starczy, by pomóc nędzarzom z St. Giles – dlatego robił użytek z nocy. Do naprawienia pewnych krzywd potrzeba czegoś więcej niż dobrych intencji i modlitwy.

Niektóre kwestie może rozwiązać tylko sztych szpady.

Winter skręcił za róg, w minimalnie szerszą uliczkę, i wystraszył chudego jak szkielet, małego kundla, trochę w typie teriera. Pies zaskowyczał i na powrót schował się w kłąb szmat, służący mu za legowisko. Winter minął zwierzę, lecz coś kazało mu się zatrzymać. Może wyczuł ruch lub zapach czegoś oprócz psa.

A może zadziałała Opatrzność.

Tak czy owak, zawrócił i przyjrzał się raz jeszcze. Na ciemnej sierści psa spoczywało coś bladego, niczym wyrwana morzu egzotyczna rozgwiazda: dziecięca rączka. Winter nachylił się i odciągnął łachman, ignorując niepewne burczenie, które dobyło się z chudej piersi kundla. Wpatrywały się w niego wielkie oczy, usta wykrzywiał grymas strachu.

Przykucnął, żeby sprawiać mniej groźne wrażenie.

– Nie zrobię ci krzywdy, dziecko. Nie ma tu z tobą nikogo?

Jednak drobna istotka wydawała się zbyt sparaliżowana strachem, żeby się odezwać.

– Chodź. Znam ciepłe, bezpieczne miejsce.

Winter ostrożnie podniósł dziecko razem ze skłębionymi szmatami, nie zważając na podejmowane przez nie wątłe wysiłki, by go odepchnąć. Bóg jeden wiedział, co je tak przeraziło, ale Winter nie mógł zostawić go tutaj, żeby zamarzło na śmierć.

Pies wyplątał się ze szmat i ze skowytem wypadł na ulicę.

Dziecko szepnęło coś i błagalnie wyciągnęło rączkę w stronę kundla.

Winter dał psu znak brodą.

– No to lepiej ty też z nami chodź.

Nie oglądając się na psa, podążył dalej w kierunku przytułku. Zwierzę pójdzie za nimi lub nie, tak czy inaczej nie stanowiło głównego przedmiotu troski Wintera.

W przeciwieństwie do dziecka.

Czuł na piersi, jak drobne ciałko dygoce, ze strachu czy z zimna, tego nie umiał stwierdzić.

Pół godziny później zamajaczył przed nimi nowy budynek przytułku. Choć wzniesiony z funkcjonalnej cegły, wyróżniał się wśród innych budowli – połyskująca latarnia nadziei. Winter zaciął się na tej myśli. Co pocznie, jeśli lady Beckinhall się nie myliła i zostanie zmuszony do odejścia? Nie miał pojęcia – przytułek i pomoc mieszkającym w nim dzieciom były wszystkim, co chciał robić w życiu. Bez tego – bez nich – znaczył mniej niż nic.

Odpędził tę myśl i ruszył dalej. Dziecko jak najszybciej powinno znaleźć się w środku. Przytułek miał okazałe główne wejście, do którego prowadziły szerokie schody, ale Winter wybrał łatwiej dostępne drzwi dla służby na tyłach.

– Dobry Boże, psze pana! – wykrzyknęła Alice, jedna z pokojówek, kiedy Winter wszedł. Drzwi dla służby prowadziły bezpośrednio do kuchni, Alice zaś najwyraźniej raczyła się przed snem filiżanką herbaty przy kuchennym stole. – Nie wiedziałam, że wychodził pan tak późno.

– Nalej, proszę, filiżankę herbaty z dużą ilością mleka i cukru – polecił Winter, niosąc dziecko w pobliże paleniska.

– Pójdziesz mi stąd!

Słysząc gniewne słowa Alice, Winter się odwrócił i wtedy zobaczył, że kobieta usiłuje

przegonić z kuchni kundla.

– W porządku, Alice – powiedział. – Pozwól psu zostać.

– Kiedy to śmierdzący brudas – wymamrotała Alice, wyraźnie zgorszona.

– Tak, zauważyłem – przyznał z przekąsem Winter.

Psisko podkradło się do paleniska, ewidentnie rozdarte między pragnieniem pozostania blisko dziecka a chęcią ucieczki przed nieznajomymi; z jego skołtunionego futra unosił się odór gnijącej ryby.

– Proszę. – Alice podała Winterowi zaprawioną mlekiem herbatę, a później zaglądała mu przez ramię, kiedy przytrzymywał filiżankę w drżących dłoniach dziecka, tak by mogło się napić. – Biedna kruszynka.

– W rzeczy samej – rzekł cicho Winter.

Odgarnął gładkie włosy z brudnej twarzyczki dziecka. Wyglądało na cztery lub pięć lat, ale mogło też być starsze, gdyż w St. Giles wiele dzieci było zbyt małych jak na swój wiek.

Pies z westchnieniem zwalił się na podłogę obok paleniska.

Powieki ciążyły dziecku ze zmęczenia. Winter starał się nie niepokoić maleństwa, delikatnie rozsuwając łachmany. Ukazała się drobna klatka piersiowa, prawie sina z zimna, z żałosną płaskorzeźbą żeber.

– Przynieś koc, żeby się nagrzał przy ogniu – polecił cicho pokojówce.

– Trzeba go wykąpać – szepnęła Alice, wróciwszy z pledem.

– A jakże – zgodził się Winter. – Ale moim zdaniem dzisiaj miał już dość wrażeń. Wyszorujemy go porządnie z rana.

Przy założeniu, że dziecko przeżyje noc.

Winter odciągnął ostatni skrawek odzieży, po czym znieruchomiał, unosząc brwi.

– Lepiej dokończ za mnie, Alice.

– Proszę pana?

Zawinął śpiące dziecko w ciepły koc i odwrócił się do pokojówki.

– To dziewczynka.

* * *

Lady Margaret Reading – dla bliskich po prostu Megs – weszła tego wieczoru na salę balową lady Langton i z pełnym rozmysłem nie rozejrzała się ochoczo dookoła. Znała większość uczestników balu: sama śmietanka londyńskiej socjety, w tym jej brat Thomas z żoną. Dystyngowani członkowie parlamentu i wielkie damy, a wśród nich, bez wątpienia, także jedna czy dwie odrobinę szokujące panie lub tacyż dżentelmeni. Obracała się wśród tych ludzi, odkąd zadebiutowała w towarzystwie blisko pięć lat temu – tradycyjna lista gości w przypadku tego typu wydarzenia.

Ale nie tylko z tego powodu nie zawracała sobie głowy rozglądaniem się po sali. Nie, po prostu zdecydowanie roztropniej było nie wytrzeszczać oczu jak zadurzona dojarka, wypatrując jego. Nie czuła się jeszcze gotowa ujawniać ich związku komukolwiek – z własnym bratem włącznie. Aktualnie był to rozkoszny sekret, który pielęgnowała w sercu. Kiedy ogłoszą swoją relację, natychmiast stanie się ona własnością publiczną. Chciała jeszcze przez chwilę mieć go wyłącznie dla siebie.

No a trzeci powód, dla którego nie przeczesywała wzrokiem tłumu? Cóż, ten wydawał się z nich wszystkich najprostszy: pierwsze spojrzenie na niego było takie cudowne. Za każdym razem wstrząsał nią dreszcz. Łaskotanie w brzuchu, nagły zawrót głowy, miękkie

kolana. Megs zachichotała. Wedle tego opisu pana Rogera Fraser-Burnsby'ego można by pomylić z katarem.

– Widzę, że nastrój ci dziś dopisuje, Margaret – odezwał się cicho za jej plecami niski męski głos.

Odwróciwszy się, odkryła, że jej najstarszy brat, Thomas, uśmiecha się do niej z góry.

Zabawne. Aż do niedawna – ściśle mówiąc, do czasu zawarcia w grudniu małżeństwa z cieszącą się raczej nie najlepszą sławą Lavinią Tate – Thomas nigdy się do niej nie uśmiechał. Nie tak naprawdę. Oczywiście zawsze nosił na twarzy uprzejmy grymas. Jako członek parlamentu i markiz Mandeville nieodmiennie przywiązywał szczególną wagę do tego, jak prezentuje się publicznie. Jednak odkąd do rodziny Readingów dołączyła Lavinia, Thomas się zmienił. Był szczęśliwy, co uzmysłowiła sobie teraz Megs. Skoro miłość potrafi pobudzić mężczyznę tak sztywnego jak jej najstarszy brat, pomyśleć tylko, co może zdziałać z przeciętną osobą!

– Och! Lavinia także już przybyła? – spytała Megs, uśmiechając się szeroko.

Thomas zamrugał, jakby zaskoczony jej entuzjazmem.

– Istotnie, towarzyszyłem lady Mandeville w drodze tutaj – odparł ostrożnie.

Hm. Najwidoczniej w tak drętwych przypadkach nawet wpływ miłości ma swoje granice.

– To dobrze. Liczyłam na pogawędkę. – Megs przybrała nieco bardziej stateczny wyraz twarzy.

– Wobec tego będziesz musiała jej poszukać. Lavinia ogromnie się ekscytuje sprawą tego zbiegłego pirata i ledwie weszliśmy, odnalazła swoje przyjaciółki, żeby z nimi poplotkować. W drodze tutaj raczyła mnie szczegółami na temat jego spalonego ciała. Makabryczne, prawdę mówiąc, i z pewnością nie jest to zagadnienie, którym powinna interesować się dama. – Thomas wyniośle zmarszczył brwi.

Megs, nie po raz pierwszy, ogarnęło współczucie dla nowej szwagierki. Co prawda, rzeczywiście nie wydawało się stosowne, żeby dama interesowała się spalonymi na skwarek piratami, ale doprawdy trudno było oczekiwać innej reakcji.

– Niemal wszyscy w Londynie o tym mówią, jak sądzę, zarówno o piracie, jak i Duchu… – Megs umilkła, raptownie straciwszy zainteresowanie rozmową.

Wreszcie spostrzegła Rogera i jej kolana zmiękły zgodnie z przewidywaniami. Stał z grupą innych dżentelmenów, śmiał się, odrzuciwszy głowę do tyłu, a na jego mocnej, opalonej szyi grały mięśnie. W tradycyjnym sensie Roger zasadniczo nie był przystojny. Twarz miał zbyt szeroką, nos zbyt płaski. Ale miał też ciepłe brązowe oczy i zaraźliwy uśmiech. A gdy uśmiechał się do Megs… cóż, wtedy reszta świata jakby znikała.

– …wieczorek towarzyski lub bal, lub coś w tym guście. Spodziewam się, że się pojawisz – mruczał Thomas u jej boku.

Megs lekko drgnęła. Nie miała pojęcia, o jakim „czymś w tym guście" mowa, ale tego z łatwością dowie się później.

– Oczywiście. Sprawi mi to wielką przyjemność.

– Dobrze. Świetnie – odparł z roztargnieniem Thomas. – Do tego czasu matka też będzie już w mieście. Szkoda, że Griffin i Hero umknęli na wieś. Dziwna pora na takie wyprawy, w środku sezonu.

– Mhm.

Roger rozmawiał z trzema dżentelmenami, o których Megs wiedziała, że są jego bliskimi przyjaciółmi: lordem d'Arkiem, panem Charlesem Seymourem oraz hrabią Kershawem. Niestety, sama nie znała ich za dobrze, przez co czuła się przy nich

skrępowana. W rzeczy samej, lord d'Arque miał opinię hulaki. Gdyby tak udało jej się pochwycić spojrzenie Rogera, mogłaby zasygnalizować mu spotkanie w ogrodzie.

Śliwkowy jedwab do przesady wyszywany złotą i srebrną nicią przesłonił jej widok.

– Och, lady Margaret, jakaż to ulga, że panią widzę! – Lady Penelope zwracała się do Megs, ale to na Thomasa popatrzyła z trzepotem rzęs. Panna Greaves u jej boku uśmiechnęła się do Megs nieśmiało. – Muszę porozmawiać z panią o panu Makepeasie.

– Makepeace? – Thomas zmarszczył brwi. – Kto to taki, Megs?

Megs otworzyła usta, ale lady Penelope już mu odpowiadała:

– Zarządca przytułku dla sierot, milordzie. Czy też należałoby powiedzieć, aktualny zarządca, muszę bowiem szczerze wyznać, że głęboko wątpię w kwalifikacje pana Makepeace'a. Uważam, że gdyby udało nam się znaleźć wytworniejszego zarządcę, przytułek ogromnie by na tym zyskał.

Thomas wydawał się zarazem skonfundowany i znudzony tym wyjaśnieniem, ale Megs ani myślała przejść nad nim do porządku. Zgoda, pan Makepeace był niemal tak sztywny jak Thomas, niemniej poświęcił przytułkowi całe życie. Wstyd byłoby dopuścić, żeby despotka pokroju lady Penelope mu to odebrała.

Megs uśmiechnęła się słodko.

– Wyznaczyłyśmy lady Beckinhall na korepetytorkę pana Makepeace'a w kwestiach towarzyskich. Czy nie powinnyśmy dać jej szansy, żeby go wyedukowała?

Lady Penelope sapnęła przez nos.

– Ogromnie podziwiam lady Beckinhall, oczywiście, nie sądzę jednak, by nawet ona była w stanie dokonać w panu Makepeasie tak drastycznej zmiany. Według mnie należy raczej znaleźć nowego zarządcę. W tym celu zaczęłam dziś przeprowadzać rozmowy z mężczyznami, którzy wydają mi się odpowiedni na to stanowisko.

Megs zesztywniała na tę informację.

– Ale przecież mamy zarządcę…

– Jednakże, jak już ustaliłyśmy, nieodpowiedniego. – Lady Penelope uśmiechnęła się ładnie, aczkolwiek pokazała przy tym sporo zębów. – Dżentelmeni, z którymi zgodziłam się przeprowadzić rozmowy, bez wyjątku mogą poszczycić się uroczymi, nienagannymi manierami, a polecają ich moje najbardziej zaufane przyjaciółki.

– Ale czy mają doświadczenie w prowadzeniu sierocińca? – Thomas z rozbawieniem uniósł brew.

– Phi! – Lady Penelope lekceważąco machnęła ręką. – Mężczyzna, którego zatrudnię, z pewnością zdoła się tego nauczyć. A jeśli zajdzie taka potrzeba, zawsze mogę zatrudnić dwóch dżentelmenów.

Panna Greaves na sekundę wzniosła oczy ku niebu, a Megs żałowała, że nie może zrobić tego samego w taki sposób, by lady Penelope nic nie zauważyła. Tyle dobrego, że lady Chadwick wydawała się świadoma ogromu pracy, jaką pan Makepeace wykonywał całkiem sam.

– Nie sądzę, byśmy mogły wprowadzać jakiekolwiek drastyczne zmiany, kiedy obie lady Caire i lady Hero przebywają poza miastem – oznajmiła twardo Megs. – Ostatecznie to one założyły syndykat.

Lady Penelope wysunęła dolną wargę, dąsając się ślicznie, a Megs ulżyło. Lady Penelope bez wątpienia rozumiała, że nie może działać bez zgody tych trzech dam, jeśli nie chce bezpowrotnie pogrzebać swojej sprawy. Megs zanotowała w myślach, żeby napisać do nieobecnych, uświadamiając im, że pan Makepeace znalazł się w niebezpieczeństwie.

W tejże chwili Roger pochwycił spojrzenie Megs i wszelkie myśli o przytułku uleciały jej z głowy. Mrugnął do niej i ledwie dostrzegalnie przekrzywił głowę w kierunku tarasu.

– Och, widzę przyjaciółkę – wymamrotała Megs. – Jeśli mogę przeprosić?

Uprzejme słowa Thomasa i lady Penelope dotarły do niej jak przez mgłę. Roger już przemieszczał się dyskretnie ku drzwiom tarasowym. Musiała zachować ostrożność, lecz wkrótce – za moment! – znajdzie się w ramionach kochanka.

Rozdział 4

Mądrzy ludzie próbowali wytłumaczyć miłość – i polegli. Rzec mogę tylko, że tamtego dnia Arlekin i szlachetna dama zakochali się w sobie. Była to miłość prawdziwa i trwała, obojętna na tytuły ukochanej osoby czy jej pozycję w świecie: rzecz wspaniała i straszna zarazem…
– z Legendy o Arlekinie – Duchu St. Giles

– Podobno sam król wyznaczył nagrodę za jego głowę – powiedziała następnego ranka Pinkney tonem pogawędki.

Isabel podniosła wzrok, obserwując w lustrze toaletki, jak pokojówka precyzyjnie wsuwa szpilkę w jej włosy.

– Ducha? – spytała, czując suchość w ustach.

– Tak, milady.

Nagroda za jego głowę. Skoro Czarujący Mickey nie żył, gniew władz najwyraźniej skupił się na Duchu St. Giles. Może się przyczai, będzie unikał ulic, odkąd raptem stały się o wiele bardziej niebezpieczne. Isabel przygryzła wargę. Pomijając krótką chwilę, kiedy rozmawiali, Duch nie wydał jej się typem skłonnym unikać niebezpieczeństwa. Och, dlaczego w ogóle martwiła się o tego człowieka? Czystym przypadkiem znalazł się na jej drodze, a jej najpewniej przesadne poczucie dobra i zła odpowiadało za to, że zebrała go z bruku i ocaliła przed tłuszczą. Prawdopodobnie nigdy więcej go nie zobaczy.

Isabel popatrzyła chmurnie na swoje odbicie w lustrze.

– Mam nadzieję, że go nie złapią – paplała Pinkney, nie zauważając miny swojej pani. Pomiędzy brwiami pokojówki zarysowała się drobna zmarszczka, kiedy dziewczyna umieszczała pukiel na właściwym miejscu. – Taki przystojniak z fantazją. A skoro Czarujący Mickey nie żyje… no, niedługo nie zostanie nam w Londynie ani jeden przystojny łotr.

Pinkney przybrała zrozpaczony wyraz twarzy.

– Niewątpliwie byłoby szkoda – stwierdziła z przekąsem Isabel.

– Och, zapomniałabym! – wykrzyknęła Pinkney. Wsunęła dłoń w rozcięcie sukni i przez chwilę szperała w ukrytej tam kieszeni, nim wyjęła list. – To przyszło do pani dziś rano.

– Dziękuję – powiedziała Isabel, odbierając od niej korespondencję.

– Dostarczył go chłopiec, nie poczta – poinformowała ją Pinkney. – Może to liścik miłosny.

Isabel z rozbawieniem uniosła brwi, kiedy przełamywała pieczęć. Rozłożyła kartkę i przeczytała:

Lady Penelope przeprowadza rozmowy z dżentelmenami
na miejsce pana Makepeace'a.

Isabel zmarszczyła czoło, odwracając list na drugą stronę. Nie został podpisany, a poza swym imieniem na odwrocie nie znalazła nic więcej. Mimo to domyślała się, kto go przysłał.

– Nie miłosny? – spytała zaciekawiona Pinkney.

– Aaa… nie – wymamrotała Isabel.

Ten przeklęty mężczyzna zwyczajnie wyszedł z pokoju, kiedy rozmawiała z nim ostatnio. Niewykluczone, że nawet nie raczy się z nią zobaczyć, gdy Isabel spróbuje go ostrzec – lub przemówić mu do rozsądku. Jeśli jednak nie podejmie kolejnego wysiłku, by zmienić jego zdanie, pan Makepeace niewątpliwie straci przytułek. Wstała i wrzuciła liścik do ognia, przyglądając się, jak płomienie pożerają papier. Po południu była zaproszona na konną przejażdżkę, a przedtem zamierzała pochodzić po sklepach i może odwiedzić kilka znajomych.

Zmarszczyła nos. Jej plany nie były aż tak ważne. Nigdy nie były.

– Poleć, proszę, Johnowi, żeby przygotował karetę.

– Tak, proszę pani – odparła Pinkney, mknąc do drzwi.

Isabel spacerowała wyprostowana przed kominkiem, czekając. Tym razem nie przyjmie odmowy. Jeśli nie da się inaczej, osaczy tego okropnego mężczyznę w jego sypialni. Kto wie, czy sam szok wywołany tak skandalicznym zachowaniem nie zmieni jego nastawienia…

Potrąciła stopą jakiś przedmiot na podłodze, tak że potoczył się dalej. Schyliła się po niego. Był to malowany bąk, nie większy od jej dłoni. Przez chwilę bezmyślnie wpatrywała się w zabawkę, a później ostrożnie umieściła ją na toaletce i wyszła z sypialni.

Na dole Pinkney wiązała właśnie czepek.

– Jedziemy na zakupy, milady?

– Nie, ponownie do przytułku – odparła Isabel, ignorując rozczarowanie pokojówki. – Powiedz, proszę, Carruthers, że na mojej toaletce leży zabawka. Chciałabym, żeby ją zabrała.

– Tak, milady. – Pinkney pospieszyła wypełnić polecenie.

Parę minut później kareta była gotowa i pojechały. Isabel wygładziła spódnice szmaragdowej sukni. Była o wiele za wytworna na wizytę w przytułku i pan Makepeace bez wątpienia odnotuje ten fakt. Uniosła brodę. Opinia pana Makepeace’a na temat jej stroju guzik ją obchodziła. Ten mężczyzna nosił się tak drętwo, że wyglądał na trzy razy starszego. Isabel skoryguje ów detal wraz z jego manierami.

Nie napotkali po drodze opóźnień i po niewiele ponad półgodzinie kareta zatrzymała się przed wejściem do nowego przytułku. Harold otworzył drzwi pojazdu i opuścił dla niej stopień.

– Dziękuję – rzekła cicho Isabel, wysiadając z karety. Pinkney, która zdrzemnęła się w trakcie jazdy, zdusiła ziewnięcie i podążyła za nią. – Powiedz Johnowi, żeby stanął za rogiem. Poślę chłopca, kiedy będę wychodzić.

Isabel uniosła suknię i wraz z Pinkney u boku wspięła się po schodach do głównego wejścia.

– Zapukać? – spytała pokojówka.

– Tak, proszę.

Pinkney uniosła ciężką żelazną obręcz kołatki, a następnie puściła, tak że ta opadła z hałasem. Kiedy czekały, pokojówka poprawiała swoje bogato wyszywane turkusowe spódnice, a Isabel zastanowiła się – nie po raz pierwszy – czy dziewczyna jej nie przyćmiewa.

Drzwi otworzyły się i ich oczom ukazała się piegowata twarz.

Isabel nie pamiętała, jak nazywa się chłopiec, szczęśliwie jednak w przytułku nie grało to roli – wszystkim chłopcom nadawano imię „Joseph”, a dziewczętom – „Mary”.

– Dzień dobry, Josephie – przywitała się promiennie. – Zastałam pana Makepeace'a?

– Jest z dziewczyną – wymamrotał chłopiec.

Odwrócił się, nim Isabel zdążyła zadać kolejne pytanie, i poprowadził ją w głąb domu.

Wcześniej przytułek znajdował się w wysokim, wąskim budynku, niemalże rozsypującym się z powodu wieku i marnych materiałów, z jakich go zbudowano. Spłonął przed ponad rokiem i wtedy też, w celu wzniesienia nowej siedziby, utworzono Syndykat Pań na rzecz Sierot i Podrzutków. Hol, który przemierzała obecnie Isabel, był szeroki i dobrze oświetlony, otynkowane ściany pomalowano na kojący kremowy kolor. Na prawo znajdowała się bawialnia, gdzie można było przyjmować gości i gdzie, w rzeczy samej, zaledwie dzień wcześniej widziała się z panem Makepeace'em. Ale chłopiec minął bawialnię i powiódł je dalej. Korytarz na wprost prowadził do jadalni i następnie ogromnych kuchni na tyłach, po lewej zaś szerokie marmurowe schody umożliwiały dostęp do wyższych kondygnacji. Wszystkie elementy znalazły się na swoich miejscach, a jednak Isabel nie mogła pozbyć się myśli, że przydałoby się tu trochę dekoracji, dzięki którym nowy przytułek zyskałby na przytulności.

Chłopiec bez słowa zaczął się wspinać po schodach, a Isabel podążyła za nim. Zdyszana Pinkney dreptała za jej plecami. Słyszały paplaninę dzieci i wolniejszy pomruk dorosłych głosów, kiedy mijały sale lekcyjne na pierwszym piętrze. Na drugim piętrze znajdowały się dormitoria, teraz, w ciągu dnia, puste. Minąwszy je, Joseph otworzył nieoznaczone drzwi na końcu korytarza.

Za drzwiami krył się mały, ale radosny pokój z kominkiem wyłożonym jasnoniebieskimi i białymi kaflami oraz dwoma wysokimi oknami, przez które wlewało się światło. Wzdłuż ściany ustawiono cztery prycze, ale zajęta była tylko jedna. Pod śnieżnobiałymi prześcieradłami i kapą leżała drobniutka dziewczynka, jej ciemnobrązowe włosy rozsypały się na poduszce. Obok niej zwinął się w kłębek zabawny szorstkowłosy piesek, biały w ciemne plamki.

Winter Makepeace, siedzący na krześle przy łóżku, podniósł wzrok. Na jego surowej twarzy malowało się zmęczenie, lecz na widok Isabel oczy mu się rozszerzyły.

– Lady Beckinhall – odezwał się głosem ochrypłym ze zmęczenia i wstał. – Czemu zawdzięczam ponowną wizytę?

– Czystemu uporowi? – mruknęła żartobliwie Isabel. – Och, proszę usiąść. – Było oczywiste, że ten człowiek spędził noc, zajmując się chorym dzieckiem. Podeszła do łóżka i spojrzała na drobną twarzyczkę, podczas gdy pies zawarczał niezobowiązująco. – Co jej dolega?

Pan Makepeace popatrzył na dziecko ze spokojem na twarzy, dostrzegła jednak cień troski w sposobie, w jaki zacisnął usta. Po raz pierwszy zauważyła, że górną wargę ma szerszą od dolnej. W zakamarkach jej umysłu odżyło wspomnienie, zamazane i ulotne. Gdzie też widziała…

– Nie wiem – odpowiedział na pytanie, rozpraszając bieg myśli Isabel. – Znalazłem ją ubiegłej nocy w jednej z uliczek, z psem u boku. Medyk przyszedł ją obejrzeć, ale poinformował nas tylko, że jest niedożywiona i wyczerpana.

Isabel ściągnęła brwi.

– Jak się nazywa?

Pan Makepeace pokręcił głową.

– Nie chce mówić.

– Powiedziała mi, że jej pies ma na imię Dodo – wtrącił Joseph.

Usiadł tymczasem po drugiej stronie łóżka i wyciągnął rękę, żeby poklepać

dziewczynkę po chudym ramieniu.

Pan Makepeace skinął głową.

– Przepraszam. Powinienem był powiedzieć, że dziecko nie mówi nic przy mnie… ani dowolnej innej dorosłej osobie. Joseph Tinbox twierdzi jednak, że zamienili parę słów, kiedy byli sami.

Joseph Tinbox przytaknął z emfazą.

– A ona ma na imię Peach[2] – dodał.

Dorośli spojrzeli na niego. Pinkney zachichotała. Isabel popatrzyła na nią i pokojówka prawie się zakrztusiła, tłumiąc śmiech.

Nastała chwila ciszy, a potem Isabel dyskretnie odchrząknęła.

– Peach wydaje się dosyć… dziwnym imieniem.

Na twarzy Josepha Tinboksa odmalował się upór.

– Tak ją wołają i nie powinniśmy tego zmieniać.

– Naturalnie, będziemy zwracać się do niej tak, jak będzie sobie życzyła – zapewnił łagodnie pan Makepeace. – Poczekajmy jednak, aż się obudzi, żeby się przekonać, co to będzie.

Joseph Tinbox otworzył usta – bez wątpienia po to, żeby się spierać – ale dziewczynka akurat się obudziła. Rozejrzała się, oczy zaokrągliły jej się pod wpływem paniki, a potem zacisnęła powieki. Przesunęła się, żeby chwycić dłoń Josepha Tinboksa, i ściskała ją rozpaczliwie.

Pan Makepeace przyglądał się dziecku ze zmarszczonymi brwiami.

– Zabiorę lady Beckinhall na dół do bawialni, Josephie. Może sprawdzisz, czy… Peach… miałaby ochotę skosztować bulionu, który przyniesiono wcześniej.

Poklepał chłopca po ramieniu, po czym wstał i gestem zaprosił Isabel i Pinkney do wyjścia, zamykając za nimi drzwi.

– Przepraszam za dzisiejsze zamieszanie, baronowo – powiedział, kiedy schodzili po schodach. – Obawiam się, że znalezienie dziecka zakłóciło normalny bieg dnia w przytułku.

– W pełni rozumiem – odparła cicho Isabel, podążając za nim schodami w dół. – Dlaczego pańskim zdaniem ona odmawia rozmowy z kimkolwiek poza Josephem Tinboksem?

– Bez wątpienia mu ufa – odparł, kiedy dotarli na parter. Z kwaśną miną obejrzał się przez ramię. – I bez wątpienia nie ufa mnie.

– Och, ale… – zaprotestowała instynktownie Isabel.

Jakiekolwiek pan Makepeace miał wady, było najzupełniej oczywiste, że troszczy się o wszystkie dzieci w przytułku. Nie wyobrażała sobie, by mógł skrzywdzić którekolwiek z nich.

Pan Makepeace pokręcił głową, otwierając drzwi do bawialni.

– Nie biorę jej podejrzeń do siebie, milady. Jeśli tak małe dziecko już nauczyło się braku zaufania, musiało zostać źle potraktowane przez znanych mu dorosłych. Dlatego też naturalne jest, że dziewczynka zaufała Josephowi.

– O! – Isabel w zamyśleniu usiadła na sofie. Wzdragała się na myśl o tym, że ta kruszyna na górze miałaby znosić fizyczne kary, może chłostę. Zadrżała. Później przypomniała sobie dłoń pana Makepeace’a na ramieniu chłopca. – Joseph Tinbox jest pańskim ulubieńcem, prawda?

Zesztywniał.

– Nie mam ulubieńców.

Uniosła brew. Odnotowała czułe spojrzenie, jakim obdarzył chłopca.

– Och, ale…

Pan Makepeace opadł na fotel i wsparł głowę na pięści.

Isabel przyjrzała mu się uważnie, po czym zwróciła się do pokojówki, która przyszła tutaj za nimi:

– Pinkney, idź, proszę, do kuchni i poproś o jakiś lunch. Trochę mięsa, ser, chleb. Owoce też by się przydały. I imbryk mocnej herbaty.

– Nie ma potrzeby – zaczął pan Makepeace.

– Kiedy ostatnio pan jadł?

Ściągnął brwi, poirytowany.

– Wczoraj wieczorem.

Isabel zasznurowała usta.

– W takim razie jest potrzeba.

– Ulegnę wobec pani znawstwa – rzekł, przybierając kwaśną minę.

Sapnęła. Fakt, że się z nią droczył, podniósł ją na duchu, choć z niepokojem patrzyła na zarost na jego twarzy. Czy w ogóle spał minionej nocy? Musiał być autentycznie zmęczony, skoro rozluźnił się na tyle, żeby się z nią przekomarzać. Nasunęła jej się kolejna myśl.

– Naprawdę musimy znaleźć przytułkowi kucharkę, teraz, kiedy dzieci zadomowiły się już w nowym budynku. Nell Jones i pozostałe pokojówki mają dość pracy i bez konieczności przygotowywania posiłków.

Stłumił ziewnięcie, zasłaniając usta pięścią.

– Uczymy dziewczęta gotować.

– Tak, ale nie zajmą się każdym posiłkiem. Poza tym jadłam efekty ich starań i choć ich herbatniki są, eee… bardzo interesujące, byłoby chyba dobrym pomysłem mieć tu kogoś, kto potrafi przygotować nieco bardziej standardowe potrawy, zgodzi się pan?

Popatrzyła wyczekująco na pana Makepeace’a, ale jedyną jego odpowiedź stanowiło ciche chrapnięcie. Ten przeklęty człowiek zasnął z głową podpartą na dłoni. Przez chwilę Isabel po prostu przyglądała się jego twarzy. Kiedy się rozluźnił, linie wokół jego ust zmiękły, rzęsy miał czarne i gęste; wyglądałby wręcz chłopięco, gdyby nie cień zarostu na szczęce, nadający mu wygląd hulaki.

Uśmiechnęła się na tę ostatnią myśl. Nie spotkała jeszcze mężczyzny, który miałby w sobie mniej z hulaki niż pan Makepeace. No jakże, spędzał tyle czasu, troszcząc się o przytułek i jego mieszkańców, że zasnął w jej obecności w środku dnia. Zastanowiła się, co takiego, jeśli w ogóle cokolwiek, robił w wolnych chwilach. Czytał? Prowadził dziennik albo zwiedzał kościoły? Rozważała tę kwestię, ale nie potrafiła wymyślić dla tego mężczyzny innych zajęć. Stanowił zagadkę, nieprawdaż? Jego życie było pełne poświęcenia, a mimo to zachowywał znaczną część siebie w sekrecie. Gdyby tylko…

Drzwi bawialni otworzyły się i Isabel podniosła wzrok, spodziewając się Pinkney.

Na progu stała jednak drobna starsza kobieta.

– Och! Wielce przepraszam, psze pani.

– Pani Medina. – Głos Wintera Makepeace’a zachrypł od snu. Nie poruszył się, lecz najwyraźniej obudził go dźwięk otwieranych drzwi. – Potrzebujemy pani usług.

– Psze pana? – Drobna kobieta przekrzywiła głowę.

Wskazał na Isabel.

– Lady Beckinhall beształa mnie właśnie za brak dobrej kucharki.

Isabel gwałtownie ściągnęła brwi.

– Nie beształam…

Zignorował jej protest, zwracając się ku pani Medinie.

– Może pani zacząć od razu?

– Oczywiście, psze pana.

– Świetnie, wobec tego…

Do bawialni wmaszerowało stadko dziewczynek z tacami pod wodzą Pinkney, która prezentowała się nieco mniej schludnie niż zazwyczaj.

– Herbata, milady – powiedziała pokojówka.

– Doskonale. – Isabel z uśmiechem wskazała stolik z boku. – Możecie postawić wszystko tam. Posilimy się, a przy okazji omówię z panem Makepeace'em pewne sprawy.

Winter Makepeace odchrząknął złowieszczo.

– Jakież to sprawy?

– Jak zamierzam pomóc panu utrzymać stanowisko – odparła ze stanowczym uśmiechem Isabel.

* * *

Naturalnie dziewczynki zrobiły wielkie oczy w reakcji na słowa lady Beckinhall.

Winter spał wszystkiego kilka minut od momentu znalezienia Peach, ale obecność Isabel działała nań dziwnie pobudzająco.

Nawet jeśli go irytowała.

Popatrzył na dziewczęta.

– Mary Whitsun, zaprowadź, proszę, panią Medinę do kuchni. Będzie naszą nową kucharką, musisz zatem jej słuchać i udzielić wszelkiej potrzebnej pomocy. A reszta z was powinna, zdaje się, być w sali lekcyjnej.

Dziewczynki przygasły na te słowa, ale posłusznie wysypały się z pokoju. Mary Whitsun energicznie pokiwała głową i uśmiechnęła się do pani Mediny, po czym ruszyła przodem, wskazując drogę.

Winter odwrócił się znów do lady Beckinhall, prezentującej się niebezpiecznie pociągająco w ciemnozielonej sukni, za sprawą której w jej włosach pojawiły się mahoniowe rozbłyski.

– No dobrze, o co więc chodzi?

– Najpierw lunch. – Wstała, wzięła talerz i zaczęła nakładać na niego stertę mięsa, sera i chleba. Nie wiedział, że damy tyle jedzą. – Moim zdaniem spory… a my dwoje najwyraźniej często się spieramy… najlepiej prowadzi się przy pełnym żołądku.

Wpatrywał się w nią skonsternowany. Do czego zmierzała tym razem?

Lady Beckinhall odwróciła się, zobaczyła, że spogląda na nią wilkiem, i rozpromieniła się.

– Proszę coś zjeść. Lepiej się pan poczuje.

Wręczyła mu pełny talerz.

No cóż, nie mógł dalej groźnie na nią łypać, skoro była taka miła. Winter wziął talerz, a w jego piersi niepostrzeżenie rozlała się fala ciepła. Nieczęsto ktoś się o niego troszczył. Zwykle to on troszczył się o innych.

Odkaszlnął i wyburczał podziękowanie.

Skinęła głową, nieporuszona, wybrała niewielki trójkąt sera oraz kromkę chleba, po czym z powrotem usadowiła się na sofie.

– Myślał pan, żeby postawić coś w tamtym rogu? – Wskazała serem na prawo od kominka. – Na przykład jakąś rzeźbę? Mam przepiękny posążek z białego marmuru. Bocian i żaba.

Zamrugał, rozbawiony.

– Bocian.

Przytaknęła.

– I żaba. Chyba rzymski. Albo grecki. Może ilustruje jedną z bajek Ezopa… on był Grekiem, prawda?

– Chyba tak. – Winter odstawił talerz, zbrojąc się wewnętrznie. – Jakkolwiek czarująca jest ta wizyta, powinniśmy przejść do sedna, madame.

Uśmiechnęła się smutno.

– Spór tak szybko?

Ten uśmiech przeszył go na wskroś, ale Winter nie ugiął się, zachowując beznamiętny wyraz twarzy.

– Jeśli to konieczne – rzekł.

– Och, moim zdaniem konieczne – odparła miękko. – Doszły mnie słuchy, że lady Penelope nosi się z zamiarem zatrudnienia nowego zarządcy przytułku.

Oczekiwał czegoś w tym rodzaju, ale cios i tak okazał się silny. Przytułek był domem nie tylko dla dzieci, lecz także dla niego. Uzmysłowił to sobie minionego wieczoru, gdy ratował Peach. Porzucenie przytułku byłoby dlań jak odcięcie sobie prawej ręki.

Nie dopuścił jednak, by jakiekolwiek emocje ujawniły się na jego twarzy. Były starannie ukryte. Zamknięte.

– A w jaki sposób pani pomoże mi zatrzymać przytułek?

Wzruszyła elegancko ramionami, aczkolwiek zauważył, że nie udało jej się w pełni zamaskować napięcia. Być może nie on jeden ukrywał głębsze uczucia.

– Nauczę pana manier towarzyskich, dowiodę, że dorównuje pan wdziękiem każdemu gogusiowi, którego wyszpera lady Penelope. To jedyny sposób, by pokrzyżować jej plany.

Uniósł brwi, rozbawiony jej doborem słów.

– A pani mianowała się moją wybawicielką? Dlaczego?

– A dlaczego nie? – Uśmiechnęła się beztrosko. – Chyba ostatnio rozsmakowałam się w ratowaniu dżentelmenów. Wiedział pan, że niedawno pomogłam Duchowi St. Giles uciec przed rozszalałą tłuszczą?

Serce zamarło mu w piersi.

– Nie wiedziałem.

– Odważna ze mnie kobieta, nie uważa pan? – Uśmiechnęła się kpiąco.

– Tak – odparł z całą powagą. – Uważam.

Zerknęła na niego, a wtedy uwięził jej spojrzenie. Jej miękkie usta zadrżały. O czym myślała w tej chwili ta piękna, egzotyczna istota? Nie pasowała tutaj, do tej prostej bawialni, nie pasowała do St. Giles ani do jego życia. A mimo to Wintera ogarnęła niemalże nieodparta pokusa, by posadzić ją sobie na kolanach i pocałować.

Wziął głęboki oddech, tłamsząc w sobie zwierzę.

– No dobrze. Chyba najlepiej zrobię, oddając się w pani ręce.

– Świetnie. – Wstała gwałtownie z mniejszym niż zwykle wdziękiem. – Wobec tego zaczniemy jutro rano.

* * *

Nazajutrz rano Winter stał i patrzył na fasadę miejskiej rezydencji lady Beckinhall. W pełni odpowiadała jego oczekiwaniom: nowa, zbytkowna, zlokalizowana w najmodniejszej części Londynu.

Za to wnętrze nieco go zaskoczyło.

Winter przystanął na progu, we wspaniałym głównym wejściu, dając odpocząć nodze i usiłując zrozumieć, na czym polega różnica, przy czym chwilowo zignorował wyniosłego kamerdynera, który otworzył mu drzwi. Dom był wielkopański, tak, urządzony bogato i elegancko, ale wyczuwało się w nim coś jeszcze.

Kamerdyner odchrząknął.

– Czy zechciałby pan poczekać na lady Beckinhall w małej bawialni?

Winter oderwał wzrok od promieni słońca tańczących na marmurowej posadzce holu i przytaknął w rozkojarzeniu.

Zaprowadzono go do „małej" bawialni, która, oczywiście, mała absolutnie nie była – rozmiarem dorównywała niemal jadalni w nowym przytułku. Pokój urządzono jednak w taki sposób, że jego wielkość nie stwarzała wrażenia chłodu lub nieprzyjaznej oficjalności. Ściany miały barwę maślanej żółci, zdobiła je szaroniebieska boazeria. Rozsiane tu i ówdzie skupiska foteli i sof tworzyły mniejsze, bardziej prywatne przestrzenie do pogawędki. W górze na malowanym suficie dokazywały aniołki, wyglądając zza kłębiastych białych obłoków. Winter prychnął cicho na ten widok. Podszedł do kominka w odległym krańcu pomieszczenia, nie trudząc się, by zamaskować utykanie, skoro został sam. Na obudowie kominka tykał biało-różowy, złocony zegar, którego tarczę ledwie było widać zza esów-floresów i amorków. Bawialnia mieściła się na tyłach domu i nie docierały tu odgłosy ulicy, dzięki czemu w pokoju panowała przyjemna cisza.

Winter dotknął zegara. Głupiutki bibelocik, a jednak… dziwnie uroczy i doskonale pasujący do bawialni lady Beckinhall. Zmarszczył brwi, zakłopotany. Czy zegar mógł być uroczy?

Zza jednej z różowych sof dobiegł jakiś tupot.

Winter uniósł brwi. Z pewnością lady Beckinhall nie zmagała się ze szczurami? Ale może miała kanapowego pieska wzorem tak wielu modnych dam. Wyciągnął się, żeby zajrzeć za oparcie sofy.

Spojrzały nań wielkie brązowe oczy. Chłopiec nie mógł liczyć sobie więcej niż pięć lat, ale nosił doskonałej jakości szkarłatny kaftan i spodnie, a pod szyją miał koronkowy żabot. Czyli nie dziecko służącej.

Nie wiedział, że lady Beckinhall jest matką. Na tę myśl poczuł skurcz w sercu.

Skinął głową.

– Dzień dobry.

Chłopiec podniósł się wolno ze swojej kryjówki i zaszurał nogą po grubym, pluszowym dywanie.

– Kim pan jest?

Winter się ukłonił.

– Winter Makepeace. Miło mi poznać.

Jakiś instynkt lub, co bardziej prawdopodobne, godziny nauki nakazały dziecku ukłonić się w odpowiedzi.

Winterowi z rozbawienia drgnęły wargi.

– A mam przyjemność z?

– Christopher! – Odpowiedzi nie udzielił chłopiec, ale wyraźnie zmordowana służąca,

która stanęła w drzwiach. – Och, przepraszam, jeśli pana kłopotał.

Winter pokręcił głową.

– Ani trochę.

Za służącą ukazała się lady Beckinhall z twarzą bez wyrazu.

– Christopherze, potwornie zmartwiłeś Carruthers. Przeproś ją, proszę.

Chłopiec zwiesił głowę.

– Przepraszam, Ruthers.

Carruthers uśmiechnęła się czule.

– W porządku, paniczu Christopherze, ale dawno już pora na kąpiel, jeśli mamy po południu wybrać się do parku.

Dziecko smętnie opuściło pokój, skazane na mydlany los.

Kiedy drzwi się zamknęły, Winter spojrzał na lady Beckinhall.

– Nie wiedziałem, że ma pani syna, milady.

Na ułamek sekundy na jej twarzy zagościł wyraz bólu, który go zaszokował. Potem uśmiechnęła się olśniewająco, jakby usiłowała zamaskować wszelkie prawdziwe emocje.

– Nie mam. Nie mam dzieci.

Uniósł brew.

– Dlaczego więc…?

Ona wszakże sadowiła się już na sofie, przez cały czas mówiąc:

– Pomyślałam, że zaczniemy dziś od prostych rzeczy. Bal u księżnej Arlington jest w przyszłym tygodniu, a jeśli nie umie pan tańczyć…?

Najwyraźniej nie chciała rozmawiać o dziecku. Interesujące. Pokręcił głową w odpowiedzi na jej pytające spojrzenie.

– Nie, oczywiście, że nie – westchnęła. – Wobec tego wkrótce musimy rozpocząć lekcje tańca. Powinien pan przynajmniej znać kroki… nie liczę na to, że osiągnie pan mistrzostwo, ale jeśli uda nam się dokonać choć tyle, że nie będzie pan deptał damom po palcach, poczuję się więcej niż zadowolona.

– Jest pani zbyt uprzejma – stwierdził.

Zmrużyła oczy, jakby uraził ją swym beznamiętnym tonem.

– Przyda się panu także nowy strój na wieczór. Może coś z kremowego albo jasnoniebieskiego jedwabiu?

Jego duma stanęła okoniem.

– Nie.

Zacisnęła swe ponętne wargi.

– Nie może pan pokazać się w eleganckim towarzystwie w tych wyświechtanych ubraniach, które ma pan na sobie w tej chwili. Ten kaftan wygląda, jakby liczył co najmniej dziesięć lat.

– Tylko cztery – odparł łagodnie. – I nie mogę przyjąć od pani tak hojnego… tak osobistego podarunku, milady.

Przekrzywiła głowę, studiując go z uwagą, a jemu przyszedł na myśl kruk, spoglądający to jednym, to drugim okiem, żeby znaleźć sposób na rozłupanie orzecha.

– Proszę to potraktować jako prezent od Syndykatu Pań. Doceniamy pańską pracę dla przytułku, a nowy zestaw ubrań, dzięki któremu będzie pan mógł bywać w towarzystwie, trudno uznać za zbyteczną ekstrawagancję.

Chciał odrzucić propozycję, lecz jej delikatne argumenty miały sens. Westchnął cicho.

– Dobrze, ale nalegam na bardziej stonowane kolory. Czernie lub brązy.

Widział, że walczy z pragnieniem, by podjąć próbę przekonania go, żeby założył coś

śmielszego – na przykład jasny róż lub lawendę – ostatecznie chyba jednak dostrzegła, że kompromis jest mądrym rozwiązaniem.

– Doskonale. – Energicznie pokiwała głową. – Posłałam po herbatę, żebyśmy przećwiczyli dzisiaj chociaż to. I, naturalnie, pomyślałam, że pokonwersujemy.

– Naturalnie.

– A choć sarkazm istotnie bywa praktykowany w eleganckim towarzystwie, najlepiej stosować go z umiarem – dodała słodko. – Bardzo ścisłym.

Nastała krótka chwila ciszy, kiedy mierzyli się na spojrzenia. W jej niebieskich oczach dostrzegł zaskakującą determinację. Zaskakującą siłę.

Skinął głową.

– O czym życzyłaby pani sobie konwersować?

Uśmiechnęła się znowu, on zaś poczuł głęboko w trzewiach, jak ogromnie pociąga go ta kobieta. Modlił się, by nie dało się tego wyczytać z jego twarzy.

– Dżentelmen często komplementuje damę – powiedziała.

Oczekiwała od niego komplementów? Szukał na jej twarzy oznak, że żartuje, lecz najwyraźniej mówiła poważnie.

Westchnął cicho.

– Ma pani bardzo… wygodny dom.

Uzmysłowił sobie, że to właśnie uderzyło go w tych pomieszczeniach: wrażenie wygody. Przytulności. O to chodziło.

Popatrzył na nią, zadowolony z siebie.

Lady Beckinhall wyglądała, jakby starała się pohamować uśmiech.

– Nie jestem pewna, czy można to uznać za komplement.

– Dlaczego nie?

– Powinien pan skomplementować wystrój wnętrz – wyjaśniła cierpliwie. – Gust gospodyni.

– Ale nic mnie nie obchodzi wystrój albo ten gust, o którym pani mówi. – Nieoczekiwanie zaangażował się w wyłożenie swoich argumentów. – Z pewnością jakość domu należy mierzyć wygodą jego mieszkańców. A wówczas nazwanie pani domu bardzo wygodnym stanowi najwyższy komplement.

Przekrzywiła głowę, jakby rozważała jego słowa.

– Przypuszczam, że ma pan rację. Człowiek powinien czuć się w domu wygodnie. Dziękuję panu zatem za miły komplement.

To dziwne, lecz fakt, że przyjęła te argumenty, rozpalił w jego piersi ciepły płomyczek. Naturalnie nijak tego nie okazał. Skinął jedynie głową, przyjmując podziękowanie.

– Jednakże – ciągnęła – towarzystwo nie przywiązuje wagi do wygody domu, tak więc, choć pańskie słowa są bardzo miłe, nie sprawdzą się w sali balowej albo na wieczorze muzycznym, o czym zapewne sam pan już wie.

Za jego plecami otworzyły się drzwi i do pokoju wkroczył zastęp pokojówek z tacami.

Poczekał, aż służące postawią swój ładunek i zostaną odprawione.

Później spojrzał na nią, tę kobietę zbyt inteligentną dla frywolnego towarzystwa, w którym się nurzała.

– Widzę, że życzyłaby pani sobie, bym całkowicie zmienił zapatrywania.

Westchnęła i nachyliła się, żeby nalać herbaty.

– Nie całkowicie. Poza tym – posłała mu kolejny z tych swoich krótkich, oszałamiających uśmiechów, kiedy odstawiała imbryk – wątpię, by był pan tak wątłą osobowością, żeby łatwo dało się pana zmienić. Zapraszam. Proszę spocząć.

Nadal stał, mimo bólu w nodze, tak jakby trwał w gotowości do ucieczki lub walki. Przy tej kobiecie znikało nawet to skromne obycie towarzyskie, jakie posiadał.

Winter opadł na sofę naprzeciw lady Beckinhall, tak że niski stolik z przyborami do herbaty utworzył między nimi ochronną barierę. Zwalczył pragnienie, by pomasować zranioną nogę, która zaczęła tymczasem nieprzyjemnie pulsować.

Isabel posłała mu wyzywające spojrzenie, nie skomentowała jednak dokonanego przezeń wyboru miejsca, a tylko podała mu napełnioną filiżankę.

– Pije pan bez cukru i śmietanki, jak mi się zdaje.

Przytaknął, biorąc naczynie. Herbata okazała się gorąca i mocna, znacznie lepszej jakości niż to, co przeważnie pijał.

– No dobrze – odezwała się lady Beckinhall, mieszając swoją herbatę z cukrem i ze śmietanką. – Jakkolwiek doceniam pański komplement na temat mojego domu, damy w sali balowej będzie pan zobowiązany obdarzać komplementami bardziej osobistej natury. Wielce stosowna byłaby na przykład uwaga na temat oczu, włosów lub sukni damy.

Napiła się herbaty, obserwując go znad krawędzi filiżanki tymi piekielnie wnikliwymi niebieskimi oczami.

On zaś nie panował nad własnym spojrzeniem. Studiował jej sylwetkę, szukając „stosownego" komplementu. Od dam oczekiwano, że będą siedzieć poprawnie wyprostowane, tyle wiedział nawet on, ale lady Beckinhall spoczywała miękko na poduszkach, odciągnąwszy do tyłu ramiona, ze stopami wsuniętymi pod sofę. Za sprawą tej pozycji jej biust został znacząco wyeksponowany, choć Winter nie sądził, by robiła to celowo. Miała na sobie mocno wydekoltowaną suknię barwy głębokiego złota, materiał otulał czule jej blade, miękkie piersi.

Pobiłbym się o jedno spojrzenie na pani nagie piersi. Dałbym upuścić sobie krwi, byle poczuć na języku smak pani sutka.

Nie, przypuszczalnie nie o taki komplement chodziło.

Odkaszlnął.

– Pani głos, milady, wzbudziłby zazdrość w słowiku.

Zamrugała, jakby zaskoczona.

– Jeszcze nikt dotąd nie skomplementował mojego głosu, panie Makepeace. Brawo!

Czy jej policzki stały się o ton różowsze?

Opuściła rzęsy.

– Jeszcze parę takich komentarzy, panie Makepeace, a okaże się, że pan ze mną flirtuje.

Mimowolnie uniósł brwi.

– Życzy pani sobie, żebym z nią flirtował?

Wzruszyła ramionami.

– Większość damsko-męskich konwersacji w trakcie wydarzeń towarzyskich zasadniczo sprowadza się do flirtu.

– W takim razie każdej nocy flirtuje pani z dziesiątkami dżentelmenów.

– Czyżbym wychwytywała ton potępienia, panie Makepeace? – spytała cicho.

– Skądże. – Uporządkował myśli. – Zauważam jedynie, że w tej sferze posiada pani znacznie większą wiedzę niż ja.

– Chce pan powiedzieć – większe doświadczenie?

Patrzył na nią bez słowa, gdyż odpowiedź była oczywista. Miała większe doświadczenie – we flircie i, bez wątpienia, w innych, bardziej podstawowych interakcjach między kobietami a mężczyznami. Na tę myśl nieprzyjemnie wezbrała w nim jakaś nieznana emocja.

Chwilę trwało, nim rozpoznał – z niejakim zadziwieniem – że to, co czuje, to zazdrość. Wiódł życie pełne starannych ograniczeń. Damy – ogólnie kobiety – były ściśle zabronione ze względu na życiowe wybory, jakich dokonał. A jednak…

A jednak pewną część jego samego – część, której dotąd nie zauważał – zniecierpliwiły jego własne reguły.

– Niemniej bez wątpienia zdarzało się panu flirtować – mówiła tymczasem ona, niskim, aksamitnym głosem. Zachęcająca i uwodzicielska. Dogłębnie kobieca i kusząca.

– Nie.

Jej delikatne brwi wygięły się w łuk.

– Wiem, że ma pan dużo zajęć, ale z pewnością czuł pan kiedyś pociąg do jakiejś młodej dziewczyny. Na przykład przyjaciółki pańskich sióstr? Albo sąsiadki?

Wolno pokręcił głową.

– Nie było takiej osoby. – Czy rozumiała, co jej wyznawał? Bestia w nim ziewnęła i się przeciągnęła. – Oddaję się całkowicie w pani ręce, madame. Proszę. Niech mnie pani nauczy.

Rozdział 5

Szlachetna dama i Arlekin zostali kochankami, lecz takie sprawy trudno ukryć, dama miała bowiem bogatych i zazdrosnych zalotników, ci zaś rychło usłyszeli plotkę o Arlekinie. Pewnej nocy przy pełni księżyca podążyli za Arlekinem do St. Giles i tam napadli nań ze szpadami ze stali. Arlekin miał do obrony jedynie swój zabawkowy drewniany mieczyk. Walka nie trwała długo, a gdy było po wszystkim, zalotnicy porzucili na ulicy umierającego przeciwnika…
– z Legendy o Arlekinie – Duchu St. Giles

Isabel przełknęła ślinę w reakcji na ciche słowa pana Makepeace'a. Pod wpływem jego głosu przeszył ją dreszcz, aż stwardniały jej sutki. Czy dobrze usłyszała? Czy wyznał jej właśnie, że jest prawiczkiem? Owszem, nie był żonaty i, jak sam przyznał, nigdy nie miał ukochanej, ale przecież wielu mężczyzn korzysta z usług prostytutek – a tam, gdzie mieszkał, występowały one w obfitości.

Niemniej jedno spojrzenie na dumną, surową twarz pana Makepeace'a obaliło ten koncept. Po prostu wiedziała: nigdy by nie zapłacił za tak intymny akt.

Co oznaczało, że był prawiczkiem… i poprosił, by została jego nauczycielką. Z pewnością nie miał na myśli…

– Pani milczenie jest nietypowe, milady – skomentował tym samym głębokim, precyzyjnie modulowanym głosem, który łaskotał jej zmysły. – Mam nadzieję, że nie zaszokowałem pani moim brakiem doświadczenia… we flircie.

Flirt. Oczywiście. O tym rozmawiali. Ale nie wyobraziła sobie błysku w jego ciemnych oczach – ani subtelnej pauzy przed owym „we flircie".

Wyprostowała się. W końcu to ona była jego nauczycielką.

– Wobec tego powinniśmy chyba popracować nad momentem prezentacji.

Jedynie uniósł brew.

Odkaszlnęła. Kiedy ostatnio czuła się tak nieswojo? I to z powodu przeciętnego, sztywnego zarządcy – mężczyzny młodszego od niej!

– Flirt najlepiej jest rozpocząć od razu, nawet zanim się pan przedstawi. Może mi pan pokazać swój ukłon?

Wstał bez pośpiechu i nadal patrząc jej w oczy, ukłonił się krótko.

Ściągnęła brwi.

– Nie. Bardziej elegancko. Mam zademonstrować?

– Nie ma potrzeby. – W jego spojrzeniu wychwyciła ironię.

Tym razem cofnął się o krok i udał, że zdejmuje wyimaginowany kapelusz, zginając się w pasie i z gracją rozpościerając ramiona.

Isabel popatrzyła nań ze zdumieniem.

– Skoro świetnie pan wie, jak się stosownie ukłonić, dlaczego pan tego nie robi?

Wyprostował się powoli i wzruszył szerokimi ramionami.

– Proste skinienie głową w dostatecznym stopniu wyraża szacunek, nie potrzeba takich głupich ozdobników.

Przewróciła oczami.

– No cóż, bardzo proszę, by od dziś w eleganckim towarzystwie stosował pan

ozdobniki.

– Jak pani sobie życzy – odparł uroczyście.

– A teraz. – Najwidoczniej przestała oddychać, odkryła bowiem ze zdziwieniem, że brakuje jej powietrza. – A teraz chciałabym, żeby poćwiczył pan całowanie dłoni damy.

Wyciągnęła rękę z nadzieją, że pan Makepeace nie zauważy nieznacznego drżenia jej palców.

Podszedł, ujął jej dłoń i nachylił się nad nią. Przez chwilę zasłaniał ich ręce głową, niemniej Isabel poczuła na kłykciach muśnięcie – ciepłe i intymne – jego warg.

Zapowietrzyła się.

– Oczekuje się, że pocałuje pan powietrze nad dłonią damy.

Uniósł głowę, nadal pochylony, przez co jego twarz znalazła się bardzo blisko jej własnej. Widziała drobiny złota w jego brązowych oczach.

– Czy nie jest to lekcja flirtu?

– Tak, ale…

Wyprostował się.

– W takim razie w moim odczuciu prawdziwy pocałunek wydaje się bardziej na miejscu niż udawany.

Dopiero teraz dostrzegła cień uśmiechu, przyczajony w głębi jego oczu.

Zwęziła własne, próbując uwolnić dłoń z jego uścisku. Trzymał ją mocno.

– Panie Makepeace.

Poluzował uchwyt, ale tylko nieznacznie, tak że kiedy wycofywała dłoń, palcami niejako gładził jej wnętrze.

– Może wcale nie potrzebuje pan instruktażu – mruknęła.

– Ależ potrzebuję, zapewniam panią. – Znów usiadł naprzeciw niej. – Ilu miała pani kochanków?

Popatrzyła nań ze zmarszczonymi brwiami, autentycznie zszokowana.

– Nie może pan pytać o coś takiego.

– Pani zapytała mnie pierwsza – wypomniał jej, niewzruszony.

– Z całą pewnością nie użyłam słowa „kochanka” – odparowała.

– Ale znaczenie było to samo, czyż nie?

– Być może. – Oczywiście, że znaczenie było to samo. Zasznurowała wargi.

– Przepraszam. Nie zdawałem sobie sprawy, że tak łatwo urazić pani wrażliwość.

Ten przeklęty mężczyzna się z niej naigrawał! Och, zachowywał na twarzy dostateczną powagę, ale po sposobie, w jaki ją obserwował, poznawała, że usiłuje ją sprowokować.

Isabel oparła się wygodnie o poduszki i przekrzywiła głowę.

– Trzech.

Broda mu drgnęła – bardzo nieznacznie, lecz Isabel zauważyła. Zaskoczyła go.

Skrywając uśmiech, machnęła niedbale ręką.

– Czterech, jeśli uwzględnić mojego męża, nie sądzę jednak, by należało zaliczać mężów do kochanków, zgodzi się pan?

Opuścił powieki.

– Trudno mi orzec. Brała pani kochanków w czasie małżeństwa?

– Nie. – Z namysłem wydęła wargi. – To z mojej strony dość mieszczańskie, wiem, ale cóż począć. Nigdy nie złamałam przysiąg małżeńskich.

– A on?

Umknęła wzrokiem.

– Nie podobają mi się te pytania.

– Przepraszam. Nie chciałem pani zranić – powiedział głębokim i szczerym głosem.

– Nie zranił mnie pan.

Rozpaczliwie walczyła, by odzyskać swą towarzyską maskę. Przekrzywiła wyzywająco głowę i spoglądała na niego otwarcie.

Kącik jego ust uniósł się odrobinę.

– Zatem brała pani kochanków po śmierci męża?

Jakim cudem dała mu się zawieść na tak niebezpieczne konwersacyjne wody? Skoro jednak już się na nich znalazła, nie wycofa się.

– Tak. Naturalnie odczekałam stosowny czas od pochowania kochanego Edmunda.

– Naturalnie.

Przysięgłaby, że pan Makepeace zareaguje dezaprobatą na każdą damę biorącą kochanków, a tymczasem nie wychwytywała niczego takiego w jego tonie. Splótł ręce na podołku, rozluźniony, jakby dyskutowali o cenie świeżych ostryg.

– A obecnie ma pani kochanka?

Jak też by się uczyło sztuki sypialnianej takiego mężczyznę?

Ta ukradkowa myśl ją zaskoczyła. Nie należał do jej środowiska, nie był w typie mężczyzn, których zwykle brała pod uwagę jako potencjalnych kochanków. Lubiła wyrafinowanie. Mężczyzn z łatwością bawiących ją dowcipnymi uwagami. Mężczyzn, którzy wiedzieli, jak dostarczyć rozrywki, a nawet zaskoczyć w sypialni, zarazem jednak zachowywali dyskrecję – wręcz dystans – poza nią. Mężczyzn, którzy nie traktowali przygodnej *affaire d'amour* z jakąkolwiek powagą.

Serce zabiło jej szybciej.

– Nie. – Jak daleko chciał to pociągnąć? Nachyliła się ku niemu uwodzicielsko. – Interesuje pana ta pozycja?

Jeśli liczyła na to, że on się wycofa, spotkał ją srogi zawód. Wargi mu drgnęły, co przyciągnęło jej spojrzenie do górnej z nich, pełniejszej. Zmarszczył brwi w namyśle.

– Interesuje mnie wiele rzeczy – odparł powoli precyzyjnie modulowanym głosem. – Trudno mi jednak uwierzyć, że szczerze oferuje mi pani tę pozycję, milady. Przyznałem się wszak do braku referencji.

Każdy inny mężczyzna przypomniałby jej o swoim niedoświadczeniu z zakłopotaniem. Tymczasem pan Makepeace wydawał się całkowicie spokojny, wręcz pewny siebie. Jakimś sposobem wiedziała, że akurat on potraktowałby romans bardzo poważnie. Kiedy to precyzyjne skupienie znalazłoby cel, ciałem i duszą zaangażowałby się w związek. W kobietę, którą wziąłby za kochankę.

Na tę myśl przeszył ją dreszcz. Być obiektem tak zapalczywej uwagi stanowiło nęcącą perspektywę, lecz zarazem kazało jej się na chwilę zatrzymać.

Ostrożnie – zaszeptał jej intelekt. *Dobrze się zastanów, nim zaangażujesz tego mężczyznę. Nie odrzucisz go równie łatwo jak wyrafinowanych członków londyńskiej socjety.*

Isabel znów niespiesznie oparła się o poduszki, mierząc swego ucznia wzrokiem.

– Zatem będziemy musieli popracować nad pańskimi umiejętnościami towarzyskimi, nieprawdaż? – Uśmiechnęła się, wylała ostygłą herbatę i na nowo napełniła swoją filiżankę. – Poćwiczymy konwersację przy obiedzie?

Skinął głową, a jeśli nawet dostrzegła w jego oczach rozczarowanie, zignorowała je. Jakkolwiek lubiła droczyć się i flirtować, nie brakowało jej przecież zdrowego rozsądku.

– Jestem na pani rozkazy – rzekł, przeciągając zgłoski.

* * *

Winter przyglądał się, jak lady Beckinhall bierze jego filiżankę, wylewa zawartość i napełnia naczynie świeżą herbatą. Spłoszył ją i teraz, zamiast kontynuować ryzykowną wymianę zdań, uparła się na pogaduszki o pogodzie lub na inny nudny temat.

Dziwne było to, że poczuł ukłucie rozczarowania. Polubił starcia z nią. Jeszcze bardziej podobało mu się, gdy mógł przelotnie zajrzeć pod jej towarzyską maskę. Mąż prawdziwie ją zranił, a choć Winter nie chciał przywoływać smutnych wspomnień, bardzo pragnął znów zobaczyć tę nagą twarz, którą na chwilę ujawniła. Prawdziwą lady Beckinhall.

Patrzyła na niego, twardo trzymając się roli gospodyni.

– Widział pan najnowszą operę w Royal Playhouse?

– Nie. – Pociągnął łyk herbaty, obserwując ją. – Nigdy nie byłem w operze.

Zwęziła nieznacznie oczy z – jeśli się nie mylił – irytacją.

– A na jakiejś sztuce?

W milczeniu pokręcił głową.

– Wieczorze muzycznym? Festynie?

Patrzył na nią i czekał.

Akurat na cierpliwości jej nie zbywało.

– Ogłaszam pana najnudniejszym znanym mi mężczyzną, panie Makepeace. Musi pan coś robić oprócz codziennej harówki w przytułku.

Kącik jego ust mimowolnie powędrował w górę.

– Czasami czytam.

– Proszę mi nie mówić. – Uniosła drobną dłoń w rozkazującym geście. – W sekrecie pochłania pan frywolne powieści Daniela Defoe.

– Przyznaję, że lubię *Robinsona Crusoe* – powiedział. – A jego pamflety na temat ginu i jego destylacji uważam za interesujące, choć absolutnie chybione.

Zamrugała, jakby wbrew sobie zainteresowała się tym tematem.

– Dlaczego?

– Defoe argumentował, że destylacja ginu nierozerwalnie wiąże się z dobrobytem naszych angielskich chłopów, ponieważ sprzedają ziarno gorzelnikom. Nawet jeśli argument jest słuszny, nie uwzględnia tego, co gin robi z londyńską biedotą.

Już kręciła głową.

– Ale Defoe napisał później, że gin uszkadza potomstwo tych londyńskich matek, które piły… Czemu się pan uśmiecha?

– Madame czytuje polityczne broszury? – Zacmokał, udając zszokowanie. – Czy inne członkinie Syndykatu Pań o tym wiedzą?

Zarumieniła się, jakby przyłapał ją na jakiejś frywolności, lecz jednocześnie z uporem zadarła brodę.

– Zdziwiłby się pan, jak wiele dam czytuje polityczne pamflety.

– Nie – odparł wolno. – Nie sądzę, żebym się zdziwił. Nigdy nie wątpiłem, że płeć piękna interesuje się polityką i społecznymi niesprawiedliwościami Londynu na równi z mężczyznami. Odrobinę mnie jednak dziwi, że te sprawy interesują panią.

Wzruszyła ramionami.

– Czemu nie miałyby mnie interesować?

Nachylił się ku niej.

– Ponieważ bardzo stara się pani udawać brak zainteresowania czymkolwiek poważnym. Dlaczego?

Przez chwilę myślał, że uzyska od niej szczerą odpowiedź. Potem uciekła wzrokiem, zbywając kwestię obojętnym machnięciem ręki.

– Mam uczyć pana konwersacji przy obiedzie. Polityka nigdy nie jest dobrym tematem w mieszanym towarzystwie…

– Milady – zaczął ostrzegawczo.

– Nie. – Pokręciła głową, z determinacją nie patrząc mu w oczy. – Nie wciągnie mnie pan ponownie w dyskusję. Powieści są o wiele stosowniejszym zagadnieniem.

Widział, że ona nie zmieni zdania, ustąpił zatem.

– Nawet *Moll Flanders*?

– Zwłaszcza *Moll Flanders* – odparła. – Powieść o kobiecie o złej reputacji na pewno stanie się przedmiotem ożywionej dyskusji.

– A jednak – rzekł cicho – mimo tragicznego upadku Moll nie umiem lubić jej tak bardzo jak pana Robinsona Crusoe.

Wyraźnie się zawahała i sądził, że pozostanie przy swojej towarzyskiej masce. Później jednak nachyliła się ku niemu, pełna dziewczęcego zapału.

– O tak! Kiedy znalazł ten ślad stopy na piasku!

– Ekscytujące książka, prawda? – spytał z szerokim uśmiechem.

– Nie kładłam się spać, żeby doczytać do końca – wyznała, z westchnieniem satysfakcji odchylając się ciężko na oparcie. – Od tamtej pory czytałam to jeszcze dwukrotnie. – Znienacka wbiła weń świdrujący wzrok. – A jeśli kiedykolwiek zdradzi pan którejś z dam, że zdecydowanie wolę *Robinsona Crusoe* od *Moll Flanders*, wytnę panu wątrobę.

Skłonił się uroczyście.

– Pani sekret jest u mnie bezpieczny, madame.

Kąciki jej soczystych ust drgnęły.

– Kto by pomyślał – wymruczała – że jakże poważny pan Makepeace lubi powieści przygodowe.

Przekrzywił głowę.

– Albo że frywolna lady Beckinhall przedkłada powieści przygodowe nad skandalizujące biografie?

Na chwilę – bardzo krótką – opuściła maskę i uśmiechnęła się doń prawie że nieśmiało.

Odwzajemnił uśmiech, a serce zabiło mu trzy razy szybciej.

Później odwróciła wzrok, przygryzając wargę.

– Och, jak ten czas leci. Na dzisiaj chyba wystarczy, nie sądzi pan? Przyjadę jutro do przytułku i będziemy kontynuować pańskie nauki.

Nawet nie próbował się spierać. Ewidentnie były to granice jej możliwości. Czuł wręcz potrzebę, by ją chronić, dlatego wstał, ukłonił się i, wymamrotawszy kilka słów, wyszedł z pokoju.

Kiedy jednak kamerdyner odprowadzał go do drzwi, Winter zaczął się zastanawiać, kto tu kogo obnaża w ich drobnej grze.

* * *

Isabel siedziała tego wieczoru przy toaletce, szczotkując włosy, gdyż odprawiła już Pinkney. Wiedziała, że prowadzi z panem Makepeace'em niebezpieczną grę. Nie zajmował tej samej co ona pozycji społecznej, nie był nawet w tym samym wieku. Mimo to czuła się dziwnie uzależniona od jego uważnego spojrzenia. Ekscytowało ją bycie

obiektem skupienia tak poważnego mężczyzny. Nikt nie patrzył na nią wcześniej w taki sposób jak Winter Makepeace – ani jej kochankowie, ani z pewnością mąż.

Opuściła szczotkę. Czy to stąd brała się w niej ta chęć prowokowania go do… czego? Zrzucenia maski?

Dziwna myśl. Bo kiedy teraz się nad tym zastanawiała, bezceremonialność, z jaką się do niej zwracał, przypominała jej zamaskowanego Ducha St. Giles. On także odrzucił błahy flirt na rzecz bardziej bezpośredniej rozmowy. Jakież to dziwaczne, że pan Makepeace, stateczny nauczyciel, miałby jej się kojarzyć z szelmowskim Duchem St. Giles.

Jej wzrok przyciągnął jakiś ruch w lustrze. Kotary łóżka za jej plecami drgnęły.

Isabel odłożyła szczotkę na toaletkę i odwróciła się, by popatrzeć na łóżko.

– Christopher?

Zaległa cisza i Isabel zaczęła się zastanawiać, czy się nie pomyliła, kiedy cichy głosik spytał:

– Proszę pani?

Westchnęła.

– Christopherze, zdaje się, że mówiłam ci już, że nie wolno ci się chować w moich pokojach.

Cisza.

Isabel wpatrywała się w łóżko skonsternowana. A jeśli chłopiec nie zechce wyjść? Powinna kazać go stąd wyciągnąć? I żeby niania dała mu klapsa? Do diabła, gdzie się podziewała Carruthers?!

Kotary ponownie zaszeleściły, jakby przeciągnęły po nich dziecięce paluszki.

– Podoba mi się tutaj.

Odwróciła wzrok, przygryzając wargę, oczy zapiekły ją od łez. Był tylko małym chłopcem. Chyba poradzi sobie z chłopcem?

Zaczerpnęła tchu.

– Dawno powinieneś być w łóżku.

– Nie mogę spać.

Rozejrzała się po pokoju, jakby w poszukiwaniu pomocy.

– Poślę po ciepłe mleko.

– Nie lubię mleka.

Sfrustrowana wbiła wzrok w kotarę.

– A co lubisz?

– Czy… – Serce jej się ścisnęło, gdy usłyszała wahanie w tym głosiku. – Czy opowie mi pani jakąś historię, milady?

Historię. W głowie miała pustkę. Nasuwał jej się tylko Kopciuszek, a coś czuła, że małego chłopca nie zainteresują perypetie dziewczyny i przystojnego księcia. Opuściła wzrok, intensywnie myśląc, i spostrzegła szczotkę.

Odkaszlnęła.

– Słyszałeś o Duchu St. Giles?

Kotara przestała się poruszać.

– Duchu? Prawdziwym duchu?

– Cóż… – Zmarszczyła brwi w namyśle. – Nie, to żywy człowiek, ale porusza się jak duch i jak on poluje nocami.

– Poluje na kogo?

– Na złoczyńców – odparła, stąpając już teraz po pewnym gruncie. Słyszała opowieści,

jak to Duch gwałci dziewice i porywa damy, odkąd jednak faktycznie poznała tego człowieka, wiedziała, że to oszczerstwa. – Karze złodziei i rozbójników, którzy napastują niewinnych.

– Napastują jak podłogę?

– Nie. Napastują jak kot łapiący mysz.

– O!

Zerknęła w stronę łóżka i przekonała się, że Christopher rozchylił kotarę. Spoglądało na nią brązowe oko.

Isabel spróbowała się uśmiechnąć.

– No, Christopherze, naprawdę pora, żebyś poszedł spać.

– Ale to nie była historia – wytknął jej.

Poczuła w piersi ucisk, bliska paniki.

– W tej chwili nie mam lepszych pomysłów.

– Czy pani jest moją mamą? – Szeroko otwarte brązowe oko wpatrywało się w nią bez mrugania.

Musiała najpierw odwrócić wzrok.

– Wiesz, że nie. Już ci mówiłam. – Wstała i energicznie rozchyliła kotary łóżka, bacząc, by nie dotknąć chłopca. – Mam zadzwonić po Carruthers czy sam trafisz do pokoju dziecinnego?

– Sam. – Zeskoczył z łóżka i wolno poszedł w stronę wyjścia. – Dobranoc, milady.

– Dobranoc, Christopherze – powiedziała ochryple.

Na szczęście zdołała powstrzymać łzy do czasu, gdy zamknął za sobą drzwi.

* * *

– Na zewnątrz stoi kareta lady Beckinhall – powiedziała Mary Whitsun, wchodząc do bawialni przytułku następnego popołudnia.

Winter podniósł wzrok znad czytanego właśnie listu, akurat w porę, by zobaczyć, jak do pokoju wbiega truchtem mały czarno-biały terier, ewidentnie już zadomowiony.

– Och, chodź tutaj, Dodo! – wykrzyknęła Mary.

Nachyliła się, żeby podnieść psa, a ten poddał się bez najcichszego choćby warknięcia.

Winter uniósł brew. Kiedy sam się doń zbliżał, Dodo zawsze warczał ostrzegawczo.

– Czy Peach zeszła na dół?

– Nie, psze pana – odparła z żalem Mary. – Nadal leży w łóżku i nic nie mówi, biedactwo. Ale Dodo postanowił zwiedzić przytułek. Dziś rano pani Medina musiała odganiać go od placków, które stygły na kuchennym stole.

– Aha. – Winter zmierzył wzrokiem teriera, który tymczasem zamknął oczy, jakby szykował się do drzemki w ramionach Mary Whitsun. – Najlepiej wyznaczmy paru chłopców do opieki nad nim, niech dopilnują, żeby wychodził załatwiać swoje sprawy na ulicy. Zajmiesz się tym, Mary?

– Tak, psze pana.

Dziewczynka odwróciła się w stronę drzwi, ale Winter o czymś sobie przypomniał.

– Jeszcze momencik, Mary.

– Psze pana? – Spojrzała na niego.

Szperał przez chwilę w papierach na podołku, nim znalazł niewielki złożony list. Wyciągnął go ku Mary.

– Moja siostra dołączyła do listu do mnie kilka słów do ciebie.

Twarz dziewczynki pojaśniała, a Winter z zaskoczeniem uzmysłowił sobie, że Mary Whitsun wyrasta na uroczą młodą damę. Jeszcze dwa lata i zarojà się wokół niej młodzieńcy.

– Och, dziękuję panu!

Porwała kartkę i wybiegła z pokoju, nim Winter zdążył zaprotestować, że nie zrobił nic, czym zasłużyłby na podziękowania.

Ledwie złożył czytany przez siebie list, kiedy drzwi otworzyły się ponownie. Do pokoju wpłynęła lady Beckinhall, już zdejmując czepek; za nią podążała jej pokojówka z koszykiem w ręku. Za kobietami wszedł szczupły, drobny mężczyzna w pięknie skrojonym ubraniu z brzoskwiniowego jedwabiu.

Winter wstał i się ukłonił.

– Dzień dobry, milady.

– Dzień dobry. – Odwróciła się do pokojówki. – Poślesz, proszę, po herbatę, Pinkney? – Popatrzyła znów na Wintera, przejmując od Pinkney koszyk i stawiając go na stole. – Przyniosłam wyśmienite lukrowane ciasteczka. Musi pan zjeść co najmniej trzy.

Uniósł brew.

– Dopiero co jadłem lunch – zaoponował łagodnie.

– Idę o zakład, że zbyt skromny – odparła, z dezaprobatą mierząc wzrokiem jego talię.

– Planuje mnie pani utuczyć, milady?

– Między innymi – odparła beztrosko.

Miała dziś na sobie suknię w ciemnoniebieskie i białe pasy, co podkreślało błękit jej oczu.

Winter oderwał wzrok od jej sylwetki.

– A to kto? – spytał, wskazując na drobnego mężczyznę w brzoskwiniowym stroju.

– Pański krawiec. – Lady Beckinhall uśmiechnęła się słodko. – A teraz będzie pan uprzejmy zdjąć spodnie.

Pokojówka wróciła akurat w porę, by usłyszeć ostatnie zdanie. Naturalnie zachichotała, nim zamknęła sobie usta dłonią i przysiadła na krześle w kącie.

Winter popatrzył na lady Beckinhall.

– Jeśli rzeczywiście ma być ze mnie pobierana miara, być może pani i jej pokojówka powinnyście wyjść, zanim się rozbiorę.

Sapnęła przez nos, wyjmując z kosza talerz w niebieskie kwiaty, na którym zaczęła układać smakowite lukrowane ciasteczka.

– Pinkney i ja umiemy się odwrócić, zapewniam pana.

Zacisnął wargi, usiłując zdusić narastający w piersi niepokój.

– Wolałbym, żeby panie wyszły.

– A ja bym wolała zostać, na wypadek gdyby pan Hurt musiał skonsultować się ze mną co do kroju, o jaki mi chodzi.

Popatrzył na nią zwężonymi oczami. Pomijając niestosowność rozbierania się w obecności dwóch kobiet, istniało ryzyko, że krawiec zobaczy jego blizny – w szczególności tę z ostatniego tygodnia – i zada niewygodne pytania.

Jednak damy bez wątpienia nie obchodziły jego obiekcje. Do pokoju weszły tymczasem dwie dziewczynki z zamówioną herbatą i lady Beckinhall instruowała je, gdzie mają wszystko rozstawić.

– Bal u księżnej Arlington jest już za pięć dni. Da pan radę uszyć strój w takim czasie, prawda, panie Hurt? – zapytała po odprawieniu dziewcząt.

Krawiec się ukłonił.

– Tak, milady. Zagonię do zadania wszystkich moich chłopców.

– Wyśmienicie! – Lady Beckinhall pociągnęła łyk herbaty. – Och, nie powiem, o wiele lepsza niż podczas mojej ostatniej wizyty.

– Ogromnie się cieszę, że zasługuje na pani aprobatę – rzekł Winter.

– Sarkazm, panie Makepeace. Już o tym rozmawialiśmy – zbeształa go, po czym, nie czekając na odpowiedź, dodała: – Wydaje mi się, że pańska znajomość sztuki konwersacji znacznie się poprawiła, nie dotarliśmy jednak wczoraj do tańca. Kiedy zatem pan Hurt skończy…

Krawiec zareagował na sygnał.

– Gdyby zechciał pan wstać i usunąć wierzchnie elementy odzienia, panie Makepeace.

Winter westchnął cicho, odstawiając filiżankę z herbatą. Spostrzegł, że zarówno lady Beckinhall, jak i jej pokojówka porzuciły swoje aktualne zajęcia i wlepiły w niego wzrok. Uniósł brew.

– Och! Och, oczywiście.

Lady Beckinhall wyprostowała się i dała pokojówce znak, by ta się odwróciła. Po raz ostatni zerknęła pytająco na Wintera, kiedy zaś nie zmienił wyrazu twarzy, także usiadła tyłem, mamrocząc coś o „purytańskich wyobrażeniach na temat skromności”.

Winter odczekał chwilę, by się upewnić, że dama nie odwróci się znów ku niemu, po czym zdjął kaftan i kamizelkę. Gdy to robił, z wielką siłą wróciło do niego wspomnienie, jak zaledwie przed tygodniem ta kobieta oglądała jego nagie ciało.

Nawet jeśli nie zdawała sobie z tego sprawy.

Pozbył się również spodni i stanął w samej koszuli i bieliźnie. Popatrzył na krawca.

– Koszulę także, proszę pana – powiedział pan Hurt. – W modzie są mocno dopasowane kamizelki i kaftany.

– A jakże! – zawołała przez ramię lady Beckinhall. – Życzę sobie, żeby to był najnowszy krzyk mody.

Winter skrzywił się, ale zdjął koszulę.

Krawiec skinął głową.

– Na razie wystarczy, proszę pana.

Winter stał z rozpostartymi ramionami, czując się wyjątkowo głupio, gdy mężczyzna kręcił się przy nim z taśmą krawiecką.

– Ćwiczy pan pochlebstwa? – spytała lady Beckinhall, akurat kiedy przytrzymujący taśmę kciuk krawca pchnął w górę skraj bielizny Wintera.

– Zgodnie z zaleceniami – odparł Winter, obserwując, jak pan Hurt spostrzega koniec blizny, odsłonięty przez zmarszczony materiał.

Krawiec zawahał się, ale zaraz podjął pracę.

Lady Beckinhall bardzo cicho westchnęła.

Cała uwaga Wintera natychmiast znów skupiła się na niej.

– Jestem pełen podziwu dla… eee… sprawności, z jaką zamawia pani herbatę, milady.

Pan Hurt spojrzał nań litościwie.

Na moment zapadła cisza.

– Dziękuję, panie Makepeace – powiedziała zdławionym głosem lady Beckinhall. – Muszę przyznać, że pańskie komplementy są niezwykle oryginalne.

– Pani nauki mnie zainspirowały, madame.

Na twarzy krawca odmalowało się powątpiewanie.

Winter odkaszlnął.

– No i, oczywiście, kogóż nie uradowałby powab pani oblicza i sylwetki.

Z uniesioną brwią spojrzał na pana Hurta.

Krawiec zrobił minę, jakby mówił: „Nie tak tragicznie”.

Co prawdopodobnie wyznaczało granicę możliwości Wintera w tej sztuce.

Ale lady Beckinhall jeszcze z nim nie skończyła. W reakcji na słowa Wintera przekrzywiła głowę, przez co wysadzana klejnotami ozdoba w jej lśniących włosach zamigotała w świetle.

– Moja sylwetka, panie Makepeace?

Ach, wkraczał na niebezpieczne terytorium.

– Tak, pani sylwetka, milady. Silna i kobieca, o czym zapewne sama pani wie.

Zaśmiała się, nisko i ochryple, a jemu przebiegły dreszcze po ramionach.

– Tak, ale damy nigdy nie nuży słuchanie komplementów. Musi pan o tym pamiętać.

Jej pokojówka energicznie kiwała głową na znak zgody.

– Ach tak?

Winter wpatrywał się w plecy lady Beckinhall, żałując, że nie widzi jej twarzy. Jej miękkie usta wyginały się zapewne lekko w rozbawieniu, niebieskie oczy migotały. Jego ciało zareagowało na te wyobrażenia i z całego serca cieszył się, że pan Hurt przystąpił tymczasem do pomiaru jego pleców.

– Jednak panią bez wątpienia zalewa morze komplementów, milady – rzekł Winter. – Każdy napotkany przez panią dżentelmen czuje przemożną potrzebę wyrażenia głośno swego podziwu, swego pragnienia, żeby kochać się z panią. A to jedynie ci, którym wolno wygłosić takie myśli. Wszędzie wokół pani są mężczyźni, którzy nie mogą ubrać swego podziwu w słowa, którzy muszą pozostać niemi ze względu na swoją pozycję społeczną lub obawę, że panią obrażą. Ich myśli rozświetlają jednak powietrze wokół pani, ciągnąc się za nią niczym woń perfum, uderzająca do głowy, acz niewidoczna.

Usłyszał, jak zaskoczona wciąga powietrze.

Pokojówka westchnęła z rozmarzeniem.

Pan Hurt zaniechał swoich szybkich, fachowych ruchów, ale kiedy Winter nań spojrzał, zamrugał i na nowo podjął pracę.

– Dziękuję, panie Makepeace – powiedziała cicho lady Beckinhall. – To… było wprost cudowne.

Winter wzruszył ramionami, mimo że nie mogła tego widzieć.

– Mówię samą prawdę.

– Czy… – Zawahała się, po czym spytała gardłowo: – Czy uważa mnie pan za płytką, ponieważ takie komplementy sprawiają mi radość?

Jej wyprostowane plecy sygnalizowały pewność siebie, ale w białym i smukłym karku, odsłoniętym przez upięte w górze włosy, kryła się jakaś bezbronność. Była taka prostolinijna, tak pewna swego, że Winter aż do tej pory nie spostrzegł tego wrażliwego miejsca.

– Uważam, że czasami lubi się pani ukrywać za fasadą wesołości, milady. – Odkaszlnął. – Uważam także, że kiedy wchodzi pani do pokoju, zwracają się na nią wszystkie spojrzenia. Płonie pani jak pochodnia, rozświetlając najciemniejsze zakamarki, rozpromieniając nawet tych, którzy byli dotąd przekonani, że nie potrzebują więcej światła. Przynosi pani radość i wesele, a pozostawia za sobą blask, dający nadzieję tym, których pani opuściła.

– A pan, panie Makepeace? Czy pan należy do tych przekonanych, że nie potrzebują więcej światła?

– Ja jestem mroczną otchłanią. – Teraz z kolei cieszył się, że ona siedzi odwrócona do

niego plecami. – Nawet pani pochodni trudno będzie rozświetlić moje głębie.

* * *

Mroczna otchłań? Na te słowa pana Makepeace'a Isabel nie zdołała się powstrzymać i zerknęła do tyłu.

Stał z rozpostartymi ramionami, gdy pan Hurt brał miarę na rękawy. Wstrzymała oddech. Ta poza przywodziła na myśl *Człowieka witruwiańskiego*. I, podobnie jak rysunek da Vinciego, jego nagi tors był istnym dziełem sztuki. Wiązki mięśni odcinały się na jego wyciągniętych ramionach, na bicepsach wyraźnie rysowały się żyły. Między ciemnymi sutkami na szerokiej klatce piersiowej rozsypała się ledwie odrobina kręconych włosów, podczas gdy spod pach wyrastały gęstsze kępki.

Na ten widok oddech Isabel przyspieszył. Wiedziała, że to niewłaściwe. Nie powinna gapić się na tego mężczyznę. Nie powinna się zastanawiać, jakim sposobem prosty nauczyciel wyhodował sobie tak wspaniałe mięśnie. Zdawało się, że wraz z ubraniami zrzucił warstwę tajemnicy. Pod względem męskiego uroku jego sylwetka dorównywała figurze Ducha St. Giles. Kiedy kobieta opuściła wzrok na jego nogi, obrócił się nieznacznie, ukrywając prawe udo.

Krawiec sapnął cicho, czym wyrwał Isabel z zadumy. Podniosła wzrok i spojrzała panu Makepeace'owi w oczy. Mimo wcześniejszych nalegań, by odwróciła się plecami, gdy się rozbierał, nie okazywał teraz ani śladu skrępowania, stojąc przed nią w samej bieliźnie.

Odpowiedział na jej spojrzenie, dumnie i wyzywająco, ale na dnie jego oczu dostrzegała głębie, o których wspomniał.

– Dlaczego jest pan mroczną otchłanią? – zapytała.

Z niejaką elegancją wzruszył ramionami.

– Żyję i pracuję w najbardziej przygnębiającej dzielnicy Londynu, milady. Tutaj ludzie żebrzą, kradną i prostytuują się, próbując zaspokoić najbardziej podstawowe potrzeby: zdobyć jedzenie, wodę, dach nad głową i przyodziewek. Nie mają czasu, by choć na moment oderwać się od swego znoju, nie mają czasu żyć jak istoty ludzkie, którym Bóg pobłogosławił darami śmiechu i radości.

Mówiąc, opuścił ramiona i nieświadomie postąpił ku niej. Teraz podniósł rękę i wskazał sufit, a mięśnie jego przedramienia się naprężyły.

– Peach nadal leży w łóżku na górze. Porzucono ją i wykorzystano. Dziecko, które powinno być hołubione i kochane jako ucieleśnienie wszystkiego, co na tym świecie dobre. Takie właśnie jest St. Giles. Tu właśnie żyję. Czy zatem nie wydałoby się pani dziwne, gdybym pląsał i skakał? Śmiał się i chichotał?

Wskutek pasji, z jaką mówił, jego naga pierś ciężko pracowała, przy czym prawie dotykał nią stanika sukni Isabel, tak blisko podszedł. Musiała odchylić głowę, żeby nadal patrzeć mu w oczy, i odkryła, że przy każdym wdechu wciąga w płuca jego uderzający do głowy zapach.

Mężczyzny, czystego mężczyzny.

Przełknęła ślinę.

– Inni pracują tutaj i nie pogrążają się w mrocznych otchłaniach, na przykład pańskie siostry. Uważa pan, że są mniej wnikliwe od niego?

Zobaczyła, że rozszerzają mu się płatki nosa, jakby również wyczuł jej zapach.

– Nie wiem. Wiem tylko, że mrok nieomal mnie pochłania. To bestia, z którą walczę każdego dnia. Mrok jest brzemieniem, które przypadło mi dźwigać.

Czy to był prawdziwy Winter Makepeace, ukryty pod noszoną na co dzień maską? Chciała go dotknąć, pogładzić po policzku, poczuć ciepło jego skóry i powiedzieć mu, że musi zwyciężyć, musi walczyć z atakującym go mrokiem. Powiedzieć mu, że sama pokonałaby dla niego ten mrok, gdyby mogła. Zarazem upajała się swym odkryciem. Czy ów mężczyzna rzeczywiście był samym mrokiem?

Czy po części także namiętnością?

Ale w tejże chwili pan Hurt odchrząknął.

– Skończyłem, milady.

Pan Makepeace natychmiast odstąpił, zamykając oczy, i sięgnął po koszulę.

– Oczywiście. – Głos Isabel zabrzmiał piskliwie. Przełknęła ślinę. – Dziękuję za poświęcony czas, panie Hurt.

– Cała przyjemność po mojej stronie, milady. – Krawiec ukłonił się i prędko opuścił pokój, zabierając swoje zapiski.

Pan Makepeace wkładał tymczasem spodnie, odwrócony do niej plecami.

Pinkney obserwowała go chciwie z drugiego końca pokoju.

Isabel posłała pokojówce surowe spojrzenie, zarazem szukając odpowiednich słów. Z takim trudem przychodziło jej prowadzić intymną rozmowę z jego plecami.

– Mam nadzieję, że moja… pochodnia, jak pan to ujął, zdoła rozświetlić pański mrok, panie Makepeace. Szczerze…

Odwrócił się gwałtownie, chwytając kamizelkę i kaftan.

– Przepraszam, baronowo, ale mam dziś do załatwienia kilka spraw, które naprawdę nie mogą czekać. Mam nadzieję, że mi pani wybaczy.

No cóż, Isabel z pewnością umiała poznać, kiedy udziela jej się odprawy. Uśmiechnęła się promiennie, starając się zamaskować ostry kryształ bólu, jaki rozrastał się w jej piersi pod wpływem jego słów.

– Naturalnie, nie śmiałabym zakłócać panu pracy. Ale musimy rozpocząć lekcje tańca. Jutro po południu by panu odpowiadało?

– Może być – odparł obcesowo i wyszedł z pokoju, pożegnawszy się płytkim ukłonem.

– Trzeba mu jeszcze sporo nauki – powiedziała Pinkney, najwyraźniej do siebie. Pochwyciła spojrzenie Isabel i się wyprostowała. – Och, przepraszam, milady.

– Nie, nic nie szkodzi – odparła w rozkojarzeniu Isabel.

Pan Makepeace istotnie musiał się jeszcze wiele nauczyć – niewykluczone, że więcej, niż było do osiągnięcia przed balem u księżnej Arlington.

Isabel wysłała Pinkney na poszukiwanie jakiegoś chłopca, żeby wezwał jej karetę, a później spacerowała po niewielkiej bawialni, rozważając, na czym polega problem pana Makepeace'a. Jego lakoniczność – granicząca niekiedy z grubiaństwem – to nie była po prostu kwestia opanowania manier towarzyskich. Ten człowiek nie urodził się przecież w jaskini, pozostawiony tam wilkom na wychowanie. Nie, wywodził się z szanowanej rodziny. Jego siostra, Temperance, przyswoiła cenione w towarzystwie przymioty – na tyle, że z łatwością przystosowała się do bycia żoną barona – nawet jeśli nie do końca zaakceptowano ją w arystokratycznych kręgach.

Wróciła Pinkney z informacją, że kareta zajechała. Isabel ruszyła przodem, opuszczając przytułek jako pierwsza. Podziękowała cicho Haroldowi, kiedy pomagał jej wsiąść, po czym usadowiła się wygodnie.

– Zdecydowała już pani, jaką suknię założy na bal u księżnej Arlington? – spytała z wahaniem Pinkney.

Izabel zamrugała i spojrzała na pokojówkę. Ta sprawiała wrażenie mocno osowiałej.

– Chyba tę najnowszą kremową z haftem. Albo tę w złote pasy?

Rozmowa o modzie zawsze ożywiała Pinkney.

– Och, haftowaną kremową – rozstrzygnęła stanowczo pokojówka. – Szmaragdy będą pięknie do niej wyglądały, no i właśnie przyszło pół tuzina tych koronkowych pończoch, co to je zamówiłam. Zrobione według francuskiej mody.

– Mhm – mruknęła Isabel, w istocie błądząc myślami gdzie indziej. – Zapewne mogę założyć do niej haftowane kremowe pantofle.

Po drugiej stronie karety zaległa pełna dezaprobaty cisza, tak że Isabel podniosła wzrok.

Śliczne brwi Pinkney były niemalże nasrożone.

– Kremowe strzępią się przy obcasie.

– Naprawdę? – Isabel nie zauważyła uszkodzenia, musiało więc być zaiste niewielkie. – Ale chyba nie na tyle…

– Lepiej byłoby obstalować nowe, na przykład obszyte złotym płótnem. – Pinkney wyraźnie nabrała zapału. – Po południu mogłybyśmy zajechać do szewca.

– Dobrze. – Isabel westchnęła, z rezygnacją przystając na popołudniowe zakupy.

Zwykle zajęcie to dostarczało jej sporo radości, ale w tej chwili jej myśli zaprzątała zagadka pana Makepeace’a, kobieta uzmysłowiła sobie bowiem coś ważnego w związku z tym przeklętym człowiekiem.

Jeśli grubiaństwo pana Makepeace’a nie wynikało z odebranego przezeń wychowania, najpewniej stanowiło cechę wrodzoną – zasadniczy element jego charakteru. Jeśli tak było – a Isabel obawiała się, że i owszem – wówczas wpojenie mu eleganckich manier okaże się sprawą o wiele trudniejszą, niż zakładała. Ponieważ albo pan Makepeace nauczy się stale nosić w towarzystwie maskę fałszywego konwenansu – w co nijak nie wierzyła – albo to Isabel będzie musiała oświetlić jego życie i nauczyć postrzegać świat jako bardziej radosne miejsce.

A to zadanie doprawdy ją onieśmielało.

Rozdział 6

Kiedy Arlekin leżał na ziemi, a życiodajna krew uciekała zeń do rynsztoka pośrodku ulicy, nadszedł dziwny człowiek. Nosił pelerynę, która zakrywała większą część jego postaci, nadal wszakże dało się zauważyć, że stąpa na kozich racicach. Mężczyzna usiadł przy umierającym Arlekinie i wyjął z kieszeni białą glinianą fajkę. Zapalił ją i spojrzał na rannego.
– No, Arlekinie – przemówił – chciałbyś zemsty na swych wrogach?…
– z Legendy o Arlekinie – Duchu St. Giles

Winter Makepeace przeskoczył odstęp między dachami budynków i lekko wylądował. Ześlizgnął się nieco do tyłu na stromym dachu, skrobiąc butami o gonty, ale przytrzymał się z łatwością wynikającą z długiej praktyki.

Dzisiejszego wieczoru był Duchem St. Giles.

Przechodząc, usłyszał, jak na ulicy w dole ktoś gwałtownie wciąga powietrze, ale nie zatrzymał się, żeby spojrzeć. Ryzykował, słońce bowiem jeszcze nie zaszło, a wolał oddawać się swym „duchowym" zajęciom pod osłoną nocy, nie zamierzał jednak stracić kolejnego dziecka. Wcześniej tego samego wieczoru, ledwie mieszkańcy przytułku zasiedli do kolacji, nadeszła wiadomość, że jakieś dziecko potrzebuje ich pomocy. Nierządnica przegrała walkę z jedną z wielu nękających jej profesję chorób i zostawiła trzyletniego berbecia.

Niestety, takie historie zdarzały się w St. Giles powszechnie – i stanowiły główną przyczynę, dla której istniał przytułek. Winter nie zliczyłby, ile razy posyłał służącego albo sam ruszał, aby odnaleźć osierocone lub porzucone dziecko i przyprowadzić je do placówki. Ten przypadek różnił się o tyle, że przy dwóch poprzednich okazjach ktoś ubiegł wysłannika i dopadł dziecko pierwszy.

Winter poważnie się obawiał, że ten ktoś – w sposób zorganizowany – kradnie osierocone dzieci z ulic St. Giles.

Pobiegł szczytem dachu budynku i zeskoczył na jego niższego sąsiada. Zabudowy St. Giles nie rozplanowano należycie. Kamienice czynszowe, sklepy, magazyny i warsztaty wznoszono jak popadnie, jedne przy drugich, a niekiedy dosłownie jedne na drugich. Dla osoby z zewnątrz tworzyło to nieprzenikniony labirynt, ale Winter mógłby wędrować po St. Giles z zamkniętymi oczami.

W dodatku po dachach.

Naturalnie posłał Tommy'ego, żeby przyprowadził dziecko do przytułku, liczył jednak, że sam dotrze na miejsce przed służącym. Wstał od kolacji wcześniej, usprawiedliwiając się bólem nogi, pospiesznie przywdział kostium Ducha i wyruszył przez okno swej sypialni pod dachem.

Teraz, spojrzawszy w dół, stwierdził, że znajduje się nad Chapel Alley. Sprzedawca świec, który zgłosił sierotę, powiedział, że matka dziecka zajmowała pokój w rejonie Phoenix Street, zaledwie rzut kamieniem stąd. Winter zeskoczył na balkon poniżej, przebiegł po poręczy i przytrzymując się cegieł narożnika budynku, zszedł na uliczkę.

Spod ściany budynku okrągłymi oczami obserwowała jego wyczyn mniej więcej dziesięcioletnia dziewczynka, dociskając do siebie koszyk. Kilka zwiędłych bukiecików

na jego dnie bez wątpienia stanowiło pozostałość po całym dniu handlowania kwiatami.

– Gdzie mieszka Nelly Broom? – zapytał Winter, podając nazwisko zmarłej prostytutki.

Dziewczynka wskazała wykrzywiony dom na końcu uliczki.

– Drugie pintro, na tyle domu, ale umarła dzisiej z rana.

– Wiem. – Winter skinął głową na znak podziękowania. – Przyszedłem po dziecko.

– No to się pan ruszaj – powiedziała kwiaciareczka.

Winter zatrzymał się, żeby znów na nią spojrzeć.

– Dlaczego?

Wzruszyła ramionami.

– Łowcy dziewek już tam weszli.

Winter odwrócił się i pobiegł. Łowcy dziewek? Czy to była owa zorganizowana grupa porywaczy pracująca w St. Giles – która w dodatku stała się na tyle znana, że doczekała się własnej nazwy?

Pchnął zewnętrzne drzwi wskazanego przez dziewczynkę domu. W środku, zaraz na wprost wejścia, znajdowały się wąskie schody. Winter pobiegł na górę, stąpając na palcach, żeby nie zaalarmować zwierzyny.

Schody zaprowadziły go na maleńki podest z samotnymi drzwiami. Otworzył je, zaskakując rodzinę przy wieczornym posiłku. Troje dzieci stłoczyło się przy spódnicy matki z zaciśniętymi w dłoniach kromkami kruszącego się chleba. Ojciec, zmizerowany osobnik z grzywą rudych włosów, kciukiem wskazał przez ramię kolejne drzwi. Winter w milczeniu kiwnął głową i przemknął obok. Drzwi prowadziły do mniejszego pokoju, ewidentnie wydzielonego z głównego pomieszczenia. Dwie sponiewierane kobiety kuliły się razem w kącie. Na wprost nich widniało otwarte okno.

Winter nie musiał o nic pytać. Podszedł do okna i wychylił się na zewnątrz. Od poziomu ulicy dzieliło go co najmniej sześć metrów, ale bezpośrednio pod oknem biegł wąski gzyms. Winter przerzucił nogę i, przytrzymując się górnej części okna, stanął na gzymsie. Niespełna pół metra nad głową zobaczył znikające za okapem męskie nogi. Uchwycił się pokruszonej krawędzi okapu i podciągnął. Na dachu stali mężczyzna i młody chłopak, ten drugi z dzieckiem w ramionach, tak przerażonym, że nawet nie płakało.

Na widok wyłaniającego się nad okapem Wintera mężczyzna wrzasnął.

– To Duch! Duch przyszedł zawlec nas do piekła!

– Chodu! – krzyknął młodzik i obaj się odwrócili.

Ale Winter już był przy nich, z krwią łomoczącą mu w żyłach, zaślepiony sprawiedliwą furią. Chwycił mężczyznę za kaftan i pociągnął do tyłu. Tamten zamachnął się wściekle, co Winter przyjął na ramię, po czym ciosem w szczękę rozłożył przeciwnika na łopatki.

Tymczasem chłopak dotarł do krawędzi dachu, gdzie właśnie rozważał, czy uda mu się przeskoczyć niespełna dwa metry dzielące go od kolejnego budynku. Cofnął się o krok, szykując się do skoku, nadal z dzieckiem w ramionach.

Wtedy dopadł go Winter.

Chłopak okręcił się, niebezpieczny jak wąż, i zatopił zęby w nadgarstku Wintera.

Mężczyzna zgrzytnął zębami i złapał młodzika za włosy, potrząsając nim jak szczurem. Chłopak puścił jego nadgarstek, a jednocześnie także dziecko. Potoczyło się i zatrzymało tuż przy krawędzi dachu, wpatrując się nieruchomym wzrokiem w Wintera.

Wolną ręką Winter chwycił dziecko za stopę i odciągnął od krawędzi. Było owinięte w koc, który przy tej okazji zahaczył o dachówki, w rezultacie czego malec został nagi.

Nachyliwszy się, Winter narzucił na chłopczyka skraj pledu.

– Zostań tu – szepnął.

Chłopczyk niemo przytaknął.

Winter odwrócił się do młodzika, którego nadal trzymał za włosy. Potrząsnął nim po raz kolejny.

– Prawie zrzuciłeś to dziecko z dachu.

– Bo mało tu takich? – odparł młodzik ze wzruszeniem ramion. – No i to chłopak.

Winter zwęził oczy.

– Stręczyciel, dla którego pracujesz, nie bierze chłopców?

– Nie majom tak zwinnych paluszków co dziewuchy, nie? – Chłopak wyszczerzył zęby jak zdziczały pies. – No i nie robię dla żadnego śmierdzącego stręczyciela. Ty to się pilnuj przed człowiekiem, co mi płaci: wielmoża z niego.

– Co za wielmoża?

Młodzik strzelił oczami ponad ramieniem Wintera.

Winter uchylił się, o włos unikając ciosu wymierzonego w jego głowę. Mężczyzna odskoczył do tyłu. Ale chłopak już się oswobodził i pognał za starszym towarzyszem.

Winter w pierwszym odruchu puścił się za nimi, ale zatrzymał się, przypomniawszy sobie o dziecku. Zawrócił po chłopczyka.

Malec leżał tam, gdzie Winter go zostawił, nadal nieruchomy. Oczy rozszerzyły mu się, kiedy Winter podszedł i podniósł go, zawiniętego w obszarpany koc. Chłopczyk wydawał się zbyt lekki. Bez wątpienia był niedożywiony, jak większość dzieci w St. Giles. Jeśli przed śmiercią matki miał jakieś ubrania, oczywiste, że ukradli je pozostali mieszkańcy domu.

Na ramionach Wintera rozsiadł się mroczny ciężar. Owszem, ocalił tego chłopczyka, ale łowcy dziewek nadal grasowali w St. Giles, uprawiając swój niecny proceder nawet w tej chwili.

– Jak masz na imię? – szepnął Winter do malca, odgarniając mu z czoła złote włosy.

Chłopczyk wyciągnął pulchną rączkę i w zadziwieniu ścisnął w palcach zakrzywiony nos maski Wintera. Kiedy to zrobił, z piąstki wypadł mu skrawek papieru.

Winter schylił się po papier. Malec był nagi, musiał więc wydrzeć świstek chłopakowi, który go porwał. Winter nie potrafił stwierdzić co, jeśli w ogóle cokolwiek, zapisano na tym skrawku, ale wyczuł fragment woskowej pieczęci. Ostrożnie wsunął papier do kieszeni, a później objął dziecko.

– Zabierzmy cię do przytułku, Josephie Chance.

* * *

– Zacznijmy zatem – powiedziała Isabel nazajutrz wczesnym popołudniem. – W tańcu z damą należy pamiętać przede wszystkim o tym, żeby nie deptać jej po palcach.

Winter Makepeace, jak zwykle w czarnej kamizelce i czarnym kaftanie, przywodził jej na myśl z lekka rozbawionego stracha na wróble. Skinął posępnie głową.

– Dołożę starań, by oszczędzić pani palce, milady.

– To dobrze. – Isabel zaczerpnęła tchu i wbiła wzrok przed siebie. Znajdowali się w jej sali balowej, uroczej przestrzeni o posadzce z zielonego i czarnego marmuru, gdzie stał ceniony przez nią klawesyn, czerwony ze złotymi wykończeniami. – Butterman ma niejakie uzdolnienia, jeśli idzie o klawesyn, i zgodził się zapewnić nam muzykę do tańca.

Kamerdyner ukłonił się dostojnie ze swego miejsca przy instrumencie.

– Jak miło – mruknął pan Makepeace.

Isabel spojrzała nań ostro, ale z lekkim zaskoczeniem stwierdziła, że na jego twarzy nie widać choćby cienia sarkazmu. W rzeczy samej, skinął kamerdynerowi głową na znak podziękowania, a Butterman, sam jakby nieco zaskoczony, odwzajemnił ukłon. Być może sarkazm był przeznaczony wyłącznie dla niej.

Przygnębiająca myśl.

– Zaczynamy?– spytała z werwą, wyciągając ku niemu rękę.

Ciepłymi palcami ujął jej dłoń i popatrzył na nią z powagą.

– Jak pani sobie życzy.

– Na trzy. Raz i dwa, i trzy.

Rozpoczęła krokami, które wcześniej zademonstrowała panu Makepeace'owi, i ze zdumieniem przekonała się, że nie tylko przyswoił je za pierwszym razem, ale w dodatku porusza się z gracją.

Spojrzała nań z ukosa i odkryła, że również na nią patrzy z wyrazem nieznacznego rozbawienia na twarzy, jakby czytał w jej myślach.

– Kiedy nauczyła się pani tańczyć, milady?

Na uderzenie serca znaleźli się naprzeciw siebie, a potem rozdzielili się i łagodnie od siebie odstąpili.

– Och, jeszcze jako dziewczynka – odparła na bezdechu, mimo że taniec był wolny. – W wieku dwunastu lat miałam nauczyciela tańca, udzielającego lekcji równocześnie mnie i mojej kuzynce, z którą, niestety, nieszczególnie się dogadywałam.

Odwrócili się i stąpali równolegle.

– Nie miała pani rodzeństwa? – zapytał.

– Miałam starszego brata, ale umarł we wczesnym dzieciństwie, przed moim narodzeniem. Teraz proszę ująć mnie za rękę.

Zrobił to, otulając jej dłoń swoją, dużą i ciepłą, kiedy go okrążała.

– Pani dzieciństwo wydaje się samotne – skomentował na tyle cicho, żeby Butterman nie usłyszał.

– Doprawdy? – Znów znalazła się naprzeciw niego. – Ale takie nie było. Miałam wielu przyjaciół, a ta sama kuzynka, z którą w młodości darłam koty, jest mi teraz bardzo bliska. Były przyjęcia, herbatki, pikniki na wsi. Miałam niezwykle szczęśliwe dzieciństwo. – Odpowiedziała dygnięciem na jego ukłon. – Kiedy dostatecznie podrosłam, zadebiutowałam w towarzystwie… spotykając się z wielce życzliwym przyjęciem, jeśli wolno mi się pochwalić.

Jego ciemne oczy rozbłysły.

– Wierzę. Na pewno tłumy młodych arystokratów padały pani do stóp.

– Niewykluczone.

Pokręcił głową.

– Zastanawiała się pani, czego szuka u męża? Z jakiego pokroju mężczyzną pragnie pani spędzić resztę życia?

Do czego zmierzał?

– Przypuszczam, że interesowała mnie głównie elegancja i forma, jak większość młodych dziewcząt – udzieliła ostrożnej odpowiedzi.

Zmrużył oczy.

– A mimo to wyszła pani za Beckinhalla?

Roześmiała się, nie zdołała się powstrzymać.

– W pana ustach brzmi to tak, jakby biedny Edmund oznaczał okrutny wyrok losu. Nie

był nim, proszę mi wierzyć. Bardzo go lubiłam, z wzajemnością.

– Był także znacznie od pani starszy – zauważył z twarzą bez wyrazu.

– Nie, tutaj w lewo. – Wzruszyła ramionami, kiedy okrążał ją we wskazanym kierunku. – I cóż z tego? W wielu małżeństwach występuje różnica wieku. – Popatrzyła nań filuternie, nagle zapragnąwszy go sprowokować: był dziś taki poważny! – Zapewniam pana, że moje małżeństwo dostarczyło mi mnóstwo… satysfakcji.

Spletli ręce, mieli bowiem zaraz odskoczyć na boki, ale pociągnął ją mocno, tak że na niego wpadła.

Sapnęła głośno i podniosła nań wzrok, przestraszona.

Klawesyn szczęknął fałszywie, zanim Butterman przywołał się do porządku.

– Ojej – wycedził pan Makepeace. – Ogromnie przepraszam.

Isabel zmrużyła oczy. Przy każdym oddechu napierała biustem na jego klatkę piersiową.

– Proszę uważać, panie Makepeace. Skomplikowane manewry, takie jak ten, który właśnie usiłował pan wykonać, lepiej pozostawić osobom bardziej doświadczonym.

– Pod pani przewodnictwem, madame, mam nadzieję już wkrótce nabrać wprawy – rzekł, przy czym zadrgały mu kąciki ust.

– Tak, cóż… – Odstąpiła, starając się odzyskać oddech. – Spróbujemy ponownie?

Ukłonił się.

– Jeśli pani sobie życzy.

– Życzę sobie. – Kiwnęła w stronę Buttermana.

Znów stanęli zwróceni do przodu, powtarzając kroki, choć nie wiedziała po co, gdyż najwyraźniej opanował je w piekielnie krótkim czasie. Kiedy nań zerknęła, przyglądał się jej z zadumą.

– Pens za pańskie myśli – rzekła cicho.

– Myślałem – odparł, przystępując do niej – jakim głupcem musiał być pani mąż, że panią porzucił.

Zebrała się w sobie, ale jego słowa nadal bolały.

– Niczego takiego nie mówiłam.

Tylko na nią patrzył.

Zaczerpnęła tchu.

– Zapewniam pana, że mnie to nie obeszło. W mojej sferze małżeństwa często opierają się bardziej na przyjaźni niż namiętności.

– A jednak jest pani kobietą namiętną – szepnął, ujmując jej dłoń i unosząc w górę. Okrążali się nawzajem, kiedy spytał: – Czy komukolwiek zależało na pani dla niej samej?

Podniosła wzrok i się roześmiała.

– Takie pytanie z ust mężczyzny, który troszczy się o wszystkich, podczas gdy o niego nie troszczy się nikt?

Zmarszczył nieznacznie brwi.

– Wcale…

– Nie, nie – powiedziała cicho, kładąc dłonie na jego mocnych biodrach i odwracając go. – W ten sposób. I doskonale wie pan, o co mi chodzi.

Przestali tańczyć, nie zważając na grającą nadal muzykę.

– Wiem? – zapytał.

– Może i wywodzimy się ze skrajnie różnych środowisk, panie Makepeace – mruknęła. – Zapewniam pana jednak, że potrafię rozpoznać osobę równie samotną jak ja.

Znieruchomiał.

– Nieustannie mnie pani zaskakuje, milady.

– Co pan robi nocami – wyszeptała impulsywnie – kiedy wszystkie dzieci już śpią? Leży pan samotnie w łóżku… czy przemierza ulice St. Giles?

Jego twarz się zamknęła, jakby ktoś zatrząsnął drzwi.

– Nieustannie również zaprząta pani moją uwagę – mruknął, odstępując od niej – podczas gdy wiem, że zagraża pani mojej misji w St. Giles.

Ściągnęła brwi. Misji? Zabrzmiało bardzo religijnie. Z pewnością nie…

– Na dziś wypada nam chyba zakończyć lekcję – dodał.

Ukłonił się i wyszedł, nim zdążyła zareagować.

– Czy mam się oddalić, milady? – zapytał nieśmiało służący.

– Tak. Tak, to wszystko, Butterman. Dziękuję – odparła w rozkojarzeniu Isabel, ale potem zmieniła zdanie. – Proszę zaczekać.

– Milady?

Popatrzyła na kamerdynera, człowieka, który był u niej na służbie od momentu jej zamążpójścia. Do tej pory nigdy tak naprawdę się nad tym nie zastanawiała, ale ufała mu bezgranicznie. To rozstrzygnęło sprawę.

– Chciałabym, żebyś wykonał dla mnie trochę nietypowe zadanie.

– Jestem zawsze do pani usług, milady – rzekł z ukłonem.

– I dziękuję za to – odparła ciepło. – Chciałabym, żebyś dowiedział się jak najwięcej na temat Ducha St. Giles.

Butterman nawet nie mrugnął.

– Oczywiście, milady.

Długo po tym, jak kamerdyner wyszedł zająć się powierzonym mu zadaniem, Isabel nadal wpatrywała się w drzwi, za którymi zniknął zarządca przytułku.

W pewnym momencie ich potyczki trafiła w czuły punkt pana Makepeace'a, a jego reakcja ją zaskoczyła. Będzie musiała intensywnie pomyśleć nad kolejnym krokiem.

* * *

Kolacja w przytułku zawsze była wydarzeniem z lekka chaotycznym.

– Amen. – Winter uniósł głowę, kiedy nierówny chór dziecięcych głosów zakończył modlitwę przed wieczornym posiłkiem.

Dobrze było znaleźć się znów w sierocińcu po popołudniowym starciu z lady Beckinhall. Dama zawędrowała zbyt blisko – zarówno Ducha St. Giles, jak i jego wewnętrznej bestii. Minionej nocy śnił o niej w wielce niedwuznaczny sposób. Obudził się z pewną częścią ciała twardą i chętną i trzeba było całej godziny przygotowywania lekcji i pisania listów, by jego członek opadł. Nawet teraz samo wspomnienie świetlistych piersi ze snu, podsuwanych mu rozkosznie, wystarczyło, by…

– Może pan podać sól? – odezwał się Joseph Tinbox, przerywając jego niestosowne rozmarzenie.

– Tak, oczywiście – odparł Winter, spełniając prośbę.

Z przyjemnym wyczekiwaniem spojrzał na swój talerz. Tego wieczoru mieli spożywać cudownie sutą potrawkę wołową z chrupiącym chlebem i kremowym serem w roli dodatków. Pani Medina jako kucharka przytułku przerosła jego oczekiwania.

– O rany! Wielbiam potrawkę wołową! – wykrzyknął siedzący naprzeciw Wintera Joseph Tinbox, ubierając w słowa jego własne myśli.

– Uwielbiam potrawkę wołową, Josephie Tinbox – poprawił go łagodnie Winter.

– Ja też – pisnął u boku Wintera Henry Putman, nie zorientowawszy się, o co chodzi. – A ty lubisz potrawkę wołową, Josephie Chance?

– Ta! – Nowy chłopczyk żywiołowo pokiwał głową, podnosząc do ust kopiastą łyżkę potrawki.

– Gdybym to ja decydował – oznajmił Henry Putman – byśmy jedli wołowinę co wieczór.

– Ale wtedy by nie było zapiekanki rybnej – zaoponował Joseph Smith, zajmujący miejsce u drugiego boku Wintera.

– Kiedy i tak mało co jadamy zapiekankę rybną – wytknął mu Joseph Tinbox. – No i nikt poza tobą jej nie lubi, Josephie Smith.

Wyczuwając, że gusta kulinarne potencjalnie mogą stać się zarzewiem konfliktu, Winter odkaszlnął.

– Jak tam twoje postępy w studiowaniu Biblii, Josephie Tinbox?

– Apokalipsa – odparł Joseph. – Rewelacja, psze pana. Smoki i strumienie krwi, i…

– Tak, rzeczywiście – przerwał mu pospiesznie Winter. – Henry Putmanie, którego psalmu twoja klasa uczy się na pamięć w tym tygodniu?

– Psalmu 139 – odrzekł smętnie Henry. – Jest długi.

– Ale bardzo piękny, nie sądzisz? – spytał Winter. – „Jeśli powiem: «Niech mię przynajmniej ciemności okryją i noc mnie otoczy jak światło»; / sama ciemność nie będzie ciemna dla Ciebie, a noc jak dzień zajaśnieje: «Mrok jest dla Ciebie jak światło»”[3].

Henry z powątpiewaniem rozgniatał sobie nos.

– Skoro pan tak mówi, psze pana. Ja po prostu nie łapię, o co w tym chodzi.

– Chodzi o to, że Pan widzi w ciemności – wyjaśnił Joseph Tinbox z autorytetem jedenastolatka.

– Oraz że zarówno za dnia, jak i w nocy nikt nie ukryje się przed Bogiem – dodał Winter.

Na twarzach przy stole odmalował się nagły niepokój.

Winter łagodnie westchnął.

– Co jeszcze się dziś działo pod moją nieobecność?

– Dodo i Sadza stoczyły walkę – poinformował go Joseph Smith.

– A jak! – Henry Putman machnął łyżką, tak że niewiele brakowało, a potrawka znalazłaby się we włosach Josepha Chance’a. – Sadza spała sobie w kuchni przy piecu, a tu wchodzi Dodo i zbliża się za bardzo. No to Sadza jak nie podskoczy i drap Dodo po nosie! Ale Dodo się nie dała i szczekała tak długo, aż Sadza zwiał na zewnątrz.

Winter uniósł brwi.

– Naprawdę? Odważny ten Dodo. Nie wiedziałem, że taki z niego wojownik.

– Z niej – skorygował Joseph Tinbox. – Dodo to pani pies.

– Ach tak? – Winter rozerwał chleb.

– No – odparł Joseph Tinbox. – I do tego przepada za serem.

– Hm. – Winter spojrzał na chłopca surowo. – Psy często lubią ser, ale ten niekoniecznie im służy. Poza tym nie chcemy tracić dobrego sera na psa, prawda?

– Taaak… – Joseph przeciągnął słowo, jakby nie do końca pewien, czy się zgadza.

Winter postanowił odpuścić.

– A jak się miewa sama Peach?

– Już siada. – Joseph Tinbox się rozpromienił. – I może tulić Dodo.

– Aha. Mówiła coś więcej?

Między brwiami Josepha pojawiła się zmarszczka zatroskania.

– Nie, jeszcze nie. Pewno musi pierw nabrać sił, nie sądzi pan, psze pana?

Winter przytaknął w rozkojarzeniu, a rozmowa chłopców zeszła na temat ulubionych słodyczy. Prywatnie mężczyzna miał jednak pewne zastrzeżenia. Dziecko nie sprawiało wrażenia intelektualnie niedorozwiniętego, a z raportów składanych mu przez Nell i Mary Whitsun wynikało, że pod względem fizycznym stan Peach się poprawia. Mimo to nie chciała rozmawiać z nikim poza Josephem.

Dlatego po zakończonym posiłku Winter upewnił się, że chłopcy zmierzają bezpiecznie na wieczorną modlitwę, a następnie wślizgnął się do kuchni.

Pani Medina nadzorowała szorowanie garnków, ale podniosła wzrok, kiedy Winter wszedł.

– Przyszedł pan zobaczyć, jak się sprawuję, panie Makepeace?

– Skądże znowu – odparł Winter. – Prawdę mówiąc, przyszedłem błagać o przysługę, pani Medino.

– Znaczy?

– Zostało pani jeszcze trochę tego wyśmienitego sera, który podała pani na kolację?

– Przypadkiem zostało. – Pani Medina podeszła żwawo do kredensu i otworzyła górne drzwiczki kluczem, który nosiła na sznurku u pasa. – Nie najadł się pan?

– Prawdę mówiąc, najadłem się całkiem porządnie – wymamrotał Winter. – To dla… eee… Peach.

– Ach. – Kucharka pokiwała mądrze głową, odcinając trójkąt sera, który zawinęła następnie w płótno i podała Winterowi. – Z tego, coch słyszała, kruszynie trza czegoś ekstra.

– W rzeczy samej – przyznał ponuro Winter.

Pani Medina wskazała gestem tacę.

– Przygotowałam dla niej kolację, ale żadnej z dziewczyn nie stało chwili, coby jej to zanieść, bieduli. Może weznę tacę i pójdę z panem?

– Oczywiście – odparł Winter. Niewykluczone, że matczyna troska pomoże Peach odzyskać mowę. – Bardzo miło z pani strony.

– Nic takiego – burknęła pani Medina.

Chwyciła tacę i razem wspięli się po schodach do izolatki.

Kiedy weszli do pokoju, Winter pomyślał, że zarówno dziewczynka, jak i pies śpią na wąskiej pryczy. Potem Dodo podniosła głowę i tradycyjnie warknęła bez większego przekonania. Kiedy spojrzał na twarz Peach, przekonał się, że oczy dziewczynki są szeroko otwarte.

Pani Medina chrząknęła, stawiając tacę na stole.

– Zadziora z tej tutej. Wdała się w bójkę z kocurem w kuchni dziś po południu.

– Słyszałem – odparł z przekąsem Winter, przyciągając krzesło do łóżka. – Dobry wieczór, Peach.

Dziecko nijak nie zasygnalizowało, że usłyszało powitanie, ale spojrzenie wielkich oczu wbijało się w twarz Wintera.

Winter skinął głową, jakby Peach udzieliła mu pełnej odpowiedzi.

– Nie wiem, czy mnie pamiętasz, ale to ja znalazłem cię w uliczce.

Żadnej reakcji, jeśli nie liczyć mocniejszego zaciśnięcia wątłych ramion wokół szyi psa.

– Ach. Byłbym zapomniał.

Wyjął z kieszeni trójkąt sera. Dodo wyciągnęła szyję, węsząc skwapliwie, nim jeszcze

do końca odwinął płótno. Joseph Tinbox miał rację: pies istotnie przepadał za serem.

– Pani Medina, nasza kucharka, przygotowała dla ciebie kolację. Mogę zaświadczyć, że bardzo smaczną. – Obejrzał się na panią Medinę, która w milczeniu zajęła miejsce przy drzwiach.

Kobieta pochwyciła jego spojrzenie i statecznie skinęła głową.

Winter znów popatrzył na dziecko.

– Przyniosłem też prezent dla twojej suczki, Dodo. Chciałabyś jej go dać?

Przez chwilę obawiał się, że fortel nie zadziała. Później Peach wyciągnęła rękę.

Winter odłamał kawałek sera i położył na jej maleńkiej dłoni.

– Tamtej nocy na pewno bardzo się bałaś i bardzo zmarzłaś – powiedział, przyglądając się, jak dziewczynka daje psu ser.

Odłamał kolejny kawałek i wyciągnął w jej stronę.

Po krótkim wahaniu także i on został podsunięty psu.

– Cały czas się zastanawiam, skąd się tam wzięłaś. – Winter podawał jej kolejne kawałki sera. – Wtedy w nocy było bardzo zimno, dlatego nie sądzę, żebyś długo leżała na ulicy. Mieszkałaś w pobliżu? Czy przyszłyście tam, ty i Dodo?

Odpowiedzią była cisza, którą zakłócały jedynie odgłosy psiego mlaskania.

Ser się skończył, a Winter czuł, że dziewczynka nie zje kolacji, dopóki on przebywa w pokoju.

Wstał.

– Kiedy będziesz w stanie mówić, bardzo chciałbym usłyszeć twój głos, Peach.

Już się odwracał, dlatego mało brakowało, a przegapiłby szept, który dobiegł z łóżka.

Obejrzał się.

– Przepraszam?

– Pila – szepnęło dziecko. – Mam na imię Pila.

Winter zamrugał.

– Pila?

– Pilar – powiedziała znienacka pani Medina. Winter zauważył, że ma dziwną minę. Zrobiła krok w stronę łóżka. – Nazywasz się Pilar, zgadza się?

Dziecko skinęło głową, raz, spazmatycznie, a później skurczyło się pod przykryciami.

Kucharka spojrzała na Wintera, po czym wyszła z pokoju. Podążył za nią, cicho zamykając za sobą drzwi.

– Skąd pani wiedziała, jak jej na imię? – spytał zaciekawiony. – Pilar to hiszpańskie imię, prawda?

Pani Medina zasłaniała dłonią usta i przez chwilę zdawało mu się, że w jej oczach połyskują łzy.

Potem zabrała rękę i przekonał się, że wargi wykrzywia jej grymas gniewu.

– Pilar to też imię portugalskie. – Wypowiedziała „portugalskie” z akcentem innym niż angielski. – Wiem, bo ona jest jak ja. Jest córą Abrahama.

* * *

– Nie mogę w tym pójść – oznajmił pięć dni później Winter Makepeace z doprowadzającym do szału spokojem.

Jedynie gigantycznym wysiłkiem woli Isabel powstrzymała się od przewrócenia oczami.

– Jest w czerniach i brązach. Jak najbardziej stateczny.

Pan Makepeace spojrzał na nią z powątpiewaniem, przypuszczalnie dlatego, że choć spodnie i kaftan jego nowego stroju istotnie były czarne, a kamizelka brązowa, nazwanie tej ostatniej stateczną wymagało horrendalnej wyobraźni.

Wyśmienicie skrojone kaftan i spodnie uszyto ze lśniącego czarnego jedwabiu, o odcieniu tak nasyconym, że aż niebieskawym. Kieszenie, rękawy, obrzeża i przód kaftana wykończono wytłaczanymi srebrnymi guzikami. No i kamizelka. Cóż, kamizelka to był majstersztyk. Isabel westchnęła, spoglądając na wspaniały tors pana Makepeace'a. Określanie koloru kamizelki mianem brązu zakrawało na zbrodnię. Była w najcudniejszym tabakowym odcieniu, wzdłuż krawędzi i patek kieszeni haftowana elegancko nićmi barwy jabłkowej zieleni, srebrnej, jasnoniebieskiej i różowej.

– Nie widziałam jeszcze tak wytwornej kamizelki – oznajmiła Isabel, usadowiona wygodnie na sofie w swojej bawialni. – Książę nie powstydziłby się takiej założyć.

Nie potrafiła ukryć satysfakcji – zarówno z powodu doskonałego kroju jego nowych ubrań, jak i faktu, że w końcu powrócił do jej domu. Od czasu tamtej lekcji tańca pan Makepeace przesyłał wymówki, unikając kolejnej lekcji lub choćby spotkania, i tak aż do dzisiejszego wieczoru. Zaczęła już myśleć, że dokumentnie go odstraszyła.

Teraz stał przed lustrem nad jej kominkiem i nerwowo szarpał halsztuk przy szyi. Posłał jej ironiczne spojrzenie.

– Nie jestem księciem.

– Nie, ale będzie się pan obracał wśród książąt. – Isabel wstała i złapała go za rękę. – Niech pan przestanie. Zniweczy pan dokonania wynajętego przeze mnie lokaja, który tak starannie pana ubrał.

Znienacka pan Makepeace odwrócił rękę, tak że teraz to on trzymał jej palce. Przekrzywił głowę, przyglądając się jej tymi tajemniczymi brązowymi oczami, a później wolno – bardzo wolno – opuścił głowę i ucałował opuszki jej palców.

Zaczerpnęła tchu i popatrzyła mu w oczy. Niech go diabli! Dlaczego dotyk tego mężczyzny na jej palcach wywoływał żar w jej brzuchu? I czemu pogrywał z nią w ten sposób?

– Jak pani sobie życzy – rzekł cicho, prostując się.

– Życzę sobie – odparła cokolwiek niezrozumiale. Wyszarpnęła dłoń i wygładziła spódnice. – Kareta czeka, jeśli przeszły już panu te panieńskie rozterki.

– Przeszły. – Usta mu drgnęły, kiedy podawał jej ramię.

– To dobrze – mruknęła, żeby tylko coś powiedzieć, i wsparła palce na jego przedramieniu, kiedy prowadził ją ku drzwiom.

Chłód nocy przyjemnie muskał jej ramiona, kiedy pan Makepeace pomagał jej wsiąść do karety. Założyła dziś haftowaną kremową suknię o ciężkich, powłóczystych spódnicach, a kiedy sadowiła się w karecie, przyszło jej do głowy, że kolory pana Makepeace'a ładnie komponują się z jej własnymi.

Popatrzyła na niego, kiedy zajmował miejsce naprzeciw. Coś zaszeleściło, gdy się poruszył, i spostrzegła wybrzuszenie w kieszeni jego kaftana.

– Ma pan coś w kieszeni? – spytała. – Niewiarygodne, że pan Hurt uszył prawdziwe kieszenie.

– Poprosiłem go o to. – Pan Makepeace zerknął na nią, wyjmując z kieszeni pognieciony świstek papieru. – Atrapy wydają mi się marnotrawstwem materiału.

– Ale zniszczy pan linię, jeśli będzie wkładał rzeczy do kieszeni. – Isabel nachyliła się, żeby spojrzeć na plamę na papierze. – A w ogóle co to takiego?

Wzruszył ramionami.

– Coś, co znalazłem w dłoni pewnego chłopczyka.

– To herb d'Arque'a – powiedziała, gdy uzmysłowiła sobie, że patrzy na czerwoną woskową pieczęć. – Kim był chłopczyk, który to miał?

– Rozpoznaje ją pani? – Przeciągnął szerokim kciukiem po kleksie stwardniałego wosku.

– Tak mi się zdaje. – Wzięła od niego papier i przytrzymała w świetle rozkołysanej latarni karety. – Tak, widać sowę. To dość charakterystyczny element.

Skrawek papieru wyglądał na oderwany od listu, z pieczęcią nadal doczepioną do krawędzi. Nabazgrano na nim – ręką osoby najwyraźniej ledwie piśmiennej – dwa słowa:

chapl al

Spojrzała na drugą stronę. Tutaj także znajdowały się zapiski, lecz elegantszą, bardziej wyrobioną ręką:

12 październ

Ostatnie litery „października" oderwano. Znów odwróciła papier i popatrzyła na pana Makepeace'a.

– Wątpię, by na tej stronie to było pismo d'Arque'a, ale data mogła wyjść spod jego ręki, a pieczęć z całą pewnością jest jego. Dziwne. Jak pańskim zdaniem chłopiec z St. Giles znalazł coś takiego?

Wziął od niej skrawek papieru, w zamyśleniu oglądając go z obu stron.

– Dobre pytanie. Proszę mi opowiedzieć o tym d'Arque'u.

Odwróciła wzrok i beztrosko wzruszyła ramionami.

– Wkrótce go pan pozna: na pewno będzie dzisiaj na balu. Wicehrabia d'Arque. Odziedziczył tytuł po stryju, jak mi się zdaje, nie tak dawno temu… może trzy lata?

– To młody człowiek?

Oparł się tymczasem o poduszki, dzięki czemu górna połowa jego twarzy znalazła się w cieniu. Isabel nie mogła nic wyczytać z jego oczu, widziała jedynie usta.

– Młody to pojęcie względne, nieprawdaż? – Przekrzywiła głowę, wpatrując się w niego. – Przypuszczam, że jest niewiele starszy ode mnie, jeśli dla pana to nadal młodość.

Uśmiechnął się nieznacznie.

– Owszem.

Czuła, jak na jej policzki wspina się rumieniec – niech diabli porwą tego mężczyznę!

– Większość osób miałaby na ten temat odmienne zdanie, jak sądzę. Mam trzydzieści dwa lata i pochowałam męża. Daleko mi do świeżej panny, panie Makepeace.

– Ale daleko pani także do zramolałej starowinki, milady – odparował. – Pani uważa, że lord d'Arque jest stary?

– Oczywiście, że nie. – Westchnęła i odwróciła wzrok. – Niemniej mężczyźni nie starzeją się tak szybko jak kobiety. Wielu oceniłoby, że jest w kwiecie wieku.

– A pani?

Uśmiechnęła się – bynajmniej nie miło – i popatrzyła znów na niego.

– Tak. Tak, ja zapewne też.

Zacisnął wargi.

– Jest przystojnym mężczyzną.

Czyżby był zazdrosny? I dlaczego na myśl o takiej możliwości przebiegł ją lubieżny dreszcz?

– Tak. – Nic nie poradziła na to, że do jej głosu wkradł się gardłowy pomruk. – Jest wysoki, dobrze zbudowany i porusza się ze swego rodzaju zwierzęcą gracją, która przyciąga spojrzenia kobiet. I jest błyskotliwy. Ma talent do mówienia najbardziej prozaicznych rzeczy… aż dopiero po fakcie człowiek uzmysławia sobie ich dwuznaczność albo ukryty w nich druzgocący przytyk. To naprawdę nie lada umiejętność.

– Mhm. – Te żywotne, szerokie, grzesznie rozkoszne wargi prawie się nie poruszyły. – Ja zaś mówię wyłącznie otwarcie… przeważnie zbyt otwarcie.

– Tak.

Znienacka pochylił się do przodu, aż pisnęła z zaskoczenia. Jego twarz znalazła się w świetle i Isabel ujrzała przyczajony gniew – gorący i dziki – w tych zwykle spokojnych brązowych oczach.

Puls przyspieszył jej trzykrotnie.

– Czy bardziej bym się pani podobał, gdybym umiał się mizdrzyć i lawirować? – zapytał ostro.

Pod wpływem jego nagłej agresji odpowiedziała bez zastanowienia, prosto z serca:

– Nie. Podoba mi się pan taki, jaki jest.

Wyznawszy to, oblizała wargi, a on z zadumą spojrzał na jej usta. Odczuła to spojrzenie jak żagiew. Fizyczny dotyk bardziej intymny niż miłosne igraszki. W zadziwieniu rozchyliła usta, podczas gdy on wędrował wzrokiem w górę, aż popatrzył jej w oczy, choć raz odsłonięty.

Dobry Boże, co też zobaczyła w tym spojrzeniu! Nie miała pojęcia, jak zdołał przez tyle lat ukrywać się za maską prostego nauczyciela. Gniew, namiętność, żądza i wzbierający głód wirowały w jego burzliwych oczach. Emocje tak pierwotne, tak silne, że nie pojmowała, jakim cudem utrzymywał je pod kontrolą. Wyglądał, jakby miał ją zaatakować, zniewolić, a później podbić Londyn i cały świat. Mógłby być wojownikiem, mężem stanu, królem.

Kareta stanęła, a wtedy poruszył się pierwszy.

Wyciągnął ku niej rękę.

– Wysiądziemy, abym mógł poznać tego wicehrabiego d’Arque’a?

A gdy Isabel wsunęła drżące palce w jego dłoń, odniosła silne jak cios wrażenie, że właśnie podjęła wyzwanie.

Rozdział 7

– Tak – wyszeptał Arlekin ostatkiem tchu.
Tracił już kolory, przyoblekając się w biel śmierci, ale wówczas oczy
tajemniczego mężczyzny zapłonęły czerwienią.
– Niechże się tak stanie – szepnął nieznajomy.
I natychmiast Arlekin znów był cały, jego kończyny proste i zdrowe.
Pod każdym względem wyglądał tak jak zawsze, z wyjątkiem dwóch
szczegółów: jego oczy pozostały białe i miał teraz dwa miecze…
a żadnego z nich nie wykonano z drewna…
– z Legendy o Arlekinie – Duchu St. Giles

Winter poczuł na ramieniu smukłe palce Isabel i przeszył go dreszcz satysfakcji. Nawet jeśli pociągał ją ten cały d'Arque – błyskotliwy mężczyzna bliższy jej wiekiem i zajmujący tę samą pozycję społeczną – w tej chwili wspierała się na ramieniu Wintera.

Opuściwszy karetę, pamiętał o tym, by odwrócić się i pomóc jej wysiąść. Uśmiechnęła się w podziękowaniu, a tymczasem zajeżdżała już kolejna kareta. Winter podniósł wzrok akurat w porę, żeby zobaczyć charakterystyczną sowę w herbie na drzwiach pojazdu. Zmrużył oczy, wpatrując się w stangreta, który wydał mu się złowieszczo znajomy.

– Nie ma potrzeby się denerwować – szepnęła Isabel, mylnie interpretując powód jego zwłoki.

Skinął głową.

– Nie z panią u mego boku, naturalnie, milady.

Dopiero wtedy Winter spojrzał na miejską rezydencję księżnej Arlington. Był to jeden z najokazalszych domów w Londynie, jak głosiły plotki, częściowo sfinansowany przez królewski romans poprzedniej księżnej. Nawet jeśli tak, obecna księżna kompletnie zmieniła wystrój, czym pogrążyła włości swego męża w głębokich długach.

Wskazywała na to zresztą również wystawność balu.

Zastępy lokajów w liberiach wprowadzały gości do przestronnego holu, oświetlonego rzęsiście za sprawą ogromnych żyrandoli. Imponujące schody prowadziły na piętro, gdzie we wspaniałej sali balowej było już tłoczno od spoconych, uperfumowanych ciał.

Winter nachylił się do ucha Isabel, wdychając jej woń lawendy i limony.

– Jest pani pewna – szepnął – że obracając się wśród tych arystokratów, przysłużę się przytułkowi?

– Absolutnie – odszepnęła, a w jej ochrypłym głosie pobrzmiewał śmiech. – Chodźmy, przedstawię pana paru osobom.

Weszli do sali balowej, a zmysły Wintera się wyostrzyły. D'Arque był tutaj tego wieczoru. Wkrótce pozna mężczyznę, który stanowił jego jedyną wskazówkę na temat łowców dziewek z St. Giles.

Choć Isabel wspierała się na jego ramieniu, w istocie to ona dyskretnie prowadziła go przez zbiorowisko. Ściany sali balowej pomalowano na łagodny, zielono-niebieski odcień z kremowymi i złotymi akcentami. Pomieszczenie w takich barwach powinno wywierać kojące wrażenie, ale było wprost przeciwnie. Zebrani tu ludzie śmiali się i toczyli głośne rozmowy. Kwartet muzyków usiłował przygrywać do tańca, a odór ludzkich mas oraz gorącego wosku z płonących świec niemalże przytłaczał.

Dziwne, że sala balowa pełna wyperfumowanej arystokracji może cuchnąć równie

mocno jak zagnojone ulice St. Giles.

– Kogo chciałaby pani, żebym dziś poznał? – wymamrotał Winter, kiedy parli wolno naprzód.

Isabel wzruszyła ramionami.

– Och, samą śmietankę, jak sądzę. – Nachyliła się ku niemu i poklepała go po ramieniu złożonym wachlarzem. – Czyli ludzi, którzy mogą zrobić dla przytułku najwięcej.

– Takich jak? – Uniósł brwi.

Skinęła głową w kierunku dwóch wyprostowanych jak struna dżentelmenów, idealnie uosabiających filary londyńskiego towarzystwa. Zbliżyli do siebie głowy, najwyraźniej omawiając coś ważnego.

– Książę Wakefield, na przykład.

Spojrzał na wysokiego ciemnowłosego mężczyznę.

– Starszy brat lady Hero i lady Phoebe, jak sobie przypominam.

– We własnej osobie. – Isabel pokiwała głową. – Jest bardzo potężny… no i oczywiście bajecznie bogaty. Wakefield to wiodąca siła w parlamencie. Krążą pogłoski, że sir Robert Walpole nie wykona żadnego ruchu bez konsultacji z nim. A jego towarzysz, markiz Mandeville, jest niemal równie wpływowy. To starszy brat lady Margaret, naturalnie. Przedstawiłabym im pana, ale wygląda na to, że zaangażowali się w jakąś poważną dyskusję.

– Poszukajmy więc innej zwierzyny.

– A jakże. – Isabel nieznacznie ściągnęła wargi, przeczesując wzrokiem tłum.

Winter musiał siłą odrywać wzrok od jej ułożonych w dzióbek ust.

– Och, biedaczysko! – wykrzyknęła łagodnie.

– Kto?

Ona jednak prowadziła go już w kierunku mężczyzny stojącego samotnie z boku sali. Nosił siwą perukę, a jego oczy ukryte za okularami połówkami były pełne rezerwy. Sprawiał wrażenie całkowicie odizolowanego od tłumu. Dżentelmen stał do nich częściowo plecami i odwrócił się w ich stronę, dopiero gdy znaleźli się tuż obok.

– Panie St. John – powitała go lady Beckinhall.

Brązowe oczy St. Johna rozszerzyły się za okularami, przeskakując między nimi dwojgiem, ale trwało to na tyle krótko, że większości osób umknęłaby ta reakcja.

– Lady Beckinhall. – Ujął jej palce i pokłonił się nad nimi.

Wolną ręką z wdziękiem wskazała Wintera.

– Czy mogę panu przedstawić pana Wintera Makepeace’a, zarządcę Przytułku dla Sierot i Podrzutków? Panie Makepeace, pan Godric St. John.

Winter wyciągnął dłoń do mężczyzny.

– Prawdę mówiąc, już się spotkaliśmy.

– Ach tak? – Lady Beckinhall uniosła brwi.

– Jestem przyjacielem lorda Caire’a – wyjaśnił St. John, wymieniając z Winterem uścisk dłoni. Nie uśmiechnął się, niemniej zachowywał się uprzejmie. – Byłem na miejscu, kiedy w zeszłym roku spłonął stary przytułek. Miło znów pana widzieć, panie Makepeace.

– I wzajemnie – odparł Winter. – Bardzo nam pan pomógł tamtej nocy, jak pamiętam. Zdziwiłem się, nie zobaczywszy pana na ślubie mojej siostry.

Na szczęce mężczyzny napiął się mięsień.

– Żałuję mojej nieobecności. To było wkrótce po tym, jak Clara… – St. John urwał gwałtownie i odwrócił wzrok.

– Z wielką przykrością usłyszałam o śmierci pani St. John – powiedziała cicho lady Beckinhall.

St. John przytaknął raz, spazmatycznie, i przełknął ślinę.

– Pora nam jednak ruszać dalej, muszę bowiem przedstawić pana Makepeace'a jeszcze kilku osobom – ciągnęła gładko lady Beckinhall.

Zdawało się, że Godric St. John nawet nie zauważył, kiedy się oddalili.

Lady Beckinhall nachyliła się ku Winterowi, tak że na chwilę jej delikatny zapach przebił się przez fetor panujący na sali.

– W ubiegłym roku żona pana St. Johna odeszła po długiej chorobie. Byli sobie bardzo oddani. Nie wiedziałam, że wrócił do towarzystwa.

– Aha – mruknął Winter. Obejrzał się przez ramię. St. John ponownie stał sam, wpatrzony w przestrzeń. – Przypomina żywego trupa.

– Biedaczysko. – Lady Beckinhall zadrżała. – Chodźmy. Widzę paru dżentelmenów, którym chciałabym pana przedstawić.

– Proszę prowadzić.

Gdy zbliżali się do grupki, lady Beckinhall uśmiechnęła się promiennie.

– Panowie, zastanawiam się, czy wszyscy mieliście już przyjemność poznać mojego towarzysza, pana Wintera Makepeace'a?

Kiedy rozległy się przecząco pomruki, Isabel przedstawiła Wintera trzem dżentelmenom.

– Przytułek dla Nieszczęsnych Sierot i Podrzutków, hę? – zagaił sir Beverly Williams. – Roboty po łokcie, czyż nie? W St. Giles powiadasz pan?

– W rzeczy samej – odparł Winter.

– No to radzę panu przenieść go z tego siedliska zła – parsknął sir Beverly. – Powinien mieścić się dalej na zachód, w nowszych rejonach miasta. Przy Hanover Square lub coś w tym guście.

– Wątpię, żeby było nas stać na czynsze przy Hanover Square – zaoponował łagodnie Winter. – Poza tym nasi klienci nie bywają w nowszych częściach Londynu.

– Hę? Klienci? – powtórzył sir Beverly, zdezorientowany.

– Chodzi mu o sieroty, Williams – rzekł hrabia Kershaw, jowialny mężczyzna o szerokim nosie i roziskrzonych oczach osadzonych w okrągłej twarzy. – Zgadza się, panie Makepeace?

Winter ukłonił się hrabiemu.

– Jak najbardziej, milordzie. Sieroty pochodzą z St. Giles, dlatego to tam mieści się przytułek.

– Sensowne – stwierdził trzeci mężczyzna, pan Roger Fraser-Burnsby. – Chociaż St. Giles to niebezpieczne miejsce. Czy nie grasuje tam jakiś obłąkaniec?

– Duch St. Giles. – Kershaw pokręcił głową z kwaśnym uśmiechem. – Chyba nie boisz się złych duchów? To legenda, nic więcej.

Winter poczuł na sobie spojrzenie Isabel, baczył jednak, żeby zachować na twarzy wyraz uprzejmego zainteresowania.

– Ja spotkałam tego Ducha – oznajmiła. – Dwa tygodnie temu. Znalazłam go nieprzytomnego na ulicy i naturalnie zatrzymałam karetę, żeby mu pomóc. – Popatrzyła na niego z wyzwaniem w niebieskich oczach.

Winter spokojnie pokiwał głową.

– Duch na pewno jest pani bardzo wdzięczny.

– Dobry Boże, baronowo, czy w ogóle nie dbała pani o swoją cenną osobę? – zgorszył

się sir Beverly.

– Jaka pani odważna. – Fraser-Burnsby wyszczerzył zęby w chłopięcym uśmiechu. – Niemniej ogromnie się cieszę, że wyszła pani z tego bez szwanku, madame.

Wzruszyła elegancko ramionami.

– Raczej nie byłby w stanie mnie zaatakować.

– Dziękujmy więc Bogu – zagrzmiał Kershaw. – Za to, że nic się pani nie stało, bo jeśli choć połowa opowieści o nim jest prawdziwa, ten Duch to jakiś wściekły szaleniec. Widział go pan kiedyś, panie Makepeace?

– Jedynie z oddali – odparł swobodnie Winter. – Wydaje się dosyć nieśmiały. A teraz, jeśli panowie nam wybaczą, obiecałem lady Beckinhall szklaneczkę ponczu.

Trzej dżentelmeni ukłonili się, kiedy oddalał się z Isabel.

– Dlaczego pan to zrobił? – syknęła, kiedy tylko znaleźli się poza zasięgiem ich słuchu.

Popatrzył na nią z uniesionymi brwiami.

– Czy nie użyłem stosownej wymówki?

– Tak, oczywiście, całkiem stosownej – zrzędziła. – Ale mogliśmy zostać z nimi dłużej.

– Sądziłem, że celem tego balu jest poznanie jak największej liczby osób – zauważył z cichym rozbawieniem.

Zmarszczyła nos, jakby szykowała się do sporu.

– Och, lady Beckinhall, co za miła niespodzianka.

Lady Margaret Reading wślizgnęła się przed nich i wymieniła z Isabel te dziwne udawane pocałunki w policzek, w których lubują się zaprzyjaźnione damy.

Następnie lady Margaret z wahaniem wyciągnęła dłoń do Wintera. Ujął ją i pocałował powietrze nad knykciami damy.

Kiedy się wyprostował, dziewczyna promieniała, jakby był spanielem, który wykonał szczególnie zmyślną sztuczkę.

– Panie Makepeace, wspaniale pan wygląda.

– Dziękuję, milady – odparł.

Isabel popatrzyła nań zwężonymi oczami, przypuszczalnie ze względu na jego oschły ton. Odchrząknął.

– Pani uśmiech rozjaśnia tę salę, madame.

– Och, dziękuję – odparła lady Margaret.

W niejakim rozkojarzeniu spojrzała ponad jego ramieniem, a Winter zdusił w sobie palącą potrzebę, żeby się obejrzeć. Nie znajdował się w St. Giles – prawdopodobnie nie groził mu tutaj atak.

A przynajmniej nie z rodzaju tych, do jakich był przyzwyczajony.

– Lady Beckinhall, obawiam się, że zamartwiając się, iż nie pojawi się pani tutaj dzisiejszego wieczoru, zupełnie opadłem z sił – odezwał się, przeciągając zgłoski, wysoki, przystojny mężczyzna, który stanął nagle u drugiego boku Isabel. – Lecz oto ujrzałem panią i organizm mój doznał pokrzepienia cudownością tego widoku.

Isabel roześmiała się na tę niedorzeczność i zdjęła dłoń z ramienia Wintera, żeby podać ją przybyszowi.

– No, no, lordzie d’Arque, skąd takie fantazyjne pochlebstwo? Jeśli nie będę ostrożna, zawróci mi pan w głowie.

– Tylko jeśli nie będzie pani ostrożna? – spytał lekkim tonem d’Arque, kłaniając się nad jej dłonią.

Winter zdusił warkot, pewien, że mężczyzna bynajmniej nie ogranicza się do udawania, iż całuje jej knykcie.

D’Arque wyprostował się opieszale, intensywnie wpatrzony w Isabel.

– Najwyraźniej wypada mi poćwiczyć sztukę prawienia komplementów, madame. A może pani by mi pomogła? Pod pani łagodnym przewodnictwem miałbym nadzieję poprawić się na tyle, by zasłużyć na pani słodkie uznanie.

Winter odkaszlnął.

– Dama ma już jednego ucznia.

Isabel drgnęła, jakby ten pyszałek autentycznie ją oczarował.

– Milordzie, czy mogę przedstawić panu pana Wintera Makepeace’a, zarządcę Przytułku dla Sierot i Podrzutków? Panie Makepeace, Adam Rutledge, wicehrabia d’Arque.

– A, panie Makepeace – zagadnął lord d’Arque, kiedy już wymienili ukłony. – O co chodzi z tym uczniem?

– Lady Beckinhall łaskawie zaofiarowała się przydać mi trochę ogłady – odparł beznamiętnie Winter. – Abym lepiej reprezentował przytułek.

– Ale jakiż w tym sens, proszę mi wyjaśnić? – spytał d’Arque, leniwie unosząc brwi. – Wkrótce wszak zastąpię pana w roli zarządcy.

Winter zamarł, puls łomotał mu w uszach.

– Słucham?

D’Arque przekrzywił głowę, jakby zaintrygowany.

– Lady Penelope dała mi do zrozumienia, że rezygnuje pan z funkcji zarządcy. Nie mówi pan chyba, że zmienił zdanie? Zdążyłem się już nastawić.

– Nie mam najmniejszego zamiaru porzucać mojego stanowiska w przytułku – wycedził Winter przez zaciśnięte zęby. – Ani teraz, ani nigdy.

* * *

Nikt nie mógł mieć wątpliwości, że Winter Makepeace był absolutnie wściekły.

W przypadku mężczyzny zwykle trzymającego emocje pod ścisłą kontrolą był to widok cokolwiek przerażający. Isabel instynktownie zaczęła się cofać, ale stanowczo położył dłoń na jej palcach na swoim ramieniu, zatrzymując ją przy sobie.

Lord d’Arque spojrzał spod ciężkich powiek na jej uwięzioną przez Wintera rękę, a cyniczny uśmiech stężał mu na twarzy.

– Powiedziano mi, że czas pańskiej użyteczności dla przytułku już minął, panie Makepeace.

Isabel otworzyła usta, by zaprzeczyć zarzutowi, ale Winter już mówił, cicho i groźnie:

– Nie wątpię, że pańskie informacje pochodzą od lady Penelope. Owa dama zna się na pantofelkach i rękawiczkach, brak jej wszakże praktycznego doświadczenia w prowadzeniu sierocińca w samym sercu St. Giles. Jestem i będę najlepszą osobą na tym stanowisku.

– Rzeczywiście? – Wargi d’Arque’a wygięły się w okrutnym uśmiechu. – Może panu nadal odpowiada jego pozycja w przytułku, na ile jednak rozumiem, obowiązki pana przerosły. Proszę mi wybaczyć, ale uważam, że przy tak prześwietnych patronkach, jakie pozyskał sierociniec, pan może stanowić dla niego wręcz powód do wstydu.

– Adamie! – Zszokowany okrzyk wyrwał się Isabel, nim zdążyła pomyśleć.

Poczuła, jak pod jej palcami ramię Wintera zmienia się w stal w reakcji na to, że zwróciła się do d’Arque’a po imieniu.

Lady Margaret zerknęła na nią z zaciekawieniem, podczas gdy na twarzy wicehrabiego

zagościł wyraz zadowolenia z siebie.

Isabel popatrzyła nań, unosząc chłodno brwi. Owszem, ona i Adam Rutledge prowadzili przez ostatni rok wyrafinowaną grę w uwodzenie, on subtelnie dawał do zrozumienia, że jest zainteresowany romansem, ona sugerowała, że pomysł nie jawi jej się niemiłym, niemniej jednak nie oddała mu się do tej pory.

Nie miał prawa wyglądać na tak piekielnie zadowolonego z siebie – i z pewnością nie miał prawa atakować Wintera w pokazie męskiej zaborczości.

Lady Margaret odchrząknęła, przerywając niezręczną ciszę.

– Moim zdaniem pan Makepeace jest doskonałym zarządcą i… i reprezentantem przytułku.

D'Arque ukłonił się lady Margaret.

– Ta obrona pana Makepeace'a wystawia dobre świadectwo szlachetności pani charakteru, madame.

– Pańskie słowa robią ze mnie domową kicię, milordzie – skomentowała lady Margaret z cierpkim uśmiechem.

– Domowa kicia z pazurami. – Isabel uśmiechnęła się szeroko. – Naprawdę nieładnie, że tak pan dręczy pana Makepeace'a, milordzie. Cóż pana w ogóle obchodzi zarządzanie przytułkiem?

Wicehrabia leniwie wzruszył ramionami.

– Może obudziła się we mnie nagła potrzeba czynienia dobra?

– A może interesuje pana w St. Giles coś innego? – zapytał cicho Winter.

D'Arque zmarszczył brwi, skonfundowany, a Isabel posłała Winterowi ostre spojrzenie.

– Jak na przykład? – przeciągnął zgłoski wicehrabia. – Oskarża mnie pan o sekretny pociąg do ginu?

Tym razem to Winter wzruszył ramionami.

– W St. Giles można konsumować nie tylko gin. Dziewczęta chociażby.

D'Arque wolno uniósł brwi.

– Nie sądzi pan chyba, że wolę chłopców?

– Nie mam pojęcia – odparł chłodno Winter. – Ostatecznie nie znam pana, milordzie, a zdarzają się wszak ludzie na tyle zdeprawowani, by znajdować radość w bałamuceniu dzieci.

– Zapewniam pana, że gustuję w kobietach w pełni dojrzałych. – Wicehrabia spojrzał znacząco na Isabel.

Uniosła brew i popatrzyła w inną stronę.

Znienacka d'Arque klasnął w dłonie, tak raptownie i głośno, że przestraszył stojącą obok niego lady Margaret. Zwykle prezentował światu niewzruszoną fasadę towarzyskiej ogłady, ale w tej chwili jego jasnoszare oczy płonęły autentycznym gniewem.

– Dalej! – wykrzyknął wicehrabia. – Poddajmy nasze towarzyskie umiejętności, moje i pana Makepeace'a, testowi. Proponuję konkurs eleganckich manier w najbliższy operowy wieczór. Co pan na to, panie Makepeace?

Isabel zaczęła kręcić głową. Nie ufała wicehrabiemu, gdy był w takim nastroju.

– Zgoda. – Głos Wintera zabrzmiał spokojnie i cicho, nie ulegało jednak wątpliwości, że podejmuje rzuconą rękawicę.

– Świetnie! – W oczach d'Arque'a błysnęło okrucieństwo. – A żeby dodać starciu pikanterii, zaproszę kilka innych wytwornych osób z towarzystwa, by wystąpiły w roli sędziów.

– Doskonale. – Winter skinął głową. – Teraz zaś musi pan wybaczyć lady Beckinhall i mnie, szukaliśmy bowiem właśnie czegoś do picia.

– Ach! – D'Arque ukłonił się z ironią. – Za nic nie chciałbym przeszkadzać państwu w wypełnianiu towarzyskich obowiązków.

Winter odwrócił się i ciężkim krokiem ruszył przez tłum. Ludziom wystarczył rzut oka na jego twarz, żeby usuwali mu się z drogi, podczas gdy Isabel drobiła, żeby za nim nadążyć.

– Nie ma potrzeby uciekać z sali – wydyszała, starając się mówić cicho.

– Wolałaby pani, żebym został i przyłożył temu palantowi w twarz? – warknął Winter.

– Nigdy by pan nie zrobił czegoś takiego, to nie leży w pańskiej naturze.

Spojrzał na nią ostro z ukosa.

– Być może nic pani nie wie o mojej naturze.

– Sądzę, że i owszem – odparła, wysuwając brodę. – Myślę, że szczyci się pan tym, iż tłumi wszystkie swoje emocje, upycha je pieczołowicie pod bezbarwną maską, którą nosi pan publicznie. Sądzę, że boi się pan odczuwać zbyt głęboko, może wręcz boi się pan odczuwać cokolwiek.

Popatrzył na nią z niedowierzaniem.

– To prawda. W minionym tygodniu bacznie się panu przyglądałam. Poza tym – dodała bardziej praktycznie – uderzając d'Arque'a, dowiódłby pan tylko jego racji.

Dotarli tymczasem do wnęki na uboczu sali balowej, ukrytej dyskretnie za kilkoma wielkimi wazonami i posągiem. Wciągnął tam Isabel, po czym przystanął i odwrócił ją ku sobie, a wtedy ujrzała mroczny blask w jego oczach. Chwycił ją za górną część ramion i przytrzymał tak w gniewie.

– Jego racji, że jestem jakąś półmałpą, ledwie przystosowaną do życia w cywilizowanym społeczeństwie? – spytał ostro, a furia wibrowała w jego głosie. – Tak pani uważa? Krępuje panią, że kochanek widział ją wspartą na moim ramieniu?

– On nie jest moim kochankiem – syknęła.

– Chce nim być.

– Tak, chce! – wyrzuciła z siebie, zmęczona męską furią, zmęczona tym, że flirtował z nią, by zaraz się wycofać.

– A pani również tego chce? – warknął z cierpkim grymasem na ustach. – Chce się pani z nim położyć?

Zjadliwie wzruszyła ramionami.

– Może i tak.

Stał tak blisko, że Isabel czuła na wargach jego oddech. Opuścił wzrok na jej usta i wiedziała: zaraz ją pocałuje. Wreszcie poczuje usta Wintera Makepeace'a na swoich, wreszcie się dowie, co się kryje pod maską. Zapomniała na chwilę, gdzie się znajdują, kim są. Pragnęła go. Chciała zedrzeć mu z szyi halsztuk, rozchylić na nim koszulę i przyłożyć usta tam, gdzie żarliwie biło jego serce. Skierowała twarz w górę, rozchyliła wargi, ponaglała go wzrokiem.

Tymczasem on uniósł głowę i zamrugał jak ktoś, kto wyszedł z ciemnego pokoju.

Winter Makepeace popatrzył na nią i zobaczyła to, moment, w którym w jego oczach pojawił się dystans, sekundę, gdy na powrót założył maskę i odsunął się od niej, zarówno fizycznie, jak i emocjonalnie.

Odstąpił o krok, unosząc dłonie.

– Ogromnie panią przepraszam, madame. Zachowałem się niewybaczalnie.

Chciała krzyczeć z frustracji. Zamiast tego zaczerpnęła powietrza, żałując, że nie

potrafi tak jak on w jednej chwili uwolnić się od namiętności.

– Nie, panie Makepeace, niewybaczalne są pańskie przeprosiny.

* * *

Niewiele brakowało, a złamałby swoje niewypowiedziane śluby. Niewiele brakowało, a pocałowałby kobietę – pocałowałby Isabel.

Kiedyś, w młodości – nie miał jeszcze siedemnastu lat – pocałowała go dziewczyna. Było to, zanim uzmysłowił sobie, jaki cel ma do wypełnienia w St. Giles i w tym życiu. Spotkał ją w trakcie wycieczki do Oksfordu i nie pamiętał już jej imienia – może nawet nigdy go nie poznał. Ich pocałunek był niezręczny i nieudolny, nie zobaczył jej więcej.

W zestawieniu z tamtą dziewczyną sprzed lat Isabel była niczym słońce przy świecy. Pragnął jej dotykać bardziej, niż pragnął kolejnego oddechu. Bardziej niż jedzenia w tych chwilach, gdy najsilniej dokuczał mu głód. Bardziej niż wody w chwilach największego pragnienia. Odczuwał ją jak niepohamowane łaknienie pod skórą, tak potężne, że nawet teraz jego ciało dosłownie nachylało się ku niej. Pragnął ją posiąść, nasycić ten głód w swoim wnętrzu. Pogrzebać swoje ciało w jej ciele, zniewolić ją tak prymitywnie, jakby był zdziczałym wikingiem.

A nie mógł tego zrobić.

Dzieci z przytułku – dzieci takie jak Pilar – były od niego zależne. Popełnił błąd, pozwolił sobie na zbyt wiele, udawał, że jest kimś innym, niż w istocie był. Winter wpatrywał się w piękne, wzburzone niebieskie oczy Isabel i miał świadomość, że część niego znajduje się całkowicie pod urokiem tej kobiety i tej chwili. Przy niej zapominał o swojej powinności. Zapominał o wszystkich, którymi się opiekował. Była uosobieniem pokusy.

Odwrócił się.

Przytrzymała go za ramię z zaskakującą siłą – ale też zaskakiwała go swą kobiecą siłą nieustannie, odkąd znalazła go nieprzytomnego w St. Giles w przebraniu Ducha.

– Dokąd pan idzie? – spytała ostro.

Uciekł wzrokiem od jej twarzy.

– Musimy wracać na bal.

– Dlaczego?

Skrzywił się.

– Mam poznawać ważne persony, pamięta pani?

– Pamiętam, że zamierzał pan porzucić mnie bez słowa.

Wreszcie popatrzył na nią znowu – najwyraźniej musiał znaleźć sposób, żeby zwalczyć ów pociąg, przyczajony głęboko w jego trzewiach, a ten moment nadawał się do tego równie dobrze jak każdy inny.

Jej soczyste wargi były zaciśnięte, brwi zmarszczone, a w jej pięknych oczach dostrzegł… ból. Dobry Boże. Coś w nim zaczęło krwawić.

– Co chciałaby pani, żebym zrobił? – spytał cicho, świadom, że od balu i wszystkich jego uczestników dzieli ich ledwie krok. – Przeprosiłem, a pani uznała to za obrazę.

– Unika pan tematu. – Opuściła rękę, on zaś poczuł, jak ciepło wysącza mu się z ramienia w miejscu, gdzie przed chwilą go dotykała. – Unika pan mnie. Zamierzał mnie pan pocałować. Czułam to i…

– Ale nie pocałowałem.

Pragnął rwać sobie włosy z głowy, walnąć pięścią w ścianę, chwycić ją znowu i ulec

pokusie. Całować ją, aż z jej twarzy zniknie ten okropny wyraz.

Nie zrobił żadnej z tych rzeczy, oczywiście.

– Nie, nie pocałował pan – rzekła wolno. – Najwyraźniej łatwo mi się oprzeć.

– Łatwo – prychnął, splatając ręce na piersi, żeby utrzymać je przy sobie. Jak mogła myśleć, że przyszło mu to łatwo? – Nie wątpię, że nawykła pani, iż mężczyźni całują ją, a nawet więcej, kiedy patrzy pani na nich tak, jak właśnie spojrzała pani na mnie.

Rozdziawiła usta.

– Nazywa mnie pan dziwką?

Gwałtownie szarpnął głową.

– Nie! Nigdy…

Przystąpiła do niego, bardzo blisko, po czym cokolwiek boleśnie wbiła palec w jego niedorzecznie haftowaną kamizelkę.

– Nawet jeśli nie spełniam pańskich mnisich standardów prowadzenia się, nijak nie czyni mnie to kobietą rozwiązłą. Rozumie pan, Winterze Makepeace? Towarzystwo mężczyzn dostarcza mi radości, podobnie jak sprawy łóżkowe. Jeśli czuje się pan z tego powodu niezręcznie, być może to własnym standardom powinien się pan przyjrzeć.

Odwróciła się, zadowolona z siebie, ewidentnie zamierzając opuścić niewielką wnękę i porzucić Wintera.

Wysunął ramię. Teraz to on ją zatrzymał.

– Nie myślę na pani temat żadnej z tych rzeczy – powiedział, usiłując nakłonić ją, by znów na niego spojrzała.

– Dlaczego więc nie wykona pan kolejnego kroku? – spytała, nadal zwrócona doń tyłem.

– Nie mogę.

Popatrzyła na niego, on zaś niemal zamknął oczy, oślepiony ogniem jej spojrzenia.

– Dlaczego nie? Jest pan fizycznie niezdolny?

Skrzywił się.

– Nie. A przynajmniej nic mi o tym nie wiadomo.

Jej wzrok złagodniał.

– Jeśli obawia się pan swojego niedoświadczenia, zapewniam pana, że nie będę oczekiwać wytrawnego kochanka… w każdym razie nie na początku.

Wargi Wintera drgnęły.

– Nie, nie o to chodzi. Nie rozumie pani…

– Zatem proszę mi wytłumaczyć.

Wypuścił powietrze z płuc, odchylił głowę do tyłu i zagapił się na pulchne amorki, baraszkujące na suficie księżnej Arlington.

– Poświęciłem się przytułkowi i St. Giles. Przyrzekłem wspierać tych, którzy potrzebują mojej pomocy, potrzebują jej rozpaczliwie, w tej podłej części Londynu.

– Mówi pan, jakby chodziło o śluby kapłańskie – skomentowała w zadumie.

Uciekł od niej wzrokiem, porządkując myśli. Nigdy dotąd nie ubierał tych spraw w słowa, nie mówił innej osobie o swojej misji.

Wreszcie zaczerpnął tchu i spojrzał na nią.

– Jeśli nie pod względem filozofii, to w zamyśle chodzi o coś bardzo podobnego do ślubów kapłańskich. Różnię się od tych pani szlachetnie urodzonych bawidamków, Isabel. Dla mnie fizyczne uprawianie miłości jest czymś równie uświęconym jak miłość. I gdybym pokochał kobietę na tyle, by pójść z nią do łóżka, wówczas kochałbym ją także na tyle, by się z nią ożenić. Nie zamierzam się żenić, a zatem nie zamierzam nigdy

zbliżyć się do kobiety, fizycznie czy emocjonalnie, na tyle, żeby się z nią kochać.

– Ale nie jest pan księdzem – zaprotestowała. – Przecież może pan mieć żonę i rodzinę i jednocześnie pomagać ludziom w St. Giles.

Popatrzył na nią, tak piękną, tak pełną życia.

– Nie, nie sądzę. Dla męża i ojca na pierwszym miejscu stoi obowiązek wobec żony i rodziny. Wszystko inne przesuwa się na dalszy plan. Jak ludzie z St. Giles mogliby kiedykolwiek znaleźć się na pierwszym miejscu, jeśli się ożenię?

Oczy zaokrągliły jej się ze zdumienia.

– Nie wierzę. Usiłuje pan zostać świętym.

Zacisnął usta.

– Nie, po prostu poświęciłem życie pomocy innym.

– Ale dlaczego?

– Wyjaśniłem pani dlaczego – odparł, starając się zapanować nad zniecierpliwieniem. Odbierał tę rozmowę tak, jakby ktoś rozciął mu pierś, wraził rękę w środek i międlił we wnętrznościach. Nic przyjemnego. – Dzieci, biedni z St. Giles, koszmarne życie, jakie prowadzą. Nie słyszała pani, co mówiłem?

– Słuch mam dostatecznie dobry – warknęła. – Pytam, dlaczego to pan musi być tym, który składa w ofierze całe swoje życie?

Bezradnie pokręcił głową. Wywodziła się z klasy uprzywilejowanej. Nigdy nie doświadczyła niedostatku, nie liczyła monet, by oszacować, czy lepiej zapłacić za węgiel, żeby ogrzać ciało, czy za chleb, żeby je nakarmić, ponieważ mogło ich wystarczyć tylko na jedną z tych dwóch potrzeb. Po prostu nie była w stanie zrozumieć.

Winter zabrał dłoń z jej ramienia i cofnął się o krok, tworząc między nimi rozważny dystans. Kiedy się odezwał, pieczołowicie zmodulował głos.

Nasycił go łagodnością.

– Jeśli nie ja, to kto?

* * *

Megs westchnęła i wygięła plecy w łuk, rozkoszując się owym cudownym uczuciem po zbliżeniu. Było to jedno z wielu odkryć, jakich dokonała, odkąd kochany Roger wprowadził ją w tajemnice alkowy: jak miękkie, jak dogłębnie rozluźnione jest jej ciało po stosunku.

Nie żeby mieli już okazję spotkać się w alkowie bądź sypialni.

Aktualnie leżała rozciągnięta na sofie w ciemnej bawialni na tyłach rezydencji księżnej Arlington. Słyszała dźwięki balu, wytłumione przez ściany i inne pokoje po drodze, nadal jednak było to cudowne, przytulne schronienie tylko dla nich dwojga.

– Pora wstawać, kochana – szepnął jej do ucha Roger.

– Tak szybko? – nadąsała się Megs.

– Tak, natychmiast – zganił ją żartobliwie. – Nie chcesz chyba, żeby matrony w sali balowej spostrzegły twoją nieobecność? Albo jeszcze gorzej: twój brat markiz.

Megs wzdrygnęła się na tę myśl. Obaj jej bracia, każdy na swój sposób, zawarli cokolwiek skandaliczne małżeństwa, nie znaczyło to jednak, że spojrzą choć trochę przychylniej na niestosowne zachowanie swej siostry.

Z niechęcią usiadła i zaczęła poprawiać na sobie ubranie.

– Poza tym – ciągnął swobodnym tonem Roger – bardzo mi zależy na utrzymaniu dobrych relacji z moim przyszłym szwagrem.

Megs wstrzymała oddech i spojrzała na niego, a w jej piersi gwałtownie wezbrała radość.

Na widok jej miny Roger parsknął śmiechem.

– Myślałaś, że nie zechcę cię za żonę, słodka Meggie? Jeszcze do ciebie nie dotarło, że jestem po uszy w tobie zakochany?

Wpatrywała się w niego bez słowa dłuższą chwilę, aż zrzedła mu mina.

– To znaczy, jeśli jesteś mi przychylna. Obawiam się, czy nie posunąłem…

Rzuciła się na niego, zanim skończył.

Roger sapnął, powalony na sofę.

– Tak, tak, tak! – mamrotała Megs w przerwach między pocałunkami, którymi dosyć chaotycznie zasypywała tę słodką, kochaną, cudowną twarz. – Och, Rogerze, jak w ogóle mogłeś pomyśleć, że nie kocham cię całym sercem?

Pochwycił jej twarz i przytrzymał nieruchomo na potrzeby znacznie dłuższego, bardziej umiejętnego pocałunku w usta.

– Och, moja słodka – szepnął, kiedy się od niej oderwał. – Uczyniłaś mnie najszczęśliwszym mężczyzną na świecie.

Położyła głowę obok niego, po prostu radując się tą chwilą.

Później szarpnął się pod nią i wymierzył jej poufałego klapsa.

– Wstajemy, wstajemy.

Megs jęknęła, ale posłuchała. Przejrzała się spiesznie w niewielkim lustrze, po czym odwróciła się do Rogera.

– Będziemy mieli krótki okres narzeczeństwa?

– Tak, poproszę. – Uśmiechnął się do niej szeroko, a w jego prawym policzku mignął dołeczek, za którym wprost przepadała. – Ale wyświadczysz mi drobną przysługę? Możemy utrzymać nasze zaręczyny w sekrecie, dopóki nie uporządkuję spraw majątkowych i nie poproszę markiza o twoją rękę, jak należy? Nie jestem tak bogaty, jak z pewnością by sobie tego życzył, ale dostałem propozycję interesu, który…

– Ciii… – Położyła mu opuszki palców na wargach. – Wychodzę za ciebie, ponieważ cię kocham, a nie dla twoich pieniędzy.

Zmarszczył brwi.

– Mogłabyś wyjść za kogoś z tytułem. Za o wiele bogatszego mężczyznę.

– Mogłabym, ale nie wyjdę. – Uśmiechnęła się do niego, niebiańsko szczęśliwa. – I na pewno w stosownym czasie dam to Thomasowi dobitnie do zrozumienia.

Przyłożył czoło do jej czoła.

– Kocham cię.

– Wiem. – Wspięła się na palce, by musnąć pocałunkiem jego wargi. – Nie powiem nikomu o naszych zaręczynach, jeśli tylko obiecasz nie odwlekać zbyt długo rozmowy z Thomasem.

– Dwa tygodnie, nie więcej. – W jego łobuzerskich brązowych oczach zagościła powaga. – Naprawdę, to doskonała inwestycja, Meggie. Jeśli przyniesie spodziewane efekty, nawet twój brat będzie pod wrażeniem.

Czule pokręciła głową.

– Nie potrzebujesz pieniędzy, żeby wywrzeć na mnie wrażenie, Rogerze Fraser-Burnsby – szepnęła.

Stała krótką chwilę, patrzyła mu w oczy i chciała powiedzieć znacznie więcej, ale nie znajdowała słów.

Dlatego ostatecznie dotknęła tylko jego policzka, odwróciła się i wyślizgnęła z pokoju.

* * *

Isabel cofnęła się do wejścia do gotowalni dla pań i w zamyśleniu spoglądała w głąb korytarza. Jeśli się nie pomyliła, lady Margaret dopiero co opuściła pokój nieco dalej, w miejscu gdzie panował już półmrok. Co też…? Oczy Isabel rozszerzyły się, a potem zwęziły. Pan Roger Fraser-Burnsby właśnie wyszedł z tego samego pokoju.

No, no.

Jako kobieta dostatecznie światowa wiedziała, że podczas balów odbywają się potajemne intymne spotkania. Ale lady Margaret była niezamężną dziedziczką. Owszem, pan Fraser-Burnsby sprawiał wrażenie raczej miłego młodego mężczyzny, niemniej spotykając się z nim na osobności, Megs narażała na szwank swoją reputację, a tym samym resztę swego życia.

Isabel upewniła się, że spódnice dobrze jej się układają, po czym ruszyła z powrotem na salę. Trzeba będzie delikatnie zasugerować Megs, że nie postępuje aż tak dyskretnie, jak jej się wydaje. Chwilowo jednak Isabel czekał powrót na bal i do Wintera Makepeace'a. I tak już zbyt długo mitrężyła w gotowalni i nurtowało ją podejrzenie, że się przed nim ukrywa. Westchnęła. Nigdy dotąd nie była tchórzem. Musiała po prostu stawić czoło temu mężczyźnie i prowadzić z nim lekką rozmowę aż do końca tego przeklętego wieczoru.

A później będzie musiała jakimś sposobem wyrzucić Wintera Makepeace'a ze swoich myśli – i przypuszczalnie także z serca.

Rozdział 8

Tamtej nocy Arlekin zemścił się na swych oprawcach. Napastnicy nie opuścili jeszcze St. Giles, gdy ich odnalazł, a choć krzyczeli na widok jego demonicznych białych oczu i próbowali się bronić, w starciu z Duchem St. Giles nie mieli szans! Walczył z nadludzką siłą i zręcznością i zabił ich wszystkich bez jednego słowa bądź litościwego spojrzenia. Na tym wszakże nie poprzestał. Kolejnej nocy Arlekin również wyruszył na polowanie. Wkrótce każdy, kto miał na sumieniu jakąś nieprawość, wiedział, że nocą powinien trzymać się z dala od St. Giles, ponieważ Duch pragnął krwi…
– z Legendy o Arlekinie – Duchu St. Giles

– Och, milady, to doprawdy szczyt elegancji! – wykrzyknęła Pinkney kolejnego wieczoru, gdy Isabel zakładała nowe koronkowe pończochy. – I za taką rozsądną cenę. Mam zamówić jeszcze tuzin?

Isabel obciągnęła palce u stopy, aby lepiej wyeksponować ozdobną szydełkową aplikację na koronce po zewnętrznej stronie kostki. Winter Makepeace ani chybi uznałby zdobione szlaczkiem koronkowe pończochy za szokujące marnotrawstwo pieniędzy.

Buntowniczo skinęła głową.

– Kup dwa tuziny.

Pokojówka uśmiechnęła się szeroko, jak zawsze pełna entuzjazmu, gdy szło o zakup kosztownych ubrań, i przytrzymała dla Isabel półhalkę, by ta mogła w nią wstąpić.

– Tak zrobię, milady.

– Dobrze – odparła Isabel w rozkojarzeniu, przeglądając się w lustrze.

Sięgające łokci rękawy i dekolt jej halki obszyto ciężką koronką, a cienki jak pajęczyna materiał ujawniał czerwień jej sutków. Czy taki widok skusiłby świątobliwego Wintera?

Czy w ogóle chciała go kusić?

– Milady.

Pinkney przytrzymała w górze jedwabny gorset, a Isabel przytaknęła i uniosła ramiona, tak by pokojówka mogła wsunąć go jej przez głowę.

Służąca stanęła przed Isabel i zaczęła ściągać sznurówki, podczas gdy mała pomocnica Suzie przyklękła, żeby przytrzymać gorset na miejscu.

W najprostszych możliwych słowach oznajmił jej, że nie życzy sobie romansu z nią czy jakąkolwiek inną kobietą. Poświęcił się – umysłem, duszą i najwyraźniej także członkiem – St. Giles i jego mieszkańcom. Dlaczego miałaby się poniżać, uganiając się za tym mężczyzną – w dodatku zwykłym nauczycielem! – kiedy nie brakowało innych chętnych dżentelmenów? Chociażby lord d'Arque. Był przystojny i błyskotliwy, bez wątpienia okazałby się też doświadczonym i umiejętnym partnerem w łóżku.

Pokojówki podniosły się i zaczęły zbierać jej spódnice. Tego wieczoru Isabel występowała w fioletowym brokacie tkanym w medalionowy wzór w ciemniejszym odcieniu. Weszła ostrożnie w kałużę materiału i stała nieruchomo, kiedy pokojówki podciągały spódnicę w górę i mocowały ją w talii.

Problem polegał na tym, że Isabel nie była szczególnie zainteresowana romansem z d'Arkiem – czy w ogóle z kimkolwiek poza Winterem. Jakie to dziwne, że ledwie tydzień temu wyśmiałaby samą taką sugestię – ona i zarządca przytułku. Niemniej w trakcie

minionego tygodnia zmienił się sposób, w jaki go postrzegała. Rozmawiał z nią jak ktoś jej równy, jakby ich pozycje społeczne zwyczajnie nie grały roli. Ale chodziło też o coś więcej. Wielu mężczyzn uważało kobiety albo za niebiańskie istoty, które należy umieszczać na piedestale, albo za stworzenia podobne dzieciom, niezdolne do choć jednej logicznej myśli. Winter rozmawiał z nią jak z osobą równą mu inteligencją. Jakby po części dzieliła jego zainteresowania. Jakby chciał wiedzieć, o czym ona myśli. Rozmawiał z nią, jakby się liczyła.

A kiedy teraz się nad tym zastanawiała, dotarło do niej, że nikt dotąd nie był ciekaw jej, Isabel-kobiety. Była żoną i córką, kochanką i dowcipną bywalczynią salonów. Ale nikt nigdy nie zajrzał pod te maski, by się dowiedzieć, co naprawdę myśli nosząca je dama.

Czy to takie okropne, że pragnęła zbliżyć się do mężczyzny, który widział w niej osobę?

Pinkney pomogła jej wślizgnąć się w mocno dopasowany stanik sukni. Od frontu wsunęła wyszywany przodzik w kształcie litery V, po czym ostrożnie przypięła do niego krawędzie sukni. Następnie zaczęła delikatnie szarpać brzeg halki, tak by przy kwadratowym dekolcie ukazał się jedynie jej skraj, a wreszcie zawiązała rękawy sukni na wysokości łokci Isabel, eksponując spływającą spod nich koronkę.

– Gotowe. – Pinkney wyprostowała się z czcią. – Wygląda dziś pani naprawdę wspaniale, milady.

Isabel uniosła brew, odwracając się najpierw w jedną, potem w drugą stronę, żeby obejrzeć się w lustrze nad toaletką.

– Sądzisz, że na tyle wspaniale, by uwieść księdza?

– Milady? – Pinkney zmarszczyła brwi, skonfundowana.

– Nieważne. – Isabel dotknęła przyozdobionej klejnotami róży z czerwonego jedwabiu we włosach i na własny użytek skinęła głową. – Czy pan Makepeace już przybył?

– Nie, milady.

– Przeklęty człowiek – wymamrotała Isabel i w tejże chwili spostrzegła wystającą spod fotela stópkę. – Idź już i przypilnuj, by przygotowano karetę. Zejdę za kilka minut.

Isabel poczekała, aż obie pokojówki opuszczą sypialnię, a następnie podeszła do fotela.

– Christopherze.

Stópka schowała się pod mebel.

– Milady?

Westchnęła.

– Co tam robisz?

Cisza.

– Christopherze?

– Nie chcę się kąpać – wymamrotał cichutko i buntowniczo.

Przygryzła wargę, by powstrzymać uśmiech, mimo że przecież jej nie widział.

– Jeśli wcale nie będziesz się kąpał, pokryje cię skorupa brudu i będziemy musieli zdrapywać go z ciebie łopatą.

Spod fotela dobiegł chichot.

– Opowie mi pani znowu o Duchu, milady?

Popatrzyła na fotel z uniesioną brwią. Szantaż w tak młodym wieku?

– Dobrze, opowiem ci historię o Duchu St. Giles, ale potem wrócisz do Carruthers.

Ciężkie westchnienie.

– W porządku.

Isabel omiotła wzrokiem sypialnię w poszukiwaniu inspiracji. Akurat tego popołudnia Butterman złożył jej raport ze swoich ustaleń na temat Ducha. Większość stanowiły głupie plotki albo bajki mające w oczywisty sposób straszyć dzieci. W niektórych Ducha pokrywały blizny i zjadał wątroby dziewic. Potrafił być w dwóch miejscach jednocześnie, a jego oczy płonęły pomarańczowym ogniem. W innych umiał latać i pukał w okna niegrzecznych chłopców. Jednakże wśród tych opowieści znalazły się i takie, które mogły zawierać ziarno prawdy.

– Milady? – Stópka znów nieco wysunęła się spod fotela, a w głosie Christophera pobrzmiewała niecierpliwość.

Isabel odchrząknęła.

– Dawno, dawno temu… – Czy nie tak zaczynały się wszystkie opowieści? – Żyła sobie pewna biedna wdowa, która sprzedawała bułeczki z rodzynkami. Każdego ranka wstawała na długo przed pierwszym pianiem koguta i piekła swoje bułeczki. Następnie układała je w wielkim, szerokim koszu i umieściwszy go sobie na głowie, chodziła londyńskimi ulicami, zachwalając głośno: „Bułeczki z rodzynkami! Bułeczki z rodzynkami! Lepszych nie znajdziecie! Kupujcie moje bułeczki z rodzynkami!”. Chodziła tak i nawoływała przez cały dzień, aż w porze kolacji jej kosz był pusty, a stopy obolałe, przynajmniej jednak biedna wdowa miała w kieszeni kilka pensów za swój trud. Mogła wtedy kupić trochę mięsa, trochę chleba i odrobinę mleka i iść do domu nakarmić swoje dzieci.

Isabel umilkła, żeby sprawdzić, czy nie straciła słuchacza, lecz Christopher niemal natychmiast zapytał:

– Ale co z Duchem?

– Zaraz do tego dojdziemy – odparła. – Pewnego dnia, gdy wdowa wracała do domu, napadła na nią banda mężczyzn, którzy pobili ją i zabrali jej wszystkie zarobione pieniądze. „Och, przestańcie, przestańcie!” – wołała wdowa. A także: „Kto mi pomoże?”. Ale wszyscy bali się rabusiów i nikt nie pospieszył jej z pomocą. Zapłakana wdowa musiała sprzedać szal, żeby kupić jedzenie swoim dzieciom. Nazajutrz upiekła i sprzedała bułeczki z rodzynkami, gdy jednak wracała do domu, ponownie napadli na nią ci sami rabusie. Znowu pobili biedną wdowę i zabrali jej pieniądze, a kiedy wołała: „Kto mi pomoże?”, tylko się śmiali.

– Och – szepnął Christopher spod fotela. – Gdybym miał pistolet, zastrzeliłbym dla niej tych mężczyzn!

– Postąpiłbyś bardzo odważnie. – Isabel musiała odkaszlnąć, gdyż w gardle urosła jej gula na myśl o chłopczyku, który chciał pomóc nieznajomej. – Tym razem biedna wdowa musiała sprzedać buty, żeby mieć za co nakarmić dzieci. Trzeciego dnia kobieta była w rozpaczy, ale nie pozostawało jej nic innego, jak tylko upiec bułeczki z rodzynkami i boso przemierzać ulice Londynu, żeby je sprzedać. Gdy tego wieczoru wracała do domu, stopy jej krwawiły i czuła się bardzo wyczerpana. Kiedy rabusie znów na nią napadli, zdołała jedynie wyszeptać: „Kto mi pomoże?” – Isabel umilkła na moment. – Ale tym razem ktoś ją usłyszał. Duch St. Giles runął na podłych rabusiów niczym potworny wicher.

– Hurra! – Christopher wysunął głowę spod fotela i z ekscytacji objął sam siebie.

– Duch nosi szpadę i sztylet, wiesz – ciągnęła Isabel – i dobył obu, kiedy zaatakował rabusiów. Wrzeszczeli z bólu i strachu, a gdy z nimi skończył, zdarł z nich ubrania. Rabusie umykali przed Duchem nadzy i bosi. Mieszkańcy St. Giles zadbali o to, by ci nicponie pożałowali cierpienia, jakie zadali biednej wdowie, i odtąd mężczyźni już nigdy więcej jej nie nękali.

– Och! – wykrzyknął Christopher, cały czas obejmując się ramionami. – Och!

Miał szeroko otwarte oczy i zaczerwienione policzki, a Isabel pozostawało liczyć na to, że nie podekscytowała go przesadnie.

– Najlepsza historia, jaką słyszałem – zawyrokował chłopiec.

Isabel uśmiechnęła się, odrobinę zawstydzona, gdyż sama zatraciła się w opowieści. Jakie to dziwne, że naprawdę spotkała tego dziarskiego, mitycznego Ducha. Jeszcze dziwniejsze, że miała szalone podejrzenie co do tego, kto kryje się pod groteskową maską.

Zamrugała i skoncentrowała się na chłopcu.

– To jeszcze nie koniec. Chcesz usłyszeć resztę?

Christopher pokiwał głową.

Epilog nie był tak wypełniony akcją, lecz Isabel lubiła ten fragment najbardziej.

– Następnego ranka, kiedy wdowa wstała, żeby zrobić swoje bułeczki z rodzynkami, zgadnij, co znalazła obok pieca? Sakiewkę z pieniędzmi… więcej niż ukradli jej rabusie… i parę nowych butów.

– Jak Duch dostał się do jej domu? Było zamknięte na zamek?

– Tak – potwierdziła Isabel. – Nikt nie wie, jak wszedł do środka.

Oczy Christophera zaokrągliły się, kiedy przetrawiał tę informację.

– No dobrze – powiedziała Isabel. – Muszę już iść do opery, a ty musisz wziąć kąpiel, pamiętasz?

Christopher zmarszczył nos, niemniej całkiem ochoczo wygramolił się spod fotela. Przy drzwiach przystanął.

– Przyjdzie pani później powiedzieć mi dobranoc?

Przełknęła ślinę. Kiedy opowiadała chłopcu historię – ku jego oczywistej radości – poczuła się pewniej w relacjach z nim. Teraz znów stąpała po grząskim gruncie.

– Wiesz, że nie mogę.

Pokiwał głową, nie patrząc na nią, i wyszedł.

Wpatrywała się w ślad za nim, skonsternowana. Czego od niej chciał? I cokolwiek to było, czy mogła mu to dać? Nie miała czasu na takie rzeczy. Wybierała się do opery. Opuściła sypialnię i niemalże zbiegła po schodach. Można by sądzić, że ucieka przed demonem, a nie małym chłopcem, pomyślała gorzko.

Na dole Butterman stał przy drzwiach wejściowych. Ukłonił się.

– Stangret John mówi, że pan Makepeace przesłał wiadomość, iż zatrzymały go sprawy niecierpiące zwłoki i spotka się z panią w operze.

– Och, doskonale – mruknęła z irytacją. Co Winter sobie myślał? Zamierzał pogrzebać swoje szanse w zaproponowanym przez wicehrabiego konkursie manier, nim ten w ogóle się rozpoczął? – Wobec tego wyruszę od razu. O, jeszcze jedno, Butterman.

– Milady?

Zaczerpnęła powietrza, by uspokoić oddech.

– Proszę przekazać Carruthers, że Christopher znów był w moich pokojach.

Wyraz twarzy Buttermana nie zmienił się ani na jotę.

– Oczywiście, milady.

– Proszę jej powiedzieć, żeby nie była dla chłopca zbyt surowa, dobrze?

Kamerdyner przytaknął i strzelił palcami na lokaja, który pospieszył ku schodom dla służby na tyłach domu, podczas gdy Butterman przytrzymał drzwi dla Isabel.

Zmarszczyła brwi, schodząc frontowymi schodami. Może już czas poprosić Louise, matkę Christophera, żeby znalazła dla niego inne lokum. Problem polegał na tym, że ta

głupia kobieta nigdy nie miała głowy do pieniędzy – tak czy owak skromnych – i nie było jej stać na utrzymanie chłopca. Nie wspominając o towarzystwie, w jakim się obracała…

– Dobry wieczór, milady. – Harold ukłonił się i wyciągnął rękę, by pomóc jej wsiąść do karety.

– Dziękuję, Haroldzie.

Usadowiła się na miękkim siedzeniu i bezmyślnie wyglądała przez okno, kiedy kareta z kołysaniem toczyła się ciemnymi ulicami Londynu.

Sznur karet ciągnął się wzdłuż ulicy przed operą w Covent Garden, a jej własna zatrzymała się ze zgrzytem, by ustawić się w długiej kolejce. Isabel wyciągnęła szyję, wypatrując Wintera. Spostrzegła karetę d'Arque'a z charakterystycznym herbem, a moment później samego wicehrabiego, gdy wprowadzał do opery dwie damy. Podłamała się, uzmysłowiwszy sobie, że eskortowane przezeń kobiety to lady Penelope i towarzysząca jej panna Greaves. Cudownie. Na sędzinę w tym głupim konkursie manier d'Arque wybrał najzacieklejszą krytykantkę Wintera.

W dodatku nigdzie nie było widać samego Wintera Makepeace'a.

* * *

Winter rozebrał się szybko i wprawnie w operowym składziku.

W przytułku w ostatniej chwili zatrzymał go nagły wypadek – zaginięcie jednego z najmłodszych berbeci. Mary Morning, ledwie dwuletnia, odnalazła się w końcu cała i zdrowa w kryjówce w kuchennym kredensie. Zostawił brzdąca w fachowych rękach Nell, ale ze względu na poszukiwania dziewczynki przybył do opery później, niż planował.

Wciągnął na siebie tunikę arlekina, obliczając, że ma niespełna dwadzieścia minut na to, żeby przebrać się w strój Ducha St. Giles, przebiec na tył opery, odnaleźć stangreta d'Arque'a i przepytać go, dlaczego dorabia sobie nocami w St. Giles jako łowca dziewek. Na balu u księżnej Arlington Winter rozpoznał stangreta wicehrabiego: był to starszy z dwóch porywaczy, którzy próbowali uprowadzić Josepha Chance'a.

Z przyniesionego ze sobą do opery worka wyjął maskę. Nie życzył sobie pytań w drodze tutaj, toteż przyszedł pieszo z kostiumem i bronią schowanymi w worku; później, po zakończeniu wieczoru, także pieszo wróci do przytułku. Zawiązał maskę na twarzy i rozkoszował się znajomym uczuciem wolności, jakie mu dawała. Jakby był wielkim kotem, rozprostowującym podkurczone dotąd kończyny, rozciągającym się mentalnie przed walką.

Zapanuj nad zwierzęciem.

Coś w nim warknęło. Bycie Duchem wymagało spuszczenia bestii ze smyczy, lecz jednocześnie musiał zachowywać nad nią kontrolę. Tylko odrobina wolności. Tylko łyk świeżego powietrza. Co by zrobił, gdyby kiedykolwiek ponownie spotkał w tym przebraniu Isabel Beckinhall? Wziąłby to, czego nie poważył się wziąć w blasku dnia?

Winter wypchnął z głowy tę niepokojącą myśl i schował za drzwi worek z ubraniami. Ostrożnie wyjrzał na korytarz. Dwadzieścia minut, a kiedy uzyska odpowiedzi od stangreta d'Arque'a, wróci i na powrót przebierze się w elegancki strój. Otoczy się ochronnym pancerzem Wintera Makepeace'a, stając się znów sztywnym, poprawnym nauczycielem i zarządcą przytułku.

Mężczyzną, który ośmiela się myśleć o całowaniu Isabel Beckinhall wyłącznie w snach.

* * *

Kareta Isabel zajechała wreszcie przed główne wejście do opery i w drzwiach pojazdu ukazała się prosta, uczciwa twarz Harolda.

– Milady.

– Dziękuję – powiedziała cicho Isabel, wysiadając.

Kareta odjechała, a Isabel samotnie wspięła się po schodach do opery. Będzie musiała po prostu zjawić się w loży d'Arque'a bez swojego ucznia – nawet jeśli zadziała to mocno na niekorzyść Wintera. Lady Penelope na pewno odnotuje jego spóźnienie.

Tłum zgęstniał, gdy weszła do opery. Damy w jaskrawych sukniach gawędziły z elegancko ubranymi dżentelmenami. Wysoko w górze sufit westybulu wyginał się w kopułę, z gzymsami w odcieniach niebieskiego, kremowego i szkarłatu.

– Przepraszam – mruknęła Isabel, kiedy wpadła na nią starsza dama w wymyślnym koronkowym czepku.

Kobieta odwróciła się na pięcie, a Isabel poczuła mocne szarpnięcie spódnicy. Popatrzyła w dół i odkryła, że fragment koronki zwisa, oderwany od skraju.

– Niech to – wymamrotała pod nosem.

Pamiętała, że gotowalnia znajduje się zaraz w korytarzu odchodzącym od westybulu. Ostrożnie uniosła spódnice i ruszyła w tamtym kierunku. Jeśli się pospieszy, zdąży przypiąć koronkę i dotrzeć do loży d'Arque'a przed rozpoczęciem opery.

Korytarz był słabo oświetlony, niemniej gotowalnia mieściła się za drugimi drzwiami po prawej stronie. Isabel właśnie miała je pchnąć, kiedy dostrzegła postać przemykającą w odległym końcu korytarza.

Mignęła jej czarno-szkarłatna tunika.

Wykluczone! Isabel powiedziała sobie, że najpewniej pomyliła wzór, lecz jednocześnie podążała już w głąb ciemnego korytarza. Ducha nigdy nie widziano poza St. Giles. No dobrze, z wyjątkiem dnia, kiedy go znalazła. Wypuścił się wtedy aż do Tyburn, by zapobiec powieszeniu pirata. Co więcej, Winter Makepeace powinien w tej chwili znajdować się wśród przybyłych na operę widzów. Jeśli rzeczywiście był Duchem…

Serce jej trzepotało, kiedy zbliżała się do miejsca, gdzie mignął jej szkarłat. Rozejrzała się. Tę część korytarza oświetlały jedynie nieliczne świece w kinkietach. Wnosząc z gołej podłogi i pozbawionych dekoracji ścian, było to jakieś służbowe przejście. Isabel pospieszyła dalej na palcach, mijając uchylone drzwi składziku. Na końcu korytarz zakręcał w prawo. Zerknęła za róg. Wąskie schody prowadziły w górę.

Były puste.

Westchnęła i wyprostowała się, zawiedziona.

– Szuka pani czegoś, lady Beckinhall? – Ochrypły, cichy szept zdecydowanie należał do mężczyzny.

Okręciła się na pięcie.

Opierał się o ścianę korytarza z leniwą gracją odpoczywającego leoparda. Poprzednio nie widziała go stojącego – był wtedy ranny i chory. Teraz prezentował się jej wysoki i atletyczny, dopasowany kostium arlekina podkreślał mięśnie na jego nogach, torsie i ramionach, podczas gdy maska o długim nosie nadawała mu z lekka demoniczny wygląd.

Przekrzywił głowę, a jego usta – te znajome, zmysłowe usta – wygięły się w sardonicznym uśmiechu.

– A może szuka pani kogoś, milady?

– Może szukam. – Wysunęła brodę, czując zarazem, jak rumieniec pali jej policzki. – A

pana co tutaj sprowadza?

– Intryga, awantura, zabawa? – Wzruszył ramionami. – Jakie to ma znaczenie?

Ostrożnie zrobiła krok w jego kierunku. Głos był ten sam, ciało odpowiedniego wzrostu i budowy, ale miał w sobie swobodę, śmiałą brawurę, których Winter Makepeace nigdy przy niej nie okazał. Z drugiej strony, Winter Makepeace nie przejawiał też żadnych skłonności do przemocy, tymczasem – jeśli wierzyć opowieściom – stojący przed nią mężczyzna nie tylko do przemocy nawykł, ale miał do niej prawdziwy talent.

Isabel czuła się dogłębnie zafascynowana.

– Ma znaczenie to, że nie obawia się pan o własne życie. Musi pan wiedzieć, że wiele osób pragnie pańskiego aresztowania lub wręcz śmierci.

– A jeśli nawet?

Niewiarygodne, ale wyraźnie słyszała w jego głosie rozbawienie.

Zrobiła kolejny krok.

– Całkiem możliwe, że… przygnębiłoby mnie… gdyby coś się panu stało.

– Rzeczywiście?

Wolno wyciągnęła rękę i powiodła palcem wzdłuż zdeformowanego nosa jego maski.

– Kim pan jest?

Jego piękne usta ułożyły się w uśmiech.

– Kimkolwiek pani sobie życzy.

Roześmiała się na to, tracąc resztki powietrza w płucach.

– Proszę nie składać obietnic, których nie może pan dotrzymać.

– Nigdy tego nie robię. – Łaskotał słowami jej zmysły.

Popatrzyła mu w brązowe oczy, widoczne za otworami w masce, i przesunęła dłoń na tył jego głowy. Odnalazła palcami przytrzymujący maskę węzeł i pociągnęła delikatnie.

Podniósł rękę i na moment ogarnął ją zawód, sądziła bowiem, że zamierza ją powstrzymać.

Tymczasem on zdjął skórzaną maskę.

Jak poprzednio, pod spodem nosił półmaskę z cienkiego czarnego jedwabiu.

Przekrzywił głowę.

– Tego pani sobie życzy?

– Nie – szepnęła, wspinając się na palce, wsparta dłońmi o jego twardą klatkę piersiową. Zaraz zyska pewność. – Tego.

Otworzyła wargi na jego wargach. Wziął ją niczym barbarzyński łupieżca. Pocałunek był szorstki, niewyrobiony, pozbawiony finezji, lecz mimo to Isabel wstrząsnął potężny dreszcz. Nawykła do cywilizowanych igraszek, starannie obmyślonych, nienagannie przeprowadzanych. Zmanierowanych i chłodnych. Duch St. Giles, dla kontrastu, przywodził na myśl walącą się na nią burzę z piorunami – sama namiętność i emocje.

Mężczyzna w czystej postaci.

Otoczył Isabel ramionami, przygarniając mocno do siebie, gdy przeginał ją, bezradną, zagubioną, lecącą w dół, z sercem wyrywającym się z piersi. I wiedziała – wiedziała! – że całuje nie tylko Ducha St. Giles, lecz także Wintera Makepeace’a.

Odsunęła się, zdyszana, szukając wzrokiem znajomych rysów pod maską.

A wtedy na jej ramię opadła czyjaś dłoń i Isabel wydarto z objęć Ducha.

– Jak śmiesz! – wrzasnął d’Arque i jednocześnie cisnął Isabel o ścianę.

Zamrugała zszokowana i popatrzyła na Ducha.

Wiązał właśnie na twarzy skórzaną maskę.

– Odpowiadaj, tchórzu – zażądał d’Arque. Dobył szpady.

– Nie! – krzyknęła Isabel, ale było za późno.

D’Arque rzucił się na Ducha St. Giles z połyskującą w dłoni szpadą.

* * *

Winter dobył broni akurat na czas, by sparować atak d’Arque’a. Warknął cicho w reakcji na arogancję, z jaką mężczyzna potraktował Isabel, i wzgardliwie odepchnął jego szpadę. Cofał się ku schodom za załomem wąskiego korytarza. Nie w tym rzecz, że obawiał się pojedynku z wicehrabią, gdyby jednak nań natarł, tamten… wpadłby na stojącą z tyłu Isabel. Winter po prostu nie mógł ryzykować, że zostanie wzięta przez nich między szpady.

Ale wicehrabia nie zniechęcał się łatwo. Ewidentnie przekonany, że zmusił Ducha St. Giles do odwrotu, puścił się w pościg za Winterem.

Winter zgrzytnął zębami i wykonał serię szybkich pchnięć, tak by d’Arque znalazł się w defensywie. Wicehrabia z szerokim uśmiechem odtrącił klingę Wintera. Przez chwilę Winter wpatrywał się weń zaskoczony.

Później odwrócił się i zwinnie wbiegł po schodach, oddychając szybko.

D’Arque – dureń – podążył za nim, tak więc na szczycie Winter musiał się odwrócić – w samą porę, by uniknąć pchnięcia w plecy.

– Uciekamy, Duchu? – zadrwił d’Arque. Zdawało się, że bieg po schodach nie przyprawił go nawet o zadyszkę. – Nie doszły mnie słuchy, że taki z ciebie tchórz, ale też łatwiej walczy się w ciemności i z przeciwnikami niebiegłymi w sztuce fechtunku.

Och, jak cudownie byłoby mu odpowiedzieć! Winter nie poważył się na to – dostatecznie już zaryzykował, rozmawiając z Isabel. Zamiast tego zaatakował w milczeniu, robiąc wypad do przodu.

D’Arque sparował cios, biceps napęczniał mu pod dopasowanym kaftanem z jasnoniebieskiego aksamitu. Oczy wicehrabiego rozszerzyły się, kiedy zachwiał się na szczycie schodów.

Jedno mocne pchnięcie. Tyle by wystarczyło, żeby zrzucić przeciwnika ze schodów i pozbawić przytomności. Winter oddychał gwałtownie, puls dudnił mu niczym werble.

Nie jestem zwierzęciem.

Odstąpił, wycofał się ku drzwiom za plecami, sięgnął, by je otworzyć…

D’Arque pozbierał się i skoczył ku niemu.

Winter uniósł szpadę na spotkanie dzikiego ataku wicehrabiego, klingi szczęknęły przeraźliwie. Wpadł przez drzwi i jak przez mgłę zarejestrował kobiecy krzyk.

Znajdowali się w korytarzu na tyłach lóż. Wokół nich roili się przybyli na operę widzowie.

Winter pchnął szpadę w dół i w bok, rozdzielając ich głownie, a później podeszwą buta kopnął d’Arque’a w biodro. Ostrze wicehrabiego zachrobotało na skórze wysokiego buta Wintera, kiedy przeciwnik wymachiwał ramionami, żeby utrzymać równowagę.

– A niech mnie! – wykrzyknął podstarzały rumiany dżentelmen, gdy Winter nań wpadł.

D’Arque był zaczerwieniony, na czole perlił mu się teraz pot, niemniej uśmiechnął się szeroko, błyszcząc białymi zębami na tle ogorzałej skóry.

– Poddaj się, złodzieju.

Winter obnażył zęby i wykonał przeczący ruch głową.

Potem rzucił się do jednej z lóż.

Była oczywiście zajęta. Dwóch dżentelmenów rozpierzchło się na boki, porzucając

młodą damę, która zagapiła się na Wintera.

– Najmocniej przepraszam – szepnął, mijając ją.

Wychylił się z loży. Znajdowali się na pierwszym poziomie, ale na parter było stąd dobre sześć metrów, tyle co dwa piętra. Szeroka poręcz w kształcie podkowy biegła przez cały teatr, zaczynając się i kończąc przy scenie. Gdyby zdołał…

Za jego plecami młoda kobieta gwałtownie wciągnęła powietrze.

Winter się okręcił. Wicehrabia nacierał na niego z błyskiem szpady. Makepeace sparował cios, ale panująca w loży ciasnota ograniczała ruchy. Znienacka ostrze szpady d'Arque'a znalazło się przy gardle Wintera, powstrzymywane jedynie przez jego własną szpadę. Cofnął się chwiejnie o krok i dolną częścią pleców uderzył o balustradę. Klingi zazgrzytały o siebie, jakby krzykliwie domagały się krwi, kiedy wicehrabia naparł na niego całym ciałem. Wolno, boleśnie Winter przechylał się przez balustradę. Czuł żar oddechu przeciwnika, zapach jego zbyt słodkich perfum zmieszany z ostrą i kwaśną wonią potu. Górna część jego ciała wisiała w powietrzu.

Za plecami miał przepaść.

– Poddaj się – warknął wicehrabia, dysząc z wysiłku. – Jesteś osaczony.

– Nie! – zawołał znajomy kobiecy głos z widowni w dole. – Adamie, nie! Puść go!

Winter niespiesznie wyszczerzył zęby w uśmiechu, unosząc brwi pod maską.

Wicehrabiemu się to nie spodobało. Zmrużył blade oczy i Winterowi nasunęła się myśl, czy Isabel aby nie przypieczętowała jego wyroku śmierci.

To znaczy przypieczętowałaby go, gdyby Winter nie spędził wielu, wielu długich nocy, ćwicząc się w szermierce. Wykorzystał chwilowe rozkojarzenie wicehrabiego i naparł nań z całą siłą.

D'Arque poleciał do tyłu, a Winter wskoczył na poręcz balustrady.

Z parteru dobiegł krzyk, ale Winter nie spojrzał w dół. Wicehrabia również wskoczył na poręcz. Jego szpada błysnęła, mierząc w twarz Wintera. Mężczyzna sparował cios i pchnął nisko, na wysokości miednicy przeciwnika.

Żaden mężczyzna nie lubi być atakowany w to miejsce. D'Arque odskoczył zbyt gwałtownie i na moment stracił równowagę, wolną ręką kręcąc młynka ponad parterem.

Na dole rozległy się głośne westchnienia.

Winter zacmokał cicho.

– Niech cię szlag – warknął d'Arque, przypuszczając kolejny atak.

Winter nie lubił tego człowieka, lecz, z drugiej strony, nie chciał go zabijać. Nie miał oczywistego dowodu, który świadczyłby przeciw wicehrabiemu. D'Arque mógł być niewinny. Winter skoczył do tyłu na poręczy, parując atak i zarazem wycofując się w kierunku sceny. Prawie że zaśmiał się w głos. Puls mu galopował, czuł siłę i szybkość w członkach, czuł się wolny.

„Jedynie głupcy przyjmują zwycięstwo za pewnik" – rozbrzmiał mu w głowie widmowy głos sir Stanleya.

Walczyli, przemieszczając się po poręczy, coraz bliżej sceny, a ludzie w kolejnych lożach cofali się przed nimi gwałtownie.

D'Arque ciął, celując w twarz Wintera. Winter uchylił się i pchnął wicehrabiego w górną część lewego ramienia. Sztych szpady prześlizgnął się przez jasnoniebieski kaftan wicehrabiego, wydzierając długą, skośną dziurę, kiedy Winter uwalniał oręż.

Jasnoniebieski materiał wkrótce zaczął się barwić na czerwono.

D'Arque rzucił się ku niemu z niezręczną furią, Winter zaś z łatwością zrobił unik. Jednak wicehrabia nadmiernie obciążył zewnętrzną nogę. Przechylił się nad parterem i

zaczął spadać, do wtóru krzyków w dole.

Winter nie namyślał się ani sekundy. Chwycił mężczyznę za wolną rękę, szarpnięciem ratując go od śmierci.

Szpada d'Arque'a spadła na widownię na parterze i wbiła się w obity pluszem fotel, gdzie utkwiła pionowo, chybocąc się na boki.

Winter podniósł wzrok i spojrzał w szeroko otwarte oczy przeciwnika.

Ten przełknął ślinę.

– Dziękuję.

Winter skinął głową i puścił ramię wicehrabiego. Odwrócił się i przebiegł po poręczy niewielki dystans dzielący go od sceny. Za plecami słyszał krzyki, ktoś próbował złapać go w biegu za pelerynę. Winter dotarł do sceny i znalazł linę od kurtyny, przywiązaną do kołka z boku. Dwa cięcia szpadą i oswobodził linę. Chwycił ją, bicepsy zapłonęły mu żywym ogniem, kiedy huśtał się nad sceną. W dole muzycy falą podnieśli się z krzeseł.

Opadł na scenę, lądując miękko na palcach, nadal ze szpadą w dłoni. Ale nie musiał się kłopotać. Ci z obsługi sceny najbliżej niego się wycofali. Winter odwrócił się i dał nura za kulisy, oddalając się biegiem od sceny i wywołanego pojedynkiem zamieszania. Odepchnął kolejną osobę z obsługi, a później pomknął ciemnym korytarzem z nadzieją, że to droga na tyły teatru, prowadząca ku jakimś drzwiom wychodzącym na zaułek.

Popełnił szaleństwo. Pod żadnym pozorem nie powinien był sygnalizować Isabel swojej obecności. Taki ruch był stanowczo zbyt ryzykowny. Kiedy jednak zobaczył ją i zdał sobie sprawę, że ona zobaczyła jego – że, w rzeczy samej, szukała go – cóż, nie zapanował nad palącą potrzebą konfrontacji z nią. Wymiany ciętych uwag. Pocałunku bez zahamowań.

Duch nocą mógł robić rzeczy, na które Winter Makepeace za dnia nigdy się nie poważył.

Korytarz zakończył się znienacka drzwiami sprawiającymi wrażenie starych i rzadko używanych. Tkwił w nich zamek, ale zardzewiały, tak więc Winter łatwo sobie z nim poradził.

Ostrożnie otworzył drzwi. To było nawet lepsze niż zaułek na tyłach. Znalazł się w bocznej uliczce, gdzie czekały rzędem wszystkie karety, które przywiozły szlachetnie urodzonych na ich operę. Z powodu potyczki zostało mu zaledwie parę minut na zdobycie informacji, po które przybył.

Winter wsunął szpadę do pochwy i dobył sztyletu.

Prześlizgnął się przez drzwi i zaczął skradać wzdłuż rzędu pojazdów, trzymając się cienia. Grupa stangretów i lokajów stała w pewnej odległości, paląc fajki, ale nie wypatrzył wśród nich stangreta wicehrabiego.

Nieco dalej spostrzegł sowę na burcie karety – służący drzemał na koźle.

Winter wskoczył na kozioł i chwycił mężczyznę za kołnierz, zanim ten w ogóle się obudził.

– Co jest? – parsknął stangret, po czym zauważył ostrze Wintera.

Oczy rozszerzyły mu się na widok maski arlekina.

Nawet w marnym świetle zawieszonych u karet latarni Winter widział, że istotnie jest to ten sam osobnik, który prawie porwał Josepha Chance'a.

Potrząsnął nim jak szczurem.

– Dla kogo pracujesz? – szepnął.

– D-dla m-milorda d'Arque'a – wyjąkał mężczyzna.

– Dlaczego każe porywać dziewczynki z St. Giles?

Stangret umknął wzrokiem.

– Nie wiem, o czym pan gadasz.

Winter wymierzył sztylet w oko mężczyzny.

– Pomyśl.

– To n-nie d'Arque – wyjąkał stangret.

– Nie d'Arque? – Winter zmrużył oczy. – Co masz na myśli?

Mężczyzna potrząsnął głową, przerażony.

Winter dotknął ostrzem jego policzka.

– Mów.

– Ej!

Przyciągnęli uwagę palących fajki. Stangret znienacka wykręcił się i wyślizgnął z uchwytu Wintera. Makepeace rzucił się do przodu – ale chybił – kiedy mężczyzna spadł z karety, by zaraz pozbierać się i odbiec w noc.

Winter pospiesznie zeskoczył z drugiej strony karety i umknął w cień. Kiedy znalazł się już w bezpiecznej odległości, przystanął i oparł się o ścianę, łapiąc oddech. Ramiona bolały go po pojedynku i huśtawce nad sceną, nie dowiedział się niczego od stangreta, a noc jeszcze się nie skończyła.

Nadal musiał obejrzeć operę.

Rozdział 9

Wkrótce Prawdziwa Miłość Arlekina usłyszała opowieści o jego losie. Jak go zaatakowano i porzucono na pewną śmierć. Jak cudem przeżył i teraz przemierzał nocami ulice St. Giles, zabijając niegodziwców. Wiedziała, że mężczyzna, którego kochała, nie był nigdy tak zapalczywy, postanowiła więc odnaleźć Arlekina i porozmawiać z nim, aby przywrócić mu rozsądek…
– z Legendy o Arlekinie – Duchu St. Giles

– No, w końcu jest pan Makepeace – powiedziała dziesięć minut później lady Penelope, a Isabel nareszcie odetchnęła.

Uporczywie wbijała wzrok przed siebie, kiedy witał się z pozostałymi gośćmi w luksusowej loży operowej lorda d'Arque'a. Wicehrabia najwyraźniej zaprosił istny tłum na świadków swego zwycięstwa nad Winterem w tym głupim konkursie manier. Oprócz samej Isabel, lady Penelope i panny Greaves stawili się także jego przyjaciele, hrabia Kershaw i pan Charles Seymour, ten drugi wraz z panią Seymour, kobietą o dosyć pospolitej twarzy, starszą od męża.

– Uważam za oczywiste, że pan Makepeace przegrał pojedynek na dżentelmeńskie maniery – oznajmiła lady Penelope. – Czy możemy ogłosić lorda d'Arque'a zwycięzcą?

– Pochlebia mi pani, madame – odparł d'Arque, tradycyjnie przeciągając zgłoski – jednak ze względu na nieoczekiwane pojawienie się Ducha wypada, jak sądzę, uznać tę rundę za nierozstrzygniętą i wznowić pojedynek innego wieczoru. Na przykład jutro na balu mojej babki?

– Ale… – zaczęła lady Penelope.

– Och, to godne pochwały, milordzie – przerwał jej cichy głos panny Greaves. – Uczciwość wobec przeciwnika bez wątpienia stanowi wielki przymiot dżentelmena. Zgodzi się pan, panie Makepeace?

Isabel prawie się roześmiała. Panna Greaves dokumentnie pokrzyżowała szyki lady Penelope. Byleby tylko damie do towarzystwa nie przyszło później zapłacić za ten tupet.

– Jak najbardziej, madame – odparł Winter i sprawa została rozstrzygnięta.

Isabel niewidzącym wzrokiem wpatrywała się w scenę, gdzie dwaj mężczyźni siłowali się z kurtyną. Na nic by się zdało okazywać Winterowi, jak bardzo się martwiła – i jaka była wściekła. Skoro chciał biegać w masce i pelerynie, mając siebie za niezniszczalnego, ją zaś za głupią, jego wola!

Moment później usłyszała cichy szelest materiału, kiedy siadał obok niej.

– Dobry wieczór, milady.

Skinęła głową, nie odwracając się do niego.

Po wywołanym pojedynkiem zamieszaniu oraz pełnych ekscytacji pytaniach i okrzykach nad niegroźną raną lorda d'Arque'a, wicehrabia rozlokował gości w swojej loży operowej bezpośrednio nad sceną. Zorganizował słodycze i wino, które podano do loży, a Isabel pomyślała cokolwiek cynicznie, że Winter przegrałby konkurs dżentelmeńskich manier, nawet gdyby pojedynek zawczasu nie uczynił z lorda d'Arque'a bohatera wieczoru.

Poniżej ludzie z obsługi – którzy w końcu podwiązali kurtynę – kłaniali się zamaszyście do wtóru wiwatów z parteru.

– Najwyraźniej postanowiła pani ze mną nie rozmawiać. – Winter Makepeace westchnął. – Szczerze przepraszam za późne przybycie. Coś mnie zatrzymało w przytułku. Jedno z dzieci…

Niecierpliwie ściągnęła usta w ciup. Miała po uszy jego kłamstw.

– Z pewnością słyszał pan już, że ominęło go pojawienie się niesławnego Ducha St. Giles.

Wreszcie się odwróciła, by nań spojrzeć. Usta miał zaciśnięte – mina ta, jak już się nauczyła, świadczyła o zniecierpliwieniu – poza tym jednak prezentował się całkiem zwyczajnie.

Siedząca u jej drugiego boku lady Penelope żywiołowo wprawiła w ruch wachlarz.

– Prawie zemdlałam, kiedy zobaczyłam, jak lord d'Arque ryzykuje życie w walce z tym łotrem! Gdyby pan spadł z balkonu… – Wzdrygnęła się teatralnie. – Pańskie męstwo doprawdy ocaliło dzisiaj nas wszystkich, milordzie.

D'Arque tymczasem dawno już odzyskał swą zwykłą pewność siebie. Ranę na ramieniu miał szykownie przewiązaną szkarłatną chusteczką. Kilka dam omal nie przeszło do rękoczynów, rywalizując o przywilej ofiarowania mu na opatrunek swoich apaszek, chusteczek, a nawet półhalek.

Na twarzy wicehrabiego malował się z lekka sardoniczny wyraz, kiedy kłaniał się lady Penelope.

– Taka służba jest zaiste godna poświęceń.

– Szkoda tylko, że żaden inny dżentelmen nie miał na tyle odwagi, by rzucić wyzwanie Duchowi – skomentowała lady Penelope, spoglądając znacząco na Wintera.

– Niektórzy z nas są już trochę za starzy na skakanie ze szpadą po balkonach – stwierdził z przekąsem lord Kershaw. Jego wypowiedź była w zamierzeniu ironiczna, gdyż z pewnością nie przekroczył jeszcze czterdziestki. – Choć Seymour mógłby dać Duchowi niezłe cięgi: cieszy się sporą sławą w klubie szermierczym. Ostatnim razem pokonałeś zarówno Rushmore'a, jak i Gibbonsa, zgadza się, Seymour?

Siedzący obok niego pan Seymour zrobił skromną minę.

Jednakże lady Penelope zignorowała ich obu.

– Chodziło mi o młodszego mężczyznę… jak na przykład pan Makepeace.

– Ale pana Makepeace'a tutaj nie było… a poza tym nie nosi szpady – zaprotestowała cicho panna Greaves. – Nawet gdyby przebywał na miejscu w czasie, gdy szalał tu Duch, nikt by chyba nie oczekiwał od dżentelmena, że stanie do walki bez broni.

– Zgoda, ale też nie wydaje mi się, żeby pan Makepeace miał prawo nosić szpadę, nieprawdaż? – zapytała filuternie lady Penelope. – Przysługuje ono wyłącznie arystokratom.

– Istotnie, milady – wymamrotał obojętnie Winter.

– Nosiłby pan szpadę, gdyby mógł? – zainteresowała się panna Greaves.

Winter ukłonił się jej.

– Wierzę, że cywilizowani ludzie potrafią znaleźć inne niż przemoc sposoby rozstrzygnięcia sporu, tak więc nie, nie nosiłbym.

Panna Greaves się uśmiechnęła.

Isabel prychnęła cicho, na co Winter rzucił jej ostre spojrzenie.

– Jakże szlachetne zapatrywanie – przeciągnął zgłoski lord d'Arque. – Obawiam się jednak, że gdy zobaczyłem, jak Duch nagabuje lady Beckinhall, troszczyłem się bardziej o jej dobrostan niż o filozoficzne dysputy.

– Nie wiedziałem, że Duch panią nagabywał, milady. – Lord Kershaw spojrzał

uszczypliwie na Isabel.

Ta zadarła brodę i popatrzyła mu prosto w oczy.

– Przepraszam, że pana nie poinformowałam, milordzie.

– Pański wzgląd na innych dobrze o panu świadczy, wicehrabio – podjęła lady Penelope, niczego nieświadoma. – Lady Beckinhall bez wątpienia odchodziła od zmysłów ze strachu. – Zmarszczyła brwi, skonfundowana. – Jak właściwie znalazła się pani sam na sam z Duchem St. Giles, milady?

Można było liczyć na to, że lady Penelope wskaże najbardziej niezręczny aspekt wieczoru.

– Swego czasu wspomniała pani, że uratowała tego Ducha. – Hrabia uniósł brew i się uśmiechnął. – Czyżby zawarła z nim pani bliższą znajomość?

Isabel odchrząknęła.

– Zobaczyłam, jak Duch zakrada się do przejścia za sceną i poszłam za nim.

– Sama? – Niewiele brakowało, by piękne ciemne brwi lady Penelope zlały się z linią jej włosów. – Jakże odważnie z pani strony, milady, konfrontować się z nim w pojedynkę. Zamierzała pani samodzielnie go aresztować czy podążyła za nim z jakiejś innej przyczyny?

– Obawiam się, że ciekawość przeważyła nad właściwą oceną sytuacji, milady. – Isabel uśmiechnęła się, zaciskając zęby.

– Smutne, że ciekawość przywiodła do zguby niejedno miękkie serce – mruknął Winter.

Lord d'Arque zmrużył oczy, przenosząc wzrok z Wintera na Isabel i z powrotem.

– Ciekawość z pewnością nie jest warta pani cennego życia, baronowo. Ufam, że w przyszłości utrzyma pani co bardziej ryzykowne impulsy na wodzy.

– Stał się pan zwolennikiem przezorności, milordzie? – Isabel sceptycznie przekrzywiła głowę.

– Kiedy chodzi o szalonych morderców, tak – odparł ponuro wicehrabia. – Nie chcę ścierać się z panią na słowa, milady, niemniej kiedy natknąłem się na nią i Ducha, odniosłem wrażenie… że grozi pani niebezpieczeństwo.

Isabel gwałtownie wciągnęła powietrze. Aż do tej pory lord d'Arque zachowywał się tego wieczoru bardzo po dżentelmeńsku. Nie zająknął się ani słowem na temat tego, że znalazł ją w objęciach Ducha, a jedynie mętnie napomykał, iż Duch jej zagrażał. Była mu wdzięczna za tę powściągliwość – gdyby rozeszła się wieść o pocałunku, jej reputacja mocno by na tym ucierpiała.

Obecnie wychwyciła ukrytą groźbę w słowach wicehrabiego. Nie mogła mu jednak pozwolić rzucać oszczerstw na Ducha.

– Nie sądzę, żeby groziło mi niebezpieczeństwo.

– Nie? – mruknął wicehrabia.

– Nie – ucięła.

– Jak może pani tak mówić, skoro Duch to słynny morderca?! – wykrzyknęła lady Penelope.

– Sądzę, że plotki o jego morderstwach są tym właśnie: plotkami – odrzekła Isabel. – Duch nigdy nie próbował mnie skrzywdzić.

– Ile razy go pani spotkała? – zapytała pani Seymour.

Isabel poczuła, że na jej kark wspina się żar.

– Wcześniej raz. Teraz już dwa.

– Wiele osób w St. Giles wpadało tu i ówdzie na Ducha – rzucił ogólnikowo Winter. –

Z tego, co sam widziałem, wydaje się nieomal dżentelmenem.

Isabel zerknęła na niego sceptycznie.

Jego wargi drgnęły.

– I kimkolwiek jest, Duch nigdy mi nie zagroził. Wręcz przeciwnie. A w zeszłym roku pomógł schwytać niebezpiecznego mordercę.

– Może zatem lord d'Arque nie powinien był z nim walczyć – zauważyła strapiona panna Greaves. – Może Duch nie popełnił żadnej zbrodni i nie należy go ścigać.

– Niedorzeczność – prychnęła lady Penelope. – Masz zbyt miękkie serce, kochana Artemis. Sprawcy okropnych zbrodni nie zasługują na nasze współczucie. Ich miejsce jest w zakładzie dla obłąkanych albo w więzieniu, albo na szubienicy.

Panna Greaves raptownie pobladła.

– W każdym razie nie podzielam twojej opinii. – Lady Penelope zadrżała ostentacyjnie. – Moim zdaniem odwaga i wspaniałe szermiercze umiejętności lorda d'Arque'a ocaliły nas wszystkich od tragedii.

– Dziękuję, madame – rzekł z ukłonem wicehrabia. – Cała przyjemność po mojej stronie.

– Jednego nie pojmuję – odezwał się lord Kershaw.

– Milordzie? – Isabel uniosła brwi.

– Dlaczego w ogóle Duch się tu dzisiaj zjawił? – dociekał hrabia. – Myślałem, że nawiedza St. Giles… stąd jego miano.

Isabel odchrząknęła.

– Dwa tygodnie temu zapuścił się aż do Tyburn.

– To przestępca. Bez wątpienia planował napaść na nas wszystkich i nas obrabować – oznajmiła z przekonaniem lady Penelope.

– Albo przybył, żeby kogoś ocalić – wtrąciła panna Greaves.

Lady Penelope przewróciła oczami.

– Może polował – rzekł Winter.

– To właśnie powiedziałam – warknęła nerwowo lady Penelope.

– Proszę wybaczyć, milady – odparł Winter – ale chodziło mi o to, że może szukał kogoś, kto wyrządził mu krzywdę… jemu lub tym, których ochrania w St. Giles.

– Cóż za cudaczny pomysł – skomentował lord d'Arque.

– Doprawdy? – Winter skierował w jego stronę twarz bez wyrazu.

Czyżby ten przeklęty człowiek chciał zostać zdemaskowany?

– Zdaje się, że opera się zaczyna – przerwała im Isabel.

Bezładne dźwięki strojonych instrumentów ustały i orkiestra rozpoczęła najnowszy cudowny utwór pana Haendla.

– Tak. – Panna Greaves ochoczo wychyliła się do przodu. – Oto i La Veneziana. Ponoć jest najwspanialszym sopranem naszych czasów.

– Czyżby? – Lady Penelope uniosła do oczu wysadzaną klejnotami lornetkę operową. – Kiedy to takie cherlawe chuchro.

Isabel popatrzyła na sopranistkę. Artystka w iskrzącej się czerwono-białej sukni mimo niewielkiego wzrostu zawładnęła sceną.

A stało się to, jeszcze zanim otworzyła usta.

Kiedy wysoki, słodki głos poszybował przez gmach opery, Winter nachylił się do Isabel.

– To wybitna śpiewaczka – szepnął. – Aż człowiek zapomina o jej cherlawości.

Odwróciła się ku niemu i zobaczyła w jego poważnych ciemnych oczach figlarny

błysk. Jej zmysły zawirowały raptownie. Ledwie pół godziny wcześniej te same oczy spoglądały na nią przez otwory w masce z namiętnością i tęsknotą, i bezceremonialnym głodem, które zaparły jej dech w piersiach. Poczuła ten konkretny moment, nagłą utratę gruntu pod stopami, wrażenie spadania, i ogarnęło ją przerażenie.

Dobry Boże, ten mężczyzna mógł ją całkowicie zniszczyć.

* * *

Było po północy, kiedy Winter, zmęczony, wracał do przytułku. Budynek opery dzieliły od St. Giles jakieś dwa kilometry, wynajmowanie dorożki na tak krótki odcinek wydawało się okropnym marnotrawstwem pieniędzy. Nie wspominając o tym, że niósł przewieszony przez ramię podłużny worek z kostiumem Ducha i bronią – coś, z czego wolałby nie musieć się nikomu tłumaczyć.

Ulicą przetoczył się powóz i Winter w pośpiechu uskoczył do tyłu, kiedy koła wpadły w kałużę, posyłając w górę fontannę brudnej wody i błota. Rozbryzgi dosięgły jego nóg i ze smutkiem popatrzył na ciemne plamy na do niedawna białych pończochach. Cudownie. Teraz cuchnął rynsztokiem i przed snem czekała go przepierka.

Winter westchnął. Co za różnica, czy będzie miał plamy na nowych pończochach? Nie przegrał zakładu z d'Arkiem, zanim konkurs w ogóle się rozpoczął, wyłącznie dlatego, że wicehrabia ogłosił remis. Lady Beckinhall przez resztę wieczoru pozostawała chłodna, rzucała mu podejrzliwe spojrzenia i – jeśli w ogóle raczyła się doń odezwać – wygłaszała kąśliwe uwagi. Czy wiedziała, że Winter jest Duchem? Po tamtym pocałunku musiała przynajmniej żywić jakieś podejrzenia… a może nie? Kobieta tak bezpośrednia do tej pory z pewnością już by go zbeształa, gdyby coś podejrzewała. A jeśli nie, być może wcale nie była zainteresowana Winterem Makepeace'em. Może po prostu lubiła całować zamaskowanych mężczyzn. Winter kopnął odłupany kawałek kamienia brukowego z taką zaciekłością, że ten z głośnym szczękiem odbił się od cegieł pobliskiego budynku.

Przystanął, żeby uspokoić oddech. Nie powinien był jej całować. Gdyby nie przebranie Ducha, zdołałby się jej oprzeć – a przynajmniej taką miał nadzieję. W gruncie rzeczy był zgubiony od momentu, gdy dotknęła ustami jego ust. Smakowała żarem i miętą, miodem i tęsknotą. Kiedy przeciągnęła językiem po jego ustach, stwardniał boleśnie. Tym jednym dotknięciem otwarła w jego wnętrzu pełną namiętności puszkę Pandory.

Roztropność nakazywała, by w miarę możliwości trzymał się od tej damy z daleka. Powinien potraktować dzisiejszy wieczór jako ostrzeżenie i się wycofać. Wiedział jednak, że tego nie zrobi. Isabel była jego jedyną nadzieją na utrzymanie stanowiska w przytułku. Co więcej, dzięki niej mógł prowadzić dochodzenie w sprawie d'Arque'a, gdyż bez niej i jej „lekcji" nie zagościłby w wysublimowanych kręgach, w jakich obracał się wicehrabia.

Winter prychnął. Okłamywałby sam siebie, gdyby sądził, że to prawdziwe powody, dla których zobaczy ją ponownie. Jakkolwiek ważne były przytułek i ustalenie związku d'Arque'a z łowcami dziewek, w głębi serca wiedział, że zwyczajnie nie potrafi trzymać się z dala od Isabel. Przyciągała go. Nie miało większego znaczenia, czy działo się tak za sprawą wybijającego się na powierzchnię zwierzęcego instynktu – męskiej części, o której sądził, że dawno ją w sobie stłumił – czy czegoś bardziej duchowego. Nie był w stanie porzucić tej damy, tak jak nie umiałby przestać oddychać.

Przez chwilę Winter opierał się o zmurszały narożnik ceglanego budynku. Niebezpiecznie zaangażował się w relację z Isabel. I kręcił się w kółko w kwestii d'Arque'a. Co miał na myśli stangret wicehrabiego, kiedy mówił, że to nie d'Arque? Czy

za łowcami dziewek stał jakiś inny wielmoża? A jeśli tak, dlaczego Joseph Chance ściskał w dłoni skrawek papieru z pieczęcią wicehrabiego?

Winter wyprostował się, potrząsając głową. Przypuszczalnie zanadto wszystko komplikował. Stangret kłamał, żeby chronić szyję swego pana – a przy okazji własną. D'Arque musi być zamieszany w tę sprawę, inaczej dlaczego…

Na bruku zastukotały końskie kopyta i Winter cofnął się w cień, tyle że niespecjalnie było tu gdzie się schować.

Zza rogu wyłonił się kapitan Trevillion, a za nim sześciu jego dragonów.

Wojskowy spostrzegł Wintera i momentalnie zatrzymał swojego wałacha.

– Panie Makepeace, z pewnością pan wie, że St. Giles nie jest bezpiecznym miejscem na nocne włóczęgi.

– Wiem. – Skoro kapitan dragonów i tak go zauważył, Winter wystąpił w blask księżyca. – Wypuścił się pan zapolować na podstarzałe handlarki ginu, kapitanie?

Trevillion zacisnął wargi, a Winter zastanowił się, jak wielu drwin doświadczył już kapitan w związku ze swoją, delikatnie mówiąc, niezbyt skuteczną kampanią oczyszczania St. Giles z wytwórców i sprzedawców ginu.

– Dzisiejszej nocy polujemy na grubszą zwierzynę – odparł dystyngowanym tonem Trevillion. – Ducha widziano w okolicach St. Giles-in-the-Fields.

– Naprawdę? – Winter uniósł brew. – Wobec tego jest dziś bardzo aktywny. Wracam z opery, gdzie także się pokazał tego wieczoru.

– Z opery? – Brwi Trevilliona powędrowały w górę. – Jak na mieszkańca St. Giles, obraca się pan w wyrafinowanych kręgach, panie Makepeace.

– A jeśli się obracam? – zaripostował chłodno Winter.

Kącik surowych ust kapitana w rzeczy samej skoczył w górę w odpowiedzi na te słowa.

– Wówczas nie jest to mój interes, jak przypuszczam. – Ruchem brody Trevillion wskazał worek na ramieniu Wintera. – I zawsze dźwiga pan do opery takie ciężary?

– Oczywiście, że nie – odparł swobodnie Winter. – W drodze powrotnej wstąpiłem do przyjaciela. Podarował przytułkowi kilka książek.

Winter patrzył spokojnie na rozmówcę, wstrzymując oddech. Jeśli kapitan dragonów zechce zajrzeć do worka, mężczyzna nijak nie wytłumaczy się z kostiumu Ducha.

Trevillion chrząknął i odwrócił wzrok.

– Niech pan na siebie uważa w drodze do domu, panie Makepeace. Mam dość na głowie i bez konieczności zajmowania się mordem na panu.

– Pańska troska o mnie jest wzruszająca – odparł Winter.

Trevillion szorstko skinął głową i zawrócił konia.

Winter spoglądał w ślad za żołnierzami, dopóki nie pochłonęła ich noc. Dopiero wtedy westchnął i się przygarbił.

Reszta drogi powrotnej upłynęła bez przygód. Dwadzieścia minut później Winter wszedł do przytułku kuchennymi drzwiami. Sadza, czarny kocur, przeciągnął się przy palenisku, chrobocząc cicho pazurami o czerwone cegły, po czym wyprostował się i przydreptał, żeby na powitanie otrzeć się wielką głową o golenie Wintera.

Winter schylił się i podrapał starego kocura za uszami.

– Pełnisz wartę, co, Sadza?

Sadza ziewnął, po czym wrócił przed ciepłe palenisko. Dla Wintera pozostawiono zapaloną lampę, wziął ją więc i skierował się do swego pokoju na poddaszu. Dopiero kiedy światło sięgnęło kąta przy schodach, uzmysłowił sobie, że nie jest sam.

Joseph Tinbox osunął się na krześle, oczy miał zamknięte, oddychał cicho i miarowo.

Winterowi na ten widok ścisnęło się serce. Czy chłopiec na niego czekał?

Delikatnie położył dłoń na ramieniu śpiącego.

– Josephie.

Joseph zamrugał, spoglądając sennie i z dezorientacją. Winterowi przypomniał się nagle dwuletni berbeć, którego znalazł na głównych schodach starego przytułku blisko dziesięć lat temu. Jasnowłosy, zapłakany, z pustym blaszanym pudełkiem przywiązanym do nadgarstka. Chłopczyk westchnął głęboko, kiedy Winter go podniósł, i z całkowitym zaufaniem złożył mu głowę na ramieniu.

Joseph Tinbox zamrugał po raz kolejny i raptownie oprzytomniał.

– O, psze pana, czekał żem na pana.

– Widzę – odparł Winter – ale od dawna powinieneś być w łóżku.

– Ale, psze pana, to ważne.

Winter nauczył się już, co chłopcy uważają za „ważne” – sprzeczki z innymi chłopcami, zagubione bąki, odkryte w uliczce kocięta.

– Na pewno – rzekł kojąco – ale…

– Peach zaczęła mówić! – przerwał mu naglącym tonem Joseph. – Powiedziała, skąd się wzięła.

Winter szykował się, by skarcić chłopca za przerywanie, ale się zawahał.

– Co mówiła?

– Chyba powinna sama panu opowiedzieć – oznajmił Joseph z powagą członka Izby Lordów.

– Pewnie już śpi.

– Nie, psze pana – odparł Joseph. – Boi się. Powiedziała, że zaczeka na pana powrót.

Winter uniósł brwi.

– Dobrze.

Joseph Tinbox odwrócił się i pierwszy ruszył tylnymi schodami.

Winter podążył za nim z lampą i przewieszonym przez ramię workiem.

O tak późnej porze w budynku panowała cisza, światło lampy migotało na gładkich tynkowanych ścianach klatki schodowej. Winter zastanawiał się, jakiż to sekret przez ponad tydzień powstrzymywał dziecko od mówienia. Zmierzył wzrokiem wąskie plecy Josepha. Coś czuł, że chłopiec musiał uciec się do całej swojej siły perswazji, skądinąd pokaźnej, żeby nakłonić Peach, by porozmawiała z Winterem tej nocy.

Joseph wyszedł na piętro, gdzie mieściły się dormitoria. Tutaj także panowała cisza, niemniej raz po raz dało się słyszeć ciche dźwięki: wymamrotane słowo, westchnienie, szelest pościeli. Joseph obejrzał się przez ramię, jakby się upewniał, czy Winter podąża za nim, po czym na palcach przeszedł korytarzem do izolatki.

Kiedy Joseph uchylił drzwi, Winter przekonał się, że chłopiec miał rację: Peach była w pełni rozbudzona. Dziewczynka leżała dokładnie pośrodku pryczy, zakryta po samą brodę, jednym ramieniem obejmując suczkę Dodo. Przy łóżku płonęła samotna świeca.

Winter spojrzał na świecę, a później na Josepha.

Chłopiec spiekł raka.

– Wiem, że pan mówi, że od zostawionej świecy to się może zrobić pożar, ale…

– Nie lubię ciemności – powiedziała całkiem wyraźnie Peach.

Winter popatrzył na dziewczynkę. Odwzajemniła spojrzenie, wystraszona, lecz buntownicza, a jej brązowe oczy były tak ciemne, że nieomal czarne.

Skinął głową i upuścił worek na podłogę, a następnie przysunął do łóżka krzesło.

– Wiele osób nie lubi nocy. Nie ma się czego wstydzić, Pilar.

– Podoba mnie się Peach, jeśli można, psze pana.

Winter skinął głową i przyglądał się, jak Joseph Tinbox podchodzi do łóżka z drugiej strony i ujmuje dziewczynkę za rękę.

– Peach, dowiedziałem się od Josepha, że chcesz mi coś powiedzieć.

Mała przytaknęła, zagrzebując drobną, spiczastą brodę w białej pościeli.

– Wzięli mnie łowcy dziewek.

Choć puls mu przyspieszył, Winter pozostał spokojny i swobodny, jakby wyznanie dziewczynki nie miało wielkiej wagi.

– O?

Peach przełknęła ślinę i zacisnęła dłoń w szorstkiej sierści Dodo. Pies drgnął, poza tym jednak nijak nie okazał, że dziewczynka ciągnie go za futro.

– Ja… ja byłam na rogu przy kościele.

– St. Giles-in-the-Fields? – spytał cicho Winter.

Zmarszczyła czoło.

– Chyba tak. Żebrałam tam.

Winter skinął głową. Nie chciał zakłócać biegu opowieści Peach, ale musiał ustalić jedną kwestię.

– Twoi rodzice też tam byli, Peach?

Dziewczynka przygarbiła się i odwróciła twarz.

– Nie żyją. Mama umarli z gorączki, papa z kaszli, no i mała Raquel też. Wszyscy umarli.

Winter poczuł ucisk w sercu. Słyszał tę historię już tak wiele razy – rodziny zniszczone przez chorobę i nędzę, pozostawiające osierocone dzieci, które musiały zawalczyć o przetrwanie w obojętnym świecie. To bynajmniej nie ułatwiało mu sprawy.

– Przykro mi – rzekł cicho.

Dziewczynka wzruszyła ramionami i zaryzykowała zerknięcie na niego.

– Przed śmiercią papa poprosili panią Calvo, coby mnie przyjęła. Trochu tam zostałam. Ale pani Calvo powiedziała, że ma za dużo gąb do wykarmienia i mam sobie iść.

– Suka bez serca – wymamrotał gniewnie Joseph.

Winter skarcił go wzrokiem.

Chłopiec zwiesił głowę, ale nadal patrzył wilkiem.

– Opowiadaj dalej, Peach – zachęcił łagodnie Winter.

– No, tom próbowała znaleźć pracę, naprawdę, ale nic nie było – podjęła Peach. – A na żebrach wcale nie szło mi lepiej. Stale musiałam zmieniać miejsce, coby mnie więksi nie pobili.

Istniały gangi nadzorujące grupy żebraków oraz inne, które żerowały na żebrzących, domagając się procentu od ich dziennego urobku. Samotne dziecko, takie jak Peach, nie miało szans w starciu z nimi.

– Powiedz panu, co stało się dalej, Peach – szepnął Joseph Tinbox.

Peach spojrzała na chłopca, jakby czerpała od niego odwagę, po czym wzięła głęboki oddech i przeniosła wzrok na Wintera.

– Drugiej nocy, com była w kościele, wzięli mnie. Łowcy dziewek. Obudzili mnie i wynieśli. Myślałam… – Dziewczynka głośno przełknęła ślinę. – Myślałam, co to mnie zabiją, ale nie zabili.

– A co zrobili, Peach? – zapytał Winter.

– Zabrali mnie do takiej piwnicy. I tam było pełno dziewczyn, pełno, i wszystkie szyły.

Najpierw pomyślałam, że to nie tak źle. Ja lubię pracować, naprawdę. Mama mówili, że dobra ze mnie pomocnica. No i Dodo tam była, chociaż nie dali jej imienia i stale ją odganiali.

Dziewczynka zanurzyła twarz w szyi Dodo, a terier polizał jej ucho. Kolejne słowa Peach wyszeptała tak cicho, że Winter musiał się nachylić, żeby je wychwycić.

– Ale nie dawali nam prawie nic jeść. Jeno cienką kaszę i wodę, a w kaszy były robaki. – Zaczęła łkać.

Joseph Tinbox przygryzł wargę, zmartwiony i niespokojny. Z wahaniem wyciągnął rękę ku dziewczynce, po czym zamarł z palcami zawieszonymi nad chudymi plecami Peach. Popatrzył na Wintera.

Ten zachęcił chłopca skinieniem.

Joseph nieporadnie poklepał dziewczynkę po plecach.

Peach zadygotała i uniosła głowę.

– A to nie było jeszcze najgorsze. Bo do tego nas bili, jakeśmy nie pracowały dość szybko. Była taka dziewczynka, nazywała się Tilly. Bili ją tak długo, aż zemdlała, a potem rano już jej nie było.

Peach popatrzyła na Wintera ogromnymi, znękanymi oczami. Nie wypowiedziała tych słów, niemniej gdzieś w swoim dziecięcym umyśle wiedziała, że jej przyjaciółka Tilly nie żyje.

– Byłaś bardzo dzielna – zapewnił ją Winter. – Jak uciekłaś?

– Jednej nocy – szepnęła Peach – łowcy dziewek przyprowadzili nową dziewczynkę. Kłócili się z panią Cook… to ona nam kazała pracować. Ale nie zamkli za sobą drzwi. Zobaczyłam, co są uchylone. No tośmy pobiegły, ja i Dodo, i biegłyśmy bardzo szybko, póki jużeśmy nie słyszały za nami krzyków.

Peach dyszała, jakby na nowo przeżywała koszmar nocnej ucieczki, gdy ścigali ją bezlitośni ludzie.

– Bardzo, bardzo odważna dziewczynka – rzekł cicho Winter, a Joseph potakiwał żywiołowo. – Wiesz, gdzie znajdowała się ta piwnica, Peach?

Zaprzeczyła ruchem głowy.

– Nie, psze pana. Wiem ino, że to pod sklepem świecarza.

– Aha – powiedział Winter, usiłując stłumić zawód. Sklepów ze świecami było w St. Giles na pęczki. Nadal jednak lepsze tyle niż nic. – Jesteś bardzo bystra, Peach, że zapamiętałaś taki szczegół.

Peach zarumieniła się, onieśmielona.

– No, a teraz oboje powinniście kłaść się spać – oznajmił Winter, wstając. Joseph po raz ostatni krzepiąco poklepał dziewczynkę, nim podążył za nim do wyjścia. Winter otworzył drzwi, ale przystanął, gdyż nasunęła mu się pewna myśl. – Peach?

– Psze pana?

– Co takiego ty i inne dziewczynki szyłyście w tej piwnicy?

– Pończochy – odparła Peach takim tonem, jakby słowo pozostawiło w jej ustach ohydny smak. – Koronkowe pończochy z takim szydełkowym szlaczkiem.

* * *

Kolejnego popołudnia Winter ziewnął szeroko, kiedy kamerdyner Isabel otworzył mu drzwi jej miejskiej rezydencji.

Mężczyzna minimalnie uniósł brew w wyrazie dezaprobaty.

– Lady Beckinhall oczekuje pana w małej bawialni.

Winter ze znużeniem skinął głową i ruszył za kamerdynerem. Od świtu przemierzał ulice St. Giles, szukając sklepu świecarza, pod którym w piwnicy mieściłaby się niewielka manufaktura, lecz jak dotąd bez powodzenia. Nikt też nie słyszał o niejakiej pani Cook. Możliwe, że Peach pomyliła się w kwestii sklepu ze świecami – ostatecznie podczas ucieczki była przerażona – lub też pani Cook przeniosła swój nielegalny warsztat.

Oczywiście, istniało też trzecie – bardziej niepokojące – wytłumaczenie. Kilku z jego zwykłych informatorów okazało się nad wyraz nerwowych i małomównych. Niewykluczone, że mieszkańcy St. Giles zanadto bali się łowców dziewek i pani Cook, żeby wyjawić, gdzie można ich znaleźć.

Kamerdyner otworzył pomalowane na żółto drzwi, a Winter uzbroił się wewnętrznie, wchodząc do małej bawialni. Isabel stała przy jednym z wysokich okien po przeciwnej stronie pokoju, prezentując delikatny profil, a promienie słońca połyskiwały w jej ciemnych, lśniących włosach.

Poczuł silny ucisk w piersi, odebrał to pierwsze spojrzenie na nią prawie jak fizyczny cios. Zwykle przy powtarzalnym wystawianiu się na oddziaływanie czynnika drażniącego szok z czasem zanika. Niemniej w przypadku Isabel doświadczał wstrząsu, zarówno na ciele, jak i umyśle, za każdym razem, kiedy ją widział. Narastała w nim obawa, że powtarzalne wystawianie się na nią doprowadzi jedynie do tego, że będzie jej pożądał jeszcze intensywniej.

– Panie Makepeace – przemówiła, odwracając się ku niemu. Jej sylwetka odcinała się na tle jasnego okna, twarz kryła się w cieniu. – Zastanawiałam się, czy w ogóle pan dzisiaj przyjdzie.

Aha. Najwyraźniej nie wybaczyła mu spóźnienia z ubiegłego wieczoru.

– Rzeczywiście, madame? – spytał, zbliżając się do niej ostrożnie. – Widzę jednak, że poleciła pani podać herbatę. – Wskazał uszykowany na niskim stoliku serwis. – Zapowiedziałem się na czwartą i proszę, według zegara na kominku jest punktualnie czwarta.

Odeszła od okna i po wyrazie jej twarzy poznał, że te słowa bynajmniej jej nie udobruchały.

– Nowe, śmiem wręcz twierdzić, że unikalne zdarzenie w pańskim przypadku, panie Makepeace.

– Czy nie pora już, by zwracała się pani do mnie po imieniu? – spytał cicho, zmieniając taktykę, gdyż z pewnością nie wygrałby sporu na temat swojej punktualności.

– Pora?

– Owszem. – Uśmiechnął się z wysiłkiem. – Isabel.

Zmarszczyła brwi.

– Nie…

W tejże chwili od strony suto rzeźbionego kredensu dobiegło cichutkie łkanie.

Popatrzyli oboje na mebel, przy czym, co dziwne, na twarzy Isabel gniew ustąpił miejsca niepewności. Zrobiła kilka kroków w tamtym kierunku, po czym się zatrzymała.

Nie ruszała się, toteż Winter podszedł do kredensu, przyklęknął na jedno kolano i otworzył dolne drzwiczki.

Dostrzegł zalaną łzami buzię.

– Christopher – powiedział Winter, przypomniawszy sobie imię chłopca, którego poznał podczas swojej pierwszej wizyty tutaj. Obejrzał się przez ramię, ale Isabel jakby

zmroziło. Znów popatrzył na dziecko. – Wygodnie ci w tym kredensie?

Chłopiec wytarł nos aksamitnym rękawem.

– Nie, proszę pana.

– Miałbyś ochotę stamtąd wyjść?

Christopher przytaknął niemo. Winter sięgnął po niego delikatnie i wziął go w ramiona. Z tak bliska widział, że Christopher jest ładnym, zaledwie cztero- lub pięcioletnim dzieckiem. Wstał, nadal trzymając chłopca, i odwrócił się ku Isabel. Wiele kobiet wykazuje naturalną skłonność, by przejąć dziecko od mężczyzny – być może z tego względu, że instynkt macierzyński uchodzi za silniejszy od ojcowskiego – ale Isabel nie wykonała żadnego gestu tego rodzaju. W rzeczy samej, założyła ramiona na piersi, jakby chciała się powstrzymać przed sięgnięciem po chłopca.

Winter popatrzył na nią z uniesionymi brwiami, a wtedy potrząsnęła głową jak ktoś wracający do przytomności.

– Zadzwonię po Carruthers.

– Chcę zostać – chlipnął Christopher.

Isabel przełknęła ślinę.

– My-myślę, że powinieneś wrócić do swojej niani.

Od kiedy to lady Beckinhall bywała niepewna swego, ba, zacinała się? Winterowi coś w tej sprawie umykało.

Odchrząknął i powiedział cicho do chłopca:

– Zamierzałem właśnie skosztować jednej z tych kruchych bułeczek na tacy. Miałbyś ochotę?

Christopher przytaknął.

Winter usiadł na sofie przy niskim stoliku, z malcem na kolanie, i podał mu ciastko, zanim wybrał kolejne dla siebie.

Wgryzł się w puszystą bułeczkę, mierząc wzrokiem sztywne plecy Isabel. Podeszła znów do okna, kompletnie ignorując Wintera i dziecko. Dziwne.

– Smaczne, prawda? – zwrócił się do chłopca.

Christopher pokiwał głową.

– Bułeczki pani kucharki są najlepsze.

– Aha.

Przez chwilę przeżuwali w przyjaznym milczeniu.

– Gdzie się podziewa Carruthers? – wymamrotała z oddali Isabel.

Christopher, który szykował się właśnie, by ugryźć kolejny kęs ciastka, opuścił je na podołek, zaciśnięte w lepkich palcach.

– Ona mnie najczęściej za bardzo nie lubi.

Winter z chęcią by zaprzeczył, nigdy jednak nie był zwolennikiem okłamywania dzieci, a Isabel stała po drugiej stronie pokoju, ewidentnie starając się udawać, że chłopca w nim nie ma. Nachylił się i nalał do filiżanki trochę mleka z dzbanuszka, dodając kilka kropel gorącej herbaty. Podał filiżankę chłopcu.

Christopher upuścił bułeczkę – na podłogę, niestety – i oburącz chwycił filiżankę, pijąc chciwie. Kiedy odsunął ją od ust, na górnej wardze został mu mleczno-herbaciany wąs.

– Chociaż wczoraj wieczorem opowiedziała mi historię.

Chłopiec popatrzył tęsknie na plecy Isabel.

Do pokoju wbiegła niania, dość pospolita kobieta w średnim wieku.

– Och, milady, ogromnie przepraszam. – Podeszła, by zgarnąć chłopca z objęć Wintera, po czym odwróciła się znów do Isabel. – To się więcej nie powtórzy, milady, obiecuję.

– Dopilnuj, proszę, żeby się nie powtórzyło. – Isabel nadal stała odwrócona plecami.

Biedna Carruthers zbladła, a później dygnęła i pospiesznie wyniosła Christophera z bawialni.

Winter w zadumie nalał sobie herbaty.

– Myśli pan, że jestem podła – odezwała się Isabel.

Popatrzył na nią. Plecy trzymała wyprostowane, ale z nachylenia jej barków poznał, że zaplotła przed sobą ramiona, jakby w geście obrony.

– Myślę – rzekł wolno – że chciałbym się dowiedzieć, kim jest Christopher i co dla pani znaczy.

Nastała długa chwila ciszy, w trakcie której zastanawiał się, czy uzyska odpowiedź; później rozległ się jej głos, opanowany i wyzuty z emocji.

– Christopher jest synem mojego zmarłego męża.

Winter ściągnął brwi, nim jednak zdążył zadać pytanie, odwróciła się i przeszła na środek bawialni.

Piękne usta zaciskała w wąską kreskę, jakby dla powstrzymania jakichś przytłaczających emocji.

– Jego matka była kochanką Edmunda.

– Ro… zumiem – rzekł Winter, choć bynajmniej nie rozumiał. – I mieszka tutaj z panią? Takie było życzenie pani męża?

Wzruszyła ramionami.

– O Christopherze i Louise… jego matce… dowiedziałam się dopiero po śmierci Edmunda. Wygląda na to, że nijak ich nie zabezpieczył.

Po prostu patrzył na nią i czekał, żałując, że dzieli ich taki dystans.

Isabel zaplotła przed sobą dłonie.

– Louise przyszła do mnie miesiąc po tym, jak pochowałam Edmunda. Powiedziała, że Edmund ulokował ją w niewielkiej miejskiej rezydencji, ale z jego śmiercią czynsz przestał być opłacany. Nie miała pieniędzy. Od tamtej pory zdążyłam się przekonać, że nie pojmuje najbardziej fundamentalnych zasad gospodarowania funduszami. Poprosiła mnie o pieniądze, a ja… – Umilkła, ponownie wzruszając ramionami.

Sprawiała wrażenie tak bardzo opuszczonej, kiedy stała samotnie pośrodku pokoju, zaciskając przed sobą ręce, jakby była w trakcie nieprzyjemnej, lecz koniecznej deklamacji.

– Isabel, proszę, niech pani napije się herbaty.

Ku jego ogromnej uldze podeszła i usiadła na sofie naprzeciwko, przyglądając się w odrętwieniu, kiedy napełniał dla niej filiżankę herbatą i dodawał sporo mleka oraz cukier.

– Nie powinien pan dla mnie nalewać – rzuciła w rozkojarzeniu, przyjmując od niego napój.

Popatrzył na nią z ironią.

– Zapewniam panią, że w przytułku nikt mnie nie obsługuje.

– Och. – Pociągnęła łyk herbaty. – Tak, oczywiście.

Obserwował ją niespokojnie. Nadal umykał mu tutaj jakiś szczegół. Coś, czego mu dotąd nie powiedziała.

– Wiedziała pani, że jej mąż miał utrzymankę?

Pokręciła głową i opuściła filiżankę na podołek, gdzie tuliła ją między dłońmi.

– Nie, zasadniczo nie, ale zupełnie mnie to nie zdziwiło. Przez wiele lat poprzedzających nasz ślub Edmund był wdowcem, miał swoje potrzeby.

Także napił się herbaty, która tymczasem zdążyła wystygnąć.

– Powiedziała pani wcześniej, że dochowywała wierności mężowi. Na pewno poczuła się pani zdradzona, dowiedziawszy się, że on nie był wierny.

Na jej twarzy odmalował się cynizm.

– Zapomina pan, że takie sprawy… utrzymywanie przez mężczyznę kochanki… stanowią w moich kręgach wręcz wymóg etykiety. Istnienie Louise mnie zaskoczyło, ale nie zszokowało. Ostatecznie nie zawarłam związku z miłości. Edmund zawsze okazywał mi wielką kurtuazję. Zabezpieczył mnie nawet po swojej śmierci. Czegóż więcej kobieta może oczekiwać od mężczyzny?

– Wierności. Namiętności. Miłości – odparł Winter, o wiele za szybko. Zbyt ostrym tonem.

Popatrzyła na niego, a cynizm ustąpił miejsca zaciekawieniu.

– Naprawdę? Według pana z tego jest zbudowane małżeństwo?

– Tak.

Przymknęła oczy.

– Wobec tego wielka szkoda, że postanowił pan nigdy się nie żenić, panie Makepeace.

Teraz to on odwrócił wzrok.

– Dlaczego po prostu nie dała pani Louise pieniędzy?

Powiodła palcem wzdłuż obrzeża filiżanki.

– Dałam, ale… ona stale się przeprowadza, a ja mam duży dom. – Przygryzła wargę. – W tamtym czasie Christopher ledwie wyrósł z niemowlęctwa, Louise zaś sprawiała wrażenie rozkojarzonej matki.

– Zachęciła ją więc pani, żeby zostawiła go tutaj? – zapytał. – Dziecko pani męża?

– Tak. – Pokiwała głową.

– Postąpiła pani bardzo szlachetnie.

Zmarszczyła nos.

– Nie stanowiło to żadnego kłopotu, zwłaszcza kiedy Christopher był mały. Zatrudniłam Carruthers, zadbałam, by niczego mu nie brakowało. – Umilkła niepewnie.

– Ale? – ponaglił.

Strzeliła weń poirytowanym spojrzeniem.

– Ale odkąd Christopher nieco podrósł, przejawia dziwną fascynację moją osobą. Zakrada się do moich pokoi, chowa w zasłonach i pod łóżkiem, szpera w mojej toaletce i szkatułce z biżuterią.

Winter zamrugał.

– Zabiera rzeczy?

– Nie. Nigdy. – Stanowczo pokręciła głową. – Niemniej… dlaczego to robi?

– W gruncie rzeczy nie wydaje się to aż taką tajemnicą – odparł Winter. – Jest pani głową domu, piękną i czarującą. To naturalne, że go pani fascynuje.

Uśmiechnęła się do niego po raz pierwszy tego dnia.

– No, no, panie Makepeace, obdarzył mnie pan właśnie wyjątkowo uroczym komplementem.

Nie dał się odwieść od tematu.

– Chłopiec pani przeszkadza. Dlaczego?

Niemal pożałował pytania, gdyż jej uśmiech zgasł i uciekła wzrokiem.

– Może nie przepadam za dziećmi.

Czemu więc zostałaś patronką sierocińca? – pomyślał, lecz na szczęście nie powiedział tego na głos.

– No dobrze. – Isabel dopiła herbatę, odstawiła filiżankę i wstała. – Lady Whimple…

babka lorda d’Arque’a… urządza dziś wieczorem przyjęcie w rezydencji wicehrabiego. Sugeruję, żebyśmy poćwiczyli pańskie umiejętności taneczne.

Winter westchnął. Taniec zdążył awansować do rangi jego najmniej ulubionego zajęcia.

– To znaczy – dodała ostro Isabel – jeśli zamierza pan wziąć w nim udział?

Winter podniósł się, zaglądając w jasnoniebieskie oczy Isabel. Dzięki zaproszeniu do miejskiej rezydencji d’Arque’a zyska idealną sposobność, by przeszukać gabinet i sypialnię tego człowieka.

– Och, nie przegapiłbym tego za nic w świecie.

Rozdział 10

Przez dwie noce Prawdziwa Miłość Arlekina zapuszczała się dzielnie w niebezpieczne uliczki St. Giles, szukając ukochanego – jedynie po to, by o świcie z zawodem powrócić do domu. Jednakże trzeciej nocy Prawdziwa Miłość odnalazła go, gdy stał nad ciałem złodzieja, którego właśnie zgładził.
– Arlekinie, och, Arlekinie! – wykrzyknęła Prawdziwa Miłość.
– – Czyżbyś mnie nie pamiętał?
Lecz on tylko odwrócił się i odszedł, jakby nie słyszał jej ani nie widział…
– z Legendy o Arlekinie – Duchu St. Giles

Pomimo zapewnień Wintera, że pojawi się na balu lady Whimple, Isabel weszła tego wieczoru na salę balową wicehrabiego, nie oczekując, że go zobaczy. Znów postanowił przybyć osobno, tym razem zasłaniając się wymówką, że zatrzymały go nauczycielskie obowiązki.

Coraz bardziej męczyły ją takie historyjki – drażniły ją słabo zawoalowane kłamstwa z ust tak moralnego człowieka. Czy zamierzał jej kiedykolwiek wyznać, że jest Duchem? A może uważał ją za zbyt głupią, by rozpoznała go pod maską i w przebraniu? Im dłużej udawał, że nie dzieje się nic nadzwyczajnego, tym większy narastał w niej gniew.

Odetchnęła głęboko, żeby się uspokoić, i rozejrzała się po pomieszczeniu. Jak należało tego oczekiwać, pomalowana na elegancki karmazyn sala balowa została ekstrawagancko udekorowana. Lord d'Arque wydał fortunę na cieplarniane goździki – ulubione kwiaty jego babki. Białe, czerwone i różowe bukiety rozstawiono dosłownie wszędzie, napełniały powietrze uderzającą do głowy wonią.

Wicehrabia d'Arque stał obok babki, by wraz z nią witać gości, a kiedy Isabel zrównała się z nimi, dygnęła przed starszą damą. Lady Whimple mieszkała teraz z wnukiem. W młodości uchodziła ponoć za piękność, ale wiek położył dłoń na jej twarzy i pociągnął w dół skórę wokół ust, oczu i na szyi. Powieki opadały jej po obu stronach brwi, przez co sprawiała wrażenie nieustannie zasmuconej, lecz jasnoszare oczy połyskiwały inteligencją.

– Lady Beckinhall – odezwała się starsza dama, przeciągając zgłoski. – Wnuk poinformował mnie, że z zaangażowaniem wspiera pani zarządcę jakiegoś sierocińca.

– Istotnie, milady – odparła z uprzejmym uśmiechem Isabel.

Lady Whimple prychnęła.

– W moich czasach dostojne damy z towarzystwa interesowały się raczej romantycznymi intrygami i plotkami, zapewne jednak wy dzisiaj jesteście bardziej świątobliwe dzięki całej tej waszej dobroczynnej działalności. – Jej ton jasno sugerował, że świątobliwość nie zalicza się do cech przez nią cenionych.

– Mam nadzieję, że udźwignę to brzemię – wymamrotała Isabel.

– Mhm – mruknęła sceptycznie lady Whimple. – D'Arque napomknął także, że jest osobiście zainteresowany prowadzeniem tego przytułku dla urwisów, ponieważ jednak lubi mnie oszukiwać, nie przejęłam się tym specjalnie.

– *Grand-mère*. – Wicehrabia nachylił się, żeby cmoknąć babkę w policzek, który to gest chyba zirytował starszą damę. – Wiem, że pomysł, bym miał robić cokolwiek, co nie

przynosi mi bezpośredniej korzyści, wydaje się zaiste dziwny, musimy jednak nauczyć się iść z duchem czasu. – Posłał Isabel kpiące spojrzenie. – Jeżeli zaś przytułek mnie znudzi, zawsze mogę zatrudnić innych, żeby go doglądali.

Isabel popatrzyła nań zmrużonymi oczami. W tej chwili d'Arque zwyczajnie podpuszczał ją tym pokazem kapryśnego znużenia. Jedyną pozytywną stroną jego nieprzewidywalnych nastrojów była szansa na to, że znudzi się całym tym „konkursem" i porzuci temat, zanim będzie za późno.

– Ha! Dopóki tylko nie wymaga się ode mnie, bym przyłączyła się do tego szaleństwa – mruknęła lady Whimple.

– Zgadzam się, milady – rozbrzmiał obok nich męski głos.

Odwróciwszy się, Isabel odkryła, że za nią w kolejce do powitania ustawili się tymczasem pan i pani Seymour.

– Czyżbyś również obstawiał moją porażkę, Seymour? – spytał z uśmiechem lord d'Arque.

– Nie porażkę. – Pan Seymour zachichotał, podczas gdy jego żona wyglądała na znudzoną. – Musisz jednak przyznać, że lady Whimple ma rację, kiedy mówi, że dziwnie wyobrazić sobie ciebie jako zarządcę przytułku.

– Dziwne czy nie, jest to moją ambicją – odparł z uporem d'Arque. – Choćby tylko dlatego, że przytułkowi patronuje kilka uroczych dam. Poza tym Londyn zaczął mnie nudzić. Doglądanie urwisów może się okazać potwornie zabawne.

Jego babka prychnęła.

– Skoro tak twierdzisz – rzekł pan Seymour, ze smutkiem kręcąc głową. – Założę się, że moje próby odwiedzenia cię od pomysłu na nic się nie zdadzą. Zwrócę się wobec tego do lady Beckinhall z zapytaniem, czy otrząsnęła się już po spotkaniu ze swoim przyjacielem, Duchem St. Giles.

Isabel zmarszczyła brwi, szykując się do protestu, lecz wicehrabia odezwał się pierwszy.

– A oto i mój rywal – oznajmił. – Chyba należą się panu punkty za przybycie o czasie.

Znienacka tuż obok niej znalazł się Winter, swoją obecnością przytłaczając jej zmysły. Miał na sobie nowy zestaw z tabaczkową kamizelką, Isabel zaś ponownie uderzyło, jak przystojnie się w nim prezentuje.

– Milordzie. – Winter Makepeace ukłonił się krótko wicehrabiemu. Ujął Isabel pod ramię. – Proszę wybaczyć, kolejka oczekujących na powitanie się wydłuża.

Isabel ledwie miała czas skinąć głową pozostałym, zanim Winter ją odciągnął.

– To panu nie wyszło.

– Nie? – Tego wieczoru mocno otulił się swoją rezerwą. – Ale czy nie jest niegrzecznie ze strony gospodarza, że każe gościom tak długo czekać w kolejce?

– Być może. – Isabel wbiła wzrok przed siebie, kiedy zaczęli przemierzać salę. – Niemniej równie niegrzecznie było wejść i, ot tak, porwać mnie bez powitania.

– Przywitałem się przecież z wicehrabią.

Zatrzymała się i odwróciła ku niemu. Dlaczego był dziś taki kłótliwy?

– Ale nie ze mną, nie z lady Whimple, nie z panem i panią Seymour.

Zacisnął wargi.

– Zdaje się, że zaraz rozpocznie się taniec.

– Czy to zaproszenie? – Z niedowierzaniem uniosła brwi.

Popatrzył na nią, po czym odwrócił wzrok, jakby to on miał prawo złościć się na nią.

– Jeśli chce pani, żeby nim było.

– Chcę – odparła po prostu, ponieważ, choć zagniewana, istotnie chciała z nim zatańczyć.

W trakcie lekcji poruszał się z zaskakującym wdziękiem, lecz to nie wszystko – pomimo jego nastroju, pomimo deklaracji, że nie zaangażuje się w relację z nią, pragnęła z nim być.

Pragnęła go.

Kiedy zatem wyciągnął rękę, przyjęła ją i dała się poprowadzić na parkiet. Był to wiejski taniec o szybkich, skomplikowanych krokach, niemniej Isabel przez cały czas pozostawała świadoma kluczącego wokół niej ciała Wintera. Jego buty sunęły cicho po posadzce, nachylał się i skłaniał z oszczędnością ruchów, z których biła czysta elegancja. Nie widziała jeszcze tancerza, który poruszałby się z takim wdziękiem, a przecież nie starał się przyciągać uwagi; ani trochę się nie popisywał.

Gdy wreszcie się zatrzymali, twarzą w twarz, trzymając się za ręce, nie był ani trochę zdyszany, choć jej pierś wznosiła się i opadała szybciej niż zwykle.

Popatrzył na nią z zadumą i odrobiną smutku w brązowych oczach.

Odkaszlnęła.

– Chciałby mi pan może coś powiedzieć?

Przekrzywił głowę, w jego spojrzeniu pojawiła się czujność.

– Nic nie przychodzi mi na myśl. Jeśli chce pani, bym przeprosił za to, że dałem tak szybką odprawę d’Arque’owi, nie zrobię tego.

Zacisnęła wargi. Czyli nadal zamierzał ją zwodzić w kwestii Ducha!

– Nie? – Odetchnęła głęboko. – Dobrze więc, że nawiązywałam do czegoś innego.

– A mianowicie? – Nawet nie patrzył w jej stronę.

Uśmiechnęła się z przymusem.

– Chodziło mi o miniony wieczór. Nie wytłumaczył pan, dlaczego zjawił się w operze tak późno, że całkiem ominęło go pojawienie się Ducha.

– Usiłowałem wyjaśnić, że w przytułku zdarzył się nagły wypadek…

– To najwyraźniej dość częste – warknęła.

Spojrzał na nią wreszcie ciemnymi, pozbawionymi wyrazu oczami.

– Owszem, częste. Ostatecznie to przytułek dla dzieci, a dzieci są nieprzewidywalne.

– Nie one jedne.

Wpatrywał się w nią przez chwilę, po czym umknął wzrokiem.

– Wydaje się pani zdenerwowana. Może przyniosę szklaneczkę ponczu dla orzeźwienia.

I odszedł, nim zdążyła go poinformować, że nie znosi ponczu.

Porzucił ją, ot tak po prostu zostawił samą na środku parkietu. Coś podobnego nigdy dotąd jej się nie przydarzyło. Dobry Boże, miał się za króla Anglii? A ją za pospolitą ladacznicę?

Uśmiechnęła się sztucznie do jakiejś matrony, która otwarcie się na nią gapiła, i zeszła z parkietu. Kilkoro znajomych pozdrowiło ją po drodze, ona zaś nie była nawet pewna, czy im odpowiedziała. Jakiś czas później znalazła się znów na parkiecie, nie pamiętając już, ile razy okrążyła salę. Miała w zanadrzu parę słów, które powie Winterowi po jego powrocie. A właściwie gdzie się podziewał? Zdobycie szklaneczki ponczu nie powinno trwać aż tak długo. Chyba że zwyczajnie jej unikał albo wyślizgnął się z sali balowej jak ostatni tchórz…

Albo wymknął się w sprawach Ducha.

Ta myśl spadła na nią znienacka. Isabel podniosła głowę i przeczesała salę wzrokiem.

Nigdzie nie było go widać. Z pewnością by nie… nie tutaj. Niemniej przechodząc przez kolejne pomieszczenia, odkryła wkrótce, że Winter Makepeace nie przebywa w żadnym z publicznie dostępnych miejsc.

Pozostawały więc, oczywiście, prywatne pokoje rodziny.

Isabel stała na uboczu sali balowej. Sześć kroków i wymknęła się na korytarz. Była już raz w domu wicehrabiego d'Arque'a i pamiętała, że biblioteka znajduje się na końcu tego właśnie korytarza. Podeszła szybko do drzwi i zajrzała do środka. Pokój oświetlał tylko jeden kandelabr, widziała jednak, że pomieszczenie jest puste. Kolejnych kilka minut wystarczyło jej, by ustalić, że Wintera nie ma nigdzie w pobliżu.

Wzięła głęboki oddech i zakradła się po schodach na kolejne piętro. Narażała w tej chwili na szwank swoją reputację. Dopóki po prostu przeszukiwała tę samą kondygnację, na której mieściła się sala balowa, przyłapana zawsze mogłaby powiedzieć, że zabłądziła. Trudniej udawać zagubienie na innym piętrze.

Ostrożnie otworzyła drzwi i odkryła sypialnię damy, przypuszczalnie lady Whimple. Na szczęście nie natknęła się w środku na pokojówkę, jednak Wintera także tu nie znalazła. Za zakrętem korytarza natrafiła na kolejne drzwi do sypialni. Zaczerpnęła tchu i ostrożnie weszła do środka.

Pokój urządzono w ciemnych czerwieniach i brązach – prywatne apartamenty lorda d'Arque'a, to oczywiste. Środek pomieszczenia okupowało ogromne łoże z kotarami, identycznymi jak zasłony kryjące okno za nim. Pod ścianami stały rozmaite bogato rzeźbione meble. Isabel wkradła się dalej i, czując się głupio, zajrzała pod łóżko. Nic. Już miało ją ogarnąć rozczarowanie, kiedy uzmysłowiła sobie, że w sąsiednim pokoju słychać nucenie. Dobry Boże, to na pewno lokaj lorda d'Arque'a – a sądząc po dźwięku, zmierzał właśnie do sypialni. Znieruchomiała, gotowa do ucieczki…

Zza zasłony wystrzeliło silne ramię i wciągnęło ją do niszy okiennej.

Zatchnęła się – cichutko – ale zakrył jej usta dłonią. Oczy Isabel nie nawykły jeszcze do ciemności, lecz natychmiast go rozpoznała. Nachylił się, długi nos jego maski prześlizgnął się po jej włosach, kiedy szeptał:

– Ciii…

Zamarła, jej serce tłukło się jak u schwytanego w potrzask królika. Przycisnął ją mocno do swego ciała, gdy oboje nasłuchiwali, jak nucący lokaj krząta się po sypialni. Przez skórę rękawiczki czuła żar jego dłoni, twardą pierś dociskał do jej pleców. I raptem jej puls galopował z zupełnie innego powodu.

Powodu całkowicie niestosownego.

Rozległ się dźwięk, jakby po drugiej stronie zasłony wysunięto szufladę. Mężczyzna oddychał równo i głęboko. Był tak niewzruszony, jakby stali w pokoju herbacianym.

Znienacka zalała ją furia. Jak śmiał być tak spokojny, tak opanowany? Jak śmiał doprowadzać do tego, że twardniały jej sutki, a w brzuchu rozlewało się ciepło? Jak śmiał robić jej wszystko to, co jej robił – i do niczego się nie przyznawać?

Do tej pory zaciskała dłonie na jego ramieniu, ale teraz pozwoliła im opaść. Lokaj rozpoczął nową melodię, coś znajomego, czego jednak nie potrafiła rozpoznać. Sięgnęła za siebie, jej palce dotknęły gładkiego materiału opinającego udo. Duch poruszył się, jakby chciał się wycofać, ale w niszy zwyczajnie brakowało na to miejsca. Za plecami mieli sięgające podłogi okno, przed sobą zasłonę.

Nie ucieknie jej. Sunęła dłońmi tak daleko, jak była w stanie sięgnąć w tej niewygodnej pozycji. Wyczuwała jego uda i początek łuku bioder, lecz nic ponadto. Z frustracją zacisnęła pięści, a później podjęła decyzję.

Okręciła się zwinnie w jego ramionach. Naturalnie mógłby ją powstrzymać, ale przepychanki zaalarmowałyby nucącego lokaja.

Podniosła wzrok i zobaczyła jego oczy, połyskujące za tą dziwną maską. Był zły? Zaciekawiony? Podniecony?

Nie miało to znaczenia. Zmęczyło ją czekanie, aż przyzna, kim jest. Zmęczyło zakładanie maski udawanej wesołości, gdy kryła pod nią o wiele więcej – o wiele więcej czuła. Nikt dotąd nie zauważył jej maski. Nikt oprócz niego. Jeśli nie mógł lub nie chciał wykonać pierwszego ruchu, to niech to szlag, ona go zrobi.

Opadła na kolana.

Gwałtownie wciągnął powietrze – wyczuła to, choć nic nie usłyszała. Sięgnęła w górę, odnalazła guziki jego rozporka i wzięła się za ich rozpinanie.

Zacisnął dłonie na jej nadgarstkach, unieruchamiając jej ręce przy swoim kroczu.

Spojrzała w górę, kiedy dotarł do nich wyraźny dźwięk otwieranych i zamykanych drzwi.

Cisza.

Patrzył na nią z przekrzywioną głową, przedramionami dotykała twardych, naprężonych mięśni jego ud.

Czekała, ale się nie poruszał.

Nachyliła się powoli i musnęła pocałunkiem cienką skórę jego rękawiczek. Otworzyła usta. I ugryzła go w knykieć.

Szarpnął się. Ruch był drobny, ledwie zauważalny, lecz poczuła go mimo wszystko i uśmiechnęła się szeroko.

– Nie – szepnął, tak cicho, że mogłoby to być westchnienie.

Pod jej uwięzionymi dłońmi miał pełną erekcję.

– Pozwól mi – powiedziała cicho, ale wyraźnie.

Wolno, jakby walczył sam ze sobą, otworzył dłonie.

Nie czekała, by się przekonać, czy nie zmieni zdania. Nachyliła się, szarpnięciem otworzyła mu rozporek, sięgnęła do środka i znalazła to, czego szukała.

Był taki, jak zapamiętała: gruby i ciężki, i, och, jakże piękny. Wyciągnęła jego członek z bielizny i spodni, przebiegła palcami po gorącej, napiętej skórze.

Znieruchomiał, jakby szykował się do ucieczki lub walki, toteż jej kolejne posunięcie było szybkie i pewne: otworzyła usta i objęła nimi jego żołądź.

Szepnął jakieś słowo, krótkie i ostre.

Zamknęła oczy, rozkoszując się jego zapachem, piżmowym i zmysłowym. Smakował solą i mężczyzną i ssała go ochoczo, czując życie pod językiem. Poruszyła prawą ręką, gładząc go delikatnie, lecz zdecydowanie, chciała bowiem, by to trwało. Chciała, by nie zapomniał tego do końca życia.

Jego wielkie dłonie przemieściły się z wahaniem, dotykając jej włosów, policzków, wyszeptując na jej czole najdelikatniejsze pieszczoty.

Oczy zapiekły ją od łez i gwałtownie wciągnęła powietrze, wypuszczając go z ust, ale nie z dłoni. Popatrzyła w górę, łzy spływały jej po policzkach, a wtedy on zgarnął je jedną opuszką palca w rękawiczce. Za jego sprawą czuła… czuła tak wiele. Pragnęła rzeczy, których nigdy nie będzie mogła mieć.

Jego idealne wargi się rozchyliły.

– Isabel.

– Nie – mruknęła i powróciła do swego zadania.

Głupie łzy nie przestawały płynąć, czuła ich smak, kiedy przeciągała językiem wzdłuż

jego członka. Był taki twardy, taki rozpalony! Polizała żołądź, rozpłaszczyła język na samym koniuszku i usłyszała jego cichy jęk.

Później znowu wzięła go w usta i ssała.

Zakołysał się na stopach, jak ktoś silnie popchnięty, a wtedy jej wargi ułożyły się na nim w uśmiech satysfakcji. Ponownie zamknęła oczy, aż otoczenie, smutek w jej wnętrzu, a nawet sam mężczyzna odpłynęli gdzieś daleko. Koncentrowała się wyłącznie na penisie w swoich ustach. Tak twardym, tak wyposzczonym, tak całkowicie zdanym na jej łaskę. W rozmarzeniu gładziła jego członek, znajdując każdą pulsującą żyłę, zanurzyła dłoń w jego spodnie, by ująć w nią napięte jądra. I przez cały czas ssała, ssała, ssała.

Niemalże boleśnie zacisnął w palcach jej włosy i wiedziała, że dochodzi. Podniosła wzrok, żądna ujrzeć go w tej gorączce, przyglądała się, jak niespokojnie kołysze głową, jak otwiera usta, a jego odsłonięte zęby połyskują w blasku księżyca.

Pierwszy wytrysk był silny i prawie nie pozostawił smaku na jej języku, za to drugi przyniósł sól i mężczyznę, i jęk z jego ust, jakby cierpiał niewysłowione katusze, a w niej wszystko napięło się ze współczucia.

Ssała i ssała, ściskając jego uda, by przytrzymać go w ustach, ponieważ ciężko pracowała na tę nagrodę i zasłużyła na każdą kroplę. Kiedy w końcu zaczął mięknąć, odpuściła i tylko polizała go delikatnie. Między nogami czuła wilgoć, jej ciało było gotowe, by go przyjąć, ale nie zdołałby…

Zaskoczył ją nagłym ruchem. W jednej chwili klęczała przed nim; w następnej poderwał ją do pionu. Trzymał ją za ramiona tak mocno, że zadawał jej ból, i krzyknęła cicho, a oczy rozszerzyły jej się, kiedy zobaczyła…

Raptem jego usta znalazły się na jej ustach, językiem objął ją we władanie, otaczał swoją siłą. Osunęła się na niego, gotowa na wszystko, na co tylko by się zdecydował…

Wtedy zniknął.

Isabel zamrugała, opuszkami palców dotykając obrzmiałych warg. Dobry Boże, co ona zrobiła? Rzeczywistość wróciła do niej gwałtownie – to, kim była, i co ważniejsze, kim był on. Ponieważ blask księżyca padł na jego twarz na moment przed pocałunkiem i wyraźnie zobaczyła, jak lśnią w jego oczach:

Łzy.

* * *

Winter Makepeace zatrzymał się chwiejnie w ciemnym kącie i oparł o ścianę, podnosząc maskę i pocierając dłońmi twarz. Była mokra od łez. Płakał jak dziecko. Dobry Boże, to, co zrobiła Isabel, wstrząsnęło nim. Tak bardzo zbliżyć się do drugiego człowieka, w jej przypadku wręcz uklęknąć przed nim i… Jakby znienacka obudził się w nim nowy zmysł. Czuł ją, czuł świat wokół siebie, a jednocześnie wiedział, że stanowią samo jego centrum, tylko oni dwoje. W tamtej chwili zwierzę, które przez lata starał się pętać i trzymać w klatce, wyrwało się na wolność i zaryczało.

Gwałtownie wciągnął powietrze, prostując się, i przesunął maskę z powrotem na miejsce. Czy wiedziała, kim był? Robiła tamto Winterowi Makepeace’owi czy Duchowi? Jeśli Duchowi, będzie miał chęć umrzeć, jeśli wszakże Winterowi Makepeace’owi, wówczas właśnie zmieniła wszystko. Piękna, uparta, niebezpieczna kobieta! Jaką grę prowadziła?

Ze złością potrząsnął głową. Mógł ją powstrzymać. Był od niej większy, silniejszy. Ale zwyczajnie nie chciał tego robić. W tamtej chwili, kiedy położyła dłonie na jego

rozporku, kiedy jego członek naprężał się w poszukiwaniu ulgi, Winter wręcz umarłby, gdyby odeszła, nie dotknąwszy go. Wszystko, na co było go wówczas stać, to utrzymać ręce z dala od niej. A kiedy wreszcie go trzymała – jej słodkie, piękne usta na grubiańskiej żołędzi…

Na samo wspomnienie znów stwardniał.

Zaklął i ostrożnie wyszedł z cienia. Powinien wrócić na bal, pokazać się na krótko, ale miał teraz na głowie inne sprawy. Na schodach rozbrzmiały kroki. Prędko schronił się w pokoju. Było to małe, nieoświetlone pomieszczenie – być może garderoba – ale z oknem, przez które sączył się słaby blask księżyca. Winter podniósł worek z ubraniami, który ukrył tutaj, przebrawszy się w kostium. Bezpieczniej było przeszukiwać dom d'Arque'a pod postacią Ducha, na wypadek gdyby ktoś go przydybał. Plan zakładał, że później na powrót przebierze się w elegancki strój i wróci na bal, ale dość tego.

Podszedł do okna i przesunął skrzydło w górę, po czym wyjrzał na zewnątrz. Znajdował się nad tylnym ogrodem, blask księżyca rzucał cienie na przystrzyżone geometrycznie żywopłoty trzy kondygnacje niżej. Na szczęście pod parapetami biegł dekoracyjny gzyms. Miał zaledwie kilka centymetrów szerokości, ale powinien wystarczyć.

Pięć minut później Winter wylądował na ziemi. Schylił się, żeby wyjąć ukryty w bucie skrawek papieru, i przekrzywił go tak, by blask księżyca oświetlił nabazgrane słowa: *Calfshead Lane 10.*

Adres w St. Giles. Znalazł ten świstek upchnięty w szufladzie biurka d'Arque'a. Wydął wargi. Czy wicehrabia był tak pewny siebie, że zapisał adres, gdzie przetrzymywano dzieci? Wydawało się to mało prawdopodobne, ale Winter nie zamierzał zignorować tropu.

Nocny wiatr przyniósł śmiech kobiety. Winter znieruchomiał, spoglądając w stronę domu. Światło wylało się do ogrodu, kiedy otworzyły się drzwi i na zewnątrz wyszła jakaś para. Dama nachylała się ku swemu absztyfikantowi, z jawnym entuzjazmem zapatrując się na to, co może się wydarzyć w ciemnym ogrodzie.

Winter podniósł worek, odwrócił się i lekkim krokiem pobiegł po skoszonej trawie, kierując się ku furtce prowadzącej do stajni.

Czy dla Isabel ich schadzka była jedynie grą? Perwersyjną rozrywką w trakcie frywolnego balu?

Czy też wiedziała, kim on jest?

* * *

Isabel pospieszyła z powrotem do sali balowej z nadzieją, że nie odnotowano jej nieobecności, ale nie musiała się martwić.

Coś innego wywołało gwar w pomieszczeniu.

Ludzie tłoczyli się wokół jakiegoś mężczyzny przy wejściu na salę, dobiegały stamtąd zszokowane ciche wypowiedzi i okrzyki. Isabel znajdowała się zbyt daleko, żeby usłyszeć, czego dotyczy poruszenie. Skierowała się w tamtą stronę, lecz prawie natychmiast wpadła na lorda d'Arque'a.

Złapała go za rękaw.

– O co chodzi? Co się stało?

Spojrzał na nią w rozkojarzeniu.

– Nie wiem. Nie dosłyszałem, co mówił. Chodźmy się dowiedzieć.

Wicehrabia ruszył przez tłum, a Isabel podążyła za nim. Kiedy zbliżali się do drzwi, zobaczyła, że mężczyzna nosi ciemnozieloną liberię – kolorami d'Arque'a były biel i niebieski – oraz że jest wzburzony. Wstrząsnął nią widok łez spływających po twarzy służącego.

– Milordzie! – wykrzyknął mężczyzna, spostrzegłszy wicehrabiego. – Och, milordzie, to straszne.

Wszędzie wokół rozbrzmiewały okrzyki i komentarze, lecz mimo to Isabel całkiem wyraźnie usłyszała czyjeś: „Nie". Spojrzała w lewo i zobaczyła lady Margaret.

Twarz dziewczyny poszarzała.

Isabel ruszyła ku niej.

– O co chodzi? – spytał lord d'Arque, a jego arystokratyczny głos jakby uspokoił mężczyznę. – Mów.

Isabel dotarła tymczasem do lady Margaret i dotknęła jej ramienia. Nic nie wskazywało na to, by dziewczyna ją zauważyła. Jej wielkie brązowe oczy wbijały się błagalnie w służącego.

– Mój pan… – Lokaj głośno przełknął ślinę, z oczu popłynęły mu świeże łzy. – Dobry Boże, mój pan, pan Fraser-Burnsby, został zamordowany!

Jakaś kobieta krzyknęła. Lord d'Arque zbladł, jego twarz wyglądała jak wykuta w kamieniu, a Isabel przypomniała sobie, że on i pan Fraser-Burnsby są – byli – dobrymi przyjaciółmi.

– Ja… ja nie wiedziałem, dokąd się udać, milordzie – powiedział służący, zanim ponownie się załamał.

W tłumie narastał szum, lecz uwaga Isabel skupiała się na lady Margaret. Dziewczyna chwiała się w miejscu, z otwartymi ustami, nie dobywały się z nich jednak żadne słowa. Wyglądała jak dziecko, które znienacka uderzono w twarz.

Isabel złapała ją za ramię.

– Nie.

Uzyskała przynajmniej tyle, że lady Margaret odwróciła się ku niej, aczkolwiek spoglądała niewidzącym wzrokiem.

– Roger…

– Nie – szepnęła ostro Isabel. – Nie wolno ci. Nie teraz.

Lady Margaret zamrugała w oszołomieniu. Nagle, bez najmniejszego dźwięku, zaczęła się osuwać na podłogę. Isabel poruszyła się, lecz nie była ani w połowie dość szybka, by złapać dziewczynę.

Na szczęście Godric St. John schylił się płynnie z szybkością błyskawicy, chwytając lady Margaret, nim uderzyła głową o posadzkę. Wpatrywał się jak zahipnotyzowany w bladą twarz dziewczyny.

Isabel dotknęła jego ramienia.

– Proszę pójść ze mną.

Uniósł brew, ale bez słowa dźwignął bezwładną Megs. Uwadze Isabel nie umknęła łatwość, z jaką ją podniósł. Dziwne. Nie spodziewałaby się takiej siły u pana St. Johna, mężczyzny znanego jako uczony filozof.

Jednakże w tej chwili nie miało to większego znaczenia. Isabel odeszła szybko na bok, byle dalej od rozgadanego tłumu, od potencjalnych plotek.

– Proszę wnieść ją tutaj – poinstruowała pana St. Johna.

Znalazła wcześniej niewielką bawialnię, zaraz przy gotowalni dla dam. Na szczęście w pobliżu nie było nikogo – wszyscy poszli zobaczyć, czego dotyczy zamieszanie w sali

balowej.

Godric delikatnie umieścił lady Margaret na sofie, po czym spojrzał na Isabel.

– Czy jest ktoś, po kogo mogę posłać? – odezwał się po raz pierwszy.

– Nie. – Uklękła obok sofy, dotykając policzka lady Margaret. Dziewczyna jęczała cicho, odzyskując przytomność. Isabel spojrzała na pana St. Johna. – Dziękuję za pomoc. Byłoby najlepiej, gdyby nie rozprawiano na ten temat.

Zacisnął usta.

– Może pani liczyć na moją dyskrecję.

Raz jeszcze spojrzał na Megs i cicho opuścił pokój.

– Roger? – zakwiliła Megs.

– Cii… – wymamrotała Isabel. – Możemy spędzić tutaj chwilę, aż odzyskasz zimną krew, ale nie wolno nam zostać za długo. Ktoś zauważy twoje zniknięcie, połączy je ze śmiercią pana Fraser-Burnsby'ego i…

– O Boże – zatchnęła się lady Margaret i zaczęła łkać tak gwałtownie, że cała się trzęsła.

Isabel na moment zamknęła oczy, przytłoczona tym sięgającym do głębi duszy smutkiem. Jakie miała prawo się mieszać? Jakie miała prawo uzmysławiać tej dziewczynie, że nie wolno jej dopuścić, by ktokolwiek dowiedział się o jej rozpaczy – i miłości do pana Fraser-Burnsby'ego, która bez wątpienia stanowiła jej przyczynę.

Ale nikogo innego tutaj nie było.

Toteż Isabel otworzyła oczy i usiadła obok łkającej lady Margaret.

– No, no. Nie możesz się tak przejmować – powiedziała niezbyt stosownie, otaczając dziewczynę ramionami. – Pochorujesz się.

– Kochałam go – chlipnęła lady Margaret. – Mieliśmy się pobrać. On nie… nie… – Potrząsnęła głową, jakby niezdolna do wypowiedzenia tych słów.

O, czemu na świecie musi istnieć śmierć? Rozpacz i smutek? Dlaczego nadzieje uroczej panny zostają zniweczone, jej marzenia o rodzinie i miłości – zmiażdżone? To było po prostu nie w porządku. Jaki bóg karze niewinną dziewczynę?

Isabel uśmiechnęła się gorzko. Lady Margaret już nigdy nie odzyska niewinności. Napiła się z kielicha smutku i utraty, a to naznaczy ją na zawsze.

Zaczerpnęła tchu.

– Chodź. Znajdziemy twoją matkę i…

Ale lady Margaret już kręciła głową.

– Nie ma jej tutaj. Pojechała na wieś na przyjęcie.

– W takim razie twojego brata, markiza.

– Nie! – Lady Margaret popatrzyła na nią otępiałym wzrokiem. – On nie wie o mnie i Rogerze. Nikt nie wie.

Isabel przygryzła wargę.

– Wobec tego musimy zachować dyskrecję. Jeśli goście na sali zobaczą, że aż tak się przejmujesz, pomyślą najgorsze… powiedzą najgorsze.

Lady Margaret zamknęła oczy.

– Będą mieli rację. Jesteśmy… byliśmy w sobie zakochani.

Ach. No cóż, Isabel nie miała prawa kogokolwiek osądzać. W rzeczy samej, wręcz podziwiała dziewczynę za to proste oświadczenie: w głosie lady Margaret nie pobrzmiewał wstyd z powodu romansu, a jedynie smutek.

Co nie zmieniało faktu, że lady Margaret zostanie bezpowrotnie zrujnowana, jeśli rozejdzie się plotka, że ona i Roger Fraser-Burnsby byli kochankami.

– Tym bardziej powinnaś wziąć się w garść – powiedziała delikatnie Isabel.

– Nic mnie to nie obchodzi – szepnęła przez łzy lady Margaret.

– Wiem, kochanie, ale w przyszłości zacznie. – Isabel zdawała sobie sprawę, że jej słowa są bezceremonialne aż do okrucieństwa, ale trzeba było je wypowiedzieć. – Weź się w garść, dziewczyno. Musimy przejść przez salę balową do twojej karety. Z kim tu dziś przyjechałaś?

– Moja… cioteczna babka mieszka ze mną pod nieobecność mamy.

Isabel mgliście kojarzyła starszą, siwowłosą kobietę, która czasami towarzyszyła lady Margaret.

– Dobrze. Najpierw ulokujemy cię w karecie, a potem ją do ciebie przyślę.

Oczywiście sprawa nie okazała się aż tak prosta. Potrzeba było kolejnych piętnastu minut perswazji ze strony Isabel, żeby lady Margaret wreszcie opuściła pokój. Wokół jej oczu widniały czerwone obwódki, twarz jej opuchła i od razu było widać, że płakała, ale przynajmniej przestała już rozpaczliwie łkać.

– Musisz tylko dotrzeć do swojej karety – wymamrotała Isabel, towarzysząc dziewczynie w drodze powrotnej na salę balową. – Kilka kroków i będziesz mogła się rozluźnić.

Lady Margaret przytaknęła mechanicznie.

– Grzeczna dziewczynka – pochwaliła Isabel. Dotarły na salę. Ludzie nadal tłoczyli się przy wejściu i wyglądało na to, że na nie dwie, dzięki Bogu, nikt nie zwraca najmniejszej uwagi. – Twojej ciotce powiemy po prostu, że masz migrenę. Ufasz swojej pokojówce?

– Słucham? – spytała lady Margaret, wyraźnie otumaniona.

Dziewczyna prawdopodobnie nie pomyślała o tym, jak szybko rozchodzą się plotki wśród służby.

– Nieważne. Po prostu odpraw pokojówkę, kiedy tylko pomoże ci się rozebrać. Zamknij drzwi na klucz i odpoczywaj.

– Lady Beckinhall, tu pani jest! – Rozległ się z boku męski głos.

Isabel odwróciła się, zasłaniając lady Margaret przed wzrokiem mówiącego. Pan Seymour i lord d’Arque stali razem. Na twarzach obu mężczyzn malował się ponury wyraz. Wicehrabia nadal był nieco zielony wokół ust.

Dla kontrastu kolory pana Seymoura wskazywały na rozgorączkowanie.

– Co za potworna sprawa. Dżentelmen zamordowany z zimną krwią tutaj, w Londynie. – Spojrzał z zaciekawieniem na lady Margaret. – Takie wieści bez wątpienia okazały się przytłaczające dla co wrażliwszych osób.

Isabel zgromiła go spojrzeniem.

– Istotnie. A nawet dla tych nieco mniej wrażliwych. Pan Fraser-Burnsby był dżentelmenem o nader przyjemnych manierach, przez wielu ogromnie lubianym. Będzie go nam brakowało.

Lord d’Arque wymamrotał coś pod nosem i oddalił się gwałtownie.

– Bardzo się przyjaźnili – wyjaśnił pan Seymour, skinieniem głowy wskazując wicehrabiego. – Wygląda na to, że chodzili razem do szkoły. Nie miałem pojęcia. D’Arque jest bardzo skryty, a Roger zachowywał się przyjacielsko wobec wszystkich. – Pokręcił głową. – Dopadniemy jego mordercę, bez obaw, drogie panie. Wezwaliśmy dragonów, w tej właśnie chwili przeszukują St. Giles. Do świtu znajdzie się w więzieniu.

Isabel wpatrywała się w niego skonsternowana.

– Kto?

Pan Seymour jedynie uniósł brwi.

– Kto zabił Rogera Fraser-Burnsby’ego? – dociekała niecierpliwie Isabel.

– Przepraszam, baronowo, myślałem, że pani wie – odparł łagodnie pan Seymour. – Rogera Fraser-Burnsby’ego zamordował Duch St. Giles.

Rozdział 11

Prawdziwa Miłość Arlekina zapłakała gorzkimi łzami,
nie poddała się jednak. Nazajutrz rano poszła po radę do wiedzącej.
– A! – rzekła wiedząca, wysłuchawszy opowieści Prawdziwej
Miłości. – Arlekin oddał swą duszę Panu Nocy i nie może już
chadzać w blasku słońca. Spędzi tak całą wieczność, nie widząc ani
nie słysząc ludzi wokół siebie, szukając wyłącznie zemsty. Zadanie
nie jest łatwe, ale jeśli chcesz sprowadzić go z powrotem do światła,
musisz najpierw związać go Miłością, następnie przemyć mu oczy
Smutkiem, na koniec zaś nakłonić go, by dotknął Nadziei…
– z Legendy o Arlekinie – Duchu St. Giles

Księżyc wisiał nisko na nocnym niebie, bóstwo służące mu za przewodnika, kiedy pół godziny później Winter Makepeace przeskakiwał z jednego dachu na drugi. Wylądował na czworaka, lecz poderwał się zaraz i lekko pobiegł po gontach. Tak blisko. Znalazł się tak blisko, że czuł to w żyłach. Potrzebujące jego pomocy dzieci przebywały niedaleko, on zaś je odnajdzie i uratuje. Musiał postarać się zapomnieć o emocjach, które rozbudziła w nim lady Beckinhall. Spróbować na powrót pojmać i uwięzić wszystko, co w nim uwolniła. W jej obecności będzie wyłącznie Winterem Makepeace'em, zadba o to, by nigdy więcej nie spotkała Ducha. Jeśli tego dokona, będzie miał może szansę żyć dalej tak jak do tej pory. Ponieważ jakkolwiek było z nią cudownie, ślubował podążać inną ścieżką. Tą ścieżką. Do tego został stworzony: żeby przynosić sprawiedliwość ludziom pozbawionym głosu.

Naprawiać zło, które trawiło St. Giles.

Zeskoczył z dachu na mur, a stamtąd na Calfshead Lane. Dostępu do numeru 10 broniły wypaczone drzwi. Nieco dalej kołysał się na wietrze jakiś szyld, jeśli jednak cokolwiek na nim namalowano, nie dało się tego dostrzec w ciemności. Winter nacisnął klamkę, a kiedy nie przyniosło to rezultatu, cofnął się o krok i po prostu kopnął drzwi.

Poleciały do tyłu na zardzewiałych zawiasach, uderzyły o ścianę i odbiły się od niej. Winter złapał je jedną ręką i zajrzał do środka.

– Poszedł won! – wrzaśnięto piskliwie z wnętrza.

Winter wlepił wzrok w ciemność. Zaraz przy wejściu kuliła się kobieta z nożem w drżącej dłoni.

– Dobry Boże, toż to sam diabeł!

– Gdzie są dzieci? – spytał chrapliwie Winter.

– Dziecki? – Kobieta rozejrzała się wokół w oszołomieniu. – Tu ni masz żadnych dziecków.

Winter wszedł głębiej, na co jego rozmówczyni umknęła do tyłu.

– Wiem, że dzieci są tutaj. Gdzie?

Kobieta wytrzeszczała na niego kaprawe oczy.

– Przyszłeś zawlec mnie do piekła?

Winter przyjrzał się jej uważniej. Dwa kształty – trupy lub zalani w trupa – leżały w kącie maleńkiego pomieszczenia, było jednak oczywiste, że to dorośli. A kobieta przed nim nie wyglądała na zdolną do nadzorowania dziecięcej manufaktury.

– Jest tutaj ktoś jeszcze?

Zamrugała, na pół rozdziawiając usta.

– Ni ma, jak się wyniósł właściciel lombardu. A to bydzie już wiela miesięcy.

Winter podszedł szybko do jedynych drzwi w izbie i otworzył je. Za nimi kryło się niewielkie, puste pomieszczenie z tak niskim sufitem, że mężczyzna nie mógłby się tu wyprostować.

I było całkiem puste.

Rozczarowanie ścisnęło mu pierś. Tutaj miały być przetrzymywane dzieci. Ten adres stanowił jedyny trop, jaki Winter znalazł w sypialni d'Arque'a. Jeśli był fałszywy, wszystko stracone.

Dzieci były stracone.

Z zewnątrz dobiegł stukot kopyt na bruku.

Winter wybiegł z izby.

Uliczką nadciągała właśnie falanga mężczyzn. Dragoni Trevilliona z uniesionymi wysoko pochodniami. W ich migotliwym świetle zdążył jeszcze dostrzec szyld dwa domy dalej, zanim pogalopowali ku niemu.

Na szyldzie widniała świeca.

– Stój! – ryknął kapitan.

Jeszcze czego! Winter skoczył, chwytając się narożnika domu. Zaczął wdrapywać się na budynek, korzystając jedynie z koniuszków palców u rąk i nóg. Ściana eksplodowała mu w twarz, okruchy cegieł odbiły się od maski. Z opóźnieniem rozbrzmiał huk wystrzału.

– Złaź albo zastrzelę cię na miejscu! – zawołał Trevillion.

Winter uchwycił się skraju rynny i znalazł się na dachu, akurat gdy kolejna kula trafiła w dachówki tuż za nim. Popędził, nie patrząc, gdzie stąpa, świadom, że konie podążają w ślad za nim uliczką w dole. Dotarł na szczyt dachu, przeskoczył na drugą stronę i pobiegł w dół, a poluzowane przez jego stopy dachówki z hałasem spadały na ziemię. Dragoni okrążyli narożnik i galopowali w alejce poniżej. Odległość dzieląca go od kolejnego budynku była zbyt duża; spadłby, a upadek oznaczał natychmiastowe pojmanie.

– Poddaj się! – krzyknął wojskowy. – Jesteś okrążony!

Rzeczywiście, widział dragonów także w uliczce po swojej prawej stronie. Tym razem było ich kilkudziesięciu. Dlaczego Trevillion postanowił nagle przyprowadzić wszystkich swoich żołnierzy?

Teraz już nie miał wyboru.

Cofnął się dwa kroki i pobiegł wzdłuż krawędzi dachu w kierunku najbliższego domu.

– Nie uda ci się, człowieku!

Huknął strzał, a Winter stęknął, skacząc. Za daleko. Za daleko.

Z wielką siłą grzmotnął o krawędź sąsiedniego budynku, czując przeszywający ból w piersi. Wyciągał przed siebie ramiona, palcami gorączkowo szukał oparcia – i zaczął spadać. Ześlizgiwał się w tył, szorstkie gonty rozdzierały skórę jego rękawic.

A potem znalazł punkt zaczepienia.

Wisiał ledwie moment, dziękując szeptem Bogu, a następnie palcami stóp odepchnął się od ściany budynku i znalazł ponad krawędzią dachu.

Później pobiegł.

* * *

Noc przeszył huk wystrzału.

Isabel zatchnęła się, jakby to ją postrzelono. Otworzyła drzwi karety i przytrzymując się paska wewnątrz, wysunęła głowę z toczącego się pojazdu.

– Jedź w kierunku strzałów, John!

Jej stangret, zwykle niewzruszony, na to polecenie odwrócił się ku niej z niepokojem na twarzy.

– Na pewno, milady?

– Tak, tak. Po prostu rób, co mówię.

Isabel na powrót zamknęła drzwi, ale pozostała przy oknie, z niepokojem wyglądając na zewnątrz. Gdy tylko usłyszała, że Ducha obwinia się o zamordowanie pana Fraser-Burnsby'ego, wiedziała, że Winterowi grozi ogromne niebezpieczeństwo. Opuścił dom wicehrabiego, zanim gruchnęła wieść o morderstwie, nie miał więc pojęcia, że akurat dzisiejszej nocy nie wolno mu wypuszczać się gdziekolwiek w swym przebraniu.

Przekrzywiła głowę, nasłuchując z niepokojem. Strzały rozległy się bardzo blisko. Jeśli strzelano do Wintera, znajdował się w pobliżu. Jeżeli tylko kule nie dosięgły celu…

W mroku poruszył się jakiś cień.

Serce jej podskoczyło. Otworzyła drzwi, jeszcze zanim rozpoznała maskę o długim nosie.

– Szybko! Tutaj.

Wskoczył do karety, nie czekając, aż zwolni. Isabel zatrzasnęła drzwi i zastukała w dach.

– Do domu, John!

Później odchyliła się na oparcie i popatrzyła na niego, siedzącego naprzeciw. Rękawice miał podarte, poza tym wszakże jego kostium wydawał się nienaruszony. Żył. Żył, żył, żył! Dzięki Bogu i wszystkim aniołom, i każdemu świętemu, który akurat kręcił się w pobliżu. Łaskawy Panie, czuła taką ulgę!

Zdjął miękki kapelusz i rzucił na siedzenie, po czym zaczął ściągać rękawice, zdawałoby się, ani trochę niewytrącony z równowagi. Jakby nie przeżywała przed chwilą katuszy, szukając go. Poza tym – właśnie! – gdyby zależało to od niego, w ogóle by go nie szukała, nie wiedziałaby bowiem, że jest Duchem. Furia – rozpalona do białości i czysta – zawrzała w jej piersi.

– Ty idioto! – syknęła cicho. – Nie wiesz, że cię szuka każdy żołnierz w Londynie z rozkazem pojmania żywego lub martwego?

Po prostu siedział, zdyszany, i bez słowa wetknął sobie rękawice za pas.

Miała chęć nim potrząsnąć.

– Winterze!

Znieruchomiał, a później zerwał z twarzy skórzaną maskę i znajdującą się pod nią opaskę z jedwabiu. Minę miał odstręczającą, niemniej nawet w mroku karety widziała ogień w jego oczach.

– Zatem wiesz.

– Nigdy nie zamierzałeś mi powiedzieć, zgadza się? – Roześmiała się gniewnie; zbyt wiele emocji kotłowało się w jej piersi. – Oczywiście, że wiem. Sądzisz, że mogłabym całować mężczyznę, nie wiedząc, kim on jest?

Wyraz jego twarzy stał się jedynie bardziej srogi.

– Czyli wiedziałaś wcześniej dzisiejszego wieczoru, kiedy…

– Ssałam ci fiuta?

Jeśli planowała go zaszokować, spotkał ją zawód.

Nie drgnęła mu nawet powieka. Przyglądał jej się tylko oczami, z których pomimo

starań nie potrafiła nic wyczytać.

Tym razem jej śmiech graniczył z histerią.

– Był pan zazdrosny o samego siebie, panie Makepeace, czy może uważał mnie za rozpustnicę, która wyszukuje na balach dżentelmenów, żeby…

Nie dał jej dokończyć tej okropnej wypowiedzi. Rzucił się na drugą stronę karety, porwał ją w silne ramiona i pociągnął ku sobie, nim zdążyła zaczerpnąć tchu. Znalazła się na jego kolanach, niczym łup, całkowicie zdana na jego łaskę.

Coś w jej wnętrzu się wyciszyło.

– Przestań – mruknął, wpatrując się w jej usta. – Przysięgałem. Masz pojęcie, co zrobiłaś?

Nie zostawiając jej czasu na odpowiedź, dotknął jej warg.

Usta jej zadrżały i załkała, raz. Z powodu strachu, jakiego jej napędził, z powodu smutku doświadczonego przez lady Margaret, z powodu wszystkich nadziei i marzeń, które nigdy się nie ziszczą.

Jednakże wszystko to należało do przeszłości. Tutaj, teraz, liczył się wyłącznie ten mężczyzna.

Dlatego Isabel otuliła jego twarz dłońmi i przyjęła pocałunek, otworzyła usta dla jego języka, rozkoszując się jego nagłą agresją. Wielki i rozpalony, całował ją z natarczywą męską potrzebą, która także w niej rozpaliła ogień. Pragnęła tego mężczyzny. Pragnęła mieć go w sobie. Pragnęła go teraz. Chwyciła zębami jego dolną wargę i ugryzła delikatnie, w nagrodę uzyskując zwierzęce warknięcie. Jego dzikość powinna wlać w jej serce strach, nakłonić ją do ostrożności. Tymczasem jedynie pobudziła jej kobiece potrzeby.

Przeciągnęła dłońmi po jego tunice, czując pod palcami twardą muskulaturę klatki piersiowej. Przywodził jej na myśl młodego tygrysa, same mięśnie i namiętność, ona zaś chciała go ujeżdżać – nie po to, by poskromić bestię, lecz by przez chwilę doświadczyć pełni jego witalności.

Sięgnęła do jego rozporka, a on jęknął i przekrzywił głowę, by całować ją z jeszcze większą desperacją. Pod jej dotykiem był już twardy, rozpalony i pełen życia. Nie radziła sobie, jej zręczne zwykle palce pod wpływem pożądania stały się niezdarne, aż przez chwilę myślała, że będzie musiała rozedrzeć materiał, tak rozpaczliwie pragnęła jego nagiego ciała.

Ale guziki w końcu ustąpiły i zakwiliła mu w usta, kiedy na dłoniach poczuła żar jego skóry. Był tak twardy, że zdawać by się mogło, iż trzyma owinięte w aksamit żelazo: miękkie, lecz nieustępliwe. Pieściła jego ciało, ściskając delikatnie.

Potem nagląco szarpnął jej spódnice, uniosła więc pupę, żeby mógł je podciągnąć.

To było szaleństwo; to była ekstaza.

Pod spódnicami znalazł jej nagie biodra i przywarł do nich dłońmi, a jego pocałunek jeszcze nabrał dzikości. Palcami gładził jej pośladki, okrążał uda.

Byli w karecie, na litość boską! Powinna natychmiast to zakończyć. Ale nie chciała; ot, i cała tajemnica. Odmówiono jej tak wielu rzeczy – czy było takie straszne, że brała, ile mogła?

Przerzuciła nogę nad jego udami i usiadła na nim okrakiem, a później sięgnęła pod siebie i znalazła go ponownie.

Oderwał się od jej ust.

– Poczekaj.

– Nie. – Otwarcie popatrzyła mu w oczy. – Nie obchodzi mnie, jeśli wytryśniesz od

razu. Chcę mieć cię w sobie w tej chwili.

Jego piękne oczy najpierw się zaokrągliły, a potem zwęziły.

– Nie zawsze będzie pani u steru, milady.

Uśmiechnęła się słodko.

– Oczywiście, że nie, ale teraz jestem.

I ulokowała go przy swoim wejściu. Była już tak mokra, że od razu częściowo się w nią wślizgnął.

Jęknął i zamknął oczy, odchylając głowę do tyłu, na oparcie siedziska karety, jakby zadawała mu tortury.

Na ten widok zwilgotniała jeszcze bardziej.

Ześlizgnęła się na niego wolno, przygryzając wargę, uśmiechnięta z powodu czystej przyjemności doznania, obserwując jego twarz, gdy brała go w siebie całego.

Przełknął ślinę, grdyka mu pracowała, mięśnie szyi wyraźnie się odcinały. Uniosła się łagodnie i czule, pilnując, by jego członek w niej pozostał, a tarcie przyprawiło ją o westchnienie rozkoszy.

– Nie – szepnął. – Wytrysnę za szybko.

– Wiem – odparła łagodnie i polizała mu szyję. – Ale nigdy tego nie zapomnisz. Mnie nigdy nie zapomnisz.

Otworzył oczy, zmysłowa górna warga wygięła mu się w warknięciu.

– Nigdy cię nie zapomnę bez względu na wszystko.

Później mocno chwycił jej biodra i wdarł się w nią. Był niedoświadczony, nieelegancki, gwałtowny i szorstki – a ona to uwielbiała.

Odrzuciła głowę do tyłu i zaśmiała się na bezdechu.

– Niech cię diabli! – warknął, raz za razem wbijając w nią twardy, bezlitosny członek. – Rób to.

Popatrzyła nań z góry, niczym bogini.

– Mam cię pieprzyć?

Zmrużył oczy.

– Kochać się. Kochać się ze mną. Teraz.

Pod wpływem jego cichych słów zaczęła szczytować. Zadrżała, już się nie śmiejąc, rozpaczliwie pragnęła doprowadzić ich zbliżenie do końca, nieważne, jaką nazwę chciał mu nadać. Oparła się na nim, unosiła pośladki i opuszczała je na niego gwałtownie, aż dyszał ciężko pod wpływem doznania ich współpracujących ciał.

Pragnęła… tęskniła za… czymś.

Składała się wyłącznie z pożądania. Kareta z kołysaniem toczyła się ulicami, ona zaś kołysała się na nim, potęgując ten ruch. Aż za jej zamkniętymi powiekami zalśniły gwiazdy. Aż żar podniósł się falą z jej lędźwi. Aż łapczywie walczyła o oddech, niezdolna myśleć, zdolna jedynie czuć.

Jego. W sobie.

Kiedy jęknął, głośno i przeciągle, otworzyła oczy i przekonała się, że on zaciska zęby, przyciągając ją dziko do siebie. Jego członek był ukryty głęboko w niej i wyraźnie czuła pulsowanie, palący żar nasienia, gdy wypełniało ją po brzegi. Trwało to i trwało, nie przypominało niczego, co dotąd doświadczyła, jakby oznaczał ją na jakiś prymitywny sposób.

W końcu gwałtownie wciągnęła powietrze, nareszcie zdolna zaczerpnąć tchu, i osunęła się na niego jak kwiat więdnący pod wpływem żaru.

Z westchnieniem oblizała wargi.

– Myślą, że zamordowałeś Rogera Fraser-Burnsby'ego – powiedziała.

Obejmujące ją ramiona się napięły.

– On nie żyje?

– Tak. – Zaparła się dłońmi o jego pierś i podźwignęła do pionu. Głowę miał nadal odchyloną na oparcie, przyglądał się jej spod na wpół opuszczonych powiek. – Lokaj pana Fraser-Burnsby'ego przyniósł wieści obecnym na balu… już po twoim wyjściu.

Nawet się nie zarumienił, słysząc to domniemane oskarżenie.

– Nie zamordowałem Fraser-Burnsby'ego.

Skrzywiła się.

– Wiem. Byłeś ze mną.

– Pomyślałabyś, że to zrobiłem, gdybym nie był? – spytał, unosząc brew.

– Nie, oczywiście, że nie – odparła poirytowana. – Nie jesteś zdolny do morderstwa.

– Zatem tak dobrze mnie znasz – skomentował bezstronnie, jakkolwiek sceptycznym tonem.

– Może nie wiem wszystkiego na ten temat – złapała w palce pstrokatą tunikę Ducha – ale wydaje mi się, że znam ciebie na tyle dobrze, by wierzyć, iż nie popełniłbyś morderstwa, bez względu na takie czy inne przebranie.

– Hm – brzmiał jego jedyny komentarz.

– Powiesz mi?

Wyjrzał przez okno. Zbliżali się do jej miejskiej rezydencji.

– Powiedzieć ci co?

– Dlaczego to robisz? – Pogładziła tunikę.

Spojrzał na nią ostro.

– Może. Ale teraz muszę iść, zanim dojedziemy do twojego domu.

– Co takiego? – Znienacka Isabel została bezceremonialnie ulokowana na siedzeniu naprzeciw. W osłupieniu przyglądała się, jak on kilkoma szybkimi ruchami doprowadza się do porządku. – Nie możesz iść! Dragoni cię szukają.

Zerknął na nią ze zniecierpliwieniem, zawiązując jedwabną maskę.

– Mam coś jeszcze do zrobienia tej nocy.

– Czyś ty oszalał?!

Usta drgnęły mu poniżej skórzanej maski o długim nosie.

– Niewykluczone, ale muszę to zrobić.

– Nie, wcale nie… – zaczęła, lecz on tymczasem otworzył już drzwi karety, po czym wyskoczył na zewnątrz.

Isabel omiotła wzrokiem puste wnętrze pojazdu. Jego nasienie nadal z niej wyciekało, bezużytecznie, niemniej akurat ten fakt nie był niczym nowym.

* * *

Megs tkwiła na siedzisku przy oknie w swojej sypialni, wpatrzona w ciemną noc.

Noc bez końca.

Płakała po powrocie do domu. Powstrzymywała się do czasu, gdy mogła odprawić pokojówki, a później płakała. Cicho, niepohamowanie, aż powieki piekły ją od słonych łez, aż w końcu zległa wyczerpana, z otwartymi ustami, zagubiona. Teraz nie znajdowała już w sobie łez, wyłącznie pustkę.

Jej myśli krążyły w kółko ze znużeniem, jak zwierzę zbyt długo trzymane w klatce.

Roger nie żyje. Widziała go ledwie kilka dni temu i żył – był cudownie pełen życia, silny, inteligentny i kochający. A teraz nie żyje.

Żywy, potem martwy.

Może się pomylili. Może to jakiegoś innego mężczyznę – och, cóż za niecna myśl! – zamordowano brutalnie zamiast Rogera. Albo Roger został jedynie ranny, a jego lokaj, zdjęty przerażeniem, porzucił go, by przekazać przedwczesne wieści.

Ale nie. Przynieśli ciało Rogera. Powiedziały jej o tym pokojówki, kiedy ją rozbierały. Między służbą plotki rozchodzą się tak szybko, przy czym w ich głosach pobrzmiewał niemalże entuzjazm, gdy opisywały, jak Rogera złożono, zakrwawionego i bez życia, w karecie lorda d'Arque'a, która powiozła go do domu. Lord d'Arque nie pomyliłby Rogera z nikim innym.

Megs stoczyła walkę, żeby nie spoliczkować pokojówek – coś, co jeszcze nigdy jej się nie zdarzyło. Ostatecznie odprawiła je tylko o wiele za ostrym tonem. Lady Beckinhall by ją zbeształa. W jej głosie zabrakło dyskrecji, pokojówki popatrywały na nią z zaciekawieniem, gdy wychodziły.

Megs nie potrafiła się tym jednak przejąć.

Zdrętwiała jej lewa stopa. Dziewczyna zmieniła pozycję, a nagłe ukłucie igiełek bólu nieprzyjemnie przypomniało jej, że żyje. Kiedy się poruszyła, coś zaszeleściło. Pomacała pod sobą i wyjęła list. Oczywiście. Był od Hero, żony jej brata Griffina, a dostarczono go, kiedy tego wieczoru szykowała się na bal. Rzuciła go na siedzisko przy oknie, żeby nacieszyć się nim później.

Cóż, w tej chwili było później.

Wstała i zapaliła świecę od żarzących się na kominku węgli, po czym wróciła do okna. Złamała pieczęć i rozłożyła kartkę.

Najdroższa siostro – zaczynała Hero. To było słodkie. Zaraz po ślubie z Griffinem Hero zaczęła zwracać się tak do Megs w listach. Megs prawie się uśmiechnęła, ale zaraz sobie przypomniała. List był długi i gawędziarski, opowiadał o nowym skrzydle w wiejskiej rezydencji Griffina, kłopotach z kucharką oraz sadzeniu jabłoni w ogrodzie. Wieści, które bez wątpienia napełniały ją największą ekscytacją, Hero zachowała na koniec:

…i, kochana, myślę, że ucieszysz się, poznawszy moją tajemnicę: jestem przy nadziei i szaleję ze szczęścia. Twój brat jest zachwycony, chociaż niekiedy dosyć irytujący ze swoją troską o mój dobrostan. Sądzę, że zostanie dumnym papą z nadejściem zimy.

Przez chwilę Megs po prostu wpatrywała się w trzymany w ręku papier. Cieszyć się, powinna cieszyć się szczęściem swego brata i Hero.

Zwiesiła głowę i się rozpłakała.

* * *

Doświadczył właśnie najcudowniejszego z doznań.

Winter ukrył się w cieniu i zwlekał chwilę, odprowadzając wzrokiem pojazd Isabel, aż zniknął za rogiem w oddali. Czy czuła to samo? Czy było to dla niej równie wspaniałe jak dla niego? Czy też nie różnił się dla niej od mężczyzn, którzy posuwali ją wcześniej?

Na tę myśl górna warga uniosła mu się w warknięciu, nim w ogóle zdał sobie z tego sprawę. Nie godził się na bycie dla niej zaledwie kolejnym kochankiem – łatwo odrzuconym, łatwo zapomnianym. Może i był zwykłym nauczycielem, a ona baronową, ale razem, po prostu oni dwoje, byli kobietą i mężczyzną. Niektóre sprawy są

fundamentalne.

Odepchnął od siebie gorącą falę zazdrości. Nic dobrego mu z niej nie przyjdzie, a musiał zająć się innymi tematami, nim znów skonfrontuje się z Isabel.

Odwrócił się i pobiegł w kierunku St. Giles. Bez wątpienia dragoni nadal go szukali – morderstwo arystokraty stanowiło szok dla dzierżących władzę w Londynie. Do polowania na niego zaangażują wszystkich żołnierzy. Winter zastanowił się, kto naprawdę zabił Fraser-Burnsby'ego, ale prędko porzucił tę kwestię. Przypuszczalnie chodziło o rabunek, a Duch St. Giles był wygodnym winowajcą.

Dwadzieścia minut później ostrożnie zbliżał się do Calfshead Lane. Prześlizgnął się obok numeru 10, nawet nie zwalniając. Szyld sklepu świecarza znajdował się dalej. Dostrzegł go kątem oka, tuż przed tym, jak runęli na niego dragoni Trevilliona. Widocznie przegapił go w trakcie wcześniejszych poszukiwań w St. Giles. Szyld, mały i zniszczony, łatwo było przeoczyć pośród mrowia innych, kołyszących się nad ulicami i alejkami St. Giles niczym stado spłowiałych kruków.

Drzwi pod szyldem okazały się wąskie i wysłużone, ale zamek w nich wyglądał na nowszy i w lepszej kondycji. Winter nacisnął klamkę i ku jego zaskoczeniu drzwi otworzyły się bez oporów. Pomieszczenie za nimi tonęło w ciemności. Czekał, aż jego oczy się przyzwyczają do mroku, ale wewnątrz nie było ani promyka światła. Zamknął drzwi i cofnął się uliczką do sklepu, przy którym wisiała latarenka. Zdjąwszy ją, wrócił do sklepiku świecarza.

Gdy tym razem otworzył drzwi, pożyczona latarnia oświetliła szerokie, ale płytkie pomieszczenie. Na ścianach chaotycznie rozmieszczono półki i haki, w domyśle przeznaczone na towary rzemieślnika. Były jednak puste, a wnioskując z kurzu, stan ten trwał już od pewnego czasu.

Nagły podmuch wiatru załomotał drzwiami, a w mroku coś zatupotało.

Winter uniósł latarnię wyżej i zobaczył drepcącego wzdłuż ściany szczura. Gryzoń nawet nie przerwał nocnego obchodu.

Za szczurem ujrzał wszakże kolejne drzwi. Podszedł do nich i ostrożnie przyłożył ucho do drewna. Odczekał parę sekund, słysząc własny oddech i skrobanie szczurzych pazurków, lecz nie doszły go żadne dźwięki z drugiej strony drzwi.

Cofnął się o krok, odstawił latarnię na podłogę w taki sposób, by po otwarciu drzwi oświetliła skryte za nimi pomieszczenie, po czym dobył sztyletu i szpady.

Później kopnął drzwi.

Uskoczył na bok, chcąc uniknąć ataku, który mógł nadejść ze środka, ale nic takiego nie nastąpiło. Izba wydawała się pusta.

Winter czekał, nasłuchując. Do jego uszu docierał jedynie świst wiatru. Ostrożnie wsunął szpadę do pochwy, podniósł latarnię i wszedł do pomieszczenia. Unosił się tutaj słaby zapach, od którego człowiekowi włoski podnosiły się na karku: mocz, wymioty, strach. Izba była pusta, nie licząc szkieletu szczura i kilku szmat.

Coś zamigotało w szparach podłogi, kiedy Winter okręcał się z trzymaną w górze latarnią. Nachylił się i przyjrzał zakurzonej desce. Zaczepiła się o nią połyskliwa nić. Uwolnił ją ostrożnie sztychem sztyletu i przybliżył do światła.

Jedwab.

Odstawił latarnię i zębami zdjął rękawicę. Następnie schował nić do kieszeni tuniki.

Nie miał już tutaj czego szukać. Oczywiste, że porzucili to miejsce. Zamknęli manufakturę na dobre czy jedynie przenieśli dzieci i ich potworną pracę gdzie indziej?

W tej chwili nie grało to roli, tak czy owak tej nocy zawiódł. Nie ocalił dzieci.

Podniósł latarnię i wyszedł. Na zewnątrz wiatr tymczasem się wzmógł, ciskał mu w twarz kroplami deszczu. Winter nasłuchiwał, ale nie wychwycił żadnych hałasów poza skrzypieniem szyldu świecarza nad głową. Najwidoczniej dragoni polowali w innej części St. Giles. Odwiesił latarnię na miejsce i, pochylony, ruszył prędko pod wiatr. Dwukrotnie umykał w głąb alejek lub niszy wejściowych, by uniknąć spotkania z innym nocnym przechodniem, raz zaś musiał przenieść się na dachy, żeby ominąć dragonów. Robił to wszystko prawie że mechanicznie i dopiero kiedy stanął w schludnym ogrodzie w zachodniej części Londynu, uzmysłowił sobie, dokąd się kierował.

Stał pod miejską rezydencją Isabel, wpatrując się w okna na tyłach i zastanawiając, za którymi z nich kryje się jej sypialnia. Dziwne, że nogi same instynktownie go tu przyniosły. Nie należała do jego świata. Nie zaproponuje mu herbaty i opiekanego nad ogniem chleba, jak pierwsza lepsza pani domu z St. Giles. Nie pojmie, jaką ziejącą wyrwą niedostatku było St. Giles, nie pojmie potrzeby Wintera, by wypełnić tę wyrwę. A może pojmie. Isabel dowiodła już, że jest kobietą znacznie bardziej skomplikowaną, niż początkowo sądził.

Jednakże różnice między nimi tak czy owak nie miały znaczenia, kiedy to, co przyciągało ich ku sobie, sięgało czasów Adama i Ewy. Wyzwoliła w nim bestię, dzięki niej czuł, podczas gdy do tej pory żył w zimnym, cichym świecie. Żadna inna kobieta nie dokonała czegoś podobnego. I żadna inna nigdy nie dokona. Być może powinien jej to pokazać.

Kiedy tak stał, chmury rozwarły się i rozpadało się na dobre. Winter uniósł twarz ku ulewie, deszcz zmywał z niego wątpliwości i porażki tej nocy. Obmywał go do czysta.

W oknie na parterze pojawiło się światło. Było już dobrze po północy. Może to pokojówka sprzątała. Albo lokaj fundował sobie nielegalną szklaneczkę brandy. Lub Isabel nie mogła spać.

Tak czy inaczej, Winter wkrótce pozna odpowiedź.

Rozdział 12

Prawdziwa Miłość długo i intensywnie rozmyślała nad słowami wiedzącej. Później rozpuściła długie złote włosy i wyrwawszy kilka pasm, zaczęła pleść z nich mocny sznur. Robiąc to, wspominała wszystkie godziny znajomości z Arlekinem, wszystkie chwile tęsknoty za nim, każdą z tysięcy sekund, gdy uprawiali miłość…
– z Legendy o Arlekinie – Duchu St. Giles

To była głupota.

Isabel niewidzącym wzrokiem wpatrywała się w pieczołowicie skompletowaną bibliotekę Edmunda. Jej zmarły mąż czerpał radość z posiadania skandalicznie drogiej kolekcji książek, choć żadnej z nich raczej nie przeczytał. Tak czy owak, dla Isabel stanowiły źródło pociechy w noce takie jak ta, kiedy sen uparcie pozostawał poza jej zasięgiem.

Westchnęła i zdjęła z półki tomik poezji erotycznej. Dość banalnej – poeta miał stanowczo zbyt wysokie mniemanie na temat swego polotu – ale może zrobi się przez to senna. Wzięła już ciepłą kąpiel i poprosiła zarówno o ciepłe mleko, jak i kieliszek wina. Nie pozostało jej wiele więcej sztuczek, jeśli chciała zaznać tej nocy choć trochę snu.

Usadowiła się w głębokim skórzanym fotelu przed wygasłym kominkiem, chowając stopy w pantoflach pod narzutkę. Bez ognia w pokoju panował lekki chłód, ale Isabel nie zostanie tu na tyle długo, by opłacało się rozpalać w kominku.

Otworzyła książkę, przekrzywiła ją do światła świecy i zaczęła czytać.

Najwidoczniej poezja spełniła zadanie, Isabel nie wiedziała bowiem, ile czasu upłynęło, nim po raz kolejny podniosła wzrok, a wówczas pierwszą jej myślą było, że śni.

Stał tam, ledwie kilka kroków przed nią, nadal w pełnym stroju Ducha St. Giles.

Serce zabiło jej szybciej z głupiej radości. Aż do tej pory zastanawiała się, czy nie była to dla niego aby jedynie fizyczna ulga. Jak zjedzenie smacznego posiłku, kiedy jest się umiarkowanie głodnym. Odczuwa się wówczas wdzięczność i radość, ale w gruncie rzeczy nie poświęca się temu później ani jednej myśli.

Jednak przyszedł do niej ponownie, sam z siebie. Przynajmniej nie była dla niego wołowiną i cynaderkami zapiekanymi w cieście.

– Kapiesz mi na dywanik – powiedziała.

Powolnym ruchem zdjął maskę.

– Powinnaś wstawić nowe zamki.

– Moje zamki nie są takie stare – stwierdziła z uniesionymi brwiami, zamykając książkę.

– Tak, ale – zdjął również jedwabną maskę i upuścił ją na dywanik przed kominkiem – pełnią raczej funkcje dekoracyjne niż użytkowe.

– Czy to tłumaczy, jak się tu dostałeś? – Przyglądała się, jak odkłada kapelusz.

– Częściowo. – Odpiął pas z bronią i położył go ostrożnie na kaflach przed kominkiem. – Dostałbym się do środka tak czy inaczej, choćbyś miała najlepsze zamki, ale nie powinienem był sforsować ich aż tak łatwo.

Zaczął rozpinać tunikę.

– Może nie mam nic, co warto by chronić zamkami – odparła nieco rozkojarzona.

Posłał jej spode łba roziskrzone spojrzenie.

– Masz siebie.

Miłe. Dlaczego jego proste słowa znaczyły o wiele więcej niż dowolna liczba kwiecistych pochlebstw, jakie otrzymała w przeszłości?

Przygryzła wargę.

– Co tu robisz?

Pozbył się tuniki, ale nawet nie podniósł wzroku, kiedy siadał, żeby zdjąć buty.

– Chcę, żebyś mi pokazała.

– Pokazała co?

Wówczas na nią spojrzał, z butem w dłoniach, wwiercając się wzrokiem prosto w jej kobiecą duszę.

– Wszystko.

Przełknęła ślinę, gdyż na to jedno słowo zacisnęły jej się wnętrzności.

– Skąd myśl, że jestem zainteresowana tym, by cię uczyć?

Znieruchomiał, jej serce zabiło zaś szybciej w reakcji na ten bezruch, nagły i absolutny, jakby był drapieżnikiem szykującym się do ataku.

– Czyżbym się zagalopował?

Oblizała spierzchnięte wargi.

– Nie.

– Nie drocz się ze mną, Isabel. – Nachylił się do drugiego buta.

Przez chwilę obserwowała go, gdy zzuwał but, a następnie rozpinał koszulę.

– Dlaczego to robisz?

Wzruszył ramionami i zdjął koszulę przez głowę, ponownie ujawniając cudownie umięśniony tors.

– Nikt nie zauważa ich braku.

– Czyjego?

– Biednych, dzieci z St. Giles. – Umilkł na moment, z dłońmi u rozporka, i popatrzył na nią. Zobaczyła płonący w jego oczach gniew. – Przysyłają żołnierzy z powodu śmierci jednego arystokraty, ale dziesiątki umierających co miesiąc dzieci nic ich nie obchodzą.

Przekrzywiła głowę na bok, świadoma, że musi mówić ostrożnie.

– Roger Fraser-Burnsby był dobrym człowiekiem.

Przytaknął.

– Gdyby jednak bił służących, uwodził młode panny i zaniedbywał podstarzałych rodziców, jego mordercę ścigano by z taką samą zaciekłością.

– To prawda. – Jego gniew był świeży. Coś musiało się wydarzyć po tym, jak opuścił karetę. – Czego dokładnie oczekujesz od wytwornego towarzystwa?

– Troski. – Rozpiął spodnie i wystąpił z nich, stając w samej bieliźnie. Jego erekcja napinała cienki materiał. – Chcę, żeby troszczyli się o ubogie dziecko równie mocno jak o dżentelmena. Chcę, żeby zadbali o to, by każde dziecko miało co jeść, w co się ubrać i gdzie schronić. Chcę, żeby zrozumieli, że Londyn nie może dalej funkcjonować w ten sposób, z ludźmi umierającymi w rynsztoku.

– Mówisz o rewolucji – wymamrotała.

– A jeśli tak? – Zacisnął pięści. – Może potrzebujemy kolejnej rewolucji, tym razem nie z powodu religii, lecz niedostatku. Zmęczyło mnie już ratowanie osieroconych i porzuconych dzieci. Nie chcę nigdy więcej pielęgnować dziecka przez całą noc, by przed świtem stać się świadkiem jego śmierci, nie chcę grzebać kolejnego niemowlęcia, nie chcę szukać porzuconych dzieci, a znajdować jedynie… – Urwał gwałtownie, odwracając wzrok.

Aha, zbliżali się do przyczyny jego zdenerwowania. Z chęcią otoczyłaby go ramionami, obawiała się jednak, że odtrąciłby taki przejaw współczucia.

– Co się stało?

Wykrzywił usta.

– Szukałem ostatnio niewielkiej manufaktury prowadzonej przez porywaczy dzieci, którzy zmuszają je do ciężkiej pracy bez wynagrodzenia i niemal bez jedzenia. Myślałem, że dziś znalazłem to miejsce, wreszcie, po całych dniach poszukiwań… po czym warsztat okazał się pusty. Dzieci znów zaginęły, przeniesiono je w inne miejsce, a kto wie, czy wręcz nie zabito, żeby ukryć dowody.

Popatrzył na nią, a Isabel wstrzymała oddech na widok udręki w jego oczach.

– Nie oczekujesz chyba, że sam uniesiesz to brzemię? Czy nie jest to grzech pychy, panie Makepeace?

Każdy inny mężczyzna by ją wyśmiał. On tylko opuścił powieki.

– Być może. Być może jestem zbyt dumny. – Gwałtownie otworzył oczy. – Ale nie usprawiedliwia to faktu, że przybyłem za późno. Zawiodłem te dzieci.

Spuściła głowę. Jak mogła mu pomóc, temu mężczyźnie, który odczuwał zbyt intensywnie, który dźwigał na swych barkach wszystkie problemy St. Giles? Co mogła mu zaofiarować poza tym, co już mu dała – swoim ciałem?

Ostrożnie odłożyła książkę na stolik obok świecy. Wzięła świecznik i podeszła do kominka. Węgle już przygotowano. Uklękła i podłożyła pod nie ogień.

– Co robisz? – spytał za jej plecami.

Wyprostowała się i odwróciła ku niemu.

– Pomyślałam, że do tego, czego sobie życzysz, przyda nam się nieco ciepła.

Później dała narzutce opaść na podłogę. Pod spodem miała luźną koszulę nocną, frywolny fatałaszek z koronek i jedwabiu. Zdjęła ją przez głowę i zrzuciła ze stóp pantofle. Tym sposobem stanęła przed nim naga, niczym podstarzała Wenus. Wyprostowała plecy, uśmiechając się doń wyzywająco.

Tyle że w jego spojrzeniu nie dostrzegła ani śladu rozczarowania. Wręcz przeciwnie, jakby oniemiał z wrażenia.

Zwilżyła wargi, odnotowując, że drżą nieznacznie, i podeszła ku niemu.

– No dobrze, co właściwie mam ci pokazać?

– Wszystko – powtórzył.

Onieśmielające słowo, gdyż w przypadku innego mężczyzny mogłoby być hiperbolą. W przypadku Wintera Makepeace’a nią nie było.

– Wobec tego dotknij mnie – poleciła chrapliwie.

Jego szeroka dłoń prawie że idealnie pokrywała jej lewą pierś. Położył ją tam, gorącą i silną, po czym uniósł, by delikatnie pogładzić skórę wokół jej sutka.

– W ten sposób? – spytał przytłumionym głosem, śledząc wzrokiem miejsca, których dotykał.

– Tak, to miłe – powiedziała.

– Miłe. – Popatrzył jej w oczy.

Uśmiechnęła się.

– Uszczypnij mnie w sutek.

Ścisnął delikatnie – zbyt delikatnie.

– Mocniej.

– Nie chcę sprawić ci bólu – zaprotestował ze ściągniętymi brwiami.

– Nie sprawisz – szepnęła.

Tym razem uszczypnięcie powędrowało prosto do jej kobiecości. Ujął jej piersi w dłonie, pieścił i szczypał, dopóki nie zaczęła ciężko oddychać.

Wtedy odstąpił.

– Co robisz? – spytała, trochę ostro, ponieważ dziwnie ją podniecało, gdy tak po prostu stała, przyjmując jego posługi.

– Połóż się – polecił. – Chcę zobaczyć cię całą.

Przełknęła ślinę, niemniej pieczołowicie rozpostarła na dywaniku swoją jedwabną koszulę nocną i wyciągnęła się na niej. Obserwowała go, gdy zdejmował bieliznę i klękał obok niej, całkiem nagi.

Blask ognia połyskiwał na jego skórze, światło i cień tańczyły na twardych mięśniach ramion i klatki piersiowej. Włosy miał nadal związane z tyłu, ale kiedy przyglądał jej się w bezruchu, wyciągnęła rękę i zsunęła z nich prosty sznurek.

Popatrzył na nią, zaskoczony.

Uśmiechnęła się, przeczesując palcami jego proste brązowe włosy. Sięgały mu do ramion i gdy okalały mu twarz, wyglądał mniej cywilizowanie.

– Musi być sprawiedliwie.

Czy to rumieniec przyciemnił jego smukłe policzki?

– Chcę cię dotykać – rzekł cicho. – Czuć cię i… smakować.

Skinęła głową, znienacka pozbawiona tchu.

Nachylił się nad nią, podparty na ramieniu przy jej twarzy, niczym dziki kot, który dopadł swą ofiarę. Przyglądała się, kiedy zniżał głowę ku jej piersi, po czym musiała zamknąć oczy, gdy językiem dotknął jej sutka. Był delikatny, badał. Czy w taki sposób Adam po raz pierwszy dotykał Ewy? W zadziwieniu, wręcz z czcią?

Raptem zamknął zęby na jej sutku i zatchnęła się.

Puścił ją natychmiast, spoglądając na nią przez zasłonę włosów.

– Zadaję ci ból?

– Nie. – Przygryzła wargę. – Jest… jest w porządku.

Przypatrywał się jej jeszcze przez chwilę, jakby analizował jej reakcję, po czym znów się nad nią nachylił. Tym razem polizał jej sutek długimi, silnymi pociągnięciami, a później nagle wciągnął brodawkę do ust.

Musiała zacisnąć pięści, żeby nie wydać z siebie żadnego dźwięku. Gotów przestać, gdyby to zrobiła, a naprawdę nie chciała, by przestawał.

Znienacka porzucił jej pierś i usiadł wyprostowany, znowu jej się przyglądając.

– Chcę odkryć cię całą.

– Więc zrób to – wymruczała cicho.

Opuszkami palców delikatnie powiódł po łuku jej piersi, a stamtąd przesunął się pod pachę i na obojczyk. Chwycił jej rękę i przeciągnął nad głowę, by pogładzić wewnętrzną stronę ramienia.

Wiła się.

Strzelił w nią spojrzeniem.

– Boli?

– Nie, oczywiście, że nie – wydyszała. – Łaskoczesz mnie!

Kącik jego ust powędrował w górę, a dłoń zanurkowała znienacka, szukając wrażliwej skóry poniżej jej pachy.

– Och! – Skręcała się, chichocząc, a wtedy rzucił się na nią, żeby mu się nie wywinęła.

– Leż spokojnie – polecił surowo, z ustami przy jej ustach.

– Więc przestań mnie łaskotać – wymamrotała.

Zaglądała mu w oczy, głębokie i tajemnicze, na brzuchu czuła mocne szturchnięcia jego erekcji.

Na powrót spoważniał. Kiwnął głową i podniósł się z niej wolno, jakby zwlekał, żeby się przekonać, czy mu nie ucieknie.

Rozpostarła szeroko ramiona na dywaniku i uśmiechnęła się, choć wargi jej drżały.

Obserwował ją przez chwilę, a później wycofał się, zbliżając głowę do jej brzucha.

Zaczerpnęła tchu.

– Łaskocze? – wymamrotał w jej skórę.

– Nie – szepnęła.

– Mhm. – Pomruk zawibrował na jej brzuchu, aż obciągnęła palce u stóp.

Otwartymi ustami sunął wokół jej pępka, a następnie zwolnił, badając językiem jej podbrzusze. Gdy dotarł do włosów łonowych, zatrzymał się.

– Masz taką miękką skórę – zadudnił. – Naucz mnie. Nie wiem, co robić.

Ogrzewał oddechem jej włosy łonowe, kłykciami przesuwał po jej szczelinie, jednoznacznie sygnalizując, o jakiego rodzaju naukę chodzi.

Rozwarła nogi i dla uspokojenia zaczerpnęła tchu.

– Jest taki mały pączek, ukryty u góry mojej szparki.

Jego palce już tam były, rozdzielały, odkrywały.

– Tutaj?

Otarł się o nią delikatnie.

Zamknęła oczy.

– Tak. Po prostu… dotykaj mnie tam.

Znieruchomiał i niemalże słyszała, jak myśli. Gdyby jego palce znajdowały się w jakimkolwiek innym miejscu, może by się uśmiechnęła, ale w tej chwili… cóż, zwyczajnie ją to przerastało. Czekała, oddychając miarowo, wsłuchana w cichy trzask ognia. Dziwne. Mężczyźni już jej tam dotykali, ale żaden nie spytał jak. Jeśli byli umiejętni, czerpała z tego radość; jeśli nie, kierowała ich gdzie indziej. Męska duma to taka delikatna sprawa. Nigdy nie przyszło jej na myśl, by powiedzieć im, jak mają jej dotykać.

Powiedzieć im, co lubi najbardziej.

Wreszcie się poruszył, szturchnął ją z wahaniem.

Przygryzła wargę.

– Mógłbyś… pogładzić?

– W ten sposób?

Wciągnęła powietrze.

– Delikatniej.

– Tak?

Roześmiała się, ale z frustracją. Był za wysoko, zasadniczo nie odnalazł właściwego miejsca. Może powinna…

– Isabel – szepnął nagle przy jej uchu. – Mam całą noc. Do świtu przecież się tego nauczę. Proszę, pokaż mi.

No cóż, to zabrzmiało szczerze. I co dziwne, w jego głosie nie słyszała zranionej męskiej dumy. Słyszała jedynie… ciekawość.

Skoro on mógł mówić szczerze, ona także. Ostatecznie z nich dwojga to ona miała być tą bardziej wyrafinowaną, bardziej światową. Co oznaczało chyba, że jest bardziej od niego otwarta na seksualne poszukiwania.

Prawda?

Lub może prości nauczyciele kryją w sobie głębie, których nigdy nie zauważyła.

Wahała się zbyt długo.

– Isabel.

– Po prostu… – Sięgnęła w dół i napotkała jego dłoń, wielką i sprawną. Na moment spletli palce. – Nie jest duży, zaledwie wielkości sporego ziarna grochu, ale bardzo wrażliwy i trzeba go gładzić we właściwym miejscu. – Nakierowała go. – Jest tu niewielki kapturek… pewnie trochę jak twój napletek. Dotknięcie go wywołuje wyjątkowo silne doznanie, ale nie lubię, kiedy się go odciąga. Gdybyś po prostu… – Delikatnie poprowadziła jego środkowy palec po okręgu: dotyk, który lubiła najbardziej. Dotyk, jakiego nie doświadczyła jeszcze od żadnego mężczyzny.

– Tak? – zapytał cicho. Na udzie czuła jego oddech.

– Tak, tak, jest bardzo… – Głośno przełknęła ślinę, gdyż było to naprawdę cudowne doznanie, leżeć tutaj, kiedy ją pieścił. Ale jeśli będzie kontynuował… – Może powinniśmy teraz pójść dalej.

– Musi być sprawiedliwie – odparł z mrocznym śmiechem w głosie. – Lubię ci się przyglądać. Lubię wdychać twój zapach.

Dobry Boże!

Rozwarł szerzej jej uda, lokując między nimi tors, ramionami oplatając jej nogi. Jego twarz musiała znajdować się bezpośrednio nad jej kobiecością, przyglądał się jej, kiedy…

Przywarł ustami do jej rozdzielonych warg sromowych i zatchnęła się, niezdolna zaczerpnąć tchu. Nadal muskał ją palcem i…

– Sprawiam ci ból?

– Nie! – Kurczowo chwyciła go za włosy i pociągnęła w dół, nie dbając o skromność, wyrafinowanie, światowość.

A on szybko się uczył. Lizał ją, językiem okrążał swój palec, rozdzielał jej fałdy, całował ją głęboko, aż burza, potężna i szybka, porwała ją, zdyszaną, łapczywie chwytającą powietrze, tracącą zmysły i poczucie czasu. Wygięła się pod nim w łuk, mgliście świadoma, że przytrzymuje ją mocno za uda, by nie zmieniła pozycji, nie pognała, niesiona wiatrem.

Kiedy wreszcie otworzyła oczy, leżał wyciągnięty u jej boku, czekając cierpliwie, z dłonią ulokowaną zaborczo na jej brzuchu.

Wyciągnęła rękę i w zadziwieniu powiodła palcami po liniach wokół jego ust.

– Chodź do mnie.

Zapraszająco rozwarła nogi, on zaś wspiął się na nią. Chwyciła twardy penis w dłoń i naprowadziła do swego mokrego wejścia, spod opadających powiek obserwując jego napiętą twarz.

– Teraz – szepnęła. – Teraz.

Uniósł się, poruszał na niej, w niej, lecz w oczywisty sposób się hamował.

Wygięła biodra w łuk.

– Idź na całość.

– Nie chcę zadać ci bólu – odparł przez zaciśnięte zęby.

– Nie zadasz – szepnęła z uśmiechem. – Chcę cię poczuć. Każdy centymetr ciebie.

I ścisnęła jego sutek między kciukiem a palcem wskazującym.

Jakby coś w nim pękło. Ryknął i wdarł się w nią, mocno, szybko. Patrzył jej w oczy, zdeterminowany, nawet kiedy zawładnął nim orgazm, wstrząsając jego rysami, napinając ścięgna szyi. Pchnął po raz ostatni i został tam, ściśle przy niej, jakby chciał zawłaszczyć ją na wieczność.

Jej uśmiech zadrżał. Wieczność nie była im pisana.

* * *

Na krótką chwilę mózg Wintera się wyłączył. Wszystkie jego troski i zmartwienia, wszystkie myśli przestały istnieć. Leżał na dywaniku przed kominkiem, pierś pracowała mu gwałtownie i jedynie czuł odprężenie we wszystkich mięśniach. Cudowne ciepło leżącej obok niego kobiety.

Absolutny spokój.

Isabel przebiegła palcami po jego klatce piersiowej, łaskocząc go lekko.

– Winterze?

– Hm?

– Jak zostałeś Duchem St. Giles?

Otworzył oczy, myśli i wspomnienia wlały się na powrót do jego pustego umysłu tak szybko, że nieomal sprawiło mu to ból.

– Nauczył mnie tego pewien człowiek, sir Stanley Gilpin.

Podparła się na łokciu i nachyliła nad nim. Przy tym ruchu jej piersi zakołysały się łagodnie, na moment przykuwając jego uwagę.

– To znaczy?

Włosy miała nadal upięte w wyszukaną koafiurę i zapragnął, by je rozpuściła. Nie widział jej jeszcze z rozpuszczonymi włosami.

– Sir Stanley był wieloletnim przyjacielem mojego ojca i dobroczyńcą przytułku aż do swojej śmierci dwa lata temu. Był wdowcem. Za moich młodych lat zachodził do nas, żeby dyskutować z ojcem o religii i filozofii. Przyjaźnili się od dzieciństwa, ale bardzo się od siebie różnili.

– W jakim sensie?

Machinalnie wyjął szpilkę z jej włosów, zastanawiając się.

– Mój ojciec był bardzo poważny.

– Jak ty – stwierdziła z uśmiechem.

Skinął głową, znajdując i usuwając kolejną szpilkę.

– Tak jak ja. Przez cały dzień ciężko pracował, a wieczorami czytał Biblię i słuchał lekcji moich braci i moich. Odkładał każde zaoszczędzone pieniądze i w końcu wydał je na założenie przytułku. Wierzył, że należy poświęcić życie niesieniu pomocy innym.

Splotła ramiona na jego piersi i wsparła na nich brodę.

– A sir Stanley?

– Mój ojciec kochał go jako przyjaciela, lecz uważał za lekkoducha. Sir Stanley lubił czytać powieści i poezję, z radością chodził do teatru i opery, a nawet napisał kilka sztuk, choć muszę powiedzieć, że niezbyt dobrych.

– Zachwycający człowiek. – Uśmiechnęła się szeroko.

Winter zamrugał, jego dłonie we włosach Isabel znieruchomiały. Nigdy wcześniej się nad tym nie zastanawiał.

– Przypuszczam, że taki był. W każdym razie stanowił przeciwieństwo ojca i jako chłopiec bardzo go podziwiałem.

Ogarnęło go znajome poczucie winy. Ojciec posiadał wszystkie przymioty dobrego człowieka – bogobojny, pracowity, hojny. Sir Stanley, dla kontrastu, był błyskotliwy, pełen ekstrawaganckich pomysłów, niezbyt praktyczny – i dziwnie fascynujący dla młodego chłopaka.

– Trudno, żeby nie ciągnęło cię do kogoś takiego – powiedziała łagodnie Isabel.

Zerknął na jej twarz. Czy domyślała się poczucia winy, z jakim się zmagał? Potrząsnął głową i podjął opowieść:

– W młodości sir Stanley wykazał się sprytem w interesach. Zbił fortunę na udziałach w Kompanii Wschodnioindyjskiej. Później, zdaje się, został właścicielem teatru. W każdym razie kiedy jako siedemnastolatek pomagałem ojcu w przytułku…

Uniosła się nagle na ramionach.

– Zacząłeś tak młodo?

Zdołał uwolnić jeden długi pukiel jej włosów. Nawinął go na palec, przyglądając się Isabel.

– Tak. Dlaczego? Wielu w tym wieku ma już fach w ręku.

Ściągnęła idealne brwi.

– Oczywiście, ale… – Pokręciła głową. – Czy miałeś cokolwiek do powiedzenia przy podejmowaniu decyzji o prowadzeniu przytułku?

– Chodzi ci o to, czy kiedykolwiek rozważałem porzucenie przytułku i wszystkich dzieci…

– Winterze – skarciła go.

– Tym by to było. – Delikatnie szarpnął pukiel jej włosów.

Miała buntowniczą minę.

Odnalazł i wyciągnął kolejną szpilkę.

– Jeśli poprawi ci to nastrój, lubię i zawsze lubiłem moją pracę.

– A gdybyś nie lubił?

– I tak bym ją wykonywał – odparł łagodnie. – Ktoś musi.

Osunęła się znów na jego pierś.

– Kiedy w tym właśnie rzecz. Dlaczego to zawsze musisz być ty?

– Dlaczego nie? – Na jej plecy opadł kolejny pukiel i Winter przeciągnął go do przodu, by przycisnąć go do swych warg. Jej włosy pachniały fiołkami. – Chcesz dalej się spierać czy wolisz usłyszeć, jak zostałem Duchem St. Giles?

Uroczo zmarszczyła nos, a przez jego pierś przemknęła pojedyncza iskierka czystego, słodkiego szczęścia.

– Duch.

Skinął głową.

– Kiedy pracowałem w przytułku od trzech albo czterech miesięcy… zdarzył się wypadek.

Na moment skoncentrował się na wyplątywaniu szpilki z włosów na jej karku, świadom, że gra na zwłokę. Czekała spokojnie, nieruchoma i milcząca, aż w końcu spojrzał jej w oczy.

Przełknął ślinę.

– Wysłano mnie po dziecko osierocone, jak nam powiedziano, po śmierci ojca. Kiedy przybyłem do nędznych pokoi, w których chłopiec mieszkał z ojcem, stręczyciel właśnie wystawił go na licytację.

Usłyszał, jak Isabel gwałtownie wciąga powietrze.

– Dobry Boże.

Dobry Boże, a jakże. Pamiętał ciasny pokój, stłoczonych w nim kilkunastu dorosłych i przerażonego chłopczyka. Miał rude włosy, które jaśniały pośród tej nędzy jak pochodnia.

– I co się stało? – zapytała cichym, ochrypłym głosem, odciągając go od koszmarnych wspomnień.

– Usiłowałem powstrzymać licytację – ciągnął ostrożnie, koncentrując się na doznaniu jej jedwabistych włosów w swych palcach. *Ogromne pięści. Przeszywający ból złamanych żeber. Zalana łzami twarz chłopca, kiedy go wyprowadzano.* – Nie byłem w stanie uratować tego dziecka.

– Och, Winterze – szepnęła. I nagle całowała go, miękkimi dłońmi otulając mu twarz. – Tak mi przykro. Tak mi przykro. Tak mi przykro. – Każde słowo niosło pocałunek na jego twarzy, szyi, wargach.

Przytrzymał jej głowę nieruchomo, żeby pocałować ją, jak należy: głęboko i szczerze. Dawny ból zmieszał się i zlał w jedno z obecną słodyczą, aż w końcu przygasł. Odrobinę.

Oderwał się od niej z niechęcią, gładząc kciukiem jej policzek.

– Dziękuję.

Miała zagniewaną minę.

– Nie powinieneś mierzyć się z czymś takim w równie młodym wieku.

– A co z tym chłopczykiem? – spytał łagodnie.

To spotęgowało jeszcze jej gniew.

– Jego także nie powinno było to spotkać.

Uśmiechnął się smutno. Czy nie wiedziała, że w St. Giles tego rodzaju sytuacje zdarzają się codziennie?

– W każdym razie sir Stanley dowiedział się o sprawie przy okazji najbliższej wizyty u mojego ojca. Zabrał mnie na stronę i spytał, czy chciałbym nauczyć się honorowo bronić. Odparłem, że tak.

W tamtym czasie sir Stanley liczył sobie około sześćdziesiątki, a Winter zapamiętał, że na jego szerokiej, rumianej twarzy, zwykle radosnej i uśmiechniętej, malowała się powaga.

Usunął z włosów Isabel ostatnią szpilkę i przeciągnął palcami przez jej grube loki, czesząc je i rozpościerając.

– Sir Stanley zaprosił mnie do swego domu i przez kolejny rok uczył fechtunku oraz rozmaitych akrobacji. Sam przyswoił te umiejętności w teatrze i był wymagającym mistrzem.

– A twój ojciec nie miał nic przeciwko temu?

– Nie wiedział, czym się tam zajmowałem. – Winter wzruszył ramionami. – Ojca absorbowały browar i przytułek. Myślę, że był zadowolony, iż sir Stanley się mną zainteresował. No i być może sir Stanley naginał nieco prawdę na temat tego, co robiłem u niego w domu.

– „Naginał prawdę”? – Uniosła brew. – Winterze Makepeace, czy ty okłamywałeś swojego świątobliwego ojca?

Poczuł na twarzy palący rumieniec.

– Zachowałem się nikczemnie, wiem.

Uśmiechnęła się szeroko i cmoknęła go w nos.

– Chyba lubię cię bardziej, kiedy jesteś nikczemny.

– Naprawdę? – Zajrzał jej w oczy. – A jednak codziennie walczę, by utrzymać tę nikczemną część mnie pod kontrolą.

– Dlaczego?

– Chciałabyś, żebym biegał po ulicach jak oszalała bestia?

– Nie. – Na jej czole pojawiły się zmarszczki, kiedy przekrzywiła głowę, lustrując go wzrokiem. – Wydaje mi się jednak, że to ci nie grozi. Czy nie jest tak, że każdy nosi w sobie odrobinkę nikczemności?

– Być może – odparł, marszcząc brwi. – Ale moja nikczemność jest mroczna.

Rozpuszczone włosy spływały jej teraz z pleców z cudowną swobodą.

– Mówisz o tej mrocznej otchłani?

– Tak. – Skrzywił się. – Może. Zapytałaś mnie kiedyś, czemu St. Giles nie wpłynęło na moje siostry tak bardzo jak na mnie. Sądzę, że jest we mnie coś, co chłonie tamtejsze zło. Czasami, gdy widzę czyjąś krzywdę albo wykorzystywane dziecko, ogarnia mnie potrzeba… zabijania.

– Ale tego nie robisz.

Pokręcił głową.

– Nie. Walczę z tą potrzebą, tłamszę ją w sobie i bardzo się pilnuję, żeby zadawać ból jedynie tym, którzy na to zasługują.

– Czy… – Ściągnęła brwi, przesuwając palcem po jego mostku. – Czy kiedykolwiek musiałeś kogoś zabić?

– Nie. – Pod jej dotykiem zaczerpnął tchu. – Bywałem blisko, ale zawsze udawało mi się powstrzymać.

Oplotła ramieniem jego pierś.

– A ja sądzę, że zawsze tak będzie. Choć obawiasz się ciemności w sobie, ja się jej nie boję. Jesteś dobrym człowiekiem, Winterze Makepeace. Moim zdaniem chłoniesz zło w St. Giles, jak to ująłeś, ponieważ odczuwasz aż tak głęboko.

Drgnął mu kącik ust.

– Częściej oskarża się mnie o całkowity brak uczuć.

Spojrzała nań ze znawstwem.

– Ponieważ starannie ukrywasz swoje uczucia… swoje emocje. Nie wszystkie są mroczne, wiesz? Niektóre mogą okazać się całkiem… miłe.

Czy miała rację? W zadumie wpatrywał się w sufit biblioteki. Może i miała. Przekonał się już, że Isabel jest bardzo spostrzegawczą kobietą. Jeśli wszakże się myliła, jeśli Winter odpuści i w rezultacie całkiem straci kontrolę… nie, to zbyt wielkie ryzyko.

– Nie musisz podejmować decyzji w tej chwili – stwierdziła. – Opowiedz mi o kostiumie arlekina. Dlaczego w ogóle go założyłeś?

– To był pomysł sir Stanleya – odparł, z ulgą przyjmując zmianę tematu. – Widzisz, w młodości był pierwszym Duchem St. Giles.

– Co takiego? – Znowu usiadła. – Był więcej niż jeden Duch?

– O, tak. – Uśmiechnął się, rozbawiony jej niedowierzaniem. – W zasadzie… No cóż, wystarczy powiedzieć, że legenda o Duchu St. Giles krąży od dłuższego czasu. Co najmniej od dziesięcioleci. Kto wie, czy nie dłużej. Sir Stanley po prostu wykorzystał legendę, przekształcając ją w rzeczywistość. Teatralne doświadczenie podsunęło mu pomysł kostiumu. Powtarzał mi zawsze, że ludzie widzą to, co chcą zobaczyć. Jeśli skonfrontujesz ich z postacią, która wygląda jak upiór, nadnaturalny byt o nieziemskich mocach, uwierzą w to, co widzą. To daje ogromną przewagę w walce. Niekiedy przeciwnicy są tak przerażeni na widok maski i kostiumu, że po prostu uciekają.

– Mhm – mruknęła, obrysowując mu palcem lewy sutek. Miał świadomość, że znów twardnieje, i zastanawiał się, czy nie przerazi jej swoją jurnością. – I tak oto za dnia prowadzisz przytułek, a nocami biegasz po St. Giles jako Duch. Zgadza się?

Zmarszczył brwi. Mówiła wystudiowanie neutralnym tonem.

– Nie każdej nocy, naturalnie…

– Och, naturalnie – weszła mu w słowo, prawie warcząc. – Przypuszczam, że niekiedy z konieczności sypiasz. Przynajmniej jedną lub dwie noce w tygodniu.

Przyglądał się jej, zastanawiając się, co ją tak ubodło.

Westchnęła i usiadła mu okrakiem na biodrach. Natychmiast odwróciła tym jego uwagę, stał się świadom jej wilgotnych kobiecych rejonów bardzo blisko swego członka.

– I zawsze będziesz to robił?

– Co? – Na powrót skoncentrował się na jej twarzy. Patrzyła na niego wilkiem. – Biegał po St. Giles?

– Co się stanie, jeśli zostaniesz ranny? – Nachyliła się, aż prawie zetknęli się nosami. Jej piersi zakołysały się kusząco i chwycił jedną w dłoń, czując jej miękki ciężar. – Winterze! Co się stało po tym, jak przywiozłam cię rannego do domu z St. Giles?

Wzruszył ramionami, gładząc kciukiem jej sutek.

– Wróciłem do przytułku i odpocząłem, jak zwykle.

– Jak zwykle? – Poniewczasie uzmysłowił sobie, że popełnił błąd. Tym wyznaniem tylko spotęgował jej gniew. – Ile razy byłeś ranny?

– Nie tak często – łagodził.

Co dziwne, gniew Isabel nie zdławił jego zapału. Wręcz przeciwnie. Niemniej nawet będąc tak nieobeznanym w sprawach uprawiania miłości, wiedział, że jeśli chce zwiększyć szanse na powtórkę wcześniejszego zbliżenia, powinien ją najpierw ugłaskać.

– Ile razy? – dociekała naga furia.

– Trzy, może cztery – odparł, nieco zafałszowując odpowiedź. W rzeczywistości nie zliczyłby, ile razy zraniono go jako Ducha.

– Winterze! – Wyglądała na autentycznie zdenerwowaną. – Musisz znaleźć sposób, żeby porzucić to zajęcie.

– Dlaczego? – Łagodnie uniósł brwi.

Uderzyła go w pierś otwartą dłonią, cokolwiek boleśnie.

– Nie rozumiesz? W końcu zostaniesz kaleką albo nawet zginiesz!

– Ciii… – Złapał jej rękę i przyciągnął do ust, pieszcząc wargami wnętrze dłoni. – Zostałem dobrze wyszkolony i zajmowałem się tym na całe lata przed poznaniem ciebie, Isabel.

– Nie opędzaj się od mojej troski jak od jakiejś uprzykrzonej muchy – powiedziała, równie boleśnie opuszczając na niego drugą dłoń.

– Isabel.

Chwycił i tę rękę, po czym rozpostarł ramiona kochanki.

Straciwszy równowagę, upadła na niego z sapnięciem, a jej piersi przyjemnie rozpłaszczyły się na jego torsie.

– Winterze, musisz…

Zmęczył go ten bezcelowy spór, toteż przyciągnął ją bliżej i pocałował. Przez ułamek sekundy się opierała. Później poddała mu się z westchnieniem, otworzyła usta pod jego ustami, dała mu, czego łaknął. Z głębi jego gardła dobył się niski jęk, nieomal warknięcie. Odzierała go z ucywilizowania – z rozsądku i woli. Był w stanie jedynie czuć i działać. Bestia w nim z rykiem przedarła się do przodu. Jego biodra poruszały się pod nią, ponaglając, by się zbliżyła. Był tak twardy, że czuł pulsowanie członka, ból pragnienia, seksualnej potrzeby.

Potrzebował jej.

Jakby świadoma tego, że dotarł do ekstremum, wydała kojący dźwięk. Nie wiedzieć kiedy puścił jej nadgarstki. Pieściła go jak dziecko uspokajające dzikie zwierzę, a część niego z chęcią roześmiałaby się na tę myśl.

Inna część pragnęła jedynie wziąć to, co oferowała Isabel.

Na szczęście w tejże chwili uniosła się i chwyciła go. Zgrzytnął zębami pod wpływem jej dotyku i otworzył oczy.

Obserwowała jego twarz, opadając na niego.

– Ciii… Mam to, czego ci trzeba.

Czy z niego drwiła? To nie miało znaczenia. Przyjmie ją, drwiła sobie czy nie – zbyt daleko już dotarł, by odmówić jej lub własnej potrzebie.

Otuliła jego żołądź, a rozkosz okazała się tak niebiańska, że niewiele brakowało, by doszedł od razu. Przygryzł policzek od środka, żeby zapobiec upokorzeniu. Za nic nie chciał kończyć tego tak szybko.

Przyglądał się jej, minimalnie uchyliwszy powieki. Sprawiała wrażenie zatraconej w przyjemności, z odrzuconą do tyłu głową, cudownymi włosami spływającymi kaskadą na plecy. Ten widok obudził w nim coś dzikiego i bezmyślnego. To jego członek w siebie przyjęła. To jego ciało doprowadziło ją do ekstazy. Niech sobie uważa, że chodzi tylko o fizyczne połączenie; on wiedział lepiej.

Właśnie czynił ją swoją. Ostrzegł ją swego czasu, czym jest dla niego fizyczny akt. To było zjednoczenie. Na wieczność. Zachował wszakże dość rozsądku, by pojmować, że ona nie zapatruje się na sprawę w ten sposób. Musiał działać powoli. Uzbroić się w cierpliwość.

A w międzyczasie, jeśli pragnęła go jedynie dla seksu, Winter wykorzysta ten fakt, by ją ze sobą związać.

Dlatego wyciągnął ręce i pieścił jej piersi tak, jak lubiła, a kiedy zatchnęła się w odpowiedzi, ogarnęła go dzika radość. Ta kobieta. Ta kobieta była jego.

Przeciągnął dłonią w dół jej brzucha, do pięknych loków zdobiących jej kobiecość. Odszukał pączek, który pokazała mu wcześniej. Okrążał go, pieszcząc delikatnie.

Isabel po raz kolejny straciła oddech i otworzyła oczy, w których igrały erotyczne ogniki.

– Czyżbyś próbował wykraść mi ster?

Uniósł brew, mimo że od orgazmu dzieliły go ledwie chwile.

– Trzymasz go wyłącznie za moim przyzwoleniem.

– No to patrz.

Wsparła ręce za sobą, na jego nogach, lekko wyginając plecy w łuk, tak że jej miednica ustawiła się pod kątem, i uniosła się wolno. Dzięki tej pozycji zyskał doskonały widok na swój połyskujący członek, wynurzający się spomiędzy jej delikatnych fałd. Patrzył, nie mogąc oderwać wzroku, kiedy niespiesznie zmieniła kierunek, przez co teraz jego czerwonawe ciało wwiercało się w jej słodkie wnętrze.

– Dobrze?

Zaśmiała się na bezdechu i podniósł wzrok. Była zarumieniona, jej twarz lśniła za sprawą warstewki potu. Była boginią.

Drwiącą boginią, która zamierzała doprowadzić go do szaleństwa.

Bez namysłu poruszył się i chwycił ją za biodra, wyginając się, odwracając. Zległa na wznak, on zaś uniósł się nad nią, cały czas utrzymując się na miejscu, nawet kiedy zmieniał ich pozycję.

Podparł się na ramionach po obu stronach jej zaskoczonej twarzy i uśmiechnął się – choć prawie go to zabiło.

– No to patrz.

Powędrowała wzrokiem do miejsca ich połączenia, on zaś poczuł, jak się w niej napręża. Wycofał się wolno, każdy centymetr dostarczał rozkosznej udręki, aż tylko

żołądź pozostała nadal w jej wnętrzu. Następnie zmienił kierunek i powoli, z rozmysłem wszedł w nią na powrót, cały, aż ich biodra zetknęły się mocno.

Nachylił się, ledwie centymetr dzielił go od jej ust. Słodkich. Kuszących.

– Dobrze? – szepnął.

– O Boże, Winterze – jęknęła, a jej niebieskie oczy zasnuwała mgła podniecenia. – Zrób to jeszcze raz.

– Z przyjemnością – odparł ochryple.

I zrobił. Jeszcze raz. I jeszcze. I jeszcze.

Aż jęczała, ilekroć w nią wchodził i się z niej wysuwał. Aż w piersi czuł ucisk tak wielki, że myślał, iż lada moment eksploduje. Aż wbiła palce w jego pośladki i błagała.

Aż nie mógł dłużej się powstrzymywać. Aż spuścił bestię z uwięzi i wdzierał się w nią, pozbawiony kontroli, owładnięty żądzą.

Na koniec, kiedy wygiął się w łuk z grymasem słodkiej rozkoszy, popatrzyła nań wilgotnymi niebieskimi oczami i delikatnie dotknęła palcem jego spoconego policzka, a wtedy wiedział.

Wraz z nasieniem wlał w nią swoją duszę.

Rozdział 13

Następnie Prawdziwa Miłość wzięła małą szklaną fiolkę, usiadła
i pomyślała, ile Arlekin dla niej znaczył i jak opłakiwała jego utratę.
Gdy oddawała się tym smutnym rozmyślaniom, z jej oczu
skapywały łzy, a ona pieczołowicie chwytała każdą z nich
do fiolki…
– z Legendy o Arlekinie – Duchu St. Giles

Było nadal ciemno, kiedy Isabel z powrotem wspinała się po schodach do sypialni, ale to już nie potrwa długo. Leżała z Winterem po tym, jak kochali się po raz drugi, trochę drzemała, cieszyła się jego bliskością. Kiedy wreszcie wstał i się ubrał, z wielką niechęcią opuściła bibliotekę. Jedynie świadomość, że służba uznałaby za dziwne, gdyby ich pani spędziła noc na dole, nakłoniła Isabel do przenosin. Ufała swoim służącym – i dobrze im płaciła – lecz ostatecznie byli tylko ludźmi. Po co dostarczać im jeszcze więcej tematów do plotek – wystarczały jej bliżej nieokreślone związki z Duchem St. Giles.

O tak wczesnej porze nawet pokojówki nie zabrały się jeszcze do rozpalania w kominkach, niemniej kiedy Isabel dotarła do sypialni, odkryła, że nie jest sama. Przed drzwiami leżała drobna postać.

Isabel przystanęła i z konsternacją popatrzyła na Christophera. Korytarz wyścielono dywanem, lecz mimo to trudno było uznać podłogę za wygodne łóżko. A jednak chłopiec zwinął się w kłębek na boku jak myszka, jego pierś wznosiła się i opadała delikatnie w głębokim śnie. Kiedy spał, wyglądał tak dziecinnie, niemalże jak niemowlę. Miał jasne włosy matki, ale patrząc tak na niego, Isabel uzmysłowiła sobie, że brodę i nos odziedziczył po ojcu. Niewykluczone, że pewnego dnia będzie wyglądał jak kochany Edmund.

Westchnęła. W pobliżu nie było nikogo, biedna Carruthers bez wątpienia spała spokojnie w swoim łóżku w pokoju dziecięcym. Cóż począć. Isabel nachyliła się ostrożnie i wzięła ciepłe ciałko w ramiona – odrobinę niezręcznie, gdyż nie nawykła do tego. Malec nie wydał z siebie żadnego dźwięku, kiedy niosła go do swojego łóżka, zdziwiła się natomiast, że waży aż tyle. Położyła go delikatnie na materacu i nakryła po samą brodę.

– Czy on tu jest? – Christopher zamrugał i spojrzał na nią sennie brązowymi oczami. Wymamrotał pytanie tak niewyraźnie, że nie była pewna, czy w pełni się obudził.

– Kto? – szepnęła.

– Duch – odparł. – Śniło mi się, że przyszedł i panią uratował, milady.

Kącik jej ust mimowolnie powędrował w górę.

– Uratował przed czym?

Zwinął się w kłębek na boku, wpatrując się w nią bez mrugania.

– Śniło mi się, że płakała pani zupełnie sama w wysokiej wieży, a Duch przyszedł i panią uratował.

– Aha – powiedziała, marszcząc brwi. Cóż za dziwny sen jak na chłopca. – To był tylko sen, Christopherze. Nic mi nie jest.

Pokiwał głową, ziewając potężnie.

– Czyli panią uratował.

Zamrugała na taką logikę, podczas gdy Christopher zaczął cicho chrapać.

Przez chwilę po prostu na niego patrzyła, na to dziecko, które nie chciało sobie pójść, niezależnie od tego, jak często je przepędzała. Dziecko, które domagało się od niej matczynej miłości, nie bacząc na to, jak niemożliwe jest to uczucie. Znienacka w jej oczach wezbrały łzy. Przypomniała sobie powtarzane przez Wintera słowa: „Jeśli nie ja, to kto?”. Nigdy nie będzie tak świątobliwa jak on, ale mogła przecież zrobić tę jedną małą rzecz.

Nachyliła się i pocałowała Christophera w czoło, zanim sama wspięła się do łóżka.

* * *

Winter spoglądał na śpiącą Peach, zastanawiając się, jak najlepiej postąpić z małą Żydówką. Nie posiadał obszernej wiedzy na temat Żydów w Londynie – pomijając fakt, że formalnie zakazano im tu przebywać i dlatego tworzyli bardzo skrytą społeczność. Przypuszczał, że mógłby przechrzcić dziewczynkę i wychowywać ją jako chrześcijankę, ale coś w nim buntowało się przeciw zmienianiu jej w sposób tak fundamentalny. Uczeniu jej, by całe życie kłamała.

Przynajmniej wyglądała lepiej niż w dniu, kiedy przybyła do przytułku. Jej policzki wypełniły się i nabrały zdrowych kolorów, wydawało się nawet, że urosła, na ile było to w ogóle możliwe w tak krótkim czasie. Mała terierka Dodo leżała obok, wtulona opiekuńczo w ramię Peach. Ostrożnie zmierzyła Wintera wzrokiem, ale nie warczała.

Winter przeniósł spojrzenie na kolejnego użytkownika wąskiej pryczy.

– Josephie.

Joseph Tinbox, który leżał z ramieniem zarzuconym za głowę i nogą zwisającą z łóżka, na wpół przytomnie otworzył oczy.

– O coo…?

– Co robisz w łóżku Peach? – zapytał łagodnie Winter.

Chłopiec usiadł, włosy, z tyłu przylizane, z przodu sterczały mu prosto.

– Peach śnił się koszmar.

– Koszmar. – Winter sceptycznie uniósł brew.

– No tak. – Chłopiec całkowicie się już rozbudził i przybrał swój najbardziej szczery wyraz twarzy. – Po tym to żem nie mógł pozwolić, żeby spała sama.

– I usłyszałeś ten koszmar w sypialni chłopców na drugim końcu korytarza?

Joseph otworzył usta, ale zaraz uzmysłowił sobie problem: nie było możliwości, by z dormitorium na drugim końcu korytarza usłyszeć cokolwiek poza regularnym wrzaskiem. Opuścił brodę, popatrując na Wintera spod bujnej czupryny.

– Powiedziała mi, że stale ma koszmary.

Winter westchnął. Opiekuńczość chłopca stanowiła pozytywną cechę, ale…

– Osiągnąłeś wiek, Josephie, kiedy nie możesz już spać w jednym łóżku z dziewczynką, bez względu na to, jak szlachetne są tego powody.

Po skonfundowanej minie chłopca poznał, że ten nie ma pojęcia, o czym mowa. Niemniej smutna prawda o świecie przedstawia się tak, że oceniając innych, ludzie nie dopatrują się u nich najlepszych cech, lecz odwołują się do najgorszych myśli we własnych sercach.

– Chodź, Josephie. Peach jest na tyle duża, by spała sama – rzekł Winter, wyciągając rękę. – Poza tym ma Dodo do obrony.

Joseph Tinbox posłał mu spojrzenie pełne pradawnej dziecięcej mądrości.

– Dodo jest psem, psze pana. Nie odpowie, kiedy Peach chce porozmawiać o rzeczach,

które ją spotkały.

– Przepraszam, masz rację – przyznał Winter. Przekrzywił głowę. – Czy Peach opowiada ci, co jej się przydarzyło?

Joseph przytaknął, zaciskając usta w kreskę.

– Rozumiem. – Winter ze ściągniętymi brwiami rozejrzał się po pokoju. – Może zatem pójdziemy na kompromis. A gdybyś tak spał na pryczy obok łóżka Peach? W ten sposób nadal byś ją usłyszał, gdyby chciała porozmawiać, ale, jak sądzę, oboje lepiej byście się wyspali.

Joseph przemyślał propozycję z powagą sędziego, zanim rozstrzygająco skinął głową.

– Chyba się sprawdzi.

Wgramolił się na wskazaną pryczę i ziewnął szeroko.

Winter wziął przyniesioną przez siebie świecę i skierował się do drzwi. Niedługo zacznie świtać. Ale Joseph ubiegł go pytaniem.

– Psze pana?

– Tak?

– Gdzie pan chodzi nocami?

Winter zatrzymał się i obejrzał przez ramię. Jak na tak młodego człowieka Joseph obserwował go bardzo wnikliwie.

Mężczyzna poczuł, że zmęczyły go już kłamstwa.

– Naprawiam zło.

Oczekiwał kolejnych pytań – Joseph zwykle miał ich mnóstwo, a jego odpowiedź była zbyt niejasna – ale chłopiec jedynie pokiwał głową.

– Nauczy mnie pan kiedyś?

Winter zrobił wielkie oczy. Nauczyć go…? Jego umysł natychmiast stanął okoniem na myśl o narażaniu Josepha na niebezpieczeństwo. Zarazem instynktownie wiedział, że gdyby jego Duch kiedykolwiek zażyczył sobie mieć ucznia, nie znalazłby nikogo odważniejszego od tego młodego człowieka.

– Pomyślę nad tym – odparł po krótkim wahaniu.

Chłopiec zamrugał sennie.

– Dziękuję, że pozwolił mi pan zostać z Peach, psze pana.

W piersi Wintera wezbrała jakaś nagła emocja.

– Dziękuję, że się o nią troszczysz, Josephie – szepnął, po czym zamknął drzwi.

* * *

– Dokąd jedziemy? – dociekał z entuzjazmem Christopher kolejnego popołudnia.

– W miejsce, gdzie jest mnóstwo dzieci – odparła Isabel. – Może znajdziesz paru towarzyszy do zabawy.

Christopher zrobił niepewną minę.

– Polubią mnie?

Isabel poczuła bolesny skurcz. Pod wpływem impulsu zabrała ze sobą Christophera na wizytę w przytułku. Był taki szczęśliwy dziś rano, kiedy obudził się w jej pokoju, a ona go nie zbeształa. Pomyślała, że towarzystwo rówieśników mogłoby mu sprawić przyjemność, tyle że, ostatecznie, co ona wiedziała o dzieciach? Niewykluczone, że popełniła potworny błąd. Christopher wyglądał na tak zaniepokojonego! Uzmysłowiła sobie, że chłopiec zgromadził bardzo skromne doświadczenie w relacjach z innymi dziećmi. Louise raz na jakiś czas brała go na krótko do siebie, ale nie miała rodziny, a jej

przyjaciółki nie miały dzieci. Do tej pory życie Christophera upływało w izolacji.

Isabel nie była jego matką, lecz mimo to ogarnęło ją poczucie winy. Powinna była znacznie wcześniej zauważyć, jak bardzo samotny jest ten chłopczyk. Znienacka dotarło do niej, że to za sprawą Wintera stała się bardziej świadoma. Otworzył coś głęboko w jej wnętrzu. Dzięki niemu spojrzała na swoje życie i świat świeżym okiem. Myśl ta napełniła ją niepokojem. To, co zaistniało między nimi, było z konieczności skazane na szybki koniec. Pewnego dnia będzie zmuszona porzucić Wintera. Jednocześnie im więcej czasu z nim spędzała, tym bardziej uwodziły ją te poważne, ciemne oczy. Te oczy widziały jej prawdziwe ja, którego nie dostrzegał nikt inny.

Zadrżała. Rozstanie z Winterem będzie dla niej gorsze niż najokrutniejsza tortura.

– Milady? – Wysoki głos Christophera przywołał ją z powrotem do teraźniejszości. Popatrzyła na chłopca i uśmiechnęła się krzepiąco.

– Nie wiem, czy inne dzieci cię polubią – odparła. – Przypuszczam jednak, że jeśli będziesz dla nich miły, powinieneś im się spodobać.

Chłopiec nie wyglądał na szczególnie uspokojonego i Isabel z cichym westchnieniem wyjrzała przez okno. Winter na pewno uzna ją za głupią, że przyprowadziła Christophera.

Kiedy wszakże pół godziny później zobaczyła Wintera, zaprzątały go inne sprawy. Stał na schodach przytułku, rozmawiając z kapitanem Trevillionem, dowódcą dragonów.

Na widok mężczyzn Isabel zebrała spódnice i ruszyła ku nim szybszym krokiem.

– Dzień dobry, panowie! – zawołała, zbliżając się.

Kapitan Trevillion zamaszyście zdjął wysoki kapelusz i ukłonił się, siedząc na koniu, ale Winter jedynie omiótł wzrokiem ją, a następnie małą postać Christophera, nim znów zwrócił się do kapitana.

– Jak mówiłem, minionej nocy nie widziałem Ducha, kapitanie.

Isabel poczuła ucisk w sercu. Dobry Boże, czy kapitan dragonów nabrał podejrzeń?

– A jednak wychodził pan późno, jak donoszą mi dzieci – stwierdził gładko Trevillion, pogłębiając obawy Isabel. – Na pewno przynajmniej coś pan słyszał.

– Strzały – przyznał łagodnie Winter. – Zapewniam pana jednak, kapitanie, że mam zwyczaj oddalać się od odgłosów przemocy.

Trevillion chrząknął.

– Ubiegłej nocy Duch zabił dżentelmena, o czym z pewnością doszły pana słuchy. Mam nadzieję, że powiadomi pan mnie lub moich ludzi, jeśli uzyska jakiekolwiek informacje na ten temat.

– Ma pan moje słowo – oświadczył z powagą Winter.

Kapitan skinął głową.

– Dobrze. – Spojrzał na Isabel. – Na pewno pani także o tym słyszała, milady. Aktualnie St. Giles nie jest bezpiecznym miejscem na przechadzki.

– Od pańskiej troski nieodmiennie robi mi się ciepło na sercu, kapitanie. – Isabel uśmiechnęła się i wskazała gestem Harolda, który z szacunkiem przystanął kilka kroków za nią. – Ale zabrałam ze sobą lokaja.

– Jest uzbrojony? – zapytał dowódca dragonów.

– Zawsze – uspokoiła go Isabel.

– Cóż, tak czy siak proszę opuścić te okolice przed nastaniem nocy – rozkazał kapitan Trevillion, jakby była jednym z jego żołnierzy. Zawrócił wielkiego konia. – I niech pan pamięta o obietnicy, panie Makepeace.

Oddalił się kłusem, nie czekając na odpowiedź.

– Dlaczego ten żołnierz był wściekły? – zapytał Christopher, odprowadzając wzrokiem

odjeżdżającego dragona. Wcześniej w trakcie rozmowy z nabożną czcią wpatrywał się w ogromnego konia tudzież imponujący mundur jeźdźca.

– Pracował przez całą noc – wyjaśnił łagodnie Winter, zwracając się bezpośrednio do chłopca. – Podejrzewam, że kapitan Trevillion jest zmęczony. Przyszedłeś z wizytą, Christopherze?

– Tak, proszę pana. – Chłopiec nieśmiało wtulił się w spódnice Isabel. – Milady mówi, że są tu dzieci, z którymi można się bawić.

– Istotnie są. – Winter posłał Isabel jakże rzadki szeroki uśmiech, pod wpływem którego szybciej zabiło jej serce. – Cieszę się, że lady Beckinhall pomyślała, żeby cię przyprowadzić. Przyszła pani dalej uczyć mnie manier, milady?

– Nie dzisiaj, chociaż obawiam się, że nasze lekcje jeszcze potrwają. – Zasznurowała usta. – Nie, sądzę, że po – zerknęła na Christophera – zgonie pana Fraser-Burnsby'ego minionej nocy konkurs między panem a lordem d'Arkiem należy tymczasowo zawiesić. I całe szczęście, biorąc pod uwagę, że opuścił pan bal, nie zawracając sobie głowy, by pożegnać się z kimkolwiek.

– Istotnie przypadła pani trudna misja – mruknął Winter, otwierając główne drzwi i prowadząc wszystkich do środka.

Isabel sapnęła i przewróciła oczami, ale była tego popołudnia w stanowczo zbyt dobrym nastroju, żeby toczyć spory o etykietę.

– Zdaje się, że kucharka upiekła rano słodkie bułeczki, gdybyś miał ochotę – poinstruował Harolda Winter.

– Tak, proszę pana. – Lokaj podążył do kuchni na tyłach domu.

Christopher spoglądał za nim tęsknie.

– Dla nas też za chwilę powinny się znaleźć bułeczki – zapewnił cicho Winter. – Może jednak najpierw sprawdzimy, co robi klasa chłopców?

Na wzmiankę o dzieciach niepokój na twarzy Christophera zmieszał się z ekscytacją. Chłopiec nic nie powiedział, ale chwycił wyciągniętą ku niemu dłoń Wintera. Mężczyzna spojrzał ciepło na Isabel ponad jego głową.

Wspięli się całą grupką po schodach na piętro, gdzie mieściły się sale lekcyjne. Kiedy się zbliżali, Isabel pomyślała, że w salach panuje niespotykana cisza, gdy zaś weszli do jednej z nich, zrozumiała przyczynę takiego stanu rzeczy: dzieci jadły podwieczorek. Na długich stołach rozstawiono nakrycia, każdy chłopiec miał przed sobą parujący kubek i talerz z bułeczką.

– Aha, widzę, że przybywamy w samą porę – mruknął Winter.

Na dźwięk jego głosu odwróciły się głowy i dzieci, ponaglone przez Nell Jones, powitały go chóralnie:

– Dzień dobry, panie Makepeace.

– Dzień dobry, chłopcy. – Winter z rozbawioną miną, nawet jeśli się nie uśmiechał, wskazał puste miejsce na jednej z długich ławek. – Miałaby pani chęć do nas dołączyć, baronowo?

Posłała mu spojrzenie obiecujące zemstę, a wtedy się uśmiechnął.

Usiadł obok niej i napełnił filiżankę mocną herbatą, po czym sam z siebie dodał mleko i cukier i podsunął tę mieszankę Isabel. Christopher siedział sztywno po przeciwnej stronie stołu, nie pił herbaty, aczkolwiek pożądliwie mierzył wzrokiem słodką bułeczkę na swoim talerzu.

– Czy to twoja mama? – spytał chrapliwym szeptem jeden z chłopców, na oko rówieśnik Christophera, nachylając się ku niemu.

Christopher zerknął ostrożnie na Isabel.

– Nie.

– A masz mamę? – dociekał chłopiec.

– Tak – odparł Christopher. – A ty nie?

– Nie – odrzekł chłopiec. – Nikt z nas tu nie ma. Dlatego mieszkamy tutaj, w przytułku.

– O! – Christopher przez chwilę rozmyślał nad tą informacją, po czym odgryzł kęs bułeczki. – Nie mam taty.

Chłopiec mądrze pokiwał głową.

– Ja też nie. Chcesz zobaczyć myszę?

– Tak, poproszę – powiedział Christopher, wyraźnie zainteresowany.

– Henry Putmanie – odezwał się Winter, nie podnosząc wzroku.

– Tak, psze pana? – Rozmówca Christophera zwrócił na Wintera niewinne spojrzenie.

– Szczerze ufam, że ta mysz znajduje się poza przytułkiem?

Henry Putman zmarszczył czoło.

Winter westchnął.

– Może zatem po podwieczorku ty i Christopher wyniesiecie ją na zewnątrz.

– Tak, psze pana. – Henry Putman pokiwał żywiołowo głową i głośno przełknął herbatę. – No i jeszcze Joseph Chance by nam pomógł. To on ocalił myszę przed Sadzą.

Trzeci chłopiec wyszczerzył w uśmiechu zęby znad swojej bułeczki.

Pięć minut później Isabel przyglądała się, jak Christopher opuszcza ich biegiem w towarzystwie nowych przyjaciół. Reszta dzieci także gromadnie wyszła z sali. Najwyraźniej była to godzina przeznaczona na ćwiczenia na zewnątrz.

– Tak dobrze sobie z nimi radzisz.

– To nie takie trudne – stwierdził. – Wystarczy traktować ich z szacunkiem i słuchać.

– Dla ciebie może i łatwe – odparła. – Ja wiecznie martwię się tym, co mu powiedziałam… albo czego nie powiedziałam.

Pokiwał głową.

– Podejrzewam, że wszystkie matki martwią się, jak wychowywać dzieci.

– Nie jestem jego matką – zaprotestowała stanowczo, ściągając brwi.

– Oczywiście – wymamrotał. – A jednak przyprowadziłaś go tu dzisiaj. Kiedy ostatnio widziałem cię z Christopherem, kazałaś mu wyjść z pokoju. Co się zmieniło?

– Nie wiem – przyznała. – Może udzieliło mi się trochę twojej świątobliwości.

Popatrzył na nią z uniesionymi brwiami.

Westchnęła.

– Albo zmęczyło mnie ranienie nas obojga tym, że ciągle go odpycham.

Uśmiechnął się, nieoczekiwanie i ciepło, a ona zastanawiała się przez chwilę, czy kiedykolwiek usłyszy jego śmiech.

– Tak czy owak, cieszę się, że z nim tu przyszłaś.

Ze skrępowaniem wzruszyła ramionami, rozglądając się po sali lekcyjnej. Oprócz długich stołów i ławek w pomieszczeniu nie było praktycznie nic więcej. Goła marmurowa podłoga i samotny regał ze stosem tabliczek oraz jedną książką – przypuszczalnie Biblią, sądząc po rozmiarach.

Spojrzała znów na niego.

– Ta sala ma bardzo spartański wystrój. Na pewno są teraz środki na urządzenie przytułku.

Winter uniósł brwi, jakby zaskoczony tą uwagą.

– Co byś tutaj zmieniła?

– To raczej nie zależy ode mnie… – Umilkła i pokręciła głową. – Po pierwsze, dywan. Zimą będzie ciągnęło od posadzki. Kilka oprawionych w ramki reprodukcji albo nawet obrazów, na które dzieci mogłyby patrzeć. Zasłony w oknach… – Znów umilkła, ponieważ się do niej uśmiechał. – Dlaczego tak na mnie patrzysz?

– Podziwiam sposób, w jaki potrafisz zrobić z budynku dom.

Prychnęła.

– To nie takie trudne.

Byli teraz w sali lekcyjnej sami i znienacka przyciągnął ją do siebie, by pocałować mocno i szybko. Gdy na powrót uniósł głowę, nadal łapała oddech.

– Zrobisz z mojego przytułku dom, Isabel?

Przytaknęła, nietypowo dla siebie nie znajdując słów, wyglądał bowiem na tak zadowolonego. Z drżeniem zastanawiała się, czy jego słowa nie znaczyły czegoś więcej.

* * *

Isabel nie wiedziała, czy spodziewać się go tej nocy. Nijak nie okazał – nie licząc owego żarliwego pocałunku w sali lekcyjnej – że chce się z nią znów zobaczyć.

Znów pójść z nią do łóżka.

Niemniej późnym wieczorem, kiedy pozostali domownicy już spali, znalazła się w bibliotece. Wędrowała wzdłuż półek, wodząc palcami po grzbietach ze skóry i materiału, raz po raz wyjmując jakąś książkę jedynie po to, by za moment ją odstawić. A fe! Była równie żałosna jak byle debiutantka, zza zasłon bawialni matki wypatrująca z utęsknieniem powozu potencjalnego absztyfikanta.

Kiedy w końcu usłyszała, jak cichutko otwierają się drzwi biblioteki, nie potrafiła nawet udawać nonszalancji. Odwróciła się ku niemu i serce jej zadrżało.

Miał na sobie przebranie Ducha.

– Czy ty chcesz zawisnąć? – złajała go, podchodząc. – Czy to jakiś impuls, żeby zginąć męczeńsko za mieszkańców St. Giles? Nie wystarczy, że poświęcasz się dla nich w nocy i za dnia, musisz jeszcze koniecznie oddać za nich życie?

– Nie marzy mi się zostanie męczennikiem – odparł łagodnie, przyglądając się jej, gdy ciskała na podłogę jego kapelusz i skórzaną maskę, a następnie rozwiązywała mu pelerynę.

– Okazujesz to w bardzo dziwny sposób. – Spojrzała na niego spode łba, powstrzymując łzy. – Jeśli cię złapią, bezzwłocznie cię powieszą i nikt nie uratuje cię w ostatniej chwili jak Mickeya O’Connora. Nie ma kto cię uratować.

– Isabel. – Chwycił jej drżące ręce i trzymał mocno, nawet kiedy próbowała mu się wyrwać. – Ciii. Nikt mnie nie złapie.

Nie rozpłacze się przy nim.

– Nie jesteś niezwyciężony – szepnęła. – Wiem, że tak sądzisz, ale nie jesteś. Jesteś z ciała i krwi, równie podatny na rany jak każdy inny człowiek.

– Za bardzo się przejmujesz – szepnął, muskając ustami jej szyję.

– Jak mogę się nie przejmować, kiedy uparcie narażasz życie?

Podniósł ją i posadził na bibliotecznym stole, stając między jej rozwartymi nogami.

– Muszę odnaleźć te porwane dzieci. One mnie potrzebują, Isabel.

– Wszyscy w St. Giles cię potrzebują. – Chwyciła go mocno za włosy. – Za to gdybyś ty potrzebował ich, nic by ich to nie obeszło. No jakże, ścigali cię i pobili, kiedy ocaliłeś

tego pirata!

– Powinienem pomagać wyłącznie tym, którzy są na tyle odważni, że w razie czego pomogą mnie? – wymamrotał, zbierając w pięściach jej spódnice. – Albo ratować tylko tych, którzy przejdą jakiś test na dobroć?

– Nie, oczywiście, że nie. – Zatchnęła się, kiedy szerokimi dłońmi pogładził jej uda. Spiorunowała go wzrokiem. – Nawet gdyby obmyślono taki test, zignorowałbyś go. Ratujesz ludzi, nie patrząc, czy na to zasługują. Jesteś przeklętym świętym.

Wyrwało mu się sapnięcie – tłumiony śmiech – i Isabel uzmysłowiła sobie, że po raz pierwszy usłyszała ten dźwięk.

Później jego ręce znalazły się tam i wszystkie myśli odpłynęły jej z głowy.

Nachylił się, obserwując ją z bliska, gdy palcami odnalazł właściwe miejsce i pogładził delikatnie.

– Przepraszam, że przysparzam ci zmartwień. Zrobiłbym wszystko, żeby cię uszczęśliwić.

Otworzyła szeroko oczy i wyciągnęła rękę, by pogłaskać go po policzku.

– Nawet porzucił bycie Duchem St. Giles?

Nie odpowiedział – ponieważ nie chciał jej rozczarować lub dlatego, że rozkojarzyły go jej palce, majstrujące przy jego rozporku.

Zwrócił ku niej twarz, akurat gdy odnalazła ostatni guzik i wsunęła dłoń do środka. Jak się spodziewała, był twardy i rozpalony, czekał na nią niecierpliwie. Chwyciła go, zarazem przyjmując w usta jego język, jęknęła, gdy wsunął w nią palce. Wiedziała, że zalewa go swoją wilgocią, ale nic na to nie mogła poradzić. Jeszcze nigdy nie było w ten sposób – tak nagląco, tak migotliwie, tak prawdziwie. Jej świat nabierał barw, gdy on przebywał w pobliżu. Pobudzał ją.

Przywracał do życia.

Znalazła się na krawędzi, ale nie chciała spadać samotnie.

– Wejdź we mnie – wydyszała mu w usta, przerywając pocałunek.

Wolno wysunął palce z jej pochwy. Biodrami rozwarł szerzej uda kochanki, lokując się bliżej jej centralnego punktu.

Odsunął się na tyle, by spojrzeć jej w oczy.

– W ten sposób?

Przeciągnęła sobie jego żołędzią po wilgotnej kobiecości, na chwilę zamykając oczy, gdy pocierała nim o swój czubek. Później popatrzyła mu w twarz i pchnęła go niżej, aż znalazł się u jej wejścia.

– Tak – szepnęła. – Właśnie w ten sposób.

A później wchodził w nią mocno, rozszerzał ją, naciągał jej mięśnie, robiąc miejsce dla siebie. Uchwyciła się kurczowo jego barków i oplotła go nogami powyżej bioder, balansując na krawędzi stołu, całkowicie otwarta na niego.

Chwycił ją za biodro, wycofując się wolno, ze wzrokiem utkwionym w miejsce połączenia ich ciał. Wysuwał z niej członek z kontrolowaną siłą i wiedziała, że jeśli nie zwiększy tempa, grozi jej utrata zmysłów.

– Szybciej – zażądała, ściskając mu barki. – Szybciej.

Pokręcił głową.

– Nie ponaglaj.

I zmienił kierunek, zagłębiając się w nią nieubłaganie, centymetr po centymetrze. Wolno.

Zbyt wolno.

– Winterze – błagała, wykręcając się, szukała oparcia dla nóg, by go popędzić.

On jednak podniósł ją znienacka, zdejmując ze stołu.

Pisnęła i uczepiła się go, przestraszona, że spadnie.

Stał, ona zaś owijała się wokół niego jak pijawka; później jego pierś uniosła się pod nią, kiedy wolno nabrał powietrza.

– Powoli – szepnął, po czym nakrył jej usta swoimi.

Na moment zapomniała o wszystkim. W ustach miała jego język, ciepły i silny, męski i natarczywy, członek ulokował w niej tak głęboko, że jej kobiece wargi były szeroko rozwarte. Posiadł ją. To on sprawował kontrolę.

Wtedy zaczął iść, nie przerywając pocałunku, a te ruchy okazały się wyszukanie uwodzicielskie – subtelne poszturchiwanie, rozkoszne, miarowe kołysanie.

Jęknęła przy jego wargach.

– Winterze.

– Tak – mruknął w odpowiedzi. – Tak.

Potem plecami dotknęła ściany, a on zaparł się na nogach. I nagle w nią wchodził. Szybko. Mocno. Głęboko. Tak jak trzeba.

Wpatrywał się w nią błyszczącymi oczami.

– Tak.

Wiedziała, że to nadchodzi, bała się, że całkowicie utraci kontrolę. Pochwyciła jego usta, ugryzła wargę, łkała, rozpadając się na kawałki. Był taki silny, taki szeroki, taki idealny. Nigdy już nie znajdzie takiego mężczyzny. Przez niego stawała się stracona dla innych, a związana z tym rozkosz była nie do zniesienia.

Poczuła, jak jego mięśnie tężeją, jak się w nią wdziera, dopychając dolny odcinek jej pleców do ściany. Trwał tak, gdy jego penis pulsował w jej wnętrzu, a usta zmiękły pod jej ustami.

Mruczał coś, szeptał, mamrotał, podczas gdy jego ciało nadal spazmowało, ona zaś doświadczała męki tak wspaniałej, że trwało kilka chwil, nim uzmysłowiła sobie, co powiedział. A kiedy już to nastąpiło, odsunęła się, wpatrując się weń z przerażeniem.

Wyglądał na pewnego siebie, pewnego swych możliwości.

– Kocham cię.

Rozdział 14

Na koniec Prawdziwa Miłość Arlekina skłoniła głowę, splotła dłonie i pomodliła się do świętych i aniołów, i do samego Boga o Nadzieję, której potrzebowała, żeby wyzwolić Arlekina z pułapki okrutnego losu. Modliła się aż do wzejścia księżyca; potem, zebrawszy Sznur Miłości, Fiolkę Smutku i swoją własną Nadzieję, wstała i odważnie wyruszyła do St. Giles…
– z Legendy o Arlekinie – Duchu St. Giles

Winter od razu się zorientował, że popełnił błąd taktyczny. Szamotał się mentalnie, usiłując ukierunkować myśli. Próby zatuszowania błędu nie miały sensu. „Skoro ujawniłeś w starciu swoją słabość, atakuj, nie wycofuj się".

Było na to za szybko, wiedział o tym, ale teraz nie dało się już inaczej. Wciągnął powietrze, z trudem łapiąc oddech, po czym spojrzał jej w oczy.

– Wyjdziesz za mnie?

Oczy już wcześniej zaokrągliły jej się wskutek szoku, ale usłyszawszy pytanie, dosłownie rozdziawiła swe słodkie usta. Gdyby sytuacja nie była tak ekstremalna, parsknąłby śmiechem.

– Oszalałeś?

Teraz nie zdołał zapanować nad drżeniem warg.

– Niektórzy bez wątpienia by tak uznali.

– Nie mogę za ciebie wyjść!

Spodziewał się tego ciosu, ale mimo to zabolało. Jej twarz wyrażała takie niedowierzanie…

Przynajmniej przeszła mu ochota do śmiechu.

– Zasadniczo rzecz biorąc, możesz. Nie jestem z nikim po słowie, ty także nie. Powiedziałem, że cię kocham, a ty mi się oddałaś.

Nadal byli połączeni, jego erekcja nie ustąpiła całkowicie. Trudno, by Isabel odparła ten argument.

A jednak to zrobiła.

– Nie oddałam ci się – sapnęła z twarzą ciągle ślicznie zarumienioną po zbliżeniu. – To była przelotna rozrywka, nic więcej.

Była kobietą o silnej woli, starszą od niego i zajmowała znacznie wyższą pozycję społeczną. Gdyby jej na to pozwolił, poniewierałaby nim. I dlatego teraz, w tym momencie, musiał zająć stanowisko, ustalić szablon ich przyszłych relacji.

Ponieważ zamierzał spędzić z nią przyszłość – legalnie i w sposób usankcjonowany przez Kościół w sferze publicznej, intymnie i w miłości w sferze prywatnej. Jeszcze nigdy przed nikim nie obnażył duszy tak jak przed nią. Zobaczyła jego zwierzę i wystarczyło jej śmiałości, by je pogłaskać.

Kochał ją.

I wierzył, że ona również go kocha – nawet jeżeli na razie nie przyjmowała tego faktu do wiadomości. Jeśli da się jej przepędzić, nigdy już nie odnajdą ponownie tej więzi. Znowu staną się dwiema samotnymi, odizolowanymi duszami unoszącymi się bez celu, na zawsze oderwani od otaczających ich ludzi.

Nie mógł tak żyć i nie zamierzał dopuścić, by ona powróciła do tego stanu zawieszenia.

Dlatego naparł na nią, wykorzystując swoją siłę i wzrost, by podkreślić wagę tych słów. Och, i tę prymitywną część ciała, nadal pogrzebaną w jej wnętrzu. Ją także wykorzystał.

Pchnął biodrami, przypominając jej o tym, co przed momentem robili.

– Przed tobą nie spałem z żadną kobietą – powiedział. – Jasno to podkreśliłem. Sądziłaś, że tak łatwo dałem ci się uwieść? Nie, nie dałem. Zawarłaś ze mną umowę w chwili, kiedy ofiarowałaś mi dostęp do swego ciała.

– Nie zawierałam żadnej umowy!

Czytał w jej oczach gniew – oraz strach – lecz ani myślał się wycofywać.

– Najdroższa Isabel – szepnął. – Zawarłaś umowę swoim sercem, duszą i ciałem, a przypieczętowałaś ją, omywając mi członek swoim orgazmem.

Zamrugała oszołomiona. Nigdy wcześniej nie używał takich słów, na pewno nie przy niej, lecz ta obcesowość była konieczna.

– Ja… nie mogę cię poślubić – wymamrotała. W oczach miała łzy, wyglądała jak schwytana w potrzask. Ubolewał nad niepokojem, jaki wywoływała w niej ta sytuacja, lecz nie pozwoli jej odejść. – Jesteś biednym nauczycielem. Skąd pomysł, że za ciebie wyjdę?

Jej krzywdzące słowa ani trochę mu się nie spodobały, toteż odpowiedział ordynarnie i do rzeczy. Naparł na nią miednicą, wsuwając budzącą się znów erekcję w jej śliskie przejście.

Zatchnęła się, popatrzyła mu w oczy i dostrzegł moment, kiedy wszystkie jej pokrętne argumenty straciły użyteczność. Kiedy umarła w niej nadzieja, że łatwo się z tego wywinie.

– Jestem bezpłodna.

Słowa były ostre, gorzkie. Usłyszał je i potem przez chwilę nie słyszał nic więcej. Przyglądał się jej smutnej twarzy, napiętej i w jakiś sposób samotnej, gdy zaczęła mówić.

– Po trzecim poronieniu wiedziałam już, że nigdy nie urodzę żywego dziecka – mówiła, kiedy słuch mu wrócił. – Na przekór wszystkim medykom, których sprowadzał Edmund. Ale najgorsze było czwarte poronienie. Bardzo długo krwawiłam, a lekarze orzekli, że dopisało mi szczęście, że przeżyłam, dodali jednak, iż miało to swoją cenę. Wewnątrz zostałam uszkodzona w sposób nie do naprawienia.

Mówiła o tym spokojnie, wiedział jednak, że bez wątpienia krzyczała i zawodziła, usłyszawszy te wieści, gdyż jego Isabel nie była kobietą bierną. Walczyłaby z tym werdyktem. Umarłaby, podejmując kolejną próbę posiadania dziecka. Dzięki Bogu, że było to niemożliwe.

Winter pojmował, że wkrótce, bardzo szybko, przyjdzie mu opłakiwać dzieci, których nigdy nie będzie miał. Jednakże w tej chwili przyświecał mu tylko jeden cel.

– To nie ma znaczenia – rzekł, kiedy przerwała, by zaczerpnąć tchu.

Popatrzyła nań nieomal z pogardą.

– Oczywiście, że ma. Wszyscy mężczyźni chcą mieć dzieci z własnej krwi, a ja nie mogę ci takich dać. Nigdy nie będę miała tego, co innym kobietom przychodzi z łatwością. Dziecko… dzieci… są dla mnie stracone.

– To jest strata, zgadzam się – odparł, wycofując się z niej delikatnie.

Odsunął się na tyle, że dotknęła nogami podłogi, gdy wszakże chciała mu się wymknąć, po prostu wziął ją w ramiona i przeszedł do sofy, gdzie usiadł z nią na kolanach niczym z małym dzieckiem. Nie zliczyłby, ile razy pocieszał w takiej pozycji zapłakane szkraby.

– Winterze… – zaczęła.

– Ciii… – Przyłożył palce do jej warg. – Wysłuchaj mnie. Nie przeczę, że chciałbym mieć z tobą dzieci. Dziewczynka o twoich włosach i oczach byłaby radością mego życia. Ale to ciebie pragnę w pierwszej kolejności, nie wyimaginowanych dzieci. Przeżyję utratę czegoś, czego nigdy nie miałem. Ale utraty ciebie nie przeżyję.

Tymczasem ona już kręciła głową, przerywając mu wbrew jego prośbom.

– Jesteś młodym mężczyzną, Winterze Makepeace. Teraz możesz sądzić, że nie zależy ci na posiadaniu własnych dzieci, ale to się zmieni. Jak ci się zdaje, dlaczego nigdy ponownie nie wyszłam za mąż? Pewnego dnia spojrzysz na mnie i zobaczysz bezpłodną staruchę.

Pod wpływem jakiejś nuty w jej głosie przyjrzał się jej baczniej. Na jej twarzy malował się wstyd.

– Czy twój mąż tak na ciebie patrzył?

– Nie. Nie, oczywiście, że nie. – Ale opuściła powieki, jakby cierpiała ból nie do zniesienia. – Edmund zawsze był dżentelmenem.

– A mimo to zostawił ci na wychowanie swojego bękarta. Sól do wtarcia w ranę.

Otworzyła gwałtownie oczy, pełne rozpaczy i dzikie.

– Nie będę kamieniem młyńskim u twojej szyi, uniemożliwiającym ci posiadanie prawdziwej rodziny – mówiła, kręcąc głową. – Nie zniosłabym, gdyby jakikolwiek mężczyzna spojrzał tak na mnie ponownie, a już zwłaszcza… zwłaszcza ty.

Kiedy usłyszał to drobne potknięcie na końcu jej przemowy, serce w nim urosło. Wiedział już, że potrzeba tylko czasu i cierpliwości. Prawdopodobnie sporo cierpliwości.

– Nigdy nie spojrzę na ciebie inaczej niż z absolutnym uwielbieniem. – Pogłaskał ją kojąco. – Nigdy nie staniesz się kamieniem młyńskim u mojej szyi. Jesteś raczej słońcem, które rozświetla moje dni. – Przełknął ślinę. – Nie rozumiesz? Wyprowadziłaś mnie na światło dnia. Zaakceptowałaś te części mnie, które zawsze trzymałem w ukryciu. Nie każ mi ponownie wycofywać się w noc.

Ze znużeniem zamknęła oczy.

– To za mało. Nie rób tego sobie… nie rób tego mnie. Za parę lat nawet moje pieniądze nie wystarczą, żebyś uznał, że warto było się ze mną żenić.

Skrzywił się na to szyderstwo. Po mężu zostały jej zbyt głębokie blizny – nie urobi jej w tej chwili. Posadził ją delikatnie na sofie i wstał, żeby zapiąć spodnie.

– Oczywiste, że nie przekonam cię tej nocy. Jesteś zmęczona i wyznam, że ja także. Przełóżmy temat na jutro.

Naturalnie znów otworzyła usta, ale spodziewał się tego i nakrył jej słodkie wargi swoimi, całując ją, aż zmiękła.

Wtedy uniósł głowę.

– I miej na względzie, najdroższa Isabel, by nie obrażać mnie zbyt dotkliwie, kiedy się kłócimy, hm?

Wyszedł szybko – nim miała szansę cokolwiek dodać.

* * *

– Milady!

Otworzywszy oczy, Isabel zobaczyła Pinkney, która z wahaniem stała przy jej łóżku.

Pokojówka nieśmiało wyciągnęła w jej stronę złożony papier.

– Milady, właśnie przyniesiono dla pani ten liścik. Chłopak, który go doręczył, powiedział, że dostał szylinga ekstra za to, że puści się biegiem. Czyli to chyba ważne,

jak pani sądzi?

Wydarzenia minionej nocy wzięły szturmem umysł Isabel, zanim zdążyła się przeciw nim uzbroić. Oświadczyny Wintera. Jej własna wywołana szokiem odmowa. Dawali sobie nawzajem tyle radości. Dlaczego chciał wszystko zmienić? Isabel najchętniej schowałaby głowę pod poduszkę.

– Która godzina? – jęknęła.

– Dopiero pierwsza – odparła przepraszającym tonem Pinkney. Oczywiście. Według pokojówki szczytem elegancji było sypiać co najmniej do trzeciej po południu.

Ale Isabel już się rozbudziła.

Usiadła na łóżku.

– Zorganizuj dla mnie kawę, dobrze? I pokaż ten liścik.

Liścik był złożony i zapieczętowany; Isabel przełamała wosk, kiedy Pinkney skierowała się do drzwi sypialni, żeby zamówić kawę. Isabel otworzyła wiadomość i przeczytała:

Dziś po południu l. Penelope odwiedzi przytułek wraz z l. d'Arkiem. Sądzę, że chcą odprawić p. Makepeace'a.

– A.G.

Artemis Greaves. Dama do towarzystwa ryzykowała swoją pozycję. Isabel zmięła liścik, jednocześnie gramoląc się z łóżka.

Powiedział, że mnie kocha. Nie mogła teraz o tym myśleć. Nie, jeśli miała pomóc Winterowi.

– Milady? – Pinkney wyglądała na wstrząśniętą, kiedy odwróciwszy się, ujrzała swoją panią już na nogach, w dodatku szperającą w komodzie.

– Mniejsza o kawę – rzuciła z roztargnieniem Isabel, ciskając liścik w ogień. – Pomóż mi się ubrać.

Dziesięć minut później – nadzwyczajny rekord jak na jej toaletę, co omal nie przyprawiło Pinkney o spazmy – Isabel wspinała się do karety.

– Gdybym miała jeszcze pięć minut, mogłaby pani wystąpić dziś w tej nowej zielonej kurtce mundurowej – narzekała Pinkney.

Isabel usadowiła się w pojeździe, niecierpliwie wyglądając przez okno.

– Kiedy w tym właśnie rzecz: nie miałam kolejnych pięciu minut. Obyśmy tylko i tak nie były zanadto spóźnione.

Na ulicach Londynu zdawał się tego dnia panować większy tłok niż zwykle. Kareta dwukrotnie zatrzymywała się z powodu zwierząt na drodze, a nawet kiedy się poruszali, robili to w tempie niewiele szybszym od spaceru.

Lady Beckinhall odnosiła wrażenie, że do przytułku dotarli po całych godzinach męki, choć w rzeczywistości nie mogło to zająć więcej niż pół godziny.

Mimo to kareta wicehrabiego d'Arque'a stała już przed budynkiem, kiedy zajechali.

– Zaczekaj tutaj – poleciła Isabel, w pośpiechu wypadając z pojazdu.

Wbiegła po frontowych schodach i sprawdziła drzwi. Zamknięte. Załomotała kołatką i powtarzała czynność do chwili, gdy drzwi raptem otwarto. Wyjrzała zza nich pobladła twarz Mary Whitsun. Z wnętrza przytułku dobiegały podniesione głosy.

– Proszę szybko, milady – rzuciła Mary na bezdechu, po czym odwróciła się i pomknęła z powrotem w głąb budynku.

Isabel zebrała spódnice i pospieszyła za nią. Dobry Boże, co też krzyczał lord d'Arque?

Ponieważ rozpoznała jego podniesiony głos.

Ona i Mary Whitsun weszły do bawialni akurat w chwili, gdy wicehrabia gwałtownie odwracał się od kominka.

– …zna tego mordercę, Makepeace! Sam pan to przyznał. Proszę wobec tego, jeśli łaska, podać jego nazwisko albo doprowadzę pana przed sąd pod zarzutem ukrywania złodzieja i mordercy.

Scena była dramatyczna. Lord d'Arque wyglądał, jakby nie zmrużył oka, odkąd dwie noce temu dowiedział się o zamordowaniu przyjaciela. Twarz miał wymizerowaną, w oczach błysk szaleństwa, a na dodatek na jego kaftanie i spodniach widniały plamy. Obok niego stali z ponurymi minami hrabia Kershaw i pan Seymour, podczas gdy lady Penelope sprawiała wrażenie, jakby miała zaraz eksplodować z ekscytacji. Panna Greaves posłała Isabel ostrożne spojrzenie zza pleców swojej pani.

Tworząc kontrast dla tej spiętej grupki, Winter stał samotnie po drugiej stronie pokoju, spokojny, skupiony. Jego twarz była tak pozbawiona wyrazu, że Isabel nie miała pojęcia, co mógłby w tej chwili myśleć. Chciała podejść i zająć miejsce u jego boku.

Niemożliwe.

– Poinformowałem już pana – odparł Winter niebezpiecznie cichym głosem – że jakkolwiek widywałem Ducha St. Giles, nie wiem, kim ten człowiek w istocie jest.

– Och, proszę nas nie zwodzić, panie Makepeace! – wykrzyknęła lady Penelope.

Odwrócił się ku niej wolno.

– Dlaczego miałbym to robić, madame?

– No właśnie, dlaczego – podchwycił cicho pan Seymour. – Może Duch jest… pańskim przyjacielem? Lub jeszcze bliżej? Już dwukrotnie był pan nieobecny, kiedy Duch się pokazał: w operze i tamtej nocy na balu d'Arque'a.

Żyłami Isabel pomknęło czyste przerażenie. Jeśli Winter zostanie zdemaskowany, gotowi powiesić go za zamordowanie Rogera Fraser-Burnsby'ego, mimo że był niewinny.

Instynktownie ruszyła naprzód.

– No, no, panie Seymour! Cóż za niemądre oskarżenie. Pan Makepeace istotnie spóźnił się do opery, jednak towarzyszył mi w sali balowej lorda d'Arque'a, co wicehrabia może potwierdzić. Oskarża pan pana Makepeace'a, że potrafi w kilka sekund przelecieć z rezydencji wicehrabiego do St. Giles? Poza tym wiele osób widziało Ducha. Wszystkim zarzuci pan oszustwo?

Lord Kershaw ukłonił się jej.

– Słuszna uwaga, madame. Pani również kilkakroć spotkała Ducha sam na sam, nieprawdaż?

– Czyżby oskarżał pan mnie, milordzie? – Isabel uśmiechnęła się słodko. – Może sądzi pan, że dla rozrywki pomogłam Duchowi zabić nieszczęsnego pana Fraser-Burnsby'ego?

– Naturalnie, że nie – odparł lord Kershaw. – Cóż to jednak za szczęśliwy zbieg okoliczności, że zjawia się pani akurat w porę, by stanąć w obronie pana Makepeace'a, baronowo.

Uniosła brew, pilnując się, żeby nie spojrzeć na pannę Greaves.

– Zbieg okoliczności? Bynajmniej. Umówiłam się na dziś z panem Makepeace'em, że oprowadzi mnie po przytułku.

– Odbiegamy od tematu, panowie – warknął wicehrabia. Przez cały ten czas ani na moment nie oderwał wzroku od Wintera. – Niechże mi pan przynajmniej wyjawi, gdzie mogę znaleźć Ducha, panie Makepeace.

Winter pokręcił głową.

– Nie wiem na ten temat nic więcej niż pan, milordzie. Zdaję sobie sprawę, że nie życzy pan sobie tego słuchać, ale przede wszystkim nie jestem do końca przekonany, czy pana Fraser-Burnsby'ego zabił Duch.

Krew napłynęła wicehrabiemu do twarzy, wskutek czego przybrała ona gniewny odcień czerwieni, ale to pan Seymour się odezwał:

– Zapomina pan, panie Makepeace, że jest świadek. Lokaj pana Rogera Fraser-Burnsby'ego dość szczegółowo opisał mordercę.

– Tak też słyszałem – mruknął Winter. – Dziwne, że Duch nie zabił również lokaja, by nie pozostawiać tak skrupulatnego świadka.

– Nie mam na to czasu – oznajmił lord d'Arque. – Znajdę Ducha St. Giles z pańską pomocą lub bez niej, panie Makepeace. Wiem od kapitana Trevilliona, że jego ludzie prawie dopadli Ducha w noc morderstwa. Schwytanie go jest tylko kwestią czasu.

Ruszył do wyjścia, ale zatrzymała go lady Penelope.

– A co z pańskim prezentem, milordzie?

Lord d'Arque przystanął i odwrócił się z dziwnym uśmiechem.

– Jakże mogłem zapomnieć? Moim zdaniem ostatnich kilka dni dobitnie wykazało, że wygrałem nasz mały konkurs dżentelmeńskich manier, panie Makepeace. Możemy zaczekać z rozstrzygnięciem sprawy, aż lady Hero i obie lady Caire powrócą do miasta, wydaje mi się jednak, że prościej będzie przedstawić damom już podjętą decyzję.

– Powiedziałem panu, że nie zrezygnuję z przytułku – odparł kategorycznie Winter.

– Pamiętam. – Wicehrabia w wyważony sposób pokiwał głową. – Zastanawiam się jednak, czy nie dałby się pan… przekonać… gdybym zaproponował coś na zachętę.

Winter zesztywniał.

– Jeśli sądzi pan, że pieniądze mogą zachwiać…

Lord d'Arque przerwał mu machnięciem ręki.

– Nie bądźmy prymitywni. Naczelne miejsce w moich myślach zajmuje nieodmiennie przytułek… i tutejsze dzieci. Mam nadzieję, że w pańskich także?

Winter tylko zmrużył oczy.

– O co panu chodzi? – zapytała ostro Isabel. Nie podobały jej się gładkie komunały wicehrabiego. Lord d'Arque zawsze dbał o własny interes, co przeważnie nie stanowiło problemu, ale powodowany żalem z powodu morderstwa na panu Fraser-Burnsbym wydawał się zupełnie nad sobą nie panować. – Co pan proponuje, milordzie?

Lord d'Arque uniósł brwi.

– Pragnę jedynie podarować powołanie do marynarki wojennej najstarszemu chłopcu w przytułku, ktokolwiek to jest. Spodziewam się, że pani i pan Makepeace pochwalicie takie posunięcie?

Isabel wciągnęła powietrze w płuca. Powołanie do marynarki dla chłopca trzeba było kupić i dlatego przypadało zwykle w udziale synom ziemiaństwa lub szlachty. Było czymś wprost niesłychanym, by sprezentować je osieroconemu chłopcu nieznanego pochodzenia. Do czego zmierzał lord d'Arque?

Wtedy do niej dotarło: najstarszym chłopcem w przytułku był Joseph Tinbox.

Na szczęce Wintera napiął się mięsień.

– Jest pan nad wyraz hojny, milordzie.

– Dziękuję, wiem o tym. – Wicehrabia skłonił głowę. – Oczywiście jednak hojność ta wiąże się z pewnym warunkiem. Podaruję powołanie jedynie w przypadku, gdy zostanę zarządcą tego przytułku. Musiałby pan z własnej woli elegancko ustąpić. W tym momencie.

Isabel już występowała do przodu, kręcąc głową.

– Proszę posłuchać…

– Daje pan słowo honoru dżentelmena, milordzie – zagłuszył ją spokojny głos Wintera – że zrobi pan to, kiedy tylko odejdę?

– Tak – odparł lord d'Arque, nieco zaskoczony.

– Doskonale. Zgadzam się.

– Winterze – szepnęła Isabel, lecz on z zaciętą miną zmierzał już ku drzwiom.

Odwróciła się do wicehrabiego, podeszła doń i wspięła się na palce, by wysyczeć mu w tę pełną zadowolenia z siebie twarz:

– W tej chwili szczerze pana nienawidzę.

Następnie podążyła za Winterem.

* * *

Winter tymczasem wyjął już worek i pakował się, kiedy Isabel odnalazła go pięć minut później w nędznej klitce na ostatnim piętrze.

Natychmiast wyszarpnęła z worka koszule, które tam włożył.

– Co ty wyrabiasz?

Zawahał się, cierpliwy, znużony i nawykły do cierpienia, niech go diabli!

– Pakuję się.

– Nie waż się odgrywać przy mnie męczennika – syknęła ze złością. – Robisz właśnie to, na czym zależy d'Arque'owi.

– Wiem – stwierdził. – To bez znaczenia.

– Oczywiście, że to ma znaczenie!

– Podjąłem decyzję, wziąwszy pod uwagę to, co uważam za najlepsze, a nie powody, dla których złożył tę propozycję.

– Ale nie możesz uważać za najlepsze opuszczenia przytułku. Nie możesz uważać za najlepsze, że rozstaniesz się z Josephem i wyprawisz go na morze.

– A jednak tak uważam. – Znów zajrzał do worka.

Z desperacją rozejrzała się po pokoju, szukając czegoś, czegokolwiek, co nakłoniłoby go do zmiany zdania. Upchnięta na poddaszu sypialnia była mała i urządzona po spartańsku. Oczywiste, że w zamyśle przeznaczono ją dla służącego, a nie zarządcy przytułku. Na tę myśl poczuła przypływ kolejnej fali gniewu.

– Dlaczego? – zapytała ostro. – Dlaczego ciągle szukasz okazji do męczeństwa? Ubierasz się jak najskromniej, narażasz życie dla tych, którzy z chęcią by cię zaszczuli i zabili, a na dokładkę wybierasz dla siebie najnędzniejszą sypialnię w tym domu.

– Co jest nie tak z tą sypialną? – Uniósł brwi, zaskoczony.

– To ciasna służbówka i świetnie o tym wiesz – warknęła z irytacją. – I nie próbuj zmieniać tematu.

Uklęknął, by sięgnąć pod łóżko.

– Ani by mi się śniło.

Wsparła ręce na biodrach, świadoma, że we wzburzeniu traci całą elegancję.

– Lord d'Arque sądzi, że coś cię łączy z Duchem St. Giles…

– I ma rację. – Winter wyciągnął spod łóżka strój Ducha.

– Oszalałeś? – syknęła, odwracając się prędko, by przekręcić klucz w drzwiach.

– Stale mnie o to pytasz – mruknął.

– I mam powody! – Zacisnęła pięści, gromadząc argumenty. – On to robi wyłącznie z

zemsty. Tak naprawdę nie interesuje go przytułek, dla niego to fanaberia. Jak twoim zdaniem będzie nim zarządzał?

– Nie najlepiej – zgodził się Winter, zwijając kostium i upychając go w worku. – Ale to kwestia sporna: d'Arque sam powiedział, że zatrudni zarządcę.

– A ty szczerze uważasz, że ktokolwiek inny podoła zadaniu tak dobrze jak ty? – spytała zdesperowana.

Zerknął na nią ironicznie.

– Trudno mi odpowiedzieć na to pytanie, nie wychodząc na zarozumialca, ale nie, nie sądzę, by ktokolwiek spisał się tak dobrze jak ja.

– No i proszę. – Wyrzuciła w górę ręce. – Sam to przyznajesz: nie możesz porzucić przytułku.

Pokręcił głową.

– Przyznaję jedynie, że mój następca najprawdopodobniej nie będzie w tym równie dobry. Niemniej, ogólnie biorąc, przytułek zanadto nie ucierpi. Nell Jones była z nami prawie tak długo jak ja. Mamy teraz więcej służby, kucharkę, no i Syndykat Pań za przewodnika. Wierzę, że przytułek znajdzie sposób, by radzić sobie beze mnie.

– Przytułek może sobie poradzi, ale co z tobą? – spytała miękko.

Zatrzymał się i spojrzał na Isabel.

– O co ci chodzi?

– Jest dla ciebie wszystkim, czyż nie? – Omiotła gestem pokój. – Sam powtarzałeś to raz po raz. St. Giles, przytułek, dzieci. Są dziełem twojego życia.

– To prawda. – Pokiwał głową. – Zapewne więc będę musiał poszukać sobie innego dzieła życia.

Jej serce napęczniało smutkiem. Za niego. Z powodu wszystkiego, czego nie chciał przyznać.

– Dokąd pójdziesz, Winterze?

Wzruszył ramionami.

– Mam fundusze. Znajdę sobie inne lokum.

– A znajdziesz innego chłopca takiego jak Joseph Tinbox?

– Nie – odparł cicho, z żalem, wkładając do worka kilka książek i zamykając go. – Nie, Joseph Tinbox jest wyjątkowy.

– Ty go kochasz, Winterze – powiedziała. – Nie możesz pozwolić, by poszedł na morze.

Na moment opuścił powieki i nagle na jego twarzy ukazały się cały smutek, cały ból, których spodziewała się wcześniej.

Później spojrzał na nią ze zdecydowaniem w oczach.

– Właśnie dlatego, że kocham Josepha, pozwolę mu odejść.

Rozdział 15

Prawdziwa Miłość Arlekina kryła się w cieniu, wędrując wąskimi uliczkami St. Giles w poszukiwaniu ukochanego. Dwakroć przyszło jej umykać przed mężczyznami o groźnym wyglądzie, raz spędziła długie chwile ukryta w niszy drzwiowej, kiedy chwiejnym krokiem mijała ją grupa pijanych łobuzów. Lecz bez względu na to, jak mocno serce łomotało jej ze strachu, nie ustała w poszukiwaniach Arlekina…
– z Legendy o Arlekinie – Duchu St. Giles

W sierocińcu wieści szybko się rozchodzą. Jest tu mnóstwo uszu, mnóstwo czujnych oczu, które gromadzą informacje, ochoczo potem rozprowadzane.

Wszyscy chłopcy mieli lekcje. Kiedy pół godziny później Winter wszedł do sali lekcyjnej i zobaczył Josepha Tinboksa, od razu się zorientował, że chłopiec wie.

– Josephie Tinbox, mogę z tobą porozmawiać?

Koledzy wpatrywali się w Josepha jak w skazańca. Chłopiec przełknął ślinę i wstał z ławki. Gdy ku niemu szedł, Winter odnotował, jak bardzo wyrósł. Mógłby niemal spojrzeć Winterowi prosto w oczy. Zaledwie rok temu nie sięgał mu nawet do ramienia. Joseph zatrzymał się przed nim.

– Muszę? – spytał cicho, tak by inni chłopcy nie usłyszeli.

Na dźwięk jego łamiącego się głosu serce Wintera o mało co nie pękło na dwoje.

– Tak, musisz.

Joseph zwiesił głowę i pierwszy wyszedł z sali. Winter rozglądał się chwilę po korytarzu, zakłopotany, nim poprowadził go do izolatki. Była pusta – Peach poczuła się na tyle dobrze, by wziąć udział w lekcji z innymi dziewczynkami.

Zamknął drzwi i spojrzał na chłopca.

– Słyszałeś, jak się domyślam?

Joseph Tinbox przytaknął niemo, po czym dodał:

– Jakiś typ chce mnie odesłać na morze.

Winter usiadł na pustym łóżku Peach.

– Chce zrobić o wiele więcej, Josephie. Obiecał kupić ci powołanie do Królewskiej Marynarki Wojennej.

Sama majestatyczność nazwy wystarczyła, by na twarzy Josepha odmalował się pełen respektu podziw – na sekundę, nie dłużej. Później chłopiec znów przybrał upartą minę, z którą wszedł do pokoju.

– Nie chcę jechać.

– Oczywiście, że nie chcesz. – Winter pokiwał głową. – Nigdy nie byłeś na morzu, przyjdzie ci zostawić wszystkich i wszystko, co znasz. Obawiam się jednak, że to nie ma znaczenia. Będziesz musiał zebrać w sobie odwagę, Josephie, ponieważ zwyczajnie nie wolno ci przepuścić takiej okazji.

Joseph zerknął na łóżko, na którym siedział Winter.

– Nie mogę. Peach mnie potrzebuje.

Przez sekundę Winter miał chęć zamknąć oczy i uznać swoją porażkę. Większość dzieci przybywała do przytułku samotnie – pozbawiona zarówno krewnych, jak i przyjaciół. Było po dwakroć cudowne, gdy decydowały się zawrzeć przyjaźń. Zbliżyć się

do innego samotnego dziecka. Joseph, z czystego altruizmu, został protektorem Peach… i jej przyjacielem. Rozrywanie takiej więzi z pewnością zakrawało na grzech.

Ale to nie miało znaczenia.

Winter nachylił się, opierając łokcie na kolanach.

– Większość opuszczających przytułek chłopców idzie do terminu. Wiesz o tym, Josephie, prawda?

Chłopiec przytaknął ostrożnie.

– Jeśli dopisze im szczęście, po latach terminowania zostają szewcami, rzeźnikami lub tkaczami. Same uczciwe zajęcia. Zapewniające względnie przyzwoite życie. – Winter rozpostarł ramiona. – Ale ty, Josephie, ty masz teraz sposobność zostania kimś więcej. Możesz stać się dżentelmenem. Kiedy już znajdziesz się w Królewskiej Marynarce Wojennej, jako oficer, a nie prosty marynarz, dzięki ciężkiej pracy, odwadze i bystrości możesz osiągnąć znacznie więcej niż inni chłopcy. Kto wie, może pewnego dnia zostaniesz kapitanem własnego statku.

Oczy chłopca zaokrągliły się, zaraz jednak przygryzł wargę.

– Ale morze. Co, jeśli morze mi się nie spodoba, psze pana?

Usłyszawszy to pytanie, Winter się uśmiechnął, ponieważ akurat co do tej jednej kwestii miał pewność.

– Spodoba ci się. Nauczysz się żeglować, będziesz słuchał opowieści starszych chłopców i mężczyzn, podróżował do wspaniałych krajów daleko, daleko od Anglii. Josephie, to będzie najbardziej niesamowita przygoda twojego życia.

Przez chwilę Winter był przeświadczony, że wygrał potyczkę. Że przekonał chłopca co do słuszności podjętej decyzji.

Wtedy wzrok Josepha spoczął na poduszce, nadal wgniecionej od głowy Peach. Chłopiec wpatrywał się w nią przez moment z wahaniem w oczach, po czym spojrzał na Wintera, już zdecydowany.

– Przykro mi, psze pana. Świetny prezent, naprawdę, ale nie mogę zostawić Peach samej.

Winter przełknął ślinę. Czuł się taki znużony, tak bardzo zmęczony nieustanną walką. Walką bez krótkiego choćby odpoczynku.

Ale to było ckliwe użalanie się nad sobą.

– Mnie także jest przykro, Josephie Tinbox, obawiam się bowiem, że źle mnie zrozumiałeś. – Podniósł się z łóżka. – Nie proszę cię, żebyś pojechał. Rozkazuję ci jechać.

* * *

Tego wieczoru Isabel zasiadła do samotnej kolacji w swej prywatnej jadalni. Za jej plecami na kominku trzaskał ogień, na okrągłym stoliku stały świeże kwiaty w małym porcelanowym wazonie, a kucharka ugotowała wyśmienity rosół, lecz Isabel nie miała apetytu.

Zaproszono ją na wieczorek towarzyski, ale wobec faktu, że Winter opuszczał przytułek, jak również ze względu na zamordowanie pana Fraser-Burnsby'ego, straciła wszelką ochotę na wieczór poza domem. Biednej lady Littleton goście dziś nie dopiszą – jeśli w ogóle ktokolwiek się zjawi.

– Czy podać rybę, milady? – zapytał lokaj.

– Tak, proszę – odparła nieobecnym głosem Isabel, wzdychając.

Nadal była wzburzona zarówno oświadczynami Wintera, jak i jego dezercją z przytułku. Tak należało bowiem nazwać jego postępowanie, bez względu na podawane przezeń powody, nawet jeśli sam uważał je za wielce szlachetne. Poświęcił przytułek dla przyszłości jednego dziecka. To nie było w porządku, niezależnie od wysuwanych przezeń argumentów czy tego, jak wiele znaczył dla niego Joseph Tinbox.

No i kolejna kwestia, która jeszcze bardziej ją trapiła: gdzie on się podziewał? Podekscytowana Pinkney zrelacjonowała jej wcześniej, że widziano, jak Duch uciekał po dachach St. Giles przed ścigającymi go dragonami Trevilliona. Równie dobrze mógł teraz leżeć gdzieś ciężko ranny – albo martwy.

Isabel odsunęła na bok kieliszek z winem. Nagle poczuła mdłości.

– Milady, ma pani gościa – poinformował Butterman z głęboką dezaprobatą. – Nalegał, inaczej bym go odprawił. Jednak w tej sytuacji…

– Wszystko w porządku – dobiegł zza pleców kamerdynera męski głos.

Och, dzięki Bogu!

Winter ominął mężczyznę.

– Dziękuję, panie Butterman.

Kamerdyner zesztywniał.

– Samo „Butterman” wystarczy, proszę pana.

– Zapamiętam. – Winter uroczyście skinął głową.

– Panie Makepeace – odezwała się Isabel. – Może zje pan ze mną kolację?

Odwrócił się ku niej, unosząc brwi w zaskoczeniu – czego się po niej spodziewał, że go wyrzuci?

– To bardzo miłe z pani strony, madame – rzekł.

No cóż. Czy nie zachowywali się potwornie oficjalnie, biorąc pod uwagę, że zaledwie minionej nocy brał ją dziko w bibliotece?

– Proszę poprosić panią Butterman o jeszcze jedno nakrycie – poinstruowała kamerdynera Isabel.

Butterman wyszedł, jakimś sposobem nadając temu odwrotowi nutę zszokowania – umiejętność cechująca jedynie bardzo dobrych kamerdynerów.

Kiedy tylko zamknęły się za nim drzwi, Isabel nachyliła się nad wypolerowanym mahoniowym blatem stołu.

– Gdzieś ty był? – syknęła. – Przez cały wieczór słyszałam o Duchu biegającym po St. Giles. Nie wiedziałam, czy znowu nadstawiasz karku, czy relacje są fałszywe.

– Och, część była dostatecznie prawdziwa. – Odsunął krzesło naprzeciw niej i opadł na nie. – Trochę się namęczyłem, żeby uciec dziś Trevillionowi i jego ludziom.

Nieznośny człowiek! Po prostu nie ustąpi – mimo niebezpieczeństw grożących mu teraz na ulicach St. Giles. Nie wiedziała, czy cisnąć w niego sztućcami, czy rzucić się przez stół i go pocałować.

Na szczęście w tejże chwili do jadalni wparowała pani Butterman w asyście pokojówki. Gospodyni zdawała się jednak nie dostrzegać ciszy panującej między Isabel i Winterem.

Napełniwszy winem kieliszek Wintera, pani Butterman z satysfakcją skinęła głową na własny użytek, zapytała, czy potrzeba im czegoś jeszcze, po czym opuściła pokój. Zostali sami, gdyż lokaj Will jeszcze nie wrócił – przypuszczalnie poszukiwał obiecanej ryby.

Isabel skorzystała ze sposobności, by zapytać:

– Znalazłeś tę manufakturę zatrudniającą dzieci?

Winter pokręcił głową, a na jego twarzy odmalował się gorzki zawód, gdy podnosił

kieliszek.

– Tylko plotki. Krążą opowieści o dzieciach żyjących gdzieś na poddaszu, ale moje źródło… któremu musiałem zapłacić podwójnie, żeby cokolwiek powiedziało… nie umiało jednoznacznie podać lokalizacji. Sprawdziłem jeden prawdopodobny budynek, ale od kolejnego odpędzili mnie dragoni. Będę musiał spróbować znowu jutro w nocy.

Te jego conocne wypady, kiedy dragoni deptali mu po piętach, przerażały ją wprost do nieprzytomności.

– Przepraszam – zagaiła ostrożnie – ale czy nie możesz przynajmniej odczekać paru nocy, zanim ponownie się tam wypuścisz?

Spojrzał na nią spode łba, zniecierpliwiony.

– Każdego dnia, kiedy nie mogę ich znaleźć, te dzieci są wykorzystywane.

Pokręciła głową i ze ściągniętymi brwiami wbiła wzrok w talerz, żałując, że nie potrafi mu pomóc, zaraz jednak przyszło jej do głowy coś innego.

– A Joseph Tinbox? Jak przyjął wieści o powołaniu?

– Niedobrze. – Winter pociągnął łyk wina i na moment zamknął oczy, smakując je. Później popatrzył na Isabel. – Byłem zmuszony mu powiedzieć, że nie ma wyboru i musi przyjąć tę propozycję. Nie odzywał się do mnie, kiedy wychodziłem.

– Och, Winterze. – Już sięgała przez stół, by dotknąć jego dłoni, kiedy Will otworzył drzwi.

Lokaj w milczeniu podał rybę, nerwowo przerzucając spojrzenie z Wintera na nią i z powrotem.

– Dziękuję, to wszystko – powiedziała stanowczo Isabel.

– Tak, milady – wymamrotał Will, wycofując się z jadalni.

Bez wątpienia cała jej służba czekała na korytarzu, by wysłuchać sprawozdania.

Isabel westchnęła i popatrzyła na Wintera.

Pociągnął kolejny łyk wina.

– Bardzo dobre. Włoskie?

– Tak, właśnie przyszło. – Zmrużyła oczy. – Jesteś synem browarnika. Jakim cudem znasz się na winie?

Czyżby dostrzegła w jego oczach zażenowanie? Wzruszył ramionami.

– Lubię wino.

– Ledwie zdążę pomyśleć, że cię znam, ujawniasz jakiś całkowicie nieoczekiwany szczegół na swój temat – skomentowała.

– Ach. – Odstawił kieliszek. – I tym się różnimy. Ja nie oczekuję, że kiedykolwiek poznam wszystkie twoje sekrety. Nie mogę się doczekać, jak za długie lata będę nadal dokonywał nowych odkryć.

– Winterze… – Serce omal jej nie pękło na widok ciepła w jego brązowych oczach. Nie wolno jej dopuścić, by sądził, że mogłaby zmienić zdanie. – Wiesz, że nie ma dla nas przyszłości.

Nie odpowiedział, zamiast tego wsuwając do ust kęs ryby, ale właśnie to jego milczenie aż krzyczało uporem.

Westchnęła.

– Co teraz zrobisz?

– Myślałem, żeby zostać guwernerem małego chłopca – odparł.

Zmarszczyła brwi.

– Znasz kogoś, kto ma…?

Uśmiechnął się, kiedy jej oczy rozszerzyły się w zrozumieniu.

– Ale Christopher ma dopiero pięć lat – zaprotestowała. – Jest o wiele za mały na guwernera.

– Odkryłem, że nauczanie dzieci, zwłaszcza chłopców, najlepiej jest rozpocząć możliwie wcześnie – odrzekł niewzruszony. – Zacznę lekcje z Christopherem od jutra.

– Ale… ale…

Szukała jakiejkolwiek wymówki, niemniej pozostawało faktem, że chłopcu przyda się nieco męskiej dyscypliny. Bóg świadkiem, że był z niego prawie dzikus, którego poskromić próbowała jedynie Carruthers.

– Świetnie. Cieszę się, że to ustaliliśmy – powiedział Winter, jakby z wdzięcznością wyraziła zgodę. – Zaniosę tylko moje rzeczy na górę.

– Posłuchaj… – zaczęła, nim dotarły do niej jego ostatnie słowa. Wyprostowała się i zamrugała skołowana. – Co takiego?

Uśmiechnął się drapieżnie, wstając od stołu.

– Jedna z korzyści z bycia guwernerem: mieszkają przy rodzinie. Tak więc w którym pokoju chciałabyś mnie umieścić?

* * *

Trzy dni później Winter zasiadł przy niskim stole w pokoju dziecięcym Isabel. Pomieszczenie znajdowało się na najwyższym piętrze, ale zostało dobrze przystosowane do swoich celów. Wysokie okna, zapewniające dużo światła, zakratowano stosownie u dołu, żeby zapobiec wypadkom. Po regale maszerował imponujący zestaw ołowianych żołnierzyków, a cokolwiek już sfatygowany pluszowy lew rozparł się na krześle obok ucznia Wintera.

Winter pchnął na środek stołu talerz ciastek.

– No dobrze, Christopherze. Kucharka była tak miła, że upiekła nam babeczki do herbaty. Ile nam ich dała?

Siedzący po drugiej stronie stołu chłopiec oparł się łokciami o blat, żeby z uwagą przyjrzeć się lukrowanym babeczkom. Przyozdobione truskawkami prezentowały się wielce apetycznie.

– Dwanaście! – odparł po chwili spędzonej na poruszaniu ustami, gdy liczył.

– Zgadza się – potwierdził Winter. – Gdybyśmy podzielili ciastka między nas dwóch, ile byśmy dostali?

Christopher zmarszczył się straszliwie, dumając nad pytaniem. Winter napełnił mu filiżankę herbatą z przewagą mleka i dodał łyżeczkę cukru, czekając na odpowiedź.

– Sześć? – spytał wreszcie chłopiec.

– Jak najbardziej. – Winter uśmiechnął się z aprobatą. – Ale sześć babeczek na głowę bez wątpienia skończyłoby się bólem brzuszka dla ciebie i groźbą podagry dla mnie. Dlatego też – skinął głową ku Isabel, która weszła właśnie do pokoju dziecięcego – mamy wielkie szczęście, że lady Beckinhall dołączy do nas przy herbacie.

– Dzień dobry, panie Makepeace – przywitała się z uśmiechem Isabel. – Christopherze.

– Uczymy się matematyki, milady! – Christopher podskoczył na krześle. – A kucharka upiekła babeczki do herbaty.

– Wspaniale! – Isabel posłała Winterowi ukradkowy uśmiech, siadając. W ostatnich dniach nastąpiła zauważalna poprawa, gdy szło o jej samopoczucie w obecności Christophera. – Co jeszcze omawialiście dziś z panem Makepeace’em?

Winter prędko napił się herbaty, omijając Isabel wzrokiem.

Tymczasem Christopher nachylił się ku niej konspiracyjnie.

– Bitwę pod Hastings. Wiedziała pani, że król Harold zginął od strzały w oko?

– Naprawdę? – Głos Isabel zabrzmiał nieco słabiej. – I jest to odpowiedni temat dla małych chłopców, panie Makepeace?

Winter odkaszlnął.

– Przekonałem się, że przy omawianiu historii najbardziej… eee… barwne momenty mają większą szansę przykuć ich uwagę.

– Hm. – Nalała sobie herbaty, dodając śmietankę i cukier. – Nie miałam pojęcia, że w nauczaniu chłopców kryje się tyle dramatyzmu.

– To fascynujące zajęcie – oświadczył z powagą Winter. – Teraz na przykład Christopher i ja zamierzamy omówić dzielenie. Zatem, Christopherze, trzeba podzielić te tutaj babeczki równo pomiędzy lady Beckinhall, mnie i ciebie. Jak sądzisz, ile babeczek każde z nas dostanie?

Christopher zmarszczył nos w namyśle.

– Pięć?

– Aha. Przetestujemy twoje przypuszczenie?

Chłopiec żywiołowo przytaknął.

– Proszę więc, rozdziel równo babeczki.

Winter popijał herbatę i przyglądał się, jak Christopher pieczołowicie umieszcza babeczki na talerzu każdego z nich po kolei, aż nic nie zostało na dużym talerzu, na którym je podano.

– Dobrze – powiedział Winter. – A teraz…

– Czy będziemy mogli w końcu zjeść te ciastka? – wymamrotała Isabel, mierząc wzrokiem babeczki przed sobą.

– Cierpliwości, madame. Wiedzy nie należy wpajać w pośpiechu – zganił ją. Jej spojrzenie obiecywało zemstę. – A zatem, Christopherze, czy możesz policzyć babeczki na swoim talerzu?

Chłopiec policzył.

– Cztery.

– Nas zaś jest troje – rzekł Winter. – Zatem trzy razy cztery daje…?

Oczy Christophera przemknęły między talerzami, po czym cały się rozpromienił.

– Dwanaście! Trzy razy cztery daje dwanaście, panie Makepeace!

– Zgadza się, Christopherze – pochwalił Winter. – I teraz, baronowo, możemy zjeść nasze ciastka.

– Hurra! – wykrzyknął Christopher, usiłując wepchnąć sobie do ust całą babeczkę.

No cóż. Na temat manier przy stole porozmawiają przy innej okazji.

Przyglądał się, jak Isabel odgryza maleńki kęs ciastka, po czym zlizuje okruszek z kącika ust, i poczuł napięcie w lędźwiach. Sądził, że dobrze to ukrywa, niemniej mieszkanie z nią w tym samym domu, spożywanie z nią posiłków – na co nalegała – a nawet po prostu oddychanie tym samym co ona powietrzem graniczyły z udręką.

Winter ponuro odgryzł kawałek babeczki i przeżuwał. Przyrzekł sobie, że nie poruszy tematu małżeństwa, dopóki ona nie oswoi się z tym pomysłem. Oczywiste, że jak na jej gust oświadczył się o wiele za wcześnie. Dlatego też musiał teraz stopniowo przyzwyczajać ją do swojej obecności w jej życiu. I, jak zdecydował, w tym czasie wskazane będzie powstrzymanie się od seksu. Powoli żałował tej decyzji.

– Dolać panu herbaty? – Nachyliła się, by ponownie napełnić własną filiżankę, przez co Winter zyskał wspaniały widok na jej biust. – Panie Makepeace?

Podniósł wzrok. Patrzyła na niego, mrugając niewinnie.

– Tak. Tak, oczywiście.

To czekanie go zabije.

Uśmiechnęła się, nalewając mu herbaty do filiżanki.

– Mam nadzieję, że pański pokój okazał się wygodny?

– Jak najbardziej. – Zbyt szybko napił się herbaty, parząc sobie język.

– Widok panu odpowiada?

– Owszem. – Jego okna wychodziły na ceglaną ścianę.

– No a łóżko? – Zatrzepotała rzęsami znad krawędzi filiżanki. – Jest miękkie i… ustępliwe?

Niewiele brakowało, a zakrztusiłby się kawałkiem babeczki, który miał akurat w ustach.

– Czy może woli pan twardsze łóżka? – dociekała słodko. – Takie, które nie ulegają zbyt prędko?

– Uważam – popatrzył na nią zmrużonymi oczami – że przydzieliła mi pani łóżko z wprost idealnym materacem. Proszę mi jednak powiedzieć, milady, jakie materace pani preferuje? Całe z mięciutkiego puchu czy może odrobinę… twardsze?

Nastąpiło to bardzo szybko, lecz i tak zauważył: jej spojrzenie strzeliło w dół, tam gdzie zbiegały się jego uda, po czym natychmiast wróciło w górę. Jeśli nawet wcześniej tam, w dole, nie było zbyt wiele do oglądania, obecnie sytuacja niewątpliwie uległa zmianie.

– Och, lubię sztywne materace – zamruczała. – Dobrze rozgrzane i gotowe na długą jazdę.

Nozdrza rozszerzyły mu się mimowolnie, przysiągłby bowiem, że czuje jej zapach – miękkiej i gotowej na jego przyjęcie. Gdyby byli sami, gdyby w pobliżu znajdowało się jakieś łóżko lub choćby…

– Dlaczego jeździ pani na materacu, milady? – zapytał niewyraźnie Christopher z buzią pełną ciasta. – Ja to w łóżku lubię spać.

– Aaa… – Isabel zmrużyła oczy, szukając odpowiedzi na to niewinne pytanie.

– Lady Beckinhall także sypia w swoim łóżku, Christopherze – powiedział Winter absolutnie neutralnym tonem. – Pamiętaj jednak, że nie mówimy z pełną buzią, i napij się jeszcze herbaty.

Uszczęśliwiony chłopiec wyciągnął przed siebie filiżankę.

Winter napełnił ją ponownie, pilnując się, by nie spojrzeć na Isabel. Gdyby tak umiał poskromić swoje apetyty równie łatwo jak ciekawość Christophera…

Rozdział 16

Wreszcie Prawdziwa Miłość Arlekina usłyszała krzyk i odgłosy walki. Zamiast uciec, podkradła się bliżej i wyjrzała zza węgła. Tam, na niewielkim placu, zobaczyła Arlekina w starciu z pięcioma mężczyznami naraz. Jego przeciwnicy krzyczeli i stękali z wysiłku, lecz sam Arlekin nie wydawał z siebie najmniejszego dźwięku, kiedy metodycznie ścinał wrogów, jednego po drugim…
– z Legendy o Arlekinie – Duchu St. Giles

Isabel leżała tej nocy w łóżku z jedwabną narzutą podciągniętą pod samą brodę i zastanawiała się, co też wyczynia. Odrzuciła Wintera – kategorycznie oznajmiła mu, że nie może za niego wyjść. Inny mężczyzna prawdopodobnie powitałby takie wieści z ulgą: oto mógł kontynuować potajemny romans bez matrymonialnych zobowiązań. W każdym razie Winter miał do wyboru trwać w tej relacji bez zmian albo ją zerwać.

Tymczasem on jakimś cudem wprowadził się do jej domu.

Nie łudziła się. Ten mężczyzna był uparty i dumny. Nie zrezygnował z niedorzecznego pomysłu małżeństwa z nią. Być może rzeczywiście ją kochał.

Zamknęła oczy w ciemności, gdy na tę myśl serce ścisnęło jej się boleśnie ze strachu. Aż do tej pory nie dopuszczała do siebie tej możliwości. Po prostu zbyt okropnej, by ją rozważać. Isabel różniła się od niego, nie była osobą zdolną do głębokiego oddania. Praktycznie przez całe życie unikała silnych emocji, dowolnego rodzaju. W głębi serca wiedziała: zwyczajnie nie zasługiwała na jego miłość. Pewnego dnia by to odkrył, a wówczas…

Nie rozległ się żaden dźwięk, ale poczuła ruch powietrza w pokoju, ciepło czyjejś obecności.

Otworzyła oczy. Był tam, u stóp jej łóżka, z samotną świecą w dłoni, ubrany jedynie w koszulę, kamizelkę i spodnie.

– Wybacz mi – szepnął, odstawiając świecę. – Nie potrafiłem utrzymać się z dala od ciebie.

Uniosła się na łokciach, puls jej przyspieszył, gdy obserwowała, jak mężczyzna rozpina kamizelkę.

– Osobliwa sprawa, prawdę mówiąc – rzekł, jakby dumał na głos. – Zasadniczo cechuje mnie raczej silna samokontrola. Udało mi się zachować Ducha w sekrecie przez dziewięć lat, zarówno przed przyjaciółmi, jak i rodziną. Nieczęsto tracę panowanie nad sobą. Odnosiłem rany, a nigdy przed nikim się nie zdradziłem, nawet jeśli oznaczało to konieczność samodzielnego ich oczyszczania i zszywania.

Strząsnął z ramion kamizelkę.

– Możemy chyba obiektywnie się zgodzić, że kontroluję się lepiej niż przeciętny mężczyzna. Ostatecznie przed spotkaniem ciebie żyłem w celibacie i ten stan rzeczy prawie że mi odpowiadał.

Złożył ubranie i umieścił je na krześle.

– Potem jednak spotkałem ciebie i wszystko diabli wzięli, z całym moim kodeksem postępowania włącznie, przy czym uważam, że jest to wyłącznie twoja wina.

Ten oburzający zarzut skłonił Isabel do zabrania głosu po raz pierwszy, odkąd Winter wszedł do jej sypialni.

– Moja wina?

Pokiwał głową z ponurym spokojem sędziego.

– Jak najbardziej. Przyjrzyjmy się faktom. Dołączyłaś do Syndykatu Pań i natychmiast rozpoczęłaś wobec mnie kampanię docinków.

Usiadła na łóżku, zafascynowana nie tylko tokiem jego rozumowania, lecz także faktem, że właśnie zdejmował koszulę. Nie było wątpliwości, że mogłaby ogłosić tors Wintera swoją najulubieńszą rzeczą na świecie.

Nie żeby planowała mu o tym mówić.

– Docinków?

– Docinków. – Złożył koszulę, a mięśnie ramion pracowały mu przy tym w sposób, który szalenie rozpraszał uwagę Isabel. – Te żarciki, szelmowskie spojrzenia, żebym na pewno odnotował, jaka jesteś bystra, wbijając mi szpilę, te nisko wycięte, prowokujące staniki…

Isabel mimowolnie zerknęła na swój biust.

– Nie noszę prowokujących staników!

No dobrze, nie przez cały czas.

Popatrzył na nią surowo.

– Prowokujące. – Rozpiął guziki u rozporka, przez co prawie zapomniała, o czym rozmawiają. – A nie dotarłem nawet do ostatnich dwuznaczników, ćwiczeń z flirtu i lekcji tańca, kiedy to korzystałaś z każdej sposobności, żeby dotykać mojego tyłka.

– Nigdy, przenigdy – *prawie nigdy* – nie dotknęłam twojego tyłka. Nie celowo.

Otworzyła szeroko oczy i zwróciła nań spojrzenie tak zszokowane i niewinne, że zmiękczyłoby serce hiszpańskiego inkwizytora.

Spiorunował ją wzrokiem spod nasrożonych brwi i jednym ruchem pozbył się spodni oraz bielizny, ujawniając erekcję, która sterczała nieomal pionowo, sięgając mu do pępka.

– Jesteś – powiedział cicho i groźnie, podchodząc do łóżka – lubieżną uwodzicielką niewinnych młodych mężczyzn, zbyt nieobytych w świecie, by umknąć przed twoimi sztuczkami, nawet przy założeniu, że by tego chcieli.

I oto był na łóżku, unosząc się nad nią tak nagle i złowieszczo, uderzając w nią swoim żarem, że aż pisnęła.

Podparł się na ramieniu, po czym przeciągnął wolną ręką po jej szyi, między piersiami, przez brzuch, aż do wzgórka, na którym rozczapierzył palce w zaborczym geście. Przez chwilę po prostu wpatrywał się w tę dłoń, nakrywającą jej kobiecość.

Następnie podniósł wzrok i przekonała się, że z jego oczu zniknęła cała figlarność. Pociemniały tak, że stały się prawie czarne.

– Jak mógłbym się oprzeć twoim uwodzicielskim gierkom? Jak mógłbym obronić się przed twoim czarem? Czy to dziwne, że jestem tu dziś w nocy?

Przełknęła ślinę, nie oglądała go bowiem do tej pory w takim nastroju. Uzmysłowiła sobie, że jego wcześniejsze przekomarzanki maskowały urazę, którą czuł do niej i jej „uwodzicielskich gierek”.

– Czego chcesz?

– Och, dobrze wiesz, czego chcę. – Spod na wpół przymkniętych powiek lustrował jej usta.

Nie zaczekał na jej odpowiedź bądź przyzwolenie. Po prostu wziął jej wargi, otwierając własne szeroko nad nimi, jakby zamierzał ją połknąć.

Jakby w ten sposób mógł uczynić ją swoją.

Lizał i skubał zębami jej usta, nie dopuszczając, by wciągnęła go głębiej. Kontrolował

ich zbliżenie, sterował nim. Pod dłońmi czuła jego nagą klatkę piersiową, silne, pobudzone bicie serca. Otaczał ją swym żarem, pełen napięcia, lecz mimo to nie umiała go nakłonić, by się na niej położył. Nie potrafiła uwieść jego języka, by zagłębił się w jej usta.

Zakwiliła udręczona i wydało jej się, że słyszy jego cichy śmiech.

Wtedy szarpnęła głową do tyłu i wbiła palce w mięśnie jego klatki piersiowej.

– Nie – rzekł stanowczo, jak do dziecka. – Dzisiaj to ja dowodzę, milady. Ja stoję u steru.

Uniósł się nad nią, atletyczny i szybki, mocno chwycił ją za biodra i odwrócił na brzuch.

Sapnęła i usiłowała wsunąć pod siebie ręce, ale zaraz położył się na niej, dociskając ją do materaca.

– Winterze, daj mi wstać.

– Nie – mruknął jej do ucha.

Gorącym oddechem poruszał kosmyki z boku jej głowy, gdy delikatnie odgarniał je na bok. Głaskał ją po włosach, jakby absolutnie nigdzie mu się nie spieszyło.

Jakby jego gruby członek nie napierał mocno na jej pośladki.

Do łóżka zakładała jedynie cieniuteńką jedwabną koszulę, której delikatny materiał w najmniejszym stopniu nie ograniczał doznania dotyku jego ciała. Wręcz przeciwnie, zdawał się je potęgować, gdy Winter ocierał się o nią rozkosznie.

– Ubóstwiam twoje włosy. Wiesz o tym? – szepnął. – Śniłem o nich w moim samotnym mnisim łożu, o długich mahoniowych lokach, oplatających mnie we śnie. Budziłem się podniecony, obolały, przeklinając cię.

Jakby dla podkreślenia tych słów naparł biodrami na jej pupę.

Jej kobiecość topiła się w żarze, lecz mimo to Isabel oblizała wargi i rzuciła mu wyzwanie:

– Nie wierzę ci. Nigdy nie słyszałam, żebyś przeklinał, nawet cierpiąc wielki ból.

– Uważam za grzech wzywanie imienia Pana nadaremno – odparł, zgarniając na bok jej włosy, by odsłonić szyję. – A jednak ty doprowadzasz mnie do grzechu.

Jego usta znalazły się na jej skórze, w owym wrażliwym miejscu u styku szyi i ramienia. Polizał ją tam, później znienacka ugryzł, ostrymi, twardymi zębami, a ona się zatchnęła.

– Zadaję ci ból? – spytał w jej skórę.

– Nie – odparła drżącym głosem. Zawsze był wobec niej delikatny, zawsze świadom swych rozmiarów i siły.

– Ty mi zadajesz – stwierdził konwersacyjnym tonem. – Codziennie. W każdej godzinie. Sekunda po sekundzie.

– Przepraszam.

Spróbowała się odwrócić, by ująć jego twarz w dłonie i powiedzieć mu, że nie chciała go ranić, naprawdę. Robiła jedynie to, co uważała za najlepsze dla nich obojga.

On jednak w międzyczasie stracił swą nieskończoną cierpliwość.

– Nie. – Ugryzł ją znowu jak ogier poskramiający klacz. – Robimy to po mojemu.

Powiódł dłońmi w dół jej boków, sunąc po jedwabiu, aż odnalazł skraj koszuli nocnej. Zaczął podciągać materiał w górę, powoli, centymetr po centymetrze, a nocne powietrze dokuczliwie muskało jej obnażaną stopniowo skórę.

Na moment uniósł się i położył dłoń, twardą i gorącą, na jej pupie. Kciukiem odnalazł bruzdę między pośladkami i przeciągnął wzdłuż niej, leciutko, niemalże ją łaskocząc, aż

wszystkie jej zmysły znalazły się w stanie podwyższonej gotowości. Zatrzymał się tam, gdzie jej pośladki przechodziły w uda, po czym szybko wepchnął palce między jej nogi.

– Jesteś mokra – skonstatował, a choć powiedział to lekko, niemalże tonem towarzyskiej rozmowy, nie zdołałby zamaskować głębokiej nuty w głosie.

Jej podniecenie go poruszyło. Zwierzę przejęło władzę nad ludzkim ciałem. Tyle że zwierzęta nie znają miłości. Nie znają żalu ani smutku.

Nie chciała teraz o tym myśleć. Palcami bawił się z nią od tyłu, aż błagalnie uniosła biodra. Czuła się rozpustna, gdy wolno wsuwał palec w jej pochwę. Od tyłu wchodził ciasno i wyobraziła sobie, jak ciasno odczułaby pod tym kątem jego członek.

Przygryzła wargę, zamykając oczy, gdy jego palce poruszały się w tę i z powrotem w jej przejściu, śliskim jak jedwab koszuli nocnej. Na chwilę zabrał dłoń.

– Lubię ten zapach – szepnął przy jej uchu. Umieścił rękę na poduszce niedaleko jej twarzy i także to poczuła: własną wilgoć. Własne podniecenie. – Twój zapach. Egzotyczny, tajemniczy, czysto pierwotny. Mój członek go pragnie. Tracę rozum, gdy go czuję.

Jęknęła. Pod wpływem jego słów robiła się coraz bardziej mokra. Dlaczego po prostu nie odwróci jej i nie weźmie? Ona także go pragnęła.

Ale jego dłoń znów powędrowała w dół, nieomal leniwie, lokując się obok jej biodra.

– Podnieś się dla mnie.

Podporządkowała się i wsunął pod nią rękę, znajdując ją od dołu. Rozczapierzył palce, przepychając się przez jej fałdy.

– Mokra, taka mokra – mruknął.

Kolanami rozsunął jej uda, aż poczuła jego członek, natarczywy i twardy, u swego wejścia. Nie była pewna, czy w tej pozycji w ogóle mu się uda. Leżała praktycznie płasko na brzuchu. A jednak pchnął i poczuła, jak się w nią wdziera, jak duża żołądź nieubłaganie rozdziela jej fałdy, wybornie rozciąga mięśnie.

Zatrzymał się jakby w namyśle, po czym pchnął znowu, napierając do środka, robiąc dla siebie miejsce w jej cieple.

Kurczowo chwyciła poduszkę przy twarzy, pragnęła unieść się na kolanach i pchnąć w tył. Przyspieszyć nieunikniony finał.

Był jednak zbyt silny, zbyt uparty. Nie zostawiał jej najmniejszej swobody ruchu. Znów się naprężył i kolejne grube centymetry wślizgnęły się w jej wnętrze.

Chyba usłyszała jego jęk, zatonął wszakże w jej własnym krzyku. Otworzył usta na jej karku i mocno pchnął.

Prawie doszła.

Ostrożnie, delikatnie odnalazł jej łechtaczkę i po prostu przytknął do niej palec wskazujący. Nie musiał robić nic więcej – połączony ciężar ich ciał dociskał ją do niego. Próbowała zakręcić biodrami, otrzeć się o ten palec, ale była unieruchomiona od tyłu przez jego członek, zależna od jego woli.

– Teraz – szepnął i minimalnie się z niej wycofał.

Odrobinę, z pewnością nie więcej niż centymetr. Tak mało, że nie powinno to mieć żadnego znaczenia.

Kiedy jednak pchnął znowu, wdzierając się w nią szybko, mocno, nieomal brutalnie, otarła się biodrami o jego rękę, uwięzioną między jej ciałem a materacem. Łapczywie chwytała powietrze, kiedy doznanie pobudziło wszystkie zakończenia nerwowe do bliskiej bólu rozkoszy.

– Kocham cię – szepnął i pchnął znowu. I jeszcze raz. Kontrolował każdy swój ruch.

Każdy był niszczycielski w skutkach. – Kocham cię.

Straciła poczucie czasu. Poczucie miejsca, świadomość otoczenia. Nie pamiętała, kim jest on – ani ona sama. Straciła rozum.

Ponieważ ta rozkosz na granicy bólu była tak wyśmienita, tak nieskończenie boska, że nie liczyło się nic poza tym, by trwała. Uwiódł ją, oczarował, odurzył sposób, w jaki się z nią kochał. W tej chwili istniała dla niej tylko ta jedna rzecz na świecie.

A on nie przestawał. Dyszał teraz, oddech z chrzęstem wpadał mu do płuc i je opuszczał, gdy poruszał się w niej coraz bardziej spazmatycznie.

– Dalej, niech cię licho – warknął jej do ucha. – Zalej mi członek swoją wilgocią.

To siermiężne żądanie przebrało miarę. Spazmowała, schwytana w pułapkę między jego palcami i członkiem, całkowicie zdana na jego łaskę, kiedy bez końca kontynuował pchnięcia, wykraczając poza nadzieję, marzenia, ludzkie pojęcie.

Stała się istotą złożoną wyłącznie z odczuwania, migotliwa rozkosz iskrzyła w jej żyłach, pobudzała jej serce do bicia, mrowiła ją w podeszwy stóp. Stała się wszystkim i niczym, całkowicie za jego sprawą. To on wydłużał jej orgazm, aż trwał i trwał, i zdawało się, że nigdy nie będzie miał końca.

Winter był jednak tylko śmiertelnikiem. Poczuła, kiedy nim także zawładnęło to cudowne doznanie. Szarpnął się na niej, mocno docisnął do niej palec, wdarł się w nią cały i pozostał tam, z drżeniem wlewając w nią nasienie.

Zdławił okrzyk na jej plecach.

Unosiła się, płynna i miękka, niemalże pozbawiona czucia pod wpływem rozkoszy. Osunął się ciężko na jej plecy, gorącym oddechem omywał jej ucho, ale jej to nie przeszkadzało. Było jej prawie wygodnie i znienacka naszła ją szalona myśl, by poprosić go, żeby spędził z nią noc. Co za różnica, jeśli rano zastaną go tutaj pokojówki? Ostatecznie znajdowała się we własnym domu, no i była wdową. Z pewnością…

Podniósł się z niej jednym sprężystym ruchem i natychmiast poczuła chłód, pozbawiona osłony jego żaru. Bez słowa wciągnął spodnie, zgarnął resztę ubrań i wziął świecę.

A potem wyszedł.

* * *

Winter sunął przez noc jak Duch, którym był. Dawno już minęła północ, ulice St. Giles tonęły w ponurym mroku, ale po opuszczeniu Isabel nie mógł zasnąć. Pomyślał, że podejmie jeszcze jedną próbę odnalezienia dzieci, wiodących ponoć żywot gdzieś na poddaszu. Podążał tropem takich pogłosek już wcześniej – raz za razem – i nieodmiennie spotykało go rozczarowanie, ale to nie miało znaczenia. Dziś w nocy potrzebował fizycznej aktywności. Dziś w nocy potrzebował zapomnienia.

Tego wieczoru jego bestia wyrwała się na wolność. Złamał swój ślub, że będzie trzymać się z dala od Isabel, gdyż zwyczajnie nie zdołał dłużej przy nim wytrwać. Kiedy zaś do niej przyszedł, kochał się z nią niczym oszalałe z żądzy zwierzę. Mimo to była mokra, pięknie, cudownie mokra, może więc prymitywny sposób, w jaki ją posiadł, nie zbulwersował jej aż tak bardzo. Nie przestraszyła się i to było dobre, ponieważ mrok w nim z pewnością przerażał jego samego. Jakby otworzyła klatkę, której nie dało się ponownie zamknąć. Bestia znalazła się na wolności, swobodna i nieujarzmiona, i ubóstwiała Isabel. Jej cięty dowcip, ten wrażliwy punkt w jej wnętrzu, a nawet ból spowodowany niepłodnością. Zwłaszcza zaś ów wyraz, jaki pojawiał się w jej jakże

niebieskich oczach, kiedy Winter muskał jej najczulszy punkt. Och, w tym bestia lubowała się szczególnie.

Warknął cicho, przeskakując między budynkami. Odległość była zbyt duża, skok zbyt niebezpieczny, lecz mimo to Winter z łatwością wylądował po drugiej stronie.

Być może niespełniona miłość uczyniła zeń półboga.

Bluźniercza myśl. Stał na szczycie budynku, blask księżyca padał na jego plecy, przed sobą miał skośne drzwi w dachu. Potrząsnął głową, usiłując oczyścić ją z emocji, zanim dobył szpady i sztyletu i kopnął drzwi.

Poleciały do wewnątrz na wyłamanych zawiasach, uderzając o niewidoczną ścianę. W pomieszczeniu za nimi nie było światła. Kilka ciemnych kształtów zaczęło gramolić się na nogi z niezręcznością wynikającą z rozespania i konfuzji. Tymczasem oczy Wintera przywykły już do ciemności. Miał przewagę w postaci czynnika zaskoczenia i lepszej pozycji.

„Jeśli tylko możesz, atakuj z góry".

Widmowy głos mentora zaszeptał mu w uchu, gdy Winter zeskakiwał do pomieszczenia w dole. Wylądował na największym osobniku – cuchnącym potem, barczystym mężczyźnie. Mężczyzna dźwignął się zaledwie na kolana, kiedy Winter wagą swego ciała powalił go twarzą do podłogi. Ponieważ tamten się nie ruszał, Winter zwrócił się ku kolejnemu przeciwnikowi, wymierzając mu cios w bok głowy.

BUM! Wypalono z pistoletu, rozbłysk w mroku oślepił wszystkich.

Winter zamknął oczy i walczył dalej. Lata temu sir Stanley właśnie w takim celu kazał mu ćwiczyć fechtunek z workiem na głowie. Poczuł, że wpada na niego jakieś ciało, i grzmotnął przeciwnika łokciem wysoko w brzuch. Rozległ się głuchy łomot, kiedy mężczyzna upadł, a potem Winter usłyszał tupot uciekających stóp.

Otworzył oczy.

Dopiero co powalony przezeń napastnik gramolił się na nogi. Pod ścianami niskiego pomieszczenia na poddaszu stało sześć dziwnych maszyn, kształtem przypominających zbyt duże krzesła. Poza tym w izbie było pusto, nie licząc ciała pierwszego przeciwnika, nadal nieprzytomnego po tym, jak Winter na nim wylądował.

Makepeace poczuł gorzkie rozczarowanie, przez co brutalniej niż zwykle podciągnął mężczyznę do pionu.

– Gdzie one są? – spytał, bo nie pozostało mu nic innego. – Gdzie są dzieci?

Ku zdumieniu Wintera jego ofiara machnęła ręką w kierunku dalekiego końca pomieszczenia.

– Tam.

Winter podejrzliwie zmrużył oczy. Mężczyzna usiłował się go pozbyć albo chodziło o pułapkę, niemniej tak czy owak należało zbadać sprawę.

Chwycił typa za kołnierz kaftana i pociągnął w głąb pomieszczenia. Zbliżywszy się, ujrzał w ścianie niewielkie drzwi. W piersi zakwitła mu nadzieja i natychmiast wściekle ją zdusił. Już wcześniej znajdował rozmaite kryjówki. Nieodmiennie okazywały się puste lub zajmowane przez dorosłych.

Drzwi zabezpieczała solidna drewniana sztaba i Winter uniósł ją, zanim ostrożnie je otworzył. W środku było nawet ciemniej niż w pierwszym pomieszczeniu, piekielna, mroczna jama bez światła i nadziei. Powietrze cuchnęło rozpaczą. W pierwszej chwili sądził, że upiorna izdebka jest pusta. Później poruszył się w niej jakiś drobny kształt. I następny. I jeszcze jeden.

Z jamy wynurzyła się dziewczęca twarz, chuda i zagłodzona.

– Proszę – tylko tyle zdołała powiedzieć dziewczynka.

Znalazł je. W końcu je znalazł.

* * *

– Milady, ma pani gościa.

Nazajutrz rano Megs podniosła nieprzytomnie wzrok znad otwartej na kolanach książki. Nie pamiętała, jak długo siedzi w bibliotece z lekturą dla niepoznaki, ale obok niej stała pusta filiżanka po herbacie, ewidentnie więc upłynęło trochę czasu.

– Nie przyjmuję gości – powiedziała płaskim głosem.

– Och, mnie to z pewnością nie dotyczy. – Lady Beckinhall weszła niespiesznie do biblioteki w ślad za kamerdynerem, po czym skinieniem głowy odprawiła mężczyznę.

Opuścił pokój z wyrazem ulgi na twarzy.

– Przyszłam wyciągnąć cię z domu – oznajmiła lady Beckinhall, mierząc wzrokiem ogromną Biblię na stojaku.

– Boli mnie głowa.

– Wobec tego tym bardziej – stwierdziła energicznie baronowa. – Świeże powietrze dobrze ci zrobi.

– Medycy na ból głowy zalecają zwykle odpoczynek w łóżku – zauważyła Megs.

– Zalecają odpoczynek w łóżku na wszystko – odparła mrocznym tonem lady Beckinhall. Odwróciła się od Biblii, a wyraz jej twarzy złagodniał. – Pięknie proszę? Minął już prawie tydzień, odkąd pan Makepeace opuścił przytułek. Wedle moich szacunków do tej pory lady Penelope doprowadziła dom do ruiny. Pomyślałam, że wypadałoby przynajmniej pojechać i to sprawdzić.

– Pan Makepeace odszedł? – W Megs na moment obudziło się zainteresowanie.

– Tak. Dwa dni po… – Lady Beckinhall skrzywiła się i umilkła, spoglądając na nią bezradnie.

Dwa dni po śmierci Rogera.

Megs na powrót spojrzała na książkę na podołku, słowa rozmazywały jej się przed oczami.

– Nie mogę. Przepraszam.

Poczuła, że lady Beckinhall podchodzi bliżej.

– Dlaczego? Dlaczego nie możesz wyjść z domu?

– Po prostu nie mogę.

– O co chodzi? – Lady Beckinhall położyła chłodną dłoń na jej czole. – Naprawdę jesteś chora? Widział cię lekarz?

– Nie! – Megs odsunęła głowę. – To nie to.

– Co w takim razie?

Słowa opuściły jej usta, nim zdążyła je schwytać.

– Spodziewam się dziecka.

Uniosła powieki i popatrzyła w górę, a wtedy ujrzała na twarzy lady Beckinhall wyraz, jakiego nigdy jeszcze u nikogo nie oglądała. Baronowa zrobiła się dosłownie szara, szeroko otwierając oczy z przerażenia.

Och, cudownie. Zaszokowała niewzruszoną lady Beckinhall.

– Przepraszam – wymamrotała idiotycznie Megs. – Nie wiem, co sobie myślałam. Zapomnij, że w ogóle…

– Myślałaś, że potrzebujesz pomocy. – Tamten wyraz zniknął z twarzy lady Beckinhall

równie prędko, jak się pojawił, a na jej policzki niespiesznie powracały kolory. – I tak się szczęśliwie składa, że powiedziałaś o tym właściwej osobie.

Rozdział 17

Kiedy Arlekin zabił ostatniego przeciwnika, Prawdziwa Miłość pobiegła ku niemu, on jednak odwrócił się i umknął chyżo jak jeleń. Przez wiele godzin Prawdziwa Miłość ścigała Arlekina, ani na moment nie tracąc go z oczu, aż w końcu znalazł się w ślepej uliczce. W mgnieniu oka Prawdziwa Miłość skoczyła naprzód i zarzuciła mu na tułów sznur upleciony z własnych włosów, ściągając go tak, że Arlekin nie mógł oderwać ramion od boków. W ten sposób spętała go swoją miłością…
– z Legendy o Arlekinie – Duchu St. Giles

Isabel weszła do swej małej jadalni i przystanęła. Ostatecznie nie odbyły z lady Margaret wycieczki do sierocińca. Zamiast tego baronowa wróciła do domu, napisała i nadała list w imieniu lady Margaret, a teraz zamierzała zjeść lunch. Tyle że Winter siedział przy stole z palisandru z samotną filiżanką herbaty. Dziwne. Zwykle spożywał śniadanie o skandalicznie wczesnej porze, a następnie oddalał się do pokoju dziecięcego albo gabinetu, z którego pozwoliła mu korzystać. Tymczasem dziś nadal znajdował się tutaj, mimo że dawno temu powinien był rozpocząć lekcje z Christopherem.

– O co chodzi? – spytała bez zbędnych wstępów.

– Znalazłem je – odparł, nie odrywając wzroku od filiżanki.

Zerknęła na lokaja, który stał w rogu, udając, że nie słucha.

– Proszę, powiedz kucharce, że lunch będzie dla dwóch osób. – Poczekała, aż służący wyjdzie, po czym zapytała: – Znalazłeś kogo?

– Dzieci – odparł martwym głosem Winter.

Zmarszczyła brwi.

– Ale to przecież dobra wiadomość?

Wreszcie podniósł na nią wzrok i zobaczyła jego zapadnięte oczy z czerwonymi obwódkami. Skorygowała wcześniejszą myśl: to nie dlatego, że wstał tego ranka późno. W ogóle nie kładł się spać.

Odsunęła krzesło i usiadła.

– Opowiedz.

Rozłożył przed sobą ręce i wpatrywał się we wnętrza dłoni, jakby usiłował pojąć swoją przeszłość lub przyszłość.

– Były na poddaszu w budynku, w którym wydzielono całe mrowie pomieszczeń. Piętnaście dziewczynek wtłoczonych do izdebki bez okien, bez wentylacji, z sufitem, który w najwyższym miejscu sięgał mi do ramienia. Ani jedna nie uśmiechnęła się ze szczęścia czy choćby ulgi, kiedy otworzyłem zabezpieczone sztabą drzwi i je uratowałem. Wydaje mi się, że porzuciły wszelką nadzieję.

Opuściła powieki, opłakując wykorzystywane w ukryciu dzieci. Opłakując ból Wintera.

– Ale jednak udało ci się je znaleźć. Znowu nauczą się uśmiechać.

– Czyżby? – spytał, a kiedy otworzyła oczy, przekonała się, że mężczyzna kręci głową. – Nie wiem.

– Gdzie teraz są?

– Zaprowadziłem je do przytułku. Zapukałem do drzwi i stałem w cieniu, aż je otwarto

i wpuszczono dziewczynki do środka, całe i zdrowe. Kiedy czekały, nie poruszyły się, nie próbowały uciekać.

Wrócił lokaj w asyście dwóch kolegów, niosących półmiski z wędlinami, serami, chlebem i owocami.

– Po prostu to tu postawcie – poleciła Isabel, wskazując machnięciem stół. – Sami się obsłużymy.

Poczekała, aż grupka służących opuści jadalnię, po czym nałożyła Winterowi na talerz po trosze wszystkiego, co znajdowało się na stole.

– Masz, zjedz.

Wpatrywał się w jedzenie, jakby to była nieznana mu nowinka.

– Kiedy tam dotarłem, w pierwszym pomieszczeniu byli dorośli, ale większość uciekła. Owszem, zatrzymałem jednego mężczyznę, tyle że wydaje się ograniczony na umyśle. Nie potrafił mi powiedzieć, kto stoi za manufakturą. Kim jest arystokrata, który zarabia na pracy dzieci. Być może nigdy nie widział d'Arque'a.

Nalewała mu akurat świeżej herbaty, ale przerwała tę czynność.

– Lorda d'Arque'a?

– Tak. – Ze zniecierpliwieniem przeciągnął ręką po włosach. – Mówiłem ci: znalazłem tamten świstek papieru z jego pieczęcią w ręku dziecka, które uratowałem przed tymi ludźmi.

Uniosła brew i delikatnie sprostowała:

– Powiedziałeś mi, że znalazłeś świstek w ręku chłopczyka z St. Giles. Nie mówiłeś, że ten chłopczyk jest w jakikolwiek sposób powiązany z poszukiwanymi przez ciebie ludźmi z manufaktury.

– Nie? – Zmarszczył brwi, potwornie znużony. – No cóż, był powiązany. Ludzie w St. Giles nazywają ich łowcami dziewek, gdyż najwyraźniej chętnie wybierają do tej pracy dziewczęta. Dziewczynki mają zwinniejsze palce i lepiej sobie radzą przy subtelnych zadaniach.

– Nadal nie wiem jednak, jak miałby w to być zamieszany wicehrabia d'Arque – skomentowała ze ściągniętymi brwiami.

Winter spojrzał na nią cynicznie.

– W stangrecie d'Arque'a rozpoznałem jednego z łowców dziewek.

Ta informacja na moment zbiła ją z tropu.

– Rozmawiałeś z tym stangretem?

– Tak. – Winter się skrzywił. – Powiedział, że to nie d'Arque.

– Wobec tego…

– A później uciekł, zanim zdążyłem wydobyć z niego cokolwiek więcej. Moim zdaniem po prostu krył swego pana.

– Lub mówił prawdę – stwierdziła Isabel. – Wiem, że nie lubisz wicehrabiego, i przyznaję, że bywa irytujący, ale to nie czyni z niego przestępcy. Nie czyni z niego człowieka, który dla pieniędzy pozwoliłby skrzywdzić małą dziewczynkę.

Pokręcił głową.

– Myślę, że jesteś nieobiektywna.

Przypomniała sobie wyraz jego twarzy, kiedy lord d'Arque flirtował z nią na balu u księżnej Arlington.

– Moim zdaniem ty również możesz być w tej kwestii nieobiektywny.

Kapryśnie wzruszył ramionami, nic nie mówiąc.

Skorzystała ze sposobności i nałożyła sobie trochę sera i owoców.

– Dlaczego nie pokażesz wicehrabiemu tego świstka papieru? Nie zapytasz, do kogo napisał list?

Spojrzał na nią ironicznie, ale nadal milczał.

Nalała sobie herbaty, dodała porcję mleka i łyżeczkę cukru, po czym się napiła.

– A co właściwie wytwarzała ta manufaktura? Nie mówiłeś.

– Pończochy – odparł z goryczą. – Wyobrażasz sobie? Zaharowywali te dzieci na śmierć dla koronkowych pończoch na francuską modłę, takich z wydumanymi szydełkowymi aplikacjami na kostkach, kupowanych przez bezmózgie damy.

Pierś Isabel ścisnęło nagłe przerażenie. Odstawiła filiżankę.

– Widziałeś te pończochy?

– Dopiero zeszłej nocy – odparł. – Zostawili pudełko gotowych szydełkowych aplikacji do naszycia na koronkę.

Byli w jadalni sami. Isabel wstała i okrążyła stół, podchodząc do Wintera. Patrzył na nią z lekkim zdziwieniem, dopóki nie wsparła stopy o krzesło obok niego, podciągając spódnice.

– Czy te aplikacje wyglądały tak? – spytała cicho.

Zamarł, wbijając wzrok w filigranowy, różowo-złoto-niebieski szlaczek na jej kostce. Szydełkowa aplikacja, naszyta na pończochę z białej koronki, sięgała od podeszwy aż po kolano. Delikatna, niewiarygodnie droga koronka, sprzedawana za ułamek ceny, którą kosztowałaby normalnie. Isabel była głupia.

Popatrzył jej w oczy.

– Gdzie je kupiłaś?

Dała opaść spódnicom i zestawiła stopę na podłogę.

– Zdobyła je moja pokojówka, Pinkney. Nie wiem gdzie, ale była zachwycona ceną.

Zacisnął ponuro usta.

– Mogłabyś ją tu wezwać?

– Oczywiście – odparła, siląc się na spokojny ton głosu, po czym podeszła do drzwi i wydała polecenie stojącemu na zewnątrz lokajowi.

Widziała, że Winter jest potwornie zagniewany. „Bezmózgie damy”. Uważał ją za jedną z nich? Dam, których nie obchodziło, kto wykonał ich pończochy, byleby odpowiadały najnowszej modzie? No cóż, zaliczała się w ich poczet, nieprawdaż?

Opadła na krzesło w oczekiwaniu na Pinkney.

Winter nie powiedział nic więcej, wpatrywał się tylko w stół między swymi dłońmi. Na jego czole rysowała się głęboka pionowa zmarszczka.

Drzwi śniadalni otworzyły się i weszła Pinkney.

– Życzyła pani sobie mnie widzieć, milady?

– Tak. – Isabel splotła ręce na podołku. – Chcę cię zapytać o te koronkowe pończochy, które dla mnie kupowałaś

– Pończochy, milady? – Pinkney zmarszczyła śliczne czółko.

– Gdzie je dostałaś? – odezwał się mrocznym głosem Winter.

Pinkney szeroko otworzyła niebieskie oczy, w których konfuzja mieszała się ze strachem. W tej chwili Winter wyglądał dosyć onieśmielająco.

– Ja… ja… to znaczy, na Baker Street jest taki sklepik, milady. Właściciel ma koronkowe pończochy na zapleczu. Trzeba wiedzieć, żeby o nie spytać.

– A ty skąd wiedziałaś? – dociekała Isabel.

Pokojówka bezradnie wzruszyła ramionami.

– Chodzą słuchy, milady. Gdzie znaleźć najmodniejsze rękawiczki z koźlęcej skórki,

który szewc robi najładniejsze pantofelki na obcasie, no i kto ma koronkowe pończochy według francuskiej mody za pół ceny. Na tym polega moja praca, milady.

Pinkney popatrzyła na nich z dziwną godnością, miała bowiem słuszność – istotnie na tym polegała jej praca i wykonywała ją dobrze.

– Dziękuję, Pinkney, to będzie wszystko – powiedziała cicho Isabel.

– Tak, milady. – Dziewczyna dygnęła i odwróciła się do wyjścia.

– Zaczekaj. – Isabel prędko na powrót uniosła spódnice i zrolowała, a następnie zdjęła pończochy. Wyciągnęła w stronę pokojówki zwiotczałą jedwabną koronkę. – Spal je, proszę, razem z pozostałymi.

Pinkney rozdziawiła buzię, kiedy Isabel podkasała spódnice w obecności Wintera. Teraz zamknęła ją gwałtownie.

– Oczywiście, milady.

Zabrała pończochy i uciekła.

– Dlaczego ją odprawiłaś? – spytał obcesowo Winter. – Może powiedziałaby coś jeszcze, gdybyśmy ją przepytali.

– Wątpię. – Isabel pokręciła głową. – Jest wyśmienitą pokojówką, ale wszystkie drobiazgi związane z jej stanowiskiem… te sprawy, które wymieniła… pochłaniają każdą dostępną cześć jej umysłu. – Wzruszyła przepraszająco ramionami. – Nieszczególnie interesuje ją cokolwiek poza modą.

Winter odsunął krzesło od stołu.

– W takim razie złożę wizytę w tym sklepie przy Baker Street. Może sklepikarz zdradzi mi coś więcej.

– A co z Christopherem? – zapytała Isabel. – Nie zaplanowałeś dla niego na dzisiaj lekcji?

– I owszem. – Winter odwrócił się od drzwi i spojrzał na nią. – Ale najwyraźniej jego matka miała inne plany. Poinformowano mnie, że zabrała go z samego rana, żeby coś załatwić.

– Co…? – zaczęła Isabel, lecz on już wyszedł.

Dziwne. Louise odwiedzała Christophera najwyżej raz w miesiącu i zwykle spędzała z nim tylko popołudnie. Rzadko budziła się przed dwunastą, nie mówiąc o wstaniu z łóżka.

Isabel westchnęła i zjadła lunch. Czy powinna była sprawdzać wszystkie ubrania, jakie przynosiła jej Pinkney? Upewniać się, że pochodzą z legalnych warsztatów i manufaktur? A może należałoby po prostu zrezygnować z wymyślnych koronkowych pończoch, obszytych złotym suknem pantofelków na obcasie, sukien, których wyszywanie zajmowało miesiące?

Mogłaby ubierać się jak kobieca wersja mnicha, wyprzeć ze swego życia wszelkie kolory… i po cichu oszaleć w ciągu tygodnia. Lubiła ekstrawaganckie suknie, ładną bieliznę, pończochy z aplikacjami i wszystkie inne fatałaszki, które z całą pewnością nie znajdowały uznania Wintera. Nie umiałaby przestać ich nosić, tak jak paw nie pozbyłby się swoich piór.

No cóż, jeszcze jeden powód, dla którego nie mogli się pobrać. Nawet jeśli Winter naprawdę ją kochał, nic nie poradzi na to, że jej rozmiłowanie w ubraniach i biżuterii budziło w nim odrazę. To był kolejny gwóźdź do trumny ich romansu. Po prostu do siebie nie pasowali, pod żadnym względem.

Isabel zmarszczyła nos i ząbkami widelca rozgniotła na miazgę resztki sera na swoim talerzu. Powinna się cieszyć, że może podać mu jeszcze jeden powód, dla którego ich małżeństwo nie wchodzi w rachubę, a tymczasem w jej brzuchu kotłował się smutek. Jej

umysł był przekonany, lecz serce się buntowało.

Drzwi się otworzyły i Isabel odwróciła się ku nim, zadowolona, że coś odrywa ją od ponurych rozmyślań.

Do pokoju weszła Louise, policzki miała zaróżowione, roziskrzone oczy, różowa rozeta ze wstążki podkreślała złocisty odcień jej włosów, a przy tym – jeśli Isabel się nie myliła – kobieta nosiła nową suknię.

– Och, Isabel, wydarzyło się coś cudownego! Znalazłam protektora, a on podarował mi dom. Przed końcem tygodnia mogę wziąć Christophera, żeby ze mną zamieszkał.

Isabel otworzyła usta, lecz nie dobyły się z nich żadne słowa. Louise dalej paplała o swoim nowym protektorze i domu, który wkrótce otrzyma, ale do Isabel jej głos docierał jakby zza ściany.

Wzięła na siebie odpowiedzialność za Christophera z niechęcią i wyłącznie dlatego, że naprawdę nie było nikogo innego, kto zatroszczyłby się o chłopca. Stanowił brzemię, stale przypominał o niewierności Edmunda i jej własnej bezpłodności. Powinna być zadowolona, że Louise znalazła wreszcie sposób na to, by samej się nim zająć. Dziecko potrzebuje matki, a Louise, bez względu na jej liczne wady, była matką Christophera.

Jeśli zaś Isabel doznała uczucia lekkiego zawodu w związku z tym, że Christopher ją opuszcza, nic w tym dziwnego. W międzyczasie… polubiła chłopca.

– Przyjdę po niego jutro, może być? – spytała Louise.

Isabel zamrugała.

– Tak. Tak, oczywiście. Tak będzie dobrze.

No bo będzie, czyż nie?

* * *

Późną nocą Winter pchnął drzwi do swego pokoju w domu Isabel, znużony na umyśle i duchu. Jednakże widok, jaki zastał w środku, momentalnie postawił wszystkie jego zmysły w stan gotowości: na łóżku leżała Isabel, i to kompletnie naga.

Zamknął za sobą drzwi. Pokój, który mu przydzieliła, był o wiele przyjemniejszy niż jego wcześniejsze lokum w przytułku. Na tym samym piętrze co jej sypialnia, przypuszczalnie pełnił raczej funkcję pokoju gościnnego niż służbówki. Znajdowało się tutaj duże i wygodne łóżko, a także cały zestaw mebli nadających pomieszczeniu przyjemny charakter: fotel, by usiąść przy kominku, komoda oraz umywalka z miską i dzbanem. Bez wątpienia Isabel z rozmysłem umieściła go w pokoju, o którym wiedziała, że zostanie przezeń odebrany jako przytulny, ale nie zbytkowny.

– Co tu robisz? – spytał.

Opuściła rzęsy, a w kącikach jej soczystych ust zaigrał uśmiech.

– No jakże, panie Makepeace, wiem, że nasze lekcje były krótkie, chyba jednak na tyle wyczerpujące, by odgadł pan, dlaczego tu jestem.

Jej głos brzmiał tak krucho, że Winter natychmiast się zaniepokoił.

– Co się stało?

– Musiało się coś stać, żebym tu była? – spytała nadąsana.

– W tych okolicznościach tak. – Podszedł do łóżka i spojrzał na nią z góry. – Powiedz mi, Isabel.

Bez słowa odwróciła od niego twarz, ale jej słodkie wargi drżały.

Nie potrafił znieść tego widoku. W pełni ubrany wspiął się na łóżko i przytulił ją, tak ciepłą i drobną, delikatnie odgarniając do tyłu jej cudowne włosy.

– Isabel.

Wzięła nierówny oddech.

– Pamiętasz, jak przyszedłeś tu po raz pierwszy i poznałeś Christophera?

– Tak – wymamrotał w jej włosy, zastanawiając się, do czego zmierza.

– Byłam wobec niego zimna – stwierdziła.

– Isabel – zaprotestował.

Przeciągnęła dłonią po twarzy.

– Nie, byłam taka. To tylko mały chłopiec i nie ponosił za to winy, niemniej przypominał mi o wszystkim, czego nie mam… wszystkim, czego nigdy nie będę miała… i zwyczajnie nie mogłam na niego patrzeć. Przez niego czułam zbyt wiele. Wtedy rozpaczliwie pragnęłam, żeby Louise po prostu go zabrała. Znalazła dla niego inny dom. – Zatchnęła się. – Będziesz się śmiał, ale moje życzenie się spełniło.

Ze smutkiem zamknął oczy. Właśnie zaczęła otwierać serce dla tego chłopca. Pozwoliła sobie czerpać radość z ich relacji. Odebranie jej Christophera akurat teraz stanowiło potężny cios.

– Przykro mi – powiedział. – Dokąd planuje go zabrać?

– Znalazła sobie nowego protektora, jakiegoś bogatego importera. Tym właśnie zajmowała się dziś rano: wzięła Christophera, żeby sprawić sobie i jemu nowe ubrania za pieniądze tego mężczyzny. Louise twierdzi, że on ją ubóstwia i wynajął dla niej wytworną miejską rezydencję.

– Nie brzmi to jak najlepsze miejsce dla dorastającego chłopca – stwierdził, marszcząc brwi.

Znieruchomiała.

– Też tak pomyślałam, obawiam się jednak, że uczucie do niego zaciemnia mój osąd. Chcę, żeby Christopher był szczęśliwy. Najszczęśliwszy będzie przecież z matką, czyż nie?

W jej głosie słyszał nadzieję i strach, kiedy z wahaniem zadawała mu to pytanie.

Westchnął.

– Nie wiem, czy byłby z nią szczęśliwy, czy nie. Wiem tylko, że wydaje się szczęśliwy tutaj. Ty wydajesz się szczęśliwa, mając go przy sobie.

– Tak, ale nie o moje odczucia i przekonania tu chodzi – stwierdziła uczciwie. – Powinnam myśleć wyłącznie o Christopherze. Muszę postąpić właściwie.

Położył głowę przy jej głowie, wdychając jej zapach, czerpiąc przyjemność z tego, że tuli ją w ramionach.

– Niekiedy, żeby postąpić właściwie, nie trzeba się poświęcać.

* * *

Isabel leżała wtulona w wełniany kaftan Wintera, z kapą na ramionach, wsłuchana w jego oddech przy swoim uchu.

– Chodzi o coś więcej. – Głos Wintera zadudnił o jej policzek. – Nie tylko o Christophera, zgadza się?

Zagrzebała się w jego cieple. Nie chciała się z tym mierzyć, nie chciała o tym myśleć. Czy nie mógł po prostu się z nią kochać, aby o wszystkim zapomniała?

Ale on tylko delikatnie głaskał ją po włosach. Nikt przed nim tego nie robił i nawiedziła ją myśl, że zawsze już będzie tęsknić za jego dłońmi w swych włosach, kiedy on odejdzie.

– Powiedz mi – nalegał.

Odruchowo zacisnęła oczy jak mała dziewczynka, jakby dzięki temu, że go nie widzi, wyznanie miało stać się prostsze.

– Spotkałam się dzisiaj z… przyjaciółką, bardzo mi bliską, która zwierzyła mi się, że spodziewa się dziecka.

Jego dłoń na moment znieruchomiała.

– Przykro mi – szepnął. – Wiem, że musiało być ci trudno.

– A nie powinno – upierała się, zaciskając w pięściach wyłogi jego kaftana i lekko szarpiąc. – Powinnam móc słuchać radosnych wieści i świętować z przyjaciółką. Nie powinnam być tak podła, tak zaabsorbowana własnymi problemami. Powinnam być lepszą osobą.

Poczuła pod policzkiem, jak on wzrusza ramionami.

– Wszyscy powinniśmy.

– Ty nie musisz – szepnęła. – Jesteś doskonały właśnie taki, jaki jesteś.

– Daleko mi do doskonałości – wymamrotał. – Sądziłem, że do tej pory już się o tym przekonałaś.

Nie, im lepiej go poznawała, tym doskonalszy się stawał: bezinteresowny, silny, dobry, troskliwy… lista ciągnęła się bez końca. Dla kontrastu, sama czuła się mała i podła, niegodna miłości.

– Nie wiesz najgorszego – stwierdziła.

– Zatem mi powiedz.

Zaczerpnęła powietrza, aby uspokoić się przed nadchodzącym wyznaniem.

– Moja przyjaciółka nie jest zamężna. Dziecko, które nosi, pochodzi z nieprawego łoża. Naturalnie, jest wzburzona. Nie wie, co robić. Płakała zrozpaczona, gdy opowiadała mi o swej niedoli, a ja potrafiłam myśleć tylko o…

To było tak okropne; nie umiała wyrzec tych słów.

Ale on mimo to wiedział.

– Pragnęłaś, żeby to dziecko było twoje.

– Dlaczego? – Wyszarpnęła się z jego objęć, choć nadal ściskała klapy jego kaftana. – Dlaczego? Dlaczego ona nosi dziecko, które zniszczy jej życie, podczas gdy ja… gdy ja nie mogę… – Nie była w stanie kontynuować. W gardle wezbrały jej łzy, które wstrzymywała przez lata.

Objął ją ramionami, opierała się jednak, odsuwając się od niego. Jej obawy, jej żałosna zazdrość, jej łkania, to wszystko było takie obrzydliwe. Takie podłe. Bez wątpienia nienawidził jej albo w najlepszym razie litował się nad nią, a litość była ostatnim, czego od niego pragnęła.

Nie wydawało się w porządku, że z tylu mężczyzn akurat on zajrzał pod jej ochronną fasadę.

W końcu wszakże ustąpiła, ponieważ to był on, Isabel zaś w ciągu ostatnich kilku dni uzmysłowiła sobie, że nie potrafi długo mu się opierać. Jakimś sposobem stał się kimś więcej niż kochankiem, kimś więcej niż przyjacielem. Nie umiała ubrać w słowa tego, kim dla niej był, obawiała się jednak, że ten stan jest permanentny, wieczny, jakby Winter dosłownie zagnieździł się w jej ciele.

Oby nigdy się o tym nie dowiedział.

Zwróciła twarz w górę i pocałowała go jak niedoświadczona dziewczyna, miękkimi, zamkniętymi wargami, z twarzą mokrą od łez. Całowała go z zamkniętymi oczami i poczuła, jak zesztywniały mu ramiona.

Odsunął się.

– Isabel, nie powinniśmy, nie kiedy tak się czujesz.

Czyli faktycznie się nad nią litował – czytała to w jego twarzy. Zamierzał ją odtrącić, zostawić, gdyż nie potrafił jej dłużej znieść.

Odrzuciła przykrycia i skoczyła, prawie że przewracając go na łóżko, wspinając się na niego.

– Isabel, nie – powtórzył, ale niższym, bardziej chropawym głosem, tak że wiedziała, iż wkrótce będzie należał do niej.

Na nagiej skórze czuła materiał jego spodni i kaftana.

Ujęła w dłonie jego twarz i pocałowała go znowu, otwartymi, złaknionymi ustami – gdyż naprawdę go potrzebowała, bardziej niż on mógłby się kiedykolwiek domyślić. Jęknął, ustawiając pod kątem głowę, by dać lepszy dostęp jej językowi. Smakował winem, mężczyzną, potrzebą. Smakował wszystkim, o czym nigdy by nie pomyślała, że tego chce, podczas gdy w istocie przez cały czas tego szukała.

Smakował Winterem.

– Isabel – szepnął, wodząc palcami po jej policzkach. – Isabel, nie.

– Dlaczego nie? – wymamrotała, skubiąc jego wargi, pieszcząc szczękę. – Potrzebuję cię teraz. Potrzebuję zapomnieć.

W oczach miał smutek.

– Może potrzebujesz, ale nie w ten sposób. Nie dam się wykorzystywać jako męska dziwka, a ciebie, moja kochana Isabel, stać na więcej.

Mimowolnie cofnęła głowę. Poczuła się, jakby ją uderzył.

– Skąd wiesz? – spytała napastliwie, gramoląc się z niego. – Może widzę w tobie wyłącznie męską dziwkę. Może tylko na tyle mnie stać.

Poderwał się i skoczył w jej kierunku tak szybko, że nie zdążyła nawet zaczerpnąć tchu. Zamknął ją w objęciach, przyszpilając jej ramiona do boków, i trzymał mocno, ona zaś podniosła wzrok na jego twarz, spodziewając się, że ujrzy na niej gniew.

Tymczasem zobaczyła współczucie.

Tego było za wiele. Zaczerpnęła powietrza, a ten oddech spowodował nagły ból w piersi, rozłamał jej serce, uwalniając z niego całą furię i strach, i rozczarowanie. Płakała, łkała potężnymi zrywami, oślepiona przez łzy, z ustami otwartymi w niemym lamencie.

Przyciągnął ją bliżej, z twarzą przy jej twarzy, kołysał ją w ramionach jak noworodka.

Jednakże tą łagodnością jedynie podsycił ogień jej rozpaczy. Wykręcała się, tłukła go pięściami po plecach, spazmowała. Przytulił ją tylko mocniej, mamrocąc coś kojąco, kiedy płakała nad małżeństwem, które nie dorosło do jej marzeń, nad poronieniami, nad dziećmi, których nigdy nie będzie mieć. Smutek wylewał się z niej, gorący i brzydki, zbyt długo tłumiony, zbyt długo wypierany.

Łkała, aż spocone włosy zbiły jej się w strąki, aż zapuchły jej oczy, a szloch przycichł na tyle, że usłyszała, co takiego mówi Winter, kołysząc ją.

– Taka dzielna – mruczał w jej włosy, głaszcząc je. – Taka piękna i dzielna.

– Nie jestem piękna – wychrypiała. – Nie powinieneś oglądać mnie w tym stanie.

Ani chybi wyglądała jak stara jędza; przerażona swoim nietaktownym napadem histerii i nagą wrażliwością skryła twarz w jego ramieniu.

On wszakże ujął ją delikatnie pod brodę i odwrócił ku sobie.

– To przywilej, że mogę cię teraz oglądać – oświadczył z ogniem w oczach. – Noś swoją towarzyską maskę na balach i przyjęciach, i podczas wizyt u przyjaciół, ale kiedy jesteśmy sami, tylko my dwoje, obiecaj, że będziesz mi ukazywać wyłącznie swoją

prawdziwą twarz, nieważne, jak brzydka ci się wyda. Na tym polega autentyczna intymność między nami, nie na seksie, lecz na możliwości bycia sobą, kiedy jesteśmy razem.

Wpatrywała się weń oniemiała, a później przyłożyła dłoń do jego policzka, szorstkiego od całodniowego zarostu.

– Jak ty to robisz, że jesteś taki mądry?

Pokręcił głową.

– Nie ja. To ty wszystko zaczęłaś. Ty pokazałaś mi drogę.

Przypisywał jej stanowczo za wielkie zasługi, ale czuła się nazbyt zmęczona, żeby się spierać.

Przetoczył się na plecy, lokując ją u swego boku.

– Śpij.

Zamknęła oczy i podporządkowała się, gdy jednak odpływała w sen, coś sobie uświadomiła:

Kochała tego mężczyznę, teraz i na wieki.

Rozdział 18

Arlekin został spętany miłością, lecz nadal spoglądał niewidzącymi białymi oczami. Prawdziwa Miłość Arlekina ostrożnie odkorkowała szklaną fiolkę pełną łez i wspiąwszy się na palce, przechyliła ją nad oczami ukochanego. Kiedy pierwsza kropla sięgnęła celu, Arlekin zaryczał, rzucając głową na wszystkie strony, lecz Prawdziwa Miłość dalej nieustępliwie przemywała mu oczy łzami swego smutku. Gdy fiolka była pusta, Prawdziwa Miłość cofnęła się o krok i zobaczyła, że oczy Arlekina znów stały się brązowe i widziały…
– z Legendy o Arlekinie – Duchu St. Giles

Nazajutrz Winter obudził się przed świtem. Isabel leżała obok niego, oddychając głęboko we śnie, pachnąca miękką, ciepłą kobietą. Pomyślał o tym, co powiedział jej minionej nocy: „Niekiedy postąpić właściwie nie oznacza poświęcenia". Być może nastała pora, by wziął sobie do serca własne słowa. Jeśli miał poślubić Isabel, musiał porzucić rolę Ducha St. Giles. Przez cały czas koncept ów dojrzewał w głębi jego umysłu: nie mógł mieć Isabel i jednocześnie być Duchem. Ostatecznie to z tego powodu przez tyle lat trwał w celibacie: bycie Duchem stanowiło wielce absorbujące zajęcie. Mężczyzna żonaty musi zaś na pierwszym miejscu stawiać rodzinę, a Winter nie zrobi dla Isabel ani trochę mniej.

Nim wszakże jego Duch zniknie po raz ostatni, należało dokończyć polowanie na łowców dziewek i „wielmożę", który za nimi stał. Musiał doprowadzić do konfrontacji z d'Arkiem i albo ustalić, że ów wielmoża to on, albo go wykluczyć.

No i była jeszcze jedna rzecz, którą musiał zrobić.

Po cichu wstał, ubrał się i wrzucił do worka kilka rzeczy. Popatrzył na Isabel. Spała głęboko, z jedną dłonią zwiniętą pod brodą, jak dziecko. Ogromnie pragnął pocałować ją przed wyjściem, lecz w końcu zdusił tę potrzebę, by nie zakłócać jej snu.

Na zewnątrz Londyn dopiero zaczynał się budzić. Zaspana pokojówka klęczała na stopniu domu sąsiadującego z rezydencją Isabel i polerowała drzwi, nie podniósłszy nawet wzroku, kiedy przechodził. Z kolei mijana mleczarka zaczepiła go frywolnie, na co skinął jej głową w odpowiedzi.

Zanim Winter dotarł do St. Giles, słońce już wstało, ale chmury tak dalece zasnuwały niebo, że zdawało się, iż jest wieczór. Otulił się długą peleryną, zadowolony, że postanowił ją dziś założyć. Jeśli się nie mylił, do południa spadnie deszcz.

Oczywiście w przytułku już nie spano, w jedynym kuchennym oknie paliło się światło. Zapukał cicho do tylnych drzwi.

Otworzyła mu pani Medina w przekrzywionym czepku na głowie. Na jego widok uniosła brwi.

– Wróciłeś pan do przytułku, panie Makepeace?

– Przykro mi, nie – odparł Winter. – Dałem słowo, że odejdę, i tak też zrobiłem. Zastanawiam się jednak, czy mógłbym porozmawiać z Josephem Tinboksem tu, na zewnątrz. – Gestem wskazał zaułek.

Pani Medina ściągnęła usta w ciup.

– To nie w porządku, coby pan nie mógł wejść do przytułku. Bóg świadkiem, że pana

potrzebujemy.

Zniknęła z powrotem w środku, nim zdążył to skomentować.

Z wnętrza dobiegła seria głuchych łomotów, a później gniewny krzyk.

Winter z uniesioną brwią spoglądał na drzwi. Odgłosy sugerowały wręcz, że w przytułku prowadzone są regularne działania wojenne.

Moment później na dwór wyszedł Joseph Tinbox. Włosy, na co dzień przyzwoicie związane z tyłu, miał rozpuszczone, a na jego kamizelce widniały plamy, które wyglądały na starsze niż pozostałość po śniadaniu.

Chłopiec, z ustami wygiętymi w podkówkę, wbijał wzrok we własne stopy.

– Czego pan chce?

– Przyszedłem się z tobą pożegnać, Josephie – rzekł łagodnie Winter. – Jutro masz się zameldować na statku, zgadza się?

Joseph przytaknął bez słowa.

Winter odwrócił wzrok od jego posępnej miny. Nagle opadły go wątpliwości. Być może nie było to dobre rozwiązanie dla Josepha. Być może chłopiec będzie nienawidził Wintera przez resztę życia, obwiniając go o to, że wysłał go na morze i skazał na ciężki los marynarza.

Tyle że Joseph nie będzie po prostu marynarzem. Zostanie oficerem. Pozycja otwierała mu drogę do kariery, dobrych pieniędzy, jeśli nie wręcz bogactwa, domu na wsi. To powołanie odmieni życie Josepha – da mu wolność dostępną dżentelmenom.

Winter znów popatrzył na chłopca.

– Mam nadzieję, że będziesz pisał, Josephie. Jeśli nie do mnie, to do Peach i Nell, i wszystkich innych dzieci w przytułku.

Chłopcu zadrżała warga, niemniej wymamrotał:

– Tak, psze pana.

– W związku z powyższym mam coś dla ciebie – rzekł Winter.

Położył worek na ziemi i wyjął z niego drewnianą skrzyneczkę.

Ciekawość zawsze zaliczała się do fundamentalnych cech Josepha. Nachylił się teraz, badawczo przypatrując się skrzynce.

– Co to takiego, psze pana?

Winter zwolnił zabezpieczenie i uniósł płaskie wieko. Wewnątrz znajdował się niewielki kałamarz, kartki papieru, rozmaite świeżo naostrzone pióra, a nawet maleńki nożyk do ich ostrzeżenia.

– To podróżny przybornik do pisania. Mój ojciec zwykł zabierać go ze sobą, kiedy jechał na wieś kupić chmiel. Widzisz? Wszystko jest ściśle dopasowane, tak żeby się nie ruszało i nie uszkodziło przy wstrząsach. – Winter zamknął przybornik i wstał, wyciągając go w stronę Josepha. – Chciałbym, żeby odtąd należał do ciebie.

Oczy Josepha zrobiły się wielkie jak spodki, chłopiec otworzył usta, ale nie wydostał się z nich żaden dźwięk. Najwyraźniej Winterowi udało się odebrać mu mowę. Joseph wziął skrzynkę i przez chwilę stał, po prostu się na nią gapiąc.

Opuszkami palców prawej ręki delikatnie powiódł po zniszczonej powierzchni wieka i spojrzał na Wintera.

– Dziękuję, psze pana.

Winter skinął głową. Przez chwilę nie był w stanie wyrzec słowa, przełykał tylko ślinę. Kiedy wreszcie dobył z siebie głos, brzmiał on chropawo.

– Josephie, uściśniemy sobie dłonie?

Dolna warga chłopca zadrżała.

– Tak, psze pana. – Wyciągnął rękę.

Winter chwycił jego dłoń, a później zrobił coś, czego nie praktykował dotąd wobec żadnego z dzieci w przytułku. Nachylił się niezgrabnie i przytulił chłopca, razem z przybornikiem. Joseph objął go wolnym ramieniem za szyję i mocno uścisnął. Winter skłonił głowę, wdychając woń dżemu i chłopięcego potu. *Tak właśnie odczuwa się całą duszą*.

Odstąpił, mrugając.

– Uważaj na siebie, Josephie.

Oczy chłopca błyszczały.

– Będę, psze pana. – Wbiegł do przytułku, lecz moment później wysunął głowę zza drzwi. – I będę do pana pisał. Obiecuję.

Potem zniknął i Winter wpatrywał się w drzwi ze ściśniętym gardłem, zastanawiając się, kiedy ponownie zobaczy Josepha Tinboksa. Czy chłopiec podziękuje mu za wysłanie go na morze? Czy będzie go przeklinał?

Odchylił głowę do tyłu, czując na twarzy pierwsze lodowato zimne krople deszczu. Jakkolwiek będzie, podjąłby tę samą decyzję po raz kolejny.

– Sądziłem, że dał pan słowo, iż opuści przytułek, Makepeace – rozległ się za nim głos wicehrabiego d'Arque'a.

– I dałem, milordzie. – Winter odwrócił się powoli, po czym wskazał na zamknięte kuchenne drzwi. – Proszę zauważyć, że przebywam na zewnątrz.

Wicehrabia stał w zaułku w towarzystwie przyjaciół, hrabiego Kershawa i pana Seymoura. Chrząknął podejrzliwie.

– Niechże więc pan dopilnuje, żeby tak pozostało. Zawsze mogę odstąpić od tej umowy.

– Nie, nie może pan – odparł miłym tonem Winter. – Dał pan słowo dżentelmena. Proszę odstąpić, a dopilnuję, by wieści o tym, że złamał pan dane słowo, dotarły do każdej śniadalni do południa następnego dnia.

D'Arque'a wyraźnie zaskoczyła nagła stal w głosie Wintera. Dobrze. Ten człowiek musiał się nauczyć, że nie może sobie pogrywać czyimś życiem.

Pan Seymour odkaszlnął.

– Jeśli nie składa pan wizyty w przytułku, panie Makepeace, co wobec tego pan tutaj robi?

– Zdaje się, że o to samo mógłbym zapytać pana – odrzekł Winter. – Uderzyło mnie, że zarówno pan, jak i lord Kershaw często zaglądacie w to miejsce.

Lord Kershaw zesztywniał, ewidentnie obrażony poufałym tonem Wintera, ale pan Seymour tylko uśmiechnął się z zażenowaniem.

– Musi pan wybaczyć nam, dżentelmenom z mnóstwem wolnego czasu, panie Makepeace. Na swój sposób sierociniec jest wielce fascynujący. Ponadto doszły nas słuchy, że wczoraj w nocy Duch St. Giles dostarczył do przytułku grupkę zdziczałych dzieci. Pomyśleliśmy z Kershawem, że zobaczymy, o co chodzi.

– Ach, zatem misja panów nie różni się aż tak bardzo od mojej – stwierdził Winter. – Chcę się dowiedzieć, kto przetrzymywał te dzieci. Dlatego też uznałem, że ponownie przeszukam miejsce, gdzie Duch je znalazł.

– O? – Na twarzy pana Seymoura odmalował się entuzjazm. – Wie pan, gdzie Duch je znalazł?

Winter przytaknął, obserwując mężczyznę. Jedynie Seymour sprawiał wrażenie zainteresowanego nielegalną manufakturą. Kershaw ziewał, a d'Arque wpatrywał się w

przestrzeń, jakby myślał o czymś innym.

– Wobec tego, za pańskim pozwoleniem, z chęcią dotrzymam panu towarzystwa i także zbadam to miejsce – zadeklarował pan Seymour.

Winter zmarszczył brwi.

– Zamierzałem iść sam…

– Ale co dwie pary oczu, to nie jedna, nie uważa pan? – zapytał pan Seymour.

– To prawda. – Winter spojrzał na dwóch pozostałych dżentelmenów. – Czy któryś z panów również chciałby wziąć udział w naszym śledztwie?

D'Arque potrząsnął głową z miną wyrażającą znudzenie i zniecierpliwienie. Lord Kershaw z wyższością uniósł brwi.

– Nie sądzę – rzekł.

Winter skinął głową i popatrzył na pana Seymoura.

– Idziemy?

* * *

– Nie – oznajmiła Isabel z całym autorytetem, jaki zdołała z siebie wykrzesać, czyli, tak się złożyło, całkiem sporym.

Pora była wczesna – o wiele za wczesna na eleganckie wizyty – niemniej Louise zjawiła się tuż po tym, jak Isabel wstała.

– Ale jestem matką Christophera – zaprotestowała Louise, szeroko otwierając śliczne oczy. – Powinien być ze mną.

– Tak, w pierwszej chwili również tak pomyślałam – przyznała cicho Isabel, nalewając herbaty do filiżanek. Zaprosiła Louise do bawialni, żeby omówić temat Christophera. – Jednak później rozważyłam sprawę i uzmysłowiłam sobie, że nie jest to do końca prawda.

Louise zamrugała.

– Nie masz chyba na myśli, że nie jestem jego matką.

– Prawdę mówiąc, poniekąd mam. – Isabel podała jej filiżankę, którą Louise machinalnie przyjęła. – Widzisz, Christopher mieszka ze mną od maleńkości. Troszczyłam się o niego, dbałam, żeby miał się w co ubrać i co jeść i żeby opiekowała się nim kompetentna niania, a ostatnio czerpię także radość z jego towarzystwa. Ty natomiast widujesz go w najlepszym wypadku raz w miesiącu i nigdy nawet nie zapytałaś, jak się miewa.

– Bo… bo byłam zajęta.

– Oczywiście, że tak – łagodziła Isabel. Przed nią teraz najtrudniejsza część. – Ale w tym właśnie rzecz, nie rozumiesz? Prowadzisz bujne życie towarzyskie, absorbuje cię tyle spraw. Naprawdę chcesz, żeby pętał ci się pod nogami mały chłopiec?

Louise ściągnęła brwi.

– Ja z kolei mam ten wielki, pusty dom. – Isabel omiotła gestem bawialnię. – Wydaje się sensowne, żebym zatrzymała i wychowała Christophera. Poza tym zdążyłam go pokochać.

Czoło Louise się rozchmurzyło.

– No, skoro tak to przedstawiasz…

– Och, jak najbardziej – mruknęła Isabel. – Doleję ci herbaty.

– Dziękuję. – Louise wpatrzyła się w filiżankę; wyglądała w tej chwili bardzo młodo. – Nadal mogę go odwiedzać, prawda?

Isabel uśmiechnęła się, przepełniona ulgą i tak szczęśliwa, że z chęcią zawirowałaby na

środku pokoju. Ograniczyła się jednak do stwierdzenia:

– Christopher na pewno by tego chciał.

Piętnaście minut później patrzyła, jak Butterman zamyka drzwi za Louise.

– Czy wezwano moją karetę? – zwróciła się do kamerdynera.

– Tak, milady.

– To dobrze. Proszę powiadomić Pinkney, że zamierzam wyjść.

Spacerowała niespokojnie, aż wreszcie pokojówka zeszła na dół i w pośpiechu wsiadły do karety. Podróż do St. Giles minęła bez przygód, wskutek czego, nim dotarli na miejsce, niecierpliwość Isabel jedynie wzrosła.

Kobieta wysiadła z karety przed przytułkiem i natychmiast rozejrzała się skwapliwie w poszukiwaniu Wintera. Głuptaska! Sam fakt, że nie było go w domu – że, ściśle biorąc, wyszedł, nie zostawiwszy dla niej wiadomości – nie oznaczał, że ją opuścił. Owszem, jego worek także zniknął, ale przecież coś takiego nie stanowiło powodu do paniki. Zostawił swoje ubrania – jakkolwiek nieliczne – a człowiek równie oszczędny z pewnością nie porzuciłby rzeczy nadających się jeszcze do noszenia.

Prawda?

Wzięła głęboki oddech, żeby się uspokoić, po czym wspięła się po schodach przytułku. Harold podążał za nią w dyskretnej odległości. Sądziła, że minionej nocy osiągnęli nowy stan harmonii, może się jednak pomyliła. Może, pomimo solennych deklaracji Wintera, przegoniła go swymi teatralnymi popisami. Cóż za żałosna myśl!

No, ale skoro już się tu znalazła, przeprowadzi przynajmniej inspekcję w przytułku. Lady Hero, Amelia i młodsza lady Caire przebywały nadal poza miastem; lady Phoebe, jeszcze dziewczę, nie mogła działać samodzielnie. W ten sposób pozostawała tylko Isabel, żeby sprawdzić, czy lady Penelope przyodziewa właśnie wszystkich chłopców w cytrynowe kurteczki albo każe dzieciom maszerować w kółko, czy co tam zrodziło się w tej głupiutkiej główce.

Zapukała do frontowych drzwi.

Przeważnie otwierano je natychmiast, ale tego ranka przyszło jej czekać bardzo długo. Isabel postukiwała noskiem buta, zerknęła na niebo, by sprawdzić, czy zaraz się nie rozpada, i drgnęła, gdy wewnątrz coś się roztrzaskało.

Z uniesionymi brwiami popatrzyła na uparcie zamknięte drzwi.

Które otworzyły się znienacka. Stanęła w nich, z kciukiem w buzi, jedna z młodszych dziewczynek – co dziwne, nadal w koszuli nocnej – i bez słowa wpatrywała się w Isabel.

Kobieta odkaszlnęła.

– Gdzie są wszyscy, kochanie?

Dziecko wskazało za siebie, w głąb holu.

No cóż. Isabel zebrała spódnice, by wejść do środka.

– Czy mam zostać tutaj, milady? – zapytał niespokojnie Harold.

Isabel popatrzyła na niego, a później znowu w głąb przytułku, skąd dobiegało jakieś dziwne skrzeczenie.

– Chyba lepiej będzie, jeśli pójdziesz ze mną. Ty też, Pinkney.

Pokojówka, marudząca dotąd u stóp schodów, wspięła się po nich niechętnie.

Hol wyglądał w miarę normalnie, jeśli pominąć długą smugę czegoś zielonego na wysokości odpowiadającej wzrostowi dziecka. Isabel przyjrzała się jej z bliska. Smuga podejrzanie przypominała zupę z zielonego groszku. W bawialni było pusto – nie licząc roztrzaskanej misy na podłodze – a w kuchni, choć dobiegało stamtąd gniewne mamrotanie pani Mediny, sprawy układały się chyba w miarę normalnie. Piętro wyżej

rozległ się łomot i Isabel zebrała spódnice, po czym pospieszyła schodami na górę.

Dotarła już prawie do ich szczytu, kiedy obok przemknął Sadza, a tuż za nim Dodo, ciągnąca za sobą długą czerwoną wstążkę, którą zawiązano jej na szyi. Zwierzęta hałaśliwie zbiegły po schodach, Isabel usłyszała skrobanie kocich i psich pazurków na marmurowej posadzce holu, następnie zaś krzyk i odgłos czegoś rozbijanego dobiegający z kuchni.

Ojej…

Końcowy odcinek schodów pokonała biegiem i wpadła do pierwszej sali lekcyjnej, gdzie z poślizgiem zatrzymała się w drzwiach, w ostatniej chwili uchylając się przed niewielkim pociskiem, który ze świstem przemknął obok jej głowy.

Niestety, Harold nie był tak szybki.

– Au! – Podniósł coś z podłogi. – Małe łotry rzucają orzechami włoskimi!

Pinkney przyłożyła obie dłonie do ust, tłumiąc chichot.

– Och, Haroldzie, tak mi przykro – powiedziała słabym głosem Isabel, ze zgrozą rozglądając się po sali.

Któż by odgadł, do czego mogą być zdolne takie dobrze wychowane, słodkie dzieciaczki… no właśnie, do tego.

Po jednej stronie sali część młodszych chłopców toczyła walną bitwę, w której najwyraźniej nie obowiązywały absolutnie żadne reguły, w użyciu były bowiem proce, poduszki i coś, co wyglądało jak resztki owsianki ze śniadania. Po drugiej stronie panował względny spokój, ponieważ brzdące, które potrafiły już chodzić, malowały ścianę dalszymi pozostałościami owsianki i chyba dżemem. W centralnej części pomieszczenia grupa dziewczynek ustawiła labirynt ze stołów i ławek, żeby z zapałem przeskakiwać z mebla na mebel, piszcząc ile pary w płucach.

Pośrodku tego pandemonium stała lady Penelope, osłupiała i zdezorientowana.

– Dzieci. Dzieci, proszę – powtarzała błagalnie.

Na oczach Isabel kulka owsianki trafiła lady Penelope i utknęła w jej pięknych włosach, zsuwając się odrobinę nad lewe ucho.

Naturalnie, Isabel ruszyła skonfiskować proce, ściągnąć dziewczynki ze stołów i umyć tabun brzdąców. Już otwierała usta, żeby rzucić surowy rozkaz… kiedy się opamiętała. Jeśli teraz ocali lady Penelope, pomoże jej poprowadzić przytułek i zdyscyplinować dzieci, nie będzie potrzeby wzywania z powrotem Wintera.

– Och, lady Beckinhall! – Lady Penelope spostrzegła ją tymczasem. Żałośnie wyciągnęła ku niej drobne białe dłonie. – Pani na pewno radzi sobie z dziećmi? Posłałam Artemis na dół po lorda d’Arque’a albo Nell, albo kucharkę, albo jedną z pokojówek, albo kogokolwiek, ale nadal nie wróciła. Myśli pani, że ją także pojmały? Związały i wepchnęły pod łóżko?

Lady Penelope roześmiała się na próbę, lecz przypominało to raczej przerażony chichot.

Isabel popatrzyła na nią surowo.

– Z pewnością brak mi doświadczenia z dziećmi, milady, ale tak czy owak nie dałabym rady pomóc. Pan Makepeace był zawsze jedyną osobą zdolną zapanować nad tymi maluchami. Nie wiedziała pani? One pochodzą z St. Giles.

– Ale… ale…

Lady Penelope złapała się za głowę i na swoje nieszczęście natknęła się na owsiankę. Wrzasnęła, na moment uciszając dzieci.

– Ojej. – Isabel wycofała się z sali. – Chyba powinnam poszukać panny Greaves.

Okręciła się na pięcie i prawie dotarła do schodów, nim dotarło do jej uszu zawodzenie lady Penelope:

– Proszę zaczeeeeekać!

Isabel zeszła po schodach o wiele stateczniej, niż po nich wchodziła, a Harold i Pinkney podążali za nią w milczeniu. Najpierw zajrzała ponownie do bawialni, później udała się na tyły, do kuchni.

Panna Greaves i kucharka siedziały przy kuchennym stole z dzbankiem herbaty pomiędzy nimi. Na widok Isabel panna Greaves poderwała się z miejsca.

– Och, milady. Właśnie miałam… miałam…

– Napić się herbaty, jak widzę – dokończyła uspokajającym tonem Isabel. – Sama nie wzgardzę filiżanką. Haroldzie, możesz znaleźć lorda d'Arque'a i poprosić, żeby przyszedł ze mną porozmawiać?

Lokaj przytaknął i truchtem opuścił kuchnię.

– No dobrze. – Isabel usiadła i nalała sobie herbaty, zanim spojrzała na kucharkę i pannę Greaves. – Od jak dawna to tak wygląda?

Panna Greaves westchnęła ciężko.

Kucharka się skrzywiła.

– Prawie zaraz jak odszedł pan Makepeace. Był tutej regularny bunt. Małe potwory ani trochu się nie słuchają, nikogo. Jeden to trafił lorda d'Arque'a prościutko w tył głowy, orzechem. – W głosie pani Mediny słyszało się nieomal zadowolenie.

– Lady Penelope naprawdę się starała – przyznała uczciwie panna Greaves. – Drugiego dnia przyniosła dzieciom wiśnie z cieplarni, ale…

– Pestki – stwierdziła zwięźle pani Medina. – No i te plamy z soku. O tym to wie każdy półgłówek.

– Wtedy chyba przekazałaby już przytułek z powrotem – mruknęła panna Greaves – gdyby nie to, że lord d'Arque nalegał, by go zatrzymać. Na razie nawet nie zadał sobie trudu, żeby nająć zarządcę.

– Ale dlaczego? – zapytała Isabel.

– Ponieważ – odezwał się od drzwi lord d'Arque – Makepeace'a drażni moja obecność tutaj. Oto dlaczego. Poza tym tutaj jestem w samym centrum terenów łowieckich Ducha. Jeśli się pokaże, pierwszy o tym usłyszę.

Kiedy wszedł, panna Greaves pisnęła i spiesznie przeprosiła. Pani Medina wstała od kuchennego stołu tak wolno, że zakrawało to na zniewagę.

Na szczęście stan lorda d'Arque'a nie sprzyjał spostrzegawczości. Wicehrabia z teatralną niefrasobliwością oparł się o ościeżnicę, ewidentnie pijany.

– Nadal mnie pani nienawidzi?

– O tak – odparła szczerze Isabel. Bez względu na to, jakie powody nim kierowały, jeśli w ogóle jakieś miał, zranił Wintera bardzo dotkliwie. Wiedziała, po czyjej stronie sama stoi. – Ale i tak przyszłam pana o coś zapytać.

Lord d'Arque odepchnął się od ościeżnicy i podszedł do niej, stąpając z przesadną ostrożnością.

– Dała pani sobie z nim spokój? Przyszła po prawdziwego kochanka?

– Nie znałam pana od tak prostackiej strony. – Zmarszczyła nos.

Dosyć gwałtownie opadł na krzesło naprzeciw niej.

– Przepraszam.

Przyglądała mu się. Coś go wyraźnie gnębiło. Być może Winter miał rację. Ten d'Arque istotnie mógłby postąpić w sposób podejrzany i niemoralny.

– Chcę pana zapytać o pańskiego stangreta.

– Mojego stangreta? – Wicehrabia zamrugał, bezgranicznie zaskoczony. – Proszę mi nie mówić, że w coś się wpakował. Dopiero co go nająłem.

– Myślałam, że pracuje dla pana od miesięcy. – Teraz to Isabel miała skonfundowaną minę.

Lord d'Arque przewrócił oczami.

– Nie, to był mój poprzedni. Zniknął tamtego wieczoru, kiedy byliśmy w operze. Piekielna uciążliwość. Do domu wiózł mnie lokaj, który moim zdaniem w życiu nie trzymał lejców w ręku.

Isabel zmarszczyła brwi w namyśle. Czy ktoś zabił stangreta, żeby ten nie wyjawił niczego Winterowi? Jeśli tak, bynajmniej nie oczyszczało to lorda d'Arque'a z podejrzeń. Wyjęła z kieszeni skrawek papieru z pieczęcią wicehrabiego.

– To pańskie?

Ściągając brwi, nachylił się, żeby przyjrzeć się świstkowi.

– Pieczęć na pewno jest moja, no i to moje pismo. – Odwrócił skrawek listu, wpatrując się w niepoprawnie nabazgrane słowa na odwrocie. – Wygląda na to, że ktoś ponownie wykorzystał papier, żeby coś zanotować. – Wzruszył ramionami i wyprostował się. – Skąd go pani ma?

– Został znaleziony w St. Giles – odparła. – A ja bardzo bym chciała ustalić, co tam robił.

– A niby skąd miałbym to wiedzieć?

Ze zniecierpliwieniem ściągnęła usta w ciup.

– To pański list.

– Pani pamięta wszystkie osoby, do których pisze?

– Tak się składa, że owszem – odrzekła. – Ponieważ ludzie, do których piszę, to zwykle bliscy przyjaciele.

Wpatrywał się w nią przez chwilę.

– Proszę mi go pokazać.

Podała mu świstek.

Obejrzał go uważnie z obu stron.

– Datowany na październik… – Znienacka podniósł na nią wzrok. – Dlaczego w ogóle chce pani wiedzieć, do kogo to napisałem?

– Bo chcę – odparła z twardym uśmiechem. – Dlaczego panu tak zależy na ukryciu adresata?

– Nie zależy. – Po raz kolejny wzruszył ramionami i upuścił świstek na stół. – Pisuję do babki, kiedy przebywa poza miastem… ale przez cały październik była w Londynie. Mogłem napisać to do kochanki albo… – Zmarszczył czoło w namyśle.

– Do kogo? – szepnęła.

– W październiku napisałem liścik w interesach do Seymoura.

Jej serce zmyliło rytm.

– Co to za interesy?

Pokręcił głową.

– To była delikatna sprawa. Dałem słowo, że jej nie ujawnię.

– Adamie.

Uśmiechnął się nagle, odzyskując co nieco ze swej zwykłej atrakcyjności.

– Lubię sposób, w jaki wypowiadasz moje imię.

– Nie mam na to czasu – odparła surowo.

– Och, no dobrze – rzekł z westchnieniem. – Seymour proponował mi inwestycję w lukratywne przedsięwzięcie. Odmówiłem mu listownie.

– Dlaczego?

– Zdążyłem się przekonać, że lukratywne przedsięwzięcia są dobrym sposobem na to, by wszystko stracić. – Uśmiechnął się, łajdacki i przystojny. – A choć sprawiam wrażenie lekkoducha, mam serce konserwatywnego kutwy.

– Hm. – Isabel się zadumała. Czy lukratywne przedsięwzięcie pana Seymoura miało związek z manufakturą wytwarzającą koronkowe pończochy? Czy też cała sprawa stanowiła fałszywy trop? – Na czym polegało to przedsięwzięcie pana Seymoura?

– Nie wiem.

– Proszę?

– Nigdy nie dotarliśmy do szczegółów. – Wicehrabia elegancko wzruszył ramionami. – Odmówiłem od razu.

Skrzywiła się.

– Dobrze, sama go zapytam. Złożę wizytę panu Seymourowi. – Wstała, dając znak Haroldowi, ale lord d'Arque pokręcił głową.

– Nie ma go w domu. Kiedy tu przyszliśmy, spotkaliśmy Makepeace'a. Seymour udał się z nim obejrzeć miejsce, gdzie wczoraj w nocy Duch uratował te wszystkie dziewczynki.

Pod wpływem nagłego niepokoju Isabel zaczęły drżeć ręce, zmusiła się jednak, by zapytać opanowanym głosem:

– Czy ktoś z nimi poszedł?

– Nie, poszli sami. Dlaczego? – Wicehrabia z zaciekawieniem wbił w nią wzrok.

– To przypuszczalnie nic takiego. – Isabel próbowała myśleć. Spojrzała na niego. – Jak właściwie najął pan swojego poprzedniego stangreta?

– Cóż za dziwne pytania zadaje pani tego ranka – mruknął lord d'Arque. Kiedy popatrzyła nań wściekle, wyrzucił ręce w górę. – W porządku! W istocie polecił mi go Seymour.

O Boże! Pan Seymour musiał być owym arystokratą, który stał za manufakturami, a Winter poszedł z nim sam. Z jakiego powodu Seymour by do niego dołączał, jeśli nie dlatego, że zorientował się, iż Winter jest Duchem, i chciał go zabić? Jak Isabel zdoła dotrzeć do Wintera na czas, by go ostrzec?

Bezsilnie zacisnęła pięści.

– Nie wiem nawet, dokąd poszli. Nie wiem, gdzie jest ta manufaktura.

– No, to akurat da się załatwić – stwierdził wicehrabia, przeciągając zgłoski. – Ja wiem.

Rozdziawiła usta.

– Pan wie?

Uśmiechnął się, co nadało mu nieomal chłopięcy wygląd.

– Makepeace podał nam adres, zanim poszli.

* * *

Winter zatrzymał się przy wysokim domu i spojrzał w górę. Cztery kondygnacje plus poddasze. To w tym budynku znalazł dzieci wczorajszej nocy.

Popatrzył na swego towarzysza.

– To tutaj.

– Na pewno? – Pan Seymour z powątpiewaniem zmierzył budynek wzrokiem. –

Wygląda jak wszystkie pozostałe w okolicy.

– Na pewno – potwierdził Winter. – Chciałby pan iść pierwszy?

– Och, nie – odparł Seymour. Uśmiechnął się i zachęcił go gestem. – Pan przodem, panie Makepeace.

Winter skinął głową i wszedł do budynku. Podzielono go na liczne pokoiki do wynajęcia, z których część dodatkowo podnajmowano, niekiedy po to, by w nich z kolei wynajmować pojedyncze łóżka. Typowy dom w St. Giles. Na szczęście schody znajdowały się od frontu, nie musieli więc przemierzać tego labiryntu, żeby je znaleźć.

Winter ruszył na górę.

– Zdziwiłem się, widząc dziś pana i lorda Kershawa w St. Giles.

– Rzeczywiście? – Głos Seymoura odbił się upiornym echem od nagich ścian.

– Mhm. – Winter minął załom schodów. – Po co panowie przyszli?

– Pomagamy d'Arque'owi szukać mordercy Fraser-Burnsby'ego – wyjaśnił Seymour. – Ducha St. Giles. Nadal nic panu nie wiadomo na jego temat?

Jego głos rozbrzmiał raptem bardzo blisko.

Winter zatrzymał się i odwrócił, bez zaskoczenia odkrywając, że pan Seymour stoi zaledwie stopień niżej.

– Bardzo cicho się pan porusza, panie Seymour.

– Podobnie jak pan. – Mężczyzna już się nie uśmiechał. – Po drodze tutaj zaobserwowałem, że czuje się pan w St. Giles jak u siebie.

– Mieszkam tu od dziewięciu lat – odparł ze skąpym uśmiechem Winter. – I nie, nie wiem nic na temat Ducha.

– Jest pan pewien?

– Najzupełniej.

Winter ruszył dalej, świadom, że tamten podąża tuż za nim. Stary dom wydawał dziwne odgłosy – skrzypnięcia i jęki. O tej porze dnia był praktycznie opustoszały. Mieszkańcy wyszli, by na mniej lub bardziej uczciwe sposoby zabiegać o pieniądze, którymi opłacą kolejną noc w tym nędznym miejscu.

Gdyby ich zaatakowano, przypuszczalnie nikt by tego nie usłyszał. A nawet jeśli byłoby inaczej, wątpliwe, żeby ktokolwiek rzucił się im na ratunek. W St. Giles ludzie, z rozpaczliwej konieczności, pilnowali własnego nosa. Oni dwaj równie dobrze mogliby przemierzać w tej chwili afrykańską pustynię.

– Zaskoczyło mnie, że wiedział pan o dzieciach, które Duch przyprowadził do przytułku – zagaił Seymour, gdy zbliżali się do ostatniego piętra.

Ach, nareszcie.

– Doprawdy?

– Wygląda na to, że dowiedział się pan o tym jako pierwszy z osób spoza przytułku. Prawie tak szybko jak sam Duch.

– Mam swoje źródła – odparł swobodnym tonem Winter.

Od wspinaczki robiło mu się ciepło, toteż odgarnął do tyłu pelerynę.

– Pańskie źródła najwyraźniej dorównują źródłom Ducha.

– Niewykluczone, że tak jest. – Winter zatrzymał się przed niewielkimi drzwiami. – Warsztat jest tutaj. Chciałby pan wejść pierwszy?

– Ależ proszę, panie Makepeace – odparł Seymour.

Winter spoglądał nań przez chwilę, po czym otworzył drzwi. Zewnętrzny pokój na poddaszu w świetle dnia wydawał się nawet mniejszy. Na zakurzonej podłodze walały się poszarpane kawałki drewna z wyłamanych drzwi w dachu. Co dziwne, wszystkie

maszyny zniknęły.

Drzwi na poddasze zamknęły się za plecami Wintera.

Przeszył go ostrzegawczy dreszcz.

Odrobinę za późno.

Kiedy się odwrócił, Seymour dobył już szpady.

– Sugerowałbym, żeby pan uklęknął, panie Makepeace. A może woli pan, żebym nazywał go Duchem St. Giles?

Rozdział 19

Teraz Arlekin widział, nadal jednak tkwił przed swą Prawdziwą Miłością niemy i nieruchomy. Toteż Prawdziwa Miłość ponownie wspięła się na palce i ucałowała go w policzek.
– Pamiętasz, jak leżeliśmy razem, kochany? – szepnęła.
– Pamiętasz, jak zostaliśmy kochankami, z nadzieją spoglądając w przyszłość? Ta przyszłość żyje i jest tutaj.
I wziąwszy jego dłoń, położyła ją sobie na lekko zaokrąglonym brzuchu, gdzie rosło nowe życie. W ten sposób nakłoniła go, by dotknął Nadziei…
– z Legendy o Arlekinie – Duchu St. Giles

Odpychała go od siebie raz za razem, nigdy jednak nie sądziła, że odejdzie daleko. Miał być zawsze obecny w jej życiu, na tym świecie, prowadzić własne życie, być może kogoś poślubić, zarządzać swoim przytułkiem, szczęśliwy, niech to diabli!

Winter Makepeace nie miał umierać. Isabel po prostu nie potrafiła sobie tego wyobrazić. Był zbyt atletyczny, zbyt młody, zbyt pełen życia. Nie przypominał innych mężczyzn. Rzucał jej wyzwania. Widział wszystkie jej wady – niezliczone – a i tak mówił, że ją kocha. Choćby żyła tysiąc lat, nie znalazłaby drugiego mężczyzny takiego jak on – i nie chciała znajdować.

Kochała Wintera Makepeace'a, żadnego innego.

Pod wpływem tej myśli zakręciło jej się w głowie tak, że potknęła się w zawilgoconej, obskurnej uliczce St. Giles.

– Wszystko w porządku, milady? – spytał Harold, podtrzymując ją za ramię.

– Tak, tak – wydyszała. – Musimy się pospieszyć.

Droga do adresu, który podał jej wicehrabia, była zbyt wąska dla jej karety. Zresztą po nadmiernie wijących się zaułkach St. Giles człowiek szybciej przemieszczał się pieszo. Dlatego biegła. D'Arque został w tyle, okazał się bowiem znacznie bardziej pijany, niż wydawało się na pierwszy rzut oka. Harold truchtał koło niej, mimo że kazała mu puścić się przodem. Wytrwale odmawiał, powtarzając, że St. Giles jest zanadto niebezpieczne dla samotnej damy.

Co, choć zgodne z prawdą, nie pomoże ocalić Wintera, jeśli Charles Seymour w tej właśnie chwili wbijał mu sztylet w plecy.

Z przodu zamajaczył wysoki budynek.

– To tutaj – wydyszała Isabel. – Szybko!

Harold szarpnięciem otworzył drzwi i rozpoczęli wspinaczkę po koszmarnie długich, krętych schodach. Zdawały się nie mieć końca, Isabel zaś przez cały czas nasłuchiwała odgłosu wystrzału. Krzyku rannego mężczyzny. Podniesionych w gniewie głosów.

A nie słyszała nic.

Wreszcie minęli ostatni załom i wylądowali na poddaszu. Na wprost znajdowały się małe, zniszczone drzwi i Isabel rzuciła się ku nim, podczas gdy Harold bezskutecznie próbował ją zatrzymać.

Drzwi otworzyły się i Isabel z impetem wpadła do pomieszczenia – oraz na stojącego tyłem mężczyznę.

Otoczyły ją silne ramiona, na ułamek sekundy wszystko zamarło.

Później nad jej głową rozległ się głos.

– Ach, Makepeace, zdaje się, że dołączyła do nas pańska bogdanka.

* * *

Winter poczuł, jak po krzyżu spływa mu strużka potu. Od momentu, kiedy Seymour zadeklarował chęć towarzyszenia mu do warsztatu, Winter podejrzewał, że to on jest owym „wielmożą". Seymour, jako jedyny z trzech arystokratów, przejawiał zainteresowanie wiedzą Wintera na temat lokalizacji manufaktury – wiedzą, którą mógł posiadać wyłącznie jako Duch St. Giles. Kiedy Winter zobaczył szpadę w ręku przeciwnika, przeszył go triumfalny dreszcz zwycięstwa, bo potwierdziło się jego przeczucie, tyle że w następnej chwili do pomieszczenia wparowała Isabel.

Seymour opasywał teraz ramieniem szyję kobiety, dociskając ją do siebie. Winter dobrze znał podniecenie walką, dreszcz niebezpieczeństwa, ból odniesionej rany.

Ale jeszcze nigdy nie czuł strachu.

Seymour zerknął na Harolda, który wahał się przy drzwiach.

– Rzuć pistolet, jeśli łaska, albo zabiję twoją panią.

Lokaj spełnił polecenie.

– No dobrze. – Seymour uśmiechnął się do Wintera. – O Duchu St. Giles wiadomo, że zawsze nosi szpadę i sztylet. Prawda, nie masz pan teraz na sobie przebrania, spraw mi pan jednak tę przyjemność i rozchyl pelerynę, Duchu.

Winter rozchylił pelerynę i przytrzymał ją tak, patrząc w szeroko otwarte niebieskie oczy Isabel. Była przerażona. Już sam ten fakt przypieczętował los Seymoura.

– Bardzo pani uprzejma, że znów przybywa mi na ratunek, milady, jakkolwiek sądziłbym, że Harold wykaże więcej rozsądku.

Stojący przy drzwiach Harold wzruszył ramionami.

Oblizała wargi.

– Kocham cię. Bez względu na to, co się wydarzy, kocham cię, Winterze. Jeśli…

– Dosyć. – Seymour gwałtownie przycisnął gardło Isabel, przerywając jej w pół zdania. – Coś mi się zdaje, że z podszewki peleryny wystaje panu rękojeść. Połóż pan oba ostrza na podłodze, wolno, i pchnij je na drugi koniec pokoju.

Blask miłości Isabel przepełniał mu pierś, ale Winter nie mógł w tej chwili się nim napawać. Wykonał polecenie Seymoura.

– A teraz na kolana.

Winter łagodnie pokręcił głową.

– Nie. Jeśli uklęknę, zabije pan mnie, a później lady Beckinhall. Doprawdy nie widzę powodu, żeby to robić.

Przez moment Seymour wyglądał na skonsternowanego, a Winter wykorzystał jego rozkojarzenie, by nieco się przybliżyć.

– Za… zabiję ją – parsknął Seymour.

Winter pokręcił głową.

– Jeśli pan ją zabije, ja zabiję pana, z bronią czy bez. Nic mnie już wtedy nie powstrzyma. Doprawdy, to kwestia logiki.

– Skoro to kwestia logiki – głos Seymoura ociekał sarkazmem – co pan w takim razie proponujesz?

Winter przekrzywił głowę.

– Niech pan ze mną walczy jeden na jednego.

– Nie! – Isabel naparła na więżące jej szyję ramię. – Winterze, jesteś nieuzbrojony! Nie bądź głupcem.

– Doskonale. – Seymour wyszczerzył zęby w uśmiechu.

Gwałtownie odepchnął Isabel na bok, tak że upadła na podłogę, po czym skoczył na Wintera ze szpadą wymierzoną w jego serce.

* * *

Isabel wylądowała boleśnie na czworaka. Winter! Przetoczyła się z łkaniem, by zobaczyć, czy pan Seymour zabił go pierwszym pchnięciem. Zobaczyć, czy właśnie umiera, a życiodajna krew tryska mu z rany.

Ale Winter owinął sobie ramię peleryną, by się nim bronić, i jednocześnie manewrował w kierunku swojej szpady. Na jej oczach pan Seymour pchnął, i znowu, za każdym razem trafiając sztychem w grubo upakowany materiał.

Niemniej cena takiego sposobu obrony była oczywista: ciemna, mokra plama rozrastała się na pelerynie oplecionej wokół ramienia Wintera. Dobry Boże, jeśli zostanie poważnie ranny, będzie po wszystkim, nim dosięgnie swojej broni.

Isabel rozejrzała się gorączkowo i spostrzegła pistolet Harolda. Leżał pod ścianą za panem Seymourem. Zaczęła pełznąć w jego stronę.

W tejże chwili Winter skoczył po swój oręż, wyciągając prawe ramię. Pan Seymour podążył za nim, dźgając mściwie.

Winter przetoczył się na bok ze szpadą w prawej dłoni, a szpada pana Seymoura wbiła się w drewnianą podłogę w miejscu, gdzie jeszcze przed sekundą leżał Makepeace. Winter z wdziękiem skoczył na nogi i natarł na przeciwnika.

Isabel dosięgła pistoletu, chwyciła go oburącz i uniosła, mierząc w kierunku walczących. Ale pan Seymour i Winter ustawili się właśnie w linii prostej. Jeśli strzeli i chybi, może trafić i zabić Wintera. Pochwyciła spojrzenie Harolda i lokaj ruszył naprzód, dała mu jednak gestem znak, by się cofnął. Czegokolwiek by spróbował, znalazłby się bliżej walczących – a zatem na linii jej strzału.

Trzymała pistolet wycelowany w pana Seymoura, czekając na odpowiedni moment.

Seymour sparował błyskawiczne pchnięcie Wintera.

– Miałeś pan być nieuzbrojony. To nieuczciwe.

– Och, wy, arystokraci – syknął Winter, robiąc wypad do przodu, kiedy atakował. – Ustalacie obowiązujące wszystkich zasady, które działają wyłącznie na waszą korzyść.

Pan Seymour uśmiechnął się szyderczo, odtrącając ostrze Wintera.

– Należy do naturalnego porządku rzeczy, że silni sprawują władzę nad potulnymi. Jeśli się to panu nie podoba, poskarż się pan Bogu.

I uderzył, szybki i zajadły jak żmija, pozostawiając długie rozcięcie na kamizelce Wintera. Isabel jęknęła cicho, przerażona. Kamizelka natychmiast pociemniała, a kiedy Winter się poruszył, krew z lewego ramienia i boku bryzgnęła na podłogę. Dobry Boże, osłabnie, jeśli potyczka szybko nie dobiegnie końca. Ale mężczyźni nadal znajdowali się zbyt blisko siebie, żeby mogła oddać strzał.

– Dobry pan jest – wydyszał Winter, uskakując w tył przed kolejnym pchnięciem. – Choć w przypadku was, arystokratów, to nierzadkie: nie macie nic innego do roboty, niż bez końca ćwiczyć fechtunek.

– Może i nauczyłeś się pan władać szpadą – zadrwił Seymour – ale to jak gadanie papugi: naśladowanie czegoś, czego się tak naprawdę nie rozumie.

Natarł i Winter przyjął atak na swoją szpadę, ostrza zgrzytały o siebie przeraźliwie, kiedy napierali jeden na drugiego z wykorzystaniem całej siły i wagi. Krew Wintera usmarowała podłogę i poślizgnął się na niej wysuniętą do tyłu nogą, przez co musiał odstąpić chwiejnie w bok, by uniknąć sztychu szpady pana Seymoura.

Pan Seymour uśmiechnął się szeroko.

– Wodnista ta krew motłochu. Pomaluję nią ściany, kiedy z panem skończę.

Winter uniósł brwi na tę teatralną groźbę.

– Zarabia pan pieniądze, wykorzystując małe dziewczynki. Niech pan nie myśli, że dam mu wygrać.

– Może nie będziesz pan miał wyboru – stęknął pan Seymour.

Przypuścił atak z drugiego boku Wintera.

Nareszcie! Isabel pociągnęła za spust. Pistolet wypalił z ogłuszającym hukiem. Odrzut pchnął ją na plecy. Pozbierała się z wysiłkiem, a później przez chwilę po prostu wytrzeszczała oczy, przerażona.

Winter i Seymour stali spleceni tak ściśle, jakby się obejmowali. Dobry Boże, czy postrzeliła ich obu?

Potem pan Seymour osunął się bezwładnie na podłogę, a Winter spojrzał na nią.

– Och, Winterze!

Nie umiałaby powiedzieć, jak się tam znalazła, lecz oto nagle była w ramionach Wintera, całując go nieporadnie, podczas gdy po policzkach spływały jej łzy. Niewiele brakowało, a by go straciła. Gdyby nie strzeliła we właściwym momencie, on…

Popatrzyła na pana Seymoura i zmarszczyła brwi.

– A gdzie rana od kuli?

Harold odkaszlnął.

– Chybiła pani, milady. – Wskazał dużą dziurę w tynku na ścianie.

– Chybiłam?

Podniosła wzrok akurat w porę, by zobaczyć, jak Winter gromi lokaja spojrzeniem.

Natychmiast uśmiechnął się do niej.

– Ale o włos. Gdybyś miała czas dobrze wymierzyć, na pewno trafiłabyś go prosto w serce.

Sapnęła. Skandalicznie się jej przypochlebiał, lecz w tych okolicznościach nie będzie protestowała.

– Jak w takim razie zginął?

Winter uniósł swoją szpadę. Była zakrwawiona. A on sam blady.

– Wypuściłem bestię.

– O!

Wyciągnęła rękę, by go dotknąć; był zbyt spokojny, zbyt zdystansowany. Nieomal widziała, jak na powrót wycofuje się w głąb siebie.

– Jezu! – dobiegł ich od drzwi głos lorda d’Arque’a. – Co tu się stało?

Wicehrabia ze zgrozą rozglądał się po pomieszczeniu. Isabel zamarła. Jeśli d’Arque postanowi doprowadzić Wintera przed sąd pod zarzutem morderstwa, bardzo trudno będzie jej go wybronić. Był człowiekiem z ludu, który właśnie zabił arystokratę.

– Pański przyjaciel Seymour zaatakował lady Beckinhall – oznajmił twardo Winter, nim zdążyła się odezwać.

Wicehrabia zbladł.

– Zaatakował? Dobry Boże, madame, nic się pani nie stało?

– Nie. – Isabel delikatnie dotknęła posiniaczonego gardła, krzywiąc się z bólu, choć

zarazem ulżyło jej, że wicehrabiego należycie zbulwersowały poczynania Seymoura. – Dzięki panu Makepeace'owi i mojemu lokajowi. Obaj ryzykowali życie, by mnie ocalić.

Lord d'Arque popatrzył na ciało pana Seymoura.

– Kiedy powiedziała pani, że Makepeace'owi coś grozi ze strony Seymoura, sądziłem, że ponosi panią wyobraźnia.

– A mimo to podążył pan za nami? – spytała miękkim tonem Isabel.

– Seymour bardzo dziwnie się zachowywał, odkąd znaleziono tutaj te dziewczynki – rzekł wolno lord d'Arque. – Ilekroć wspominałem, że należy je przepytać, odwracał czymś moją uwagę. No i jeszcze ta jego obsesja na punkcie Makepeace'a. Z uporem powtarzał, że jest Duchem St. Giles i zabił Rogera.

– Odniosłem wrażenie, że podziela pan ten pogląd – mruknął Winter.

Lord d'Arque spojrzał na niego.

– Może przez chwilę, ale to po prostu zbyt cudaczne: nauczyciel miałby być zamaskowanym szaleńcem? No i z jakiego powodu zabiłby pan Rogera?

– Nie zabiłbym – odparł trzeźwo Winter. – Nie wiem, kto zabił pańskiego przyjaciela, milordzie. Żałuję, ale nie wiem.

Lord d'Arque pokiwał głową, na moment odwracając wzrok.

– Przypuszczam, że Seymour stał za tą okropną sprawą z uwięzionymi dziewczynkami. To było to jego lukratywne przedsięwzięcie?

– Tak – powiedziała Isabel. – Zamierzał nas zabić, żeby jego sekret nie wyszedł na jaw.

– Okropne. – Wicehrabia przeciągnął dłonią po czole. – Żeby zarabiać pieniądze w taki sposób, na niewolniczej pracy dziewczynek w tym ohydnym miejscu… – Rozejrzał się po ciasnej izdebce, po czym znów spojrzał na nich. – Ani trochę nie żal mi Seymoura. W pełni zasłużył na swój los, ale jego żona to całkiem miła kobieta, wiecie. Skandal po ujawnieniu tych rewelacji ją zabije.

– Proszę więc do tego nie dopuścić – rzekł Winter. Uśmiechnął się ponuro. – Możemy powiedzieć, że Duch dopadł kolejną ofiarę.

Lord d'Arque kiwnął głową.

– Zajmę się tym.

Rozdział 20

Przez chwilę Arlekin – Duch St. Giles stał nieruchomo, wpatrując się w swą Prawdziwą Miłość, z dłonią na jej brzuchu, gdzie rosło ich dziecko. Prawdziwa Miłość wstrzymała oddech, była to bowiem jej jedyna szansa. Jeżeli jej nie rozpozna, nie powróci do blasku dnia i pomiędzy żywych. Nie było innego sposobu na uwolnienie go spod mocy zaklęcia. Czekała więc, obserwując go, a tymczasem nad St. Giles powoli wstawało słońce…
– z Legendy o Arlekinie – Duchu St. Giles

Tydzień później…

– Mam dla ciebie list, Peach.

Winter wyciągnął w stronę dziewczynki papier z adresem wypisanym starannie drukowanymi literami.

Peach, która siedziała na łóżku z Dodo, ćwicząc przędzenie, podniosła wzrok. Z czcią wzięła papier, obróciła go w dłoniach, po czym oddała Winterowi.

– Proszę, powie mi pan, co tu pisze?

Od swego powrotu do roli zarządcy Winter otrzymywał raporty od wszystkich nauczycieli w przytułku, toteż prośba go nie zdziwiła. Najwyraźniej Peach nigdy nie uczono czytania.

Wkrótce postara się temu zaradzić, na razie jednak usiadł na łóżku obok dziewczynki. Przydzielono jej pryczę i niewielki kufer na rzeczy osobiste w sypialni dużych dziewczynek, gdyż Peach wyznała w końcu, że ma osiem lat.

– Widzisz swoje imię, o, tutaj? – Winter wskazał adres.

– P-E-A-C-H – wymieniła pieczołowicie literę po literze.

– Bardzo dobrze.

Winter uśmiechnął się do dziewczynki i otworzył list. Przekrzywił go tak, by również widziała, po czym przesuwał palcem pod pismem, czytając:

Droga Peach

Piszę do Ciebie ten tu List, zanim mój Statek opuści Londyn. Nazywa się Terier i jest Wspaniały! Kiedy wrócimy do Londynu, zabiorę Cię, żebyś Go zobaczyła. Będę spać w takim Huśtanym Łóżku. Starsi chłopcy mówiom, co trochu mi zajmie się przyzwyczaić.

W ogóle to mam nadzieję, że Ty i Dodo macie się Dobrze. Na pewno słuchaj się Panny Jones i Pani Mediny, i całej reszty, a jeśli Pan Makepeace by wrócił, jego też się słuchaj. Jest…

W tym momencie Winter musiał przerwać i odkaszlnąć.

Peach popatrzyła na niego z zaciekawieniem.

– Co pisze?

Winter zamrugał i kontynuował:

Jest Najlepszym Człowiekiem na Świecie.

Twój Przyjaciel
Joseph Tinbox

Winter podał list Peach. Dziewczynka przez chwilę wpatrywała się w odręczne pismo, po czym westchnęła i starannie złożyła kartkę.

– Idę o zakład, że będziesz potrafiła sama to przeczytać, nim spadnie pierwszy śnieg – rzekł miękko Winter.

– Naprawdę? – Peach na moment się rozpromieniła, lecz później na jej twarzy odmalowało się zwątpienie. – Do zimy to jeszcze daleko.

– Nadejdzie szybciej, niż myślisz. – Winter wstał, lecz potem, wiedziony impulsem, przykucnął przed dziewczynką, ujmując jej dłonie w swoje. – Wkrótce będę pisał do Josepha. Chciałabyś dołączyć liścik od siebie?

– Ale nie umiem pisać.

– Pomogę ci.

Peach popatrzyła nań nieśmiało.

– Tak, chciałabym.

– Tutaj jesteś! – zawołała od drzwi Temperance.

– Siostro! – Winter wstał, podszedł do niej i wziął ją w objęcia. – Wróciłaś.

– Winterze! – Odsunęła się, patrząc nań dziwnie. – Za co to było?

– Cieszę się, że cię widzę. – Wzruszył ramionami.

– Ale… – Popatrzyła na salę pełną dzieci, z których wszystkie spoglądały na nich z zaciekawieniem, po czym wyciągnęła Wintera na korytarz. – Ty nigdy się nie przytulasz. I czy ja widziałam, jak trzymasz tę dziewczynkę za ręce?

Zamrugał.

– Tak?

Temperance przyłożyła mu grzbiet dłoni do czoła.

– Dobrze się czujesz?

– Naturalnie. – Odtrącił jej rękę i się uśmiechnął. – Jak tam wiejskie przyjęcie?

– Koszmarne!

– Naprawdę?

– No dobrze, nie – przyznała z westchnieniem. – Część dam okazała się właściwie całkiem miła, a do tego w pobliżu były ciekawe ruiny, których zwiedzanie sprawiło mi wielką przyjemność.

– Czyli nie było tak fatalnie, jak się spodziewałaś.

– Czy zaraz uraczysz mnie jakimś „a nie mówiłem”? – spytała podejrzliwie.

– Skądże znowu. – Winter przypatrywał jej się przez chwilę z zastanowieniem.

– O co chodzi? – Nerwowo dotknęła nosa. – Wyrósł mi pryszcz?

– Nie, ale coś się zmieniło – stwierdził.

– Och! – Jej policzki, jakby nieco bardziej zaokrąglone, spłonęły rumieńcem. – Nie powinieneś jeszcze wiedzieć.

– Wiedzieć czego?

– Z nadejściem zimy spodziewam się wydarzenia – wyznała skromnie.

– Naprawdę? – Poczuł przelotne ukłucie gdzieś w okolicy serca: Isabel nigdy nie doświadczy tej konkretnej radości. Później twarz przeciął mu szeroki uśmiech. – Cudowna wiadomość!

– Dziękuję. – Przygryzła wargę, ale także nie potrafiła dłużej powstrzymywać uśmiechu. – Och, Winterze, jestem taka podekscytowana. Nie masz pojęcia!

– A Caire?

Sapnęła z irytacją.

– Tak się denerwuje, że pomyślałbyś, że to on jest przy nadziei. Ale po części dlatego

tu jestem. Chcę cię prosić o przysługę.

Uniósł brew.

Splotła przed sobą dłonie.

– Zastanawiam się, czy mogłabym zabrać Mary Whitsun? Żeby zamieszkała ze mną. Caire chce, żebym miała kogoś do pomocy, gdybym gorzej się poczuła, a kiedy dziecko przyjdzie na świat, będziemy potrzebować piastunki. Nadałaby się idealnie, no a poza tym potwornie za nią tęsknię, odkąd opuściłam przytułek. Ładnie proszę.

– Oczywiście – odrzekł Winter, uradowany. – Sądzę, że ten pomysł bardzo jej się spodoba.

– Och, wspaniale! – Temperance opromieniła go uśmiechem. – Skoro więc ta sprawa jest załatwiona, powinnam chyba wracać.

Zamrugał.

– Wracać?

– Do Syndykatu Pań na rzecz Przytułku dla Sierot i Podrzutków – wyjaśniła Temperance z nutką szorstkości w głosie. – Nie wiedziałeś, że mamy spotkanie w bawialni na dole?

– Teraz?

Poczuł w żyłach przypływ energii. Jeśli trwało spotkanie syndykatu, była tu Isabel. Nie widział jej od tygodnia – odkąd zabił Seymoura. W tym czasie na powrót przejmował sprawy w przytułku i pomagał wykorzystywanym w manufakturze dziewczynkom otrząsnąć się po przejściach, ale zaabsorbowanie tymi sprawami nie stanowiło głównego powodu, dla którego trzymał się z dala od Isabel.

Tamtego dnia ogarnął go czający się w nim mrok. Zabił człowieka – coś, czego nie zrobił nigdy wcześniej. Odbieranie życia nikomu nie powinno przychodzić łatwo. Modlił się, rozważał, czy powinien pozwolić Isabel odejść, dla jej własnego dobra. Ale jego mrok miał także drugą stronę; zawsze to wiedział. Kiedy go uwolnił, uwolnił również zdolność do przytulania Temperance. Do ujmowania dłoni dziewczynki, żeby podnieść ją na duchu. Wiedział teraz, że nigdy nie będzie takim zarządcą jak jego ojciec: zdystansowanym, pełnym rezerwy, ale dobrym. Zamiast tego będzie zanadto się przejmował, zanadto martwił, zbyt rozpaczał nad każdym utraconym dzieckiem. A kiedy dziecko odniesie sukces? Kiedy będzie się zdrowo rozwijało albo zostanie uratowane? Wówczas zapewne doświadczy bezgranicznej radości.

Nie zdołałby tego w sobie zmienić, choćby chciał. Po prostu było mu to pisane i sądził, że odtąd będzie potrafił żyć w zgodzie z tym faktem.

Była wszakże jedna osoba – jedna urocza, uparta, szelmowska dama – bez której żyć nie potrafił, przy czym najwyraźniej w tej właśnie chwili siedziała w bawialni na parterze.

Tydzień to było stanowczo zbyt długo.

– Przepraszam – mruknął do siostry.

– Dokąd idziesz?! – zawołała za nim Temperance.

– Odnaleźć moje przeznaczenie – odparł.

* * *

– Co pani sobie myślała?

Isabel przyglądała się z rozbawieniem, jak Amelia Caire unosi patrycjuszowską brew, spoglądając srogo na lady Penelope.

Minionego wieczoru Amelia wróciła do miasta, najwyraźniej z powodu listu, który

przed paroma tygodniami napisała do niej lady Margaret.

– Miałam na sercu najlepszy interes tych dzieci. – Lady Penelope otworzyła szeroko fiołkowe oczy, z wdziękiem apelując do zebranych. – No i Artemis powiedziała, że to dobry pomysł.

Panna Greaves, która akurat łyknęła herbaty, zakrztusiła się.

– Jak rozumiem, pan Makepeace skonfiskował trzydzieści trzy proce – odezwała się w zamyśleniu lady Hero. – Nie wiem, czy w całym swoim życiu widziałam tyle proc.

– Trzeba było pomalować na nowo wszystkie sale lekcyjne – powiedziała Amelia. – Oraz wymienić cztery łóżka.

– Kucharka znalazła dziś rano kolejną pestkę wiśni – pisnęła radośnie lady Phoebe. – W pojemniku na mąkę.

Damy zgodnie spojrzały na kruche bułeczki przed sobą. Lady Hero ostrożnie odstawiła swój talerz, z lekka zieleniejąc.

– No cóż, pomyślałam, że warto przeprowadzić taki eksperyment – obstawała przy swoim lady Penelope. – Gdybym nie ściągnęła tutaj lorda d'Arque'a, nigdy byśmy się nie dowiedziały, że nie należy dawać dzieciom wiśni w prezencie.

Potoczyła spojrzeniem po pokoju, jakby wysunęła szalenie istotny argument.

Amelia westchnęła, a Isabel zrobiło się jej żal. W ich gronie to lady Penelope, pomimo swego ptasiego móżdżku, dysponowała najcięższą sakiewką. Będą musiały jakoś z nią wytrzymać.

– Uważam, że musimy ustanowić prawo, iż pan Makepeace jest i będzie jedynym zarządcą przytułku – oznajmiła Amelia. – Kto jest za, proszę o podniesienie ręki.

W górę wystrzeliło kilka rąk. Lady Penelope podniosła swoją na wysokość ramienia, co w opinii Isabel nadal się liczyło. Natomiast lady Margaret wpatrywała się tylko w swój podołek – jak robiła to od początku spotkania.

– Megs? – szepnęła łagodnie lady Hero.

– Słucham? – Lady Margaret szybko podniosła wzrok. – Och, tak.

I również uniosła rękę, dzięki czemu nowe prawo uchwalono jednogłośnie.

Isabel odniosła wrażenie, że lady Margaret nie ma pojęcia, za czym właśnie głosowała.

Amelia skinęła głową, usatysfakcjonowana, i zaczęła ponownie napełniać filiżanki wszystkim damom.

Korzystając ze sposobności, Isabel nachyliła się ku siedzącej obok lady Hero.

– Tak się cieszę, że pani przyjechała, milady.

Lady Hero się uśmiechnęła.

– Byliśmy już gotowi do powrotu do miasta.

– Zatem mąż pani towarzyszył? – spytała cicho Isabel.

– Och, tak. Ma w Londynie do załatwienia pewną nader pilną sprawę. – Lady Hero zerknęła na lady Margaret.

Isabel skinęła głową, zadowolona, że ktoś zajął się tematem.

– Mam nadzieję, że mu się powiedzie.

– Lord Griffin przywykł do sukcesów – odparła z cokolwiek smutnym uśmiechem lady Hero. – Nawet w sprawach, w przypadku których wydaje się nie istnieć żadne szczęśliwe zakończenie.

I na więcej, jak przypuszczała Isabel, nie można było liczyć.

Drzwi bawialni się otworzyły.

Isabel odwróciła się i wstrzymała oddech. W wejściu stał Winter. Planowała osaczyć go po spotkaniu. Przez ostatni tydzień wytrwale jej unikał i już ją to zmęczyło.

Najwyraźniej jednak zmienił taktykę.

Ukłonił się płytko, nie zaszczycając spojrzeniem żadnej damy oprócz niej.

– Możemy porozmawiać?

Głośno przełknęła ślinę.

– Po… po spotkaniu na pewno…

– Teraz, Isabel.

Ojej! Rumieniec palił jej policzki, gdy wstawała pospiesznie, by nie miał sposobności dorzucić czegoś dyskredytującego. Pozostałe damy i tak siedziały podejrzanie cicho.

Wyszła do holu.

– O co chodzi?

Po prostu na nią popatrzył i na jego twarzy ujrzała, jak wiele dla niego znaczy.

Serce jej się ścisnęło. Teraz? Chciał to robić teraz?

Raptem ogarnęła ją panika.

– Nigdy nie będę miała dzieci – syknęła możliwie najciszej, gdyż podopieczni przytułku schodzili właśnie tłumnie po schodach. – Jestem za stara, zbyt bogata, zanadto góruję nad tobą pozycją, zbyt…

Uciszył ją prostym sposobem – pocałunkiem. Tam, w holu przytułku, na oczach całego Syndykatu Pań i większości dzieci, a wkrótce prawdopodobnie wszystkich podopiecznych, jeśli bowiem ktoś nie dotarł tu jeszcze, by być świadkiem, jak się obejmują, był już pilnie wzywany przez współbraci…

A jej nic to nie obchodziło. Oplotła ramionami tego mężczyznę, którego kochała całym swym pełnym wad jestestwem, i dziko, radośnie odwzajemniła pocałunek.

Odsunął się, jedynie na tyle, by z uśmiechem szepnąć:

– Tym razem skompromitowała mnie pani dokumentnie, madame. Chyba pozostaje pani tylko ocalić moją nieszczęsną reputację, wychodząc za mnie.

Zajrzała w jego ciepłe, silne, kochające oczy i ubrała w słowa swoją ostatnią wątpliwość.

– Jeśli mnie poślubisz, nigdy nie będziesz mieć dzieci.

Jego reakcja była przedziwna. Winter Makepeace, człowiek, który nigdy się nie śmiał, odrzucił głowę do tyłu i wybuchnął głośnym śmiechem.

Popatrzył na nią, szeroko uśmiechnięty, i gestem omiótł schody, na których tłoczyły się mniejsze i większe dzieci.

– Och, moja najdroższa Isabel, to są moje dzieci: dzieci mego serca, dzieło mego życia. Jestem ojcem tuzinów dzieci, a planuję zostać ojcem jeszcze setek. No dalej. Powiedz „tak”, zostań moją żoną i pomóż mi wychowywać moją trzódkę.

– Tak – szepnęła, a kiedy część dzieci wychyliła się do przodu, ponieważ nie usłyszały, wykrzyczała to słowo: – Tak!!!

Winter uśmiechnął się szeroko i pocałował ją w usta, ogniście i szybko, a potem odwrócił się ku czekającym podopiecznym przytułku.

– Dzieci, mam wielki zaszczyt poinformować was, że lady Beckinhall zgodziła się zostać moją żoną.

Przez chwilę panowała nabożna cisza, rozdarta zaraz potężnym rykiem:

– HURRA!!!

Winter roześmiał się znowu, chwycił Isabel w talii, poderwał wysoko w górę i zawirował z nią.

– HURRA!!! – wiwatowały dzieci, na wpół oszalałe z zachwytu.

– Nell! – zawołał Winter do pokojówki, która stała pomiędzy dziećmi. – Chyba wypada

to uczcić bułeczką dla każdego na podwieczorek.

Te słowa wywołały największy aplauz z dotychczasowych, a potem wściekłą gonitwę, kiedy dzieci popędziły zająć miejsca przy stołach. Nell podążyła za nimi rozpromieniona, podczas gdy pani Medina osuszała oczy fartuchem, spiesząc z powrotem do kuchni.

– Kochana, mam nadzieję, że nie zmarnowałaś idealnego zarządcy sierocińca – odezwała się z przekąsem Amelia, stając w wejściu do bawialni. Wyraz jej twarzy nagle złagodniał. – Życzę ci jednak pełni szczęścia.

– Dziękuję.

Oczy Isabel zamgliły się, gdy damy kolejno całowały ją w policzek w powinszowaniu, nie wyłączając lady Penelope, która wyglądała na mocno oszołomioną.

– Pozwól, że odprowadzę cię do karety – mruknął jej do ucha Winter.

Przytaknęła szybko, pragnęła bowiem spędzić z nim jeszcze kilka minut sam na sam. Kiedy jednak zbliżali się do drzwi, dogoniły ich szybkie kroki.

Odwróciwszy się, ujrzeli panią Medinę, która wyciągnęła w stronę Wintera zawieszony na wstążce kluczyk. Puściła do niego oko.

– Prawiem zapomniała w tym zamieszaniu w ostatnim tygodniu. Pewno chce pan dostać klucz z powrotem. Niedobrze, coby te wszystkie proce znów wpadły im w łapy.

Na zewnątrz już zmierzchało.

Isabel zaczekała cierpliwie, aż zamkną się za nimi drzwi przytułku.

– O co chodziło?

Na twarzy Wintera odmalowało się lekkie poczucie winy.

– No cóż, kiedy zgodnie z nakazem d’Arque’a musiałem opuścić przytułek, powierzyłem ten klucz pani Medinie.

Popatrzyła na niewinnie wyglądający kluczyk, powoli rozumiejąc, co się wydarzyło.

– A on…

– Otwiera szafkę, gdzie trzymam wszystkie skonfiskowane chłopcom proce. – Pokiwał głową i uśmiechnął się promiennie. – W rzeczy samej, zgromadziłem pokaźną kolekcję. Widzisz, zbieram je od ponad dziewięciu lat…

Zachichotała, wyobraziwszy sobie, jak pani Medina uzbraja wszystkich chłopców w przytułku. Biedna lady Penelope! Nie miała najmniejszych szans.

Winter poprawił na niej narzutkę, by szczelniej otulała jej szyję.

– Jesteś szczęśliwa?

– Wprost upojona szczęściem. – Uśmiechnęła się do niego. Nagle czuła się tak wolna, jakby z barków zdjęto jej ogromny ciężar. – Skróćmy okres narzeczeństwa. Chcę się wprowadzić do przytułku, kiedy tylko skończę go urządzać.

– Urządzać? – Z rozbawieniem uniósł brwi.

– Urządzać – potwierdziła stanowczo. – Jest o wiele za surowy jak dla dzieci. Chcę wziąć tu ze sobą pana i panią Butterman, lokajów Willa i Harolda, no i oczywiście Pinkney, choć niemal na pewno wyzionie ducha na wieść, że ma zamieszkać w sierocińcu, a także, naturalnie, Christophera i Carruthers.

Zatrzymał się nagle i odwrócił ku niej.

– Christopher nie odszedł z matką?

Nie rozmawiali od tamtej nocy, kiedy wszystko odbywało się w takim pośpiechu.

– Nie. – Podniosła nań wzrok, tak bardzo wdzięczna za to, co wniósł do jej życia. – Skorzystałam z twojej rady i powiedziałam Louise, że chcę, by Christopher mieszkał ze mną. Jak się okazuje, wręcz jej ulżyło: najwyraźniej mały chłopiec nieszczególnie sprzyja romansom.

Drgnęły mu kąciki ust.

– Moim zdaniem to zależy od rodzaju romansu.

Potem znów ją całował, ustami tak ciepłymi i pełnymi życia, że całkiem zapomniała, gdzie się znajduje, i entuzjastycznie odwzajemniła pocałunek.

– Kocham cię – szepnęła, odsunąwszy się. – Teraz i na wieki. Uzmysłowiłam to sobie, kiedy myślałam, że zaraz zginiesz z ręki Seymoura.

– To ani przez moment nie wchodziło w rachubę – mruknął. – Nie kiedy miałem ciebie.

– Ale… – Umilkła i oczy jej się zaokrągliły, gdy spoglądała ponad jego ramieniem.

Winter odwrócił się, żeby także spojrzeć.

Jakieś pięć kroków od nich stał mężczyzna w tunice arlekina, czarnych wysokich butach i masce o długim nosie. Kiedy się na niego gapiła, skinął głową i lekko pociągnął miękkie rondo czarnego kapelusza, po czym wskoczył na niski balkon, a stamtąd na dach, gdzie zniknął.

Isabel popatrzyła na Wintera.

– Co…? Jak…? Kto…?!

Uśmiechnął się i nachylił, żeby cmoknąć ją w nos, zanim szepnął:

– Powiedziałem ci, że jestem Duchem St. Giles, ale nigdy nie twierdziłem, że nie ma również innych.

Epilog

Kiedy niebo na wschodzie pojaśniało, Arlekin – Duch St. Giles – zadrżał. Kiedy jego twarzy dotknęły pierwsze promienie wschodzącego słońca, zadygotał. A kiedy wreszcie niebo przybrało barwę błękitu, a żółte słońce zawisło wysoko w górze, zapłakał.
– Wybacz mi, moja Prawdziwa Miłości – wykrztusił, opadając na kolana. – Wybacz mi, przebywałem bowiem w mrocznym miejscu, ani na tym, ani na tamtym świecie, i zapomniałem, kim jestem i ile dla mnie znaczysz.
– Wybaczam ci – odparła Prawdziwa Miłość, składając pocałunek na jego wargach. – Ponieważ jesteś światłem mego świata. Kocham cię ponad życie.
– I ja także cię kocham – rzekł Arlekin. Położył dłoń na brzuchu swej Prawdziwej Miłości i popatrzył na nią. – Opuśćmy to miejsce i pobierzmy się, i wspólnie sprowadźmy na ten świat naszą Nadzieję.
Tak też zrobili. Arlekin i jego Prawdziwa Miłość opuścili St. Giles, pobrali się i żyli długo i szczęśliwie…
Strzeżcie się jednak, drodzy moi! Powiadają bowiem, że nawet w swym nowym, szczęśliwym życiu Arlekin w księżycowe noce staje się czasem niespokojny. Niektórzy twierdzą, że wraca na ulice St. Giles, odziany w swój obszarpany pstrokaty strój, uzbrojony w dwa ostre miecze. A kiedy to robi, mordercy i złodzieje, krzywdziciele niewinnych i wszyscy ci, którzy szukają osłony ciemności dla swych niecnych postępków, drżą na samą wzmiankę o Duchu St. Giles!
– z Legendy o Arlekinie – Duchu St. Giles

Godric St. John zeskoczył cicho do ogrodu swej miejskiej rezydencji, po czym przykucnął w bezruchu i odczekał pełną minutę. Ten środek ostrożności był najprawdopodobniej zbyteczny. Od śmierci Clary – i na długo przed jej odejściem – nikogo nie interesowało, dokąd się udawał i kiedy wracał.

Mimo to lepiej nie wychodzić z wprawy.

Kiedy wokół nadal panował spokój, Godric podniósł się wolno. Prześlizgiwał się z cienia w cień ku drzwiom na tyłach domu, prowadzącym do jego biblioteki. Dzisiejsza noc w większości poszła na marne. Ścigał złodzieja, ale zgubił go w labiryncie tylnych uliczek, spłoszył potencjalnego rozbójnika, który czaił się na wracającego wieczorem do domu sprzedawcę mięsnych zapiekanek, przy czym ten ostatni nie zdawał sobie nawet sprawy z zagrożenia, no i widział, jak Winter Makepeace całuje lady Beckinhall pośrodku Maiden Lane. To ostatnie niemal na pewno oznaczało małżeństwo – jakkolwiek dziwnie dobraną parę stanowili – i rezygnację Wintera z ich… hobby.

Godric chrząknął, otwierając drzwi biblioteki. Jeden Duch mniej oznaczał…

– Dobry wieczór, panie St. John.

Głos dobiegł z cienia, w którym tonął stary skórzany fotel, stojący w pobliżu kominka.

Godric odwrócił się w tym kierunku, przykucając z już dobytą bronią.

Niewyraźna postać w kącie zacmokała z dezaprobatą.

– No, no, panie St. John, nie ma powodu do przemocy, zapewniam pana.

– Kim pan jest? – szepnął Godric.

Mężczyzna nachylił się ku blademu światłu rzucanemu przez żarzące się na kominku

węgle.

– Nazywam się Griffin Reading.

Godric widział teraz, że mężczyzna opiera rękę na podłokietniku fotela, a na palcu dynda mu jakiś przedmiot.

Kiedy Godric postąpił krok naprzód, ów kształt okazał się maską: czarną, skórzaną, z długim nosem. Identyczną jak ta, którą miał na twarzy. Identyczną jak zapasowa maska, która powinna znajdować się w skrytce w jego sypialni.

Najwyraźniej jednak tak nie było. Godric spojrzał na lorda Griffina.

Ten uśmiechnął się bez wesołości.

– Mam dla pana propozycję.

[1] Majorat – zasada dziedziczenia, według której majątek w całości przechodzi na najstarszego syna lub najstarszego męskiego krewnego – przyp. red.

[2] Peach (ang.) – brzoskwinia, ale też: niezła dupa, cipka.

[3] Cyt. za: Biblia Tysiąclecia.

Nudne popołudnie nieoczekiwanie zmienia się w przygodę, kiedy lady Isabel Beckinhall znajduje na ulicy rannego Ducha St. Giles. Niestety, tajemniczy mężczyzna prędko znika z jej życia, a na domiar złego Isabel zostaje obarczona nieprzyjemnym zadaniem – musi wpoić nieco ogłady Winterowi Makepeace'owi, burkliwemu zarządcy sierocińca. Winter wie, że powinien trzymać się z dala od pięknej arystokratki, niebezpiecznie bliskiej odkrycia jego podwójnej tożsamości. Problem w tym, że jeśli odrzuci pomoc Isabel, grozi mu utrata stanowiska w przytułku. Tymczasem w okolicy ktoś porywa osierocone dzieci, a trop wiedzie do wyższych sfer.

www.wydawnictwobis.com.pl